

CZTERY Tadeusz
Klimaszewski
KWADRANSE 
SNAJPERA



Tadeusz
Klimaszewski

**CZTERY
KWADRANSE
SNAJPERA**

WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Opracowanie graficzne
BOGDANA JANOWSKA-NOWACZYK

Redaktor

URSZULA GUTOWSKA

Redaktor techniczny

GRAŻYNA WOŹNIAK

© Copyright by Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1983

ISBN 83-11-06856-9

Printed in Poland

Wydanie I. Nakład 50.000 + 250 egz.

Objętość: 14,20 ark, wyd. 19,25 ark, druk.

Papier druk, mat. V kl. 65 g, format 82X104/32

z Fabryki Celulozy i Papieru

im. J. Dąbrowskiego w Kluczach.

Odano do składania w lipcu 1982 r.

Druk ukończono w styczniu 1983 r.

w Wojskowej Drukarni w Łodzi.

Zam, nr 391

Cena zł 80,—

PIERWSZY KWADRANS

Gdy sygnaturka na kościele Serca Jezusowego wydzwoniła godzinę osiemnastą, Pierre Nujens wstał, przeciągnął się i spojrział w lustro. Pokój był kolorowy od łuny zachodzącego słońca i w owalnej tafli lustra zobaczył swoją twarz nad kołnierzykiem sportowej pomarańczowej koszuli. Ramiona zwisały luźno, a talię obejmował szeroki skórzany pasek.

Ten człowiek to ja — szepnął.

Rude, bujne i modnie przystrzyżone włosy łagodzyły spiczastość czoła. Wyblakłe od słońca brwi drgnęły, ściągnęły się, i strzeliło spod nich spojrzenie jasnych, wodnistych oczu. Skrzywił usta i ześlizgując się wzrokiem po swoim szczupłym torsie utknął na zwisających luźno dłoniach. Były długie i wąskie. Wyciągnął je przed siebie, tak że końce palców zaczerwieniły tuż przy lustrze. Pokój zalał jaskrawy szkarłat.

Merde! — syknął. — Starzeję się, albo ten pieprzony klimat. — Drganie dłoni było widoczne i choć potrafił je opanować napięciem mięśni, to po chwili powracało znowu.

Sacré Dieu! Znów spojrział na odbicie twarzy. Była nabrzmiała, a worki pod oczami pulsowały jak szyje kumkających żab. Przetarł spocone czoło. To cholerne „Eldorado”! No ale

ostatecznie co tu robić w tym mieście, teraz, gdy wieczory i noce są dłuższe i nie do zniesienia w pustych pokojach.

„Eldorado” to zaułek w pobliżu El Hamra. Wąska zaśmiecona uliczka, strumień zapalających się i gasnących świateł, trzask automatów, czasami brzęk wysypujących się pieniędzy i parę dziewczyn kwitnących w przyćmionym świetle baru. Jak tu nie wypić, gdy jest sakramentalny johny walker, white horse, tequila i kryształowa rosyjska wódka. Jest też arak o mocnym, ostrym zapachu, opalizujący mlecznie w wysokich szklankach z lodem.

Jakże tu nie wypić? Właśnie teraz, gdy po czterech miesiącach nieznośnych upałów, napięcia, niebezpieczeństw jest się prawie u celu. Pomyślał o pieniądzach przekazanych do Szwajcarii, o bilecie lotniczym w kieszeni i o tym, że ten kończący się już prawie dzień otwiera nowe, nieznanne jeszcze horyzonty, o których mu się nawet nie marzyło. A może to po prostu tylko wynik bezwzględnego i celowego działania? Suma doskonale wykorzystanych możliwości?

Podszedł do barku i nalał sobie szklankę whisky. Chwilę stał niezdecydowany, ale potem wypił jednym haustem. Rozgrzeszył się szybko, gdy przyjemne ciepło, jak świeża krew, uderzyło mu do głowy.

Mais ça va... Ça va très bien!

Nalał powtórnie i z napełnioną szklanką ruszył do łazienki. Lekko utykał, lecz zwinnie i cicho jak kot przeszedł po puszystym chodniku korytarza i stanął przy małym wąskim oknie.

To było naprawdę wymarzone miejsce. Wystarczyło lekko wysunąć głowę, a całe miasto, aż do rozczzerwionego zachodem morza, było jak na dłoni.

Przypomniał sobie, jak wiosną, gdy leciał nocą z Frankfurtu, a boeing opuścił płonące gwiazdy i zniżył się nad morzem,

z boku na horyzoncie wystrzeliły wielbłądzie garby gór, tuż zaś pod nim rozblął jasny ocean światła. Samolot przeleciał nad stojącymi na redzie statkami i pomknął wzdłuż nadmorskiej autostrady. Po prawej stronie białe grzbiety fal, a po lewej skrzyło się miasto. W głośniku brzęczał stereotypowo głos stewardesy przypominający o zapięciu pasów. Chwycił za chłodne klamerki, ale twarzą przywarł do okna.

To było nowe miejsce jego gry.

Za szybą mignął las ciemnych, skąpo oświetlonych wieżowców, a zaraz potem kłębowisko wąskich uliczek, wspinających się pod górę, to znów opadających w dół, splątanych w zawile arabeski. Samolot zakołował jeszcze raz, otarł się o ciemny profil gór, minął połącie ogrodów i znów, lecąc prawie nad dachami domów, wpadł na autostradę. Mimo że zbliżała się druga w nocy, w dole tętniło życie. Płonęły światła nadmorskich restauracji, żarzyły się tarasy, a po autostradzie i jej dopływach mknęły auta.

Nieźle! — mruknął przez zęby. — Jeszcze tylko jedno... Ciekawe, jak pachnie to miasto.

Zapach odczuł już na szerokiej płaszczyźnie lotniska; był obcy, niepodobny do zapachu innych miast. Później, gdy siedząc koło Nabulziego mknął autostradą, a w uchylonej szybie łopotała firanka, zapach ten wwierał mu się w nozdrza. Oduurzająca jak haszysz woń słonego morza, wilgotnej czerni nocy, sandałów szeleszczących po bruku i lepkiej słodczy owoców południowych. W tym mieście chyba nikt nie śpi, pomyślał patrząc na tłum przechodniów, oświetlone kawiarnie i restauracje. A to chyba też dobrze.

Gdy patrzył teraz przez okno łazienki, było to już miasto, które znał dokładnie. Nawet bardzo dokładnie. Plan wręczony przez Nabulziego był szczegółowy i jak się później zorientował,

pochodził z prezydium policji. Jednak była to tylko kolorowa karta pełna kwadratów, prostokątów, krętych linijek ulic wyglądających jak splątane strumyki, szerszych rzek autostrad i arterii przelotowych. Ponadto zielone plamy ogrodów, parków, cmentarzy, krzyże kościołów i półksiężycy meczetów. Brakowało tego, co było dla niego najważniejsze. Wysokości, perspektyw, bram, przejść, podwórek, zaułków, parkingów, gdzie można było postawić auto bezpiecznie, a nie na widoku, by później szybko i bez trudu wpaść w nurt ruchu ulicznego.

Oparł się wygodnie na łokciach.

To już nie był płaski rysunek, w który trzeba było się wczytywać sylabizując trudne nazwy dzielnic i ulic. Przypomniwał sobie te wszystkie dzienne i nocne wędrówki, pieszo, autem i rozklekotanymi taksówkami. Te wszystkie zawile, kręte drogi, które przemierzał, prowadziły do jednego. Do tego czasu i miejsca, w którym teraz tkwił.

Rzeczywistość! Realna, namacalna, jak chłód zegarka na przegubie dłoni. Bejrut, dwudziesty drugi wrześnie, godzina szósta wieczór. Apartament i okno łazienki na szesnastym piętrze wieżowca stojącego na skrzyżowaniu rue Sadat i El Hamra.

Na lewo szeroki stalowy sierp morza zacerwieniony zachodem, półkolista wstęga nadmorskiej autostrady, wieża latarni morskiej, a dalej wieżowce „Vendôme”, „Holiday Inn”, „Phoenicia” — i jeszcze dalej, za Avenue de Paris, rozległy kompleks budynków „Saint Georges”. Ekskluzywny hotel z końca dziewiętnastego wieku. Kolorowe markizy tarasów wybiegających w morze, korty tenisowe, plaża i przystań z przycumowanymi motorówkami.

Między tamtym odległym brzegiem a Nujensem rozpościęły się dobrze znane dzielnice El Mraie, Minet el Hosn i na

prawo Zoak el Blat. Stare, małe i duże domy w stylu mauretańskim, z ogródkami otoczonymi wysokim murem, pnące się pod górę wąskie uliczki, ocienione cyprysami, od Avenue Clemenceau zmieniały się w nowoczesne, bogate miasto. Beton, szkło, aluminium, wieżowce i centra biurowe, salony samochodowe, magazyny mody, supersamy, banki i tylko gdzieś tam małe plamki zieleni. Palmy i cyprysy.

Od wczesnych godzin rannych aż do sjęsty widok miasta płował pod tumanami pyłu, kurzu i spalin. Nowoczesne dzielnice rozrastały się, rozsadzały wąskie uliczki i stare lepianki arabskiej kasby. Niszczyły mauretańskie wille i meczety, wysysały zielenią ogrodów i pchały się do morza. Jęczały świdry, tłukły młoty i warkotały silniki koparek. Ceglasty pył wzbijał się aż do nieba, opadał na marmurowe tarasy domów, przylepiał do szyb, pokrywał maski samochodów zaśmiecał chodniki i jezdnie.

Tuż przed południem, kiedy ulice zamieniały się w kolorowe węże sunących samochodów, niebo szarzało jak przed burzą, a słońce ceglasto zwisało nad domami. Bejrut malał, stawał się bezładnym rumowiskiem betonowych ścian, szkła, blachy, a zakurzone cyprysy i palmy blakły w nieznośnym upale. W centrum przechodnie chronili się do klimatyzowanych restauracji, barów i kawiarni, sączyli gęstą jak smoła arabską kawę, chłodny sorbet, mleczny arak lub spoconą od kostek lodu whisky.

Nieraz, gdy Nujens chciał się odprężyć, skupić i przemyśleć nową sytuację, nie brał zielonego porsche. To był dobry, zwrotny i szybki samochód, który Nabalzi dał mu do dyspozycji, akurat pasujący do zwariowanego ruchu w tym mieście. I chociaż Nujens miał już rozeznanie w tych krętych jednokierunkowych ulicach, prowadzących do rozkopanego placu

budowy lub wpadających raptownie w nurt zatłoczonej arterii, to nie zawsze chciało mu się napinać uwagę.

Wczesnym rankiem, gdy powietrze było jeszcze chłodne, wsiadał do rozklekotanej taksówki i kazał się wieźć na jakąś odległą, podmiejską plażę. Tam było najlepiej. Niebo, morze, piasek i mewy, czasem dzieci arabskie z pobliskiego obozu uchodźców palestyńskich. Pływał długo, a później biegał wzdłuż brzegu, żeby wypocić te wszystkie kolorowe świństwa spijane po barach i w hotelu. Gdy przed sjestą wracał do miasta, chód miał sprężysty, a serce uderzało mocno i rytmicznie. Kluczył wtedy wąskimi uliczkami przedmieść, gdzie gardłowo chrypiały głosy sprzedawców herbaty, na straganach i wózkach wędły w upale owoce i warzywa, parowały spiętrzone góry śmieci i pozapychane odpadkami ścieki. Roje brzęczących much obsiadały wywieszone na kołkach połówki baranie. Z małych, brudnych i ciemnych sklepików zionęło rybami, stęchlizną i sadłem.

Przypominało to trochę Nujensowi rodzinną Antwerpię. Uliczka Van Zeederen była wąska, brudna i stromo zbiegała do portu. Tam też zionęło rybami, soloną skórą, którą wielkie frachtowce przywoziły z Ameryki Południowej. Pachniało ciastkami, piwem, szminką dziewczyn stojących w bramach i fajkami marynarzy.

Raz mocno zapachniało prochem.

Tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi... Okupacja. Dla dziesięcioletniego Nujensa była to frajda swobodnych dni, bo w jego klasie zamiast portretu Leopolda wisiał taki jeden z wąsiakiem, a na piętrowych pryzkach chrapali żołnierze. Była ustawiczna bieżanina w dziurawych gumiakach, szmugiel papierosów, powtarzająca się codziennie zatęchła kasza, dotkliwy brak

amerykańskich filmów i od czasu do czasu choinki rakiet nad portem i miastem.

Raz bardzo mocno zapachniało prochem.

To było jesienią. Wieczór zapadał szybko, od morza wiało chłodem, a on szedł z rękami w kieszeniach i gwizdał przez zęby. Wiatr targał jego rudą grzywką, a na policzkach osiadała wilgotna mgła.

Wiatr ciągnął od morza i chyba dlatego Nujens usłyszał tupot nóg w tym samym momencie, gdy biegnący potrafił go w ramię. Gdzieś z końca ulicy rozbrzmiało tubalne „Halt!” Nujens pamiętał, jak przeraził się i instynktownie uskokzył pod ścianę. Uciekający obrócił twarz i wtedy spadła mu czapka. Nie schylił się, prysnął przed siebie zdwojonymi susami. Nadbiegający esesman zatrzymał się, rozkraczył i wywalił całą serię.

Mocny, ostry zapach prochu.

Niemiec zarzucił pistolet maszynowy na ramię i dzwoniąc butami ruszył do znieruchomiałej na jezdni sylwetki. Stał nad nią chwilę, a później wolno ruszył do portu. Nujens poczekał, aż zniknie za zakrętem, dopiero wtedy podniósł czapkę i obejrzał ją. Była to zgrabna cyklistówka z pomponem na środku. Włożył. Pasowała jak ulał. Zszedł na jezdnię i pozbierał małe mosiężne łuski. Były jeszcze ciepłe. Wsunął je do kieszeni i gwizdząc zawrócił w stronę miasta.

Przedmieścia. Niby szare, nędzne, prawie zawsze jednako-
we, ale tu właśnie dzieje się najwięcej. W zaułkach odrapanych
bram, w zakamarkach zaśmieconych podwórek, na klatkach
schodowych, gdzie zakurzone szyby pokazują stale ten sam
kawałek nieba, poznaje się odurzający smak pierwszego papie-
rosa, łyku alkoholu, dotyku dziewczyny. Tu żyje się z dnia na
dzień, ciężko, brudno, głodno, ale i marzy się tutaj. I to wcale

nie pastelowo. Mocne, jaskrawe kolory. Tu ambicja ma smak nienawiści.

Nienawiść?

Potężny motor, pomyślał i głębiej wsunął głowę w okno.

Po południowej sjeście ruch na ulicach intensywniał. Nadmorska autostrada spęczniała od aut, a kutry rybackie i łódki odbijały od brzegu, wypływając na nocny połów. Migąło już światło latarni morskiej, jeszcze mdle i niewyraźne w ostatnich promieniach słońca. Nad wieżowcami nadmorskich hoteli kolejno zapalały się neony.

Nienawiść? — powrócił Nujens do poprzedniej myśli. Tu na Wschodzie słyszał, jak mówiono, że to róża uczuć, podobnie jak miłość, tylko o mocniejszym zapachu. Wschodnia skłonność do przesady! Uśmiechnął się. Może i nie wiedziałbym o niej aż tyle, gdyby nie cztery miesiące w tym kraju o prawie wiecznie pogodnym niebie, morzu niebieskim jak farbka, atramentowych nocach i gwiazdach zwisających nad głową. W Europie ambicja czy nienawiść mają bardziej cywilizowane kształty.

Po wojnie Nujens biedował, ale mimo to skończył szkołę i zapisał się na prawo. W rozbawionym i krzykliwym gronie studenckim, gdy się nie ma porządnego ubrania, człowiek supła z kieszeni na skromne posiłki, a kawiarnie, bary i tingeltangle ogląda tylko przez szyby, czymś trzeba się wyróżnić.

Nujens zainteresował się sportem, a właściwie głównie strzelaniem. To było coś konkretnego, nie trzeba było dyszeć, żeby dobiec do mety, lub bezsensownie uganiać się za piłką, narażać na brutalne potrącanie przez zawodników.

Tak się jakoś złożyło, że w tym czasie miał sporo wrogów. Ci, którzy byli po jego stronie, mówili mu, że jest konfliktowy,

szukający zaczepki. To świat, który go otaczał, był konfliktowy, budzący gniew, a nawet nienawiść. Czy to jego wina, że chciał więcej, szybciej i inaczej niż inni?

Najohydniejsze były weekendy z odświętnym, wymuskanym tłumem, fale aut unoszące roześmianych dżentelmenów, nadętych biznesmenów, brzuchatych przemysłowców, których fabryki brudziły niebo i zatrzymywały rzeki. Nie lubił również schludnych, grzecznych i posłusznych robotników. Za cenę małych domków z ogródkiem o zakurzonej zieleni przez całe lata gięł grzbiet w warsztatach i fabrykach, żeby wydobyć z nich franki potrzebne na spłatę nigdy niekończących się rat, na zakupy w zatłoczonych supersamach lub krótką chwilę oddechu w mlecznym świetle telewizora. Dołączał ich do grupy obłaskawionych egzystencjalistów, manifestujących skłócenie ze światem kudłatymi brodami, wyświechtanymi tyłkami dzinsów, zapachem marihuany czy haszyszu.

Tamci w limuzynach albo zza szyb luksusowych lokali nie traktowali ich poważnie. Akceptowali. Urozmaicenie ich świata lśniących autostrad, luksusowych moteli, usługowych stacji benzynowych, restauracji imitujących różne style i epoki, lupanarów i domów gry. Przecież to wszystko dla ludzi. Demokracja! Każdy ma swoje miejsce, tylko że to miejsce wyznaczamy my!

Chyba o nich myślał mierząc w odległy punkt tarczy i wstrzymując oddech w przewidywaniu bezbłędnego wyniku. Tak było prawie zawsze. Ci, co później oglądali tarczę, nie mogli się nadziwić dokładnie wystrzępionemu centrum.

Przebiegł spojrzeniem po budynkach El Mraise, przeskoczył ulicę Kennedy'ego i utknął w zabudowaniach amerykańskiego szpitala. Podłużne, szare bloki, przypominające więzienie.

Znam i to, pomyślał. Chyba tam usłyszałem o europejskiej nienawiści. Profesor van Reuken... Uśmiechnął się z ironią. Profesor!

Rodzina Antwerpia. Długi, szary budynek i cela 223. Odsiadywał wyrok, jak mu to zgryźliwie powtarzał van Reuken, za „brak kwalifikacji”. Jego podrzędną rolę kierowcy „wypożyczonej” ciężarówki i nieudany rajd z kradzionym towarem sąd miasta Antwerpii ocenił dość wysoko. Dwa całe i jeszcze pół kalendarza.

Nujens nie lubił przepłacać.

Po pierwszych tygodniach więziennego otępienia zaczął pilnie studiować kodeks, konstytucję, historie znanych procesów, a wieczorami, po zgaszeniu światła, opowieści Reukena. Van Reuken, w 1936 medalista, lekka broń sportowa, podczas wojny ochrona osobista Leona Degrella. Barwne, kolorowe życie. Paradoksalny kontrast z szarzystą celi, kratami w oknach, jękiem syren statków lawirujących w wieczornej mgłę i miarowymi krokami strażnika.

...No bo widzisz, blanc bec (Reuken nazywał go żółtodziobem z powodu niefortunnej wpadki), właściwie to wszystko zaczyna się od miłości, która rodzi nienawiść. Jeśli miłujesz swobodę, dobre ubrania, bieliznę, żarcie, kobiety, to w końcu znajdziesz się po stronie zakochanych. Jedna chwila... Jakiś mniej udany dzień, spacer w znoszonym ubraniu, rzut oka w szybę restauracji, gdzie goście opychają się kawiozem i popijają trunki, którego butelka kosztuje więcej niż wymarzony przez ciebie garnitur... Kapujesz? Odbicie twojej sylwetki? Nie zachęcające! No a przecież na basenie czy plaży byłbyś grubo przed nimi. Jeśli to, co wówczas zrodzi się w tobie, będzie równie silne jak pragnienie znalezienia się po tamtej stronie szyby, przepowiadam ci: staniesz się naprawdę znakomitym

fachowcem! Masz oko i ręce artysty i tego trzeba było się trzymać, a nie zasmolonej kierownicy.

Posłuchał.

Te studia pod cełą 223 kodeksu i rozpraw sądowych uzupełniły wiadomości z wykładów, ale efekt tej wiedzy nie był nadzwyczajny. Trzydzieści miesięcy musiał odwalić co do godziny. To, co było cenne i co wyniósł za bramę więzienia, to wiedza przekazana mu przez „profesora” Reukena oraz jego niezawodne adresy.

Wypił i postawił szklankę na oknie. To już parę ładnych lat, pomyślał i jeszcze raz spojrzął na panoramę miasta.

W pokoju panował półmrok, tylko jeszcze lustro opalizowało czerwienią. Na ozdobnym, emaliowanym zegarze było zaledwie cztery minuty po szóstej.

Nujens był szczególnie uczulony na czas i miał do niego specyficzny stosunek. Czwarty wymiar? Może... Gdzieś czytał o tym, ale żeby dostosować do własnych wyobrażeń...

Czas to było trwanie. Nieuchwytny błysk świadomości, że się jest. A potem to określone „jest” stawało się przeszłością. I nadchodzące sekundy przyszłości.

Odczuwał to szczególnie mocno podczas oddawania strzału. Czas przygotowania broni — właściwego uchwytu, wpasowanie kolby w to jedyne miejsce zagłębienia obojczyka, odnalezienie i namierzenie celu — dłużył się i rozciągał. Później jeszcze spust naciskany w tym nieskończenie długim ułamku sekundy, bez oddechu i w pustce kompletnego znieczulenia. To był właśnie skok poza czas, poza świadomość trwania. Wracała ona dopiero w momencie oddania strzału, wraz z uderzeniem cofającej się kolby.

A później?

Sekundy i minuty intensywniały. Rozrastanie się i potężnienie trwania. Tysiące par oczu wybałuszonych z przodu, z boku, z tyłu, chwytających cienie i zakamarki klatek schodowych, światła wind, bram i ulicy. Oddalanie się z tym ustokrotnionym, wyczulonym słuchem na każdy najdrobniejszy szmer, drgnięcie głosu, powiew własnego oddechu i bicie własnego serca. Niecierpliwe, parzące stopy powstrzymywane chłodem mózgu.

To była cała epoka trwania.

Dopiero po oddaleniu się, na drugiej czy trzeciej ulicy, fala płynących aut i przechodniów o jednakowych twarzach manekinów wracała mu normalne poczucie czasu. Spokój! Nawet gdy gdzieś tam zawyły syreny aut policyjnych. Tamto już nie istniało, należało do historii.

Było zaledwie cztery minuty po szóstej. Nujens patrzył na zegar. Emaliowany, porcelanowy postument i złożona oprawa imitująca rozchylone lilie.

Skrzywił się.

Ci Arabowie kochają się w błyskotkach jak dzieci. Wystarczy popatrzeć na ich ręce błyszczące od sygnetów, na grube, złote maronickie krzyże zawieszane na piersi, na muzułmańskie tabliczki z wersetami Koranu. Wierzą, że to przynosi szczęście, tak jak te ich różańce, których paciorki przesuwają, licząc zyski. Kochają się i w innych rzeczach, ale przede wszystkim w złocie. Chcą go mieć pod ręką, na sercu i w tych swoich czarnych, gorejących oczach.

Whisky, którą wypił w łazience, oblała go nową falą ciepła. Nie pocił się już i ustało drżenie rąk. Niezawodne lekarstwo! Spojrzał na prostokątną butelkę. No i... tak mocno związane z jego teorią czasu.

Często podczas porannego kaca, gdy rozlazły i bierny

„uzupełniał paliwo”, czuł, że zaskakuje jak silnik. Mogło to być wszędzie. Na tarasie hotelu, na statku, w samolocie czy też w zapluskwionej dziurze jakiegoś nędznego pensjonatu na peryferiach. Przechylenie szklanki, minuta, dwie i startował w przeszłość. I już był po drugiej stronie czasu, w, obrazach przywołanych pamięcią.

...San Francisco, dwudziesty trzeci dwunasty sześćdziesiąt dziewięć, Oscar Medov, 37 Avenue godzina 23.15. Pięć tysięcy dolarów.

Przeliczył je w samolocie w parę minut po rozpięciu pasa. Starannie zamknął drzwi toalety, tuż przed nosem opasłego Metysa. Spuścił wodę i spojrzął na ręcznik zakreślający łagodny łuk w stronę granatowego owalu okienka. Samolot leciał do Pernambuco i właśnie brał wiraż nad rozświetlonym w dole portem, żeby za chwilę zanurzyć się w nieomal idealnej czerni nieba i oceanu. Setki i pięćdziesiątki, dosyć spora paczka, ale szeroki pasek od spodni połknął ją bez śladu...

Udało się!

W obydwóch Amerykach można było zarobić. Jak na początek, to całkiem nieźle. Uśmiechnął się do tamtych wspomnień. Podróżowałeś, Nujens, jak anioł śmierci, takie przedłużenie ręki losu, może ręki Boga.

Buenos Aires. Niebezpieczna robota. I znów cyfry! Trzy... bo w trójkę. Polityka, mój drogi, więc chodzi o stuprocentową pewność. Siedemnasty sierpnia 1970, godzina 11.30, Panfilio Alvarez, numer rejestracyjny BRBA 18234, srebrny dodge. Na dole, w skalistej przepaści wyglądał jak rozdeptane pudełko sardynek.

Ile? Sześć. Pamiętał dobrze. Zielono-pomarańczowy czek na Chase Manhattan w Montevideo. Blisko, tylko motorówką przez rozświetloną zatokę...

Forsa przychodziła i odchodziła szybko. Dlatego już w listopadzie zgodził się na Luizę Marciano.

...lat 28. Zgrabna! W piersiach i biodrach po równe sto centymetrów. W Paramaribo wyszukał numer telefonu. Do cyfr miał zawsze cholerną pamięć. To były trójki i na końcu dwie siódemki. Po wykręceniu czekał chwilę. Widocznie szła z głębi domu czy tarasu. Głos był przyjemny, wcale nie zdziwiony, może trochę chropowaty, ale mogła to być wada słuchawki.

Godzina szesnasta... Jeszcze pora sjeisty. Puste uliczki, opuszczone story i leniwa, upalna senność. W dalekiej perspektywie osiołek i obdarty mucho, niemrawi, prawie nieruchomości w jaskrawym słońcu.

Stanął w cieniu bramy, naprzeciw kawiarni, w której mieli się spotkać.

Piętnasta pięćdziesiąt sześć.

Cisza. Na gzymsie lubieżnie gruchają gołębie. Starannie przetań słoneczne okulary i wkręcił tłumik.

Idzie!

Wtedy chyba uchwycił dokładnie proporcje jej piersi i bioder, tak jak na fotografii. Twarzy już nie zdążył; szerokie rondo kapelusza osłaniało ją aż do podbródka. Gdy rozpoznał nieomylny sygnał, zgiął palec. Strzelił tylko raz. Prawie równocześnie załopotwały nad głową gołębie i poszybowały ulicą.

To była cała dziesiątka! No i zima w Paryżu.

Buty kupił u Legranda, rue de Varenne, za 145 franków. Ciemnowiśniowe golfy. Mierzył brązowe z mosiężną klamerką, ale marszczyły się na podbiciu.

— Prenez quarante deux! — poradził mu ekspedient.

Quarante deux... Znów cyfry. Czterdzieści dwa! Właśnie tyle lat kończył w styczniu 1971. W jasnym garniturze, skórzanej kurtce z szalowym kołnierzem, z gołą głową i opaloną twarzą

wyglądał dużo młodziej. W zatłoczonych kafejkach i dyskotekach z powrotem odstawiał studenta.

— Mais dis donc... Où tu as appris tout ça? — Ze szczerym podziwem przychyłały się twarze przygodnych znajomych.

— À Anvers mes chers amis! — skandował natychmiast z zielonym błyskiem oczu. Professeur van Reuken!

Było naprawdę wesoło. Wiśniowe golfy lekko unosiły go po bulwarach... ale tylko do marca.

To nie były złe buty, tylko że nie przyniosły mu szczęścia.

Przede wszystkim potknął się w tej cholernej mżawce i wtedy dostał postrzał w kolano. Nawet nie bolało. Odrętwienie. Zrozumiał, że i on nie sprawia wiele bólu, ale to później. Wtedy skoncentrował się na szybkich, urywanych słowach pochylonego nad nim Maurice'a:

— Pamiętaj! Nic nie wiesz. Jesteś studentem z Belgii i przechodziłeś przypadkowo.

Na pobliskiej ulicy wyła syrena auta policyjnego.

— Trzymaj się, Pierre... — szepnął Maurice chowając jego pistolet do kieszeni. — W szpitalu... odnajdziemy cię. Nic nie wiesz!

To nie były złe buty, tylko że zeschyły się na tej cholernej policji, gdzie badano grupę krwi, odciski palców, wykrój podszew. Gdy na jesieni wypisano go ze szpitala, były z powrotem w jego worku. Spodni nie zwrócono. Zresztą i po co? Porozrywane i utyłane w błocie i krwi.

Ci na policji uprzejmi, ale podejrzliwi. Delikatnie wspomnieli o Antwerpii, podsunęli papierosa, protokół i poradzili, żeby w ciągu tygodnia opuścił Francję.

W ciągu tygodnia? Gdy wychodził z prezydium, był wtorek, a do Maurice'a dodzwonił się dopiero w piątek. Tamten był

chyba na rauszu, ale choć jego głos brzmiał beztrosko, to Nujens wyczuł, że coś jest nie tak.

Nujens brał jeszcze masaże, gimnastykował się, lecz mimo to na ulicy ból wracał już po paru krokach, a noga zakreślała łuki.

— Sacré Dieu! Weźmy taksówkę, Pierre, bo upadniesz na nos przed starym — syknął Maurice, kiedy w sobotę wieczór szli do szefa.

Gdy za Vincennes skręcili w uliczkę małych bliźniaczych willi, Maurice spojrzął na jego podkuloną nogę z wyraźnym współczuciem.

— Urządzili cię. W naszym fachu to feler... Niby ręce te same... Chyba stary coś wymyśli.

Wymyślił!

Gdy Nujens niezdarnie wdrapał się po schodach, tamten już czekał w drzwiach. Nujens miał w ustach wiele słów przekonujących, obmyślanych w ciągu nocy i dnia, ale gdy wreszcie usiadł w fotelu, od razu zrozumiał, że to nie ma sensu. Skulił się, zacisnął dłonie i tylko myśli uczepiły się tych słów jak monotonnie powtarzanego refrenu.

... PRZECIEŻ DO CHOLERY

ONE SĄ CAŁE

SPRAWNE CZUŁE

NIEUSZKODZONY PRECYZYJNY MECHANIZM...

Ręka szefa zawadziła o światło lampy, a twarz uciekła w cień abażuru. Mówił, a właściwie cedził słowa. Nujens znał już ten styl. Ci za biurkiem cedzili słowa — bezosobowo i jakby od niechcenia. Tylko że każde było życiem lub śmiercią, łaską lub potępieniem. A najważniejsze było milczenie. Toteż gdy zapadło, Nujens sięgnął po paczkę banknotów, paszport i nocnym pociągami wyjechał do Frankfurtu.

Przełom! Początek rzeczywistości. Tego wrześniowego dnia

i tej godziny, którą przed chwilą wydzwoniła sygnaturka na kościele Serca Jezusowego w Bejrucie.

Nujens nieraz przechodził koło klasztornego dziedzińca i ogrodu i widział przez siatkę ogrodzenia pobożnych jezuitów pochylonych nad krzewami róż i rododendronów, porządkujących klomby heliotropów lub wynoszących w dużych plecionych koszach opadłe z gałęzi daktyle.

Idylla doskonałego spokoju.

Do diabła! Ci się urządzili! — pomyślał wykrzywiając ironicznie usta. Miasto wre, kipi, co noc słyhać strzelaninę i wybuchy wysadzanych w powietrze sklepów, a oni spokojnie podlewają różyczki. Bojówki Falangi właśnie teraz zajmują swoje pozycje. W dzielnicach muzułmańskich mężczyźni czekają niecierpliwie na głos muezzina, żeby znów chwycić za broń. Są też i Palestyńczycy. Zapewne zaciągają straż przed swoimi obozami, skupiskami nędznych bud, gdzie ich kobiety warzą wieczorną strawę i wtykają pomarszczone piersi w wieczne wrzeszczące usta swoich niemowląt.

Doprawdy, to miasto to miniatura świata, jego skłócenia, problemów, kontrastów.

Właśnie teraz, w tej wieczornej godzinie, po rozświetlonej El Hamra suną limuzyny szejków Kuwejtu, Jemenu, Kataru. Dla nich pracuje nafta, lasy szybów wiertniczych i spasione węże rurociągów. Przyjeżdżają tu jeszcze mimo strzelaniny. W „Holiday Inn”, „Phoenicia”, „Saint Georges”, „Vendôme”, „Normandy” strzelają najlepsze francuskie szampany i w srebrnych czarkach połyskuje czarny jak smoła irański kawior. A tuż obok, na drugiej czy trzeciej ulicy szarzeją stalowe cielska shermanów i żarzą się ogniki papierosów w ustach żołnierzy.

To wszystko dzieje się o tej godzinie. Jest też wymiana

towarowa. Tankowce płynące do Europy i Ameryki i wygaszone statki wiozące tu ładunki broni.

Jestem też i ja, tu, na szesnastym piętrze wieżowca.

Nujens znów rzucił okiem na porcelanowy zegar. Niecałe dwie minuty, a ile myśli, obrazów. Te twory mózgu są niewymierne — ani w czasie, ani w przestrzeni. Jak upomnienie mignęła mu surowa twarz Reukena, gdy po raz któryś tam powtórzał o bezwzględnej dokładności przygotowań.

Dobrze, już dobrze, stary! Wszystko zapięte na ostatni guzik. Pozwól mi jeszcze na tę trochę wspomnień.

Doskonale pamiętał podróż do Frankfurtu. Pociąg nie był przeładowany. W przedziale sypialnego wagonu był sam i miał czas zastanowić się i pomyśleć.

To był przełom.

Parę miesięcy spędzonych w szpitalu było z początku odrętwieniem. Operacja, gips, gorączka, ból, bezsenne noce z hulającym za oknami wiosennym wiatrem, wszystko to tworzyło otoczkę, za którą, daleko, płynęło życie. Mechanizm tych dni i nocy przypominał mu celę 223, ale tam był van Reuken i jego zwierzenia. Tam przynajmniej nie marnował czasu, poznawał, a to przydało się bardzo.

Nieraz, przygotowując się do akcji czy też prowadząc ją, uświadamiał sobie, jak tamten przeniknął go głęboko. Ta staranność i dokładność w przygotowaniu broni, rozeznaniu miejsca, zabezpieczeniu drogi odwrotu, no i cena czasu. Ułamek sekundy mógł zniszczyć długie godziny i dni ślęczenia, czatowania, mierzenia odległości, a najmniejszy błąd mógł być końcem.

Nujens czuł w tych decydujących momentach, że jego ruchy, nawet grymasy twarzy, a przede wszystkim koncentracja, nieodzowny warunek sukcesu, wszystko to było Reukenem. Złodowacenie do twardości stali. W momencie strzału nie

czuł nic, był gdzieś poza sobą i wydawał bezbłędne rozkazy.

Po tym ułamku sekundy szczytowego napięcia, gdy błyskawicznie tajał, rzeczywistość waliła mocno, prosto w podbródek. Trzeba było umieć odebrać ten cios, gdy powracało bicie serca, oddech, napięcie mięśni, a oczy oślepiało dziesiątki błysków.

Znów był Reukenem. Szept przekazywanych myśli... Żadnego pośpiechu! Tak, braciszku, jak wychodzi się z wychodka. Spuszczasz wodę, zapinasz spodnie i dostojnie do wyjścia. Kapujesz? Nieraz, już bezpieczny, wmieszany w tłum przechodniów, łapał się na tym, że odpowiadał, tak jakby tamten szedł obok niego, jak wtedy, gdy chodzili po celi.

— Rozumiem, Reuken. Oczywiście.

Lecz podczas tych pierwszych dni w szpitalu nic nie rozumiał. Dopiero gdy przypomniał sobie filozoficzny spokój Reukena, z jakim tamten znosił dwucyfrowy wyrok, mechanizm w nim zaskoczył.

Kolano goiło się kiepsko. Jakieś powikłania w ścięgnach i trzeba było powtarzać operację. Znosił to teraz ze stoickim spokojem, tak jak z denerwującą flegmą udzielał odpowiedzi śledczemu, który, przebrany dla niepoznaki w biały fartuch, przez parę tygodni zadreślał go pytaniami. Potrafił też błyskawicznie wygaszać radość, kiedy, rozglądając się czujnie, wchodził na salę Maurice z pokaźną paczką. Żarcie, koniak i kolorowe zeszyty porno. Dziękował lekceważąco i już po paru zdaniach drążył najistotniejszy problem:

— Drogi Maurice... takie kolano kosztuje! Podobny wypadek w fabryce u pasibrzuchów, no oczywiście nie ze spluwą, ale, powiedzmy, przy maszynie, to co najmniej odszkodowanie. A kto wie... może i renta do końca życia.

Maurice patrzył z zakłopotaniem na jego nogę. Podwieszona

na wyciągu wyglądała jak lufa armaty wymierzona w okno szpitalne, za którym pączki drzew pękały już seledynową ziele-
nią.

— Toto draństwo... faktycznie musi tęgo boleć — chrząka-
jąc, mruzczał chropowato.

Wyelegantowany, w muszce, pachnący mieszaniną wody kolońskiej i whisky wyglądał jak szef dobrze prosperującego zakładu fryzjerskiego.

— No, ale to już nasze ryzyko zawodowe. Nie przejmuj się. Przecież wiesz, dla kogo pracowałeś. Nie zapomnimy, że zachowałeś się przyzwoicie. Masz pozdrowienia od starego... a to już jest coś.

Wiesz, dla kogo pracowałeś?

Nujens rozumiał podchwytliwość tego pytania. Nigdy nie należało wiedzieć, dla kogo się pracuje. Nigdy. Wszystko jest dobrze, gdy się jest potrzebnym i dyskretnym. Z tym ostatnim w porządku, ale czy jestem im potrzebny?

Jechał okrężnie, przez Luksemburg, i gdy za Epernay dostał wreszcie zamówioną kawę, zamknął drzwi przedziału i przeliczył paczkę banknotów. Trzy tysiące dolarów... No, nie jałmuż-
na! Tam we Frankfurcie to dziewięć tysięcy marek. Wystarczy. Na początek jakieś mieszkanko, ubranie, a później? Wszystko zależy, w czym chcą mnie urządzić. Szef mówił, że to czasowo, i nie wątpi, że odzyskam formę. Kontroler stacji benzynowych... Stuprocentowo pewne i nieźle płatne.

Obejrzał paszport. Albert Hagen, lat 43, narodowość belgij-
ska, agent amerykańskiej firmy Vacuum Oil Company. Nieźle. Zrobiło mu się ciepło, może od kawy, a może od myśli, która rozbłysła mu pod czaszką. Jestem potrzebny. Najważniejszy element gry, mruknął i zgasił lampkę.

Granicę Luksemburga przekroczył jeszcze jako Pierre Nu-
jens, bo choć z paryską policją wszystko ułożyło się pomyślnie,

to nie wątpił, że w prezydium założono mu kartotekę. Niech się uspokoją, że opuszczam Francję. Ale na niemieckiej granicy był już Albertem Hagenem.

Pamiętał dobrze, jak jesiennego, ponurego dnia znalazł się wreszcie na Frankfurter Hauptbahnhof. Mimo że jego bagaż ograniczał się do małej walizki, to jednak po piętnastu godzinach jazdy pociągiem poruszał się kiepsko. Kolano mu obrzękło, a dotkliwy, świdrujący ból promieniował aż do biodra.

Cholera! Dlaczego ci idioci nie kupili mi biletu na samolot? Oszczędność — cisnął przez zęby kuśtykając po długim peronie. Niech ich jasna! Zobaczmy, w jakie to gówno chcą mnie wsadzić.

Poprzedni zleceniodawcy nie żalowali grosza. Podróże były krótkie, a hotele, choć może nie zawsze komfortowe, ale wygodne. Liczył się czas. To oszczędzało energię i pozwalało skupić się na istotnym celu. Przywykł do tego, do swobody finansowej, do dawania napiwków nie za dużych, ale właśnie takich, które oliwiły przejścia, wyzwalały uśmiech i uprzejmość. To też była szkoła Reukena.

Lakoniczność i dyskrecja. Wszędzie i zawsze. Dzięki temu tak szybko jechał w górę, że ubiegano się o niego.

Przystanął na chwilę. W półmroku zakopconej, dworcowej hali czuł się niezłe. To cholerne utykanie na nogę było mało widoczne. Ale na zewnątrz? Muszę z tego wybrnąć.

W pobliskim kiosku kupił piwo i sączył powoli, patrząc na kłęby dymu i pary lawirujących pociągów. Narty? Kraksa samochodowa? Oklepane. Ooo! Mam! To będzie przekonujące w tym mieście, które, jak mówił Maurice, tego oberwało od nalołów. Wojna. To jeszcze chwyta za serce. Albert Hagen, agent naftowego trustu Vacuum Oil Company, Belg, któremu wielka

Ameryka spłaca dług za okaleczenie podczas rajdów liberatorów nad Antwerpią.

Duży kufel piwa na pusty żołądek rozmarzył go trochę. Klei się, pomyślał z zadowoleniem. Jeszcze charakteryzacja pod kolor tego miasta. Szarozielony sportowy garnitur, klapy i kieszenie lamowane skórą, krótko ostrzyżone włosy, no i kapelusz à la Tiróle. Grube, przydymione okulary... Tak. Te zawsze się przydadzą.

Odstawił kufel i pokuśtykał do wyjścia. Nagle zaklął. Olbrzymi plac jęczał i dygotał od dźwigów, koparek, świdrów, a w głębokich dołach ukończonych już wykopów terkotały betoniarki. To to cholerne metro! Maurice, który znalazł Frankfurt, jak własną kieszeń, wspominał mu o tym jeszcze na dworcu. Zrezygnowany ruszył wąskim tunelem do postoju taksówek i kazał się zawieźć do najbliższego hotelu.

Wieczorem, gdy wypoczęty, po kąpieli i masażu wychodził na miasto, był już sobą. Znowu odczuwał ową dziecięcą ciekawość, z jaką przed laty, otworzywszy atlas, prowadził palcem po rzekach, morzach, górach i miastach, sylabizując nieznane dotąd nazwy. W pobliskim bistro ze smakiem zjadł pizzę i popił czerwonym winem.

Mais ça va! Très bien, Nujens — mruknął.

Deszcz przestał siąpić i choć niebo w górze pojaśniało, to w zapadającym zmierzchu miasto stawało się czarne. Chropowata bibuła ciemnych tynków, jezdni, chodników wysysała barwy przechodniów, wystaw, samochodów. Dopiero gdy zapłonęły latarnie i neony, kolory nagle wyskoczyły, ale była to tylko skąpa ich warstwa, sięgająca połowy budynków. Ponad nią piętrzył się stromo wąż nocy. Centrum. Biurowce, z których geszefciarze i urzędaszy uciekają na noc do podmiejskich willi i osiedli.

Przystanął i podniósł głowę. Wysoko, na krawędziach

wygaszonych wieżowców szarzała rzeka spłowiałego od spalin nieba i niewyraźnie mrugały gwiazdy. Na prawo płonęły na stalowych masztach reflektory i dochodził ten sam co w pobliżu dworca dręczący odgłos betoniarek i dźwigów.

Spryciarz, pomyślał o szoferze. Wiózł mnie przez pół miasta, a to tylko kilka ulic. Akcent, Nujens! Dwa, trzy miesiące i będę szprechał jak oni. Rozejrzał się, minął ogrodzenie wykopu i ruszył prosto Kaiser-Strasse.

Zgiełkliwa stereofonia sunących jezdnią aut mieszała się z przytłumioną muzyką kawiarni, restauracji i czerwono oświetlonych lupanarów. O tym też wspominał Maurice. No cóż? Normalne miasto.

Powrócił myślą do Antwerpii, Brukseli, Paryża, nawet do tych egzotycznych południowoamerykańskich metropolii, gdzie przebywał krótko, przejazdem nieomal, i po wykonaniu polecenia ulatniał się jak kamfora. Poznał dobrze ich strukturę. Wszystkie bliźniaczo do siebie podobne.

Śródmieścia to centra administracyjno-handlowe. Biurowce, przedstawicielstwa firm zagranicznych, magazyny mody, salony samochodowe i luksusowe sklepy. Nad nimi, jak wieże strażnicze, wyrastały drapacze międzynarodowych banków. W tych dzielnicach czuł się najlepiej. Sylwetki i twarze przechodniów, manekinów na wystawach, mężczyzn czy kobiet po drugiej stronie okienka bądź lady były prawie takie same. Wystarczyło tylko dobre, standardowe ubranie.

Oczywiście, że cały ten luksusowy pasztet naszpikowany był strażnikami prawa, policyjnymi kapusiami i agentami prywatnych biur ochrony. Ale były to samotne boje w oceanie przelewającego się tłumu. Ufano tu bardziej systemom alarmowym, fotokomórkom czy też ukrytym kamerom. To nie dotyczyło

Nujensa. Interesowały go parkingi, skrzyżowania ulic, sygnalizacje świetlne, podziemne przejścia, rozmównice telefoniczne i najkrótsze drogi na lotnisko.

Dalej od centrum było już bardziej niebezpiecznie. W tych szerokich strumieniach bocznych ulic, pełnych restauracji, kawiarni, kabaretów i salonów gry, trzeba było mieć się na baczności. Tłum rozbijał się tutaj na grupy, grupki, w zależności od zainteresowań, potrzeb, rodzaju spotkań czy upodobań. Tu policja miała setki twarzy. Szatniarze, barmani, kierownicy sali, fordanserki i śpiewaczki kabaretowe, strażnicy parkingów i dobroduszne babki klozetowe. Tu klienci puszczaali farbę i często zdradzali swe prawdziwe oblicze.

Dopiero za tymi ulicami był folklor i zapach miasta. Ukwiecone skwerki z miejscową roślinnością, rzeźby, pomniki, teatry, kościoły, stare kamienice, ale i hale targowe, piekarnie, uliczki krawców, fotografów, warsztatów samochodowych i ślusarskich. Dalej mroczne, cuchnące robotnicze slumsy, jednowystawowe piwiarnie, knajpy i burdele.

Nujensa dzielnice te nie interesowały. Widywał je zza szyby samochodu i przeważnie odwracał głowę, tak jak nie patrzył na bure plamy podmiejskich wysypisk śmieci.

Tego pierwszego frankfurckiego wieczoru Nujens przekonał się, że to miasto w niczym nie różni się od tamtych. Może tylko bardziej jest ścieśnione i cuchnące benzyną oraz smarem. Prawidłowo. Stary niekiepsko to wymyślił. Zapach mojego nowego zawodu.

W nocy spał jak zabity.

Rano, gdy włożył ńowo kupione ubranie, roześmiał się do lustra. Wczorajsza wizja przy kuflu piwa w hali dworcowej wydała mu się nie tylko blada, ale i groteskowa. Naprzeciw niego stał prawdziwy Albert Hagen.

Do pokoju wpadła z bzykaniem duża, świecąca mucha, odbiła się od sufitu i przysiadła na skraju lustra. Nujens, który miał doskonały wzrok, widział wyraźnie szkliste skrzydła i czarne druciki nóżek; przebierała nimi, jakby parzyło ją złoto ramy. Sięgnął po papierosa i spojrział na zegar. Ostrze wskazówki tkwiło prawie w tym samym miejscu.

Moja teoria czasu!

Rozparł się wygodnie i zaciągnął głęboko. Wizja frankfurckiego sprzedawcy, który dobierał mu garnitur ze skórzaną lamówką, i obfitej w biuście sexekspedientki z działu krawatów rozplywała się w popielatej chmurce gitanea. I nic poza tym w wyobraźni, żadnych skojarzeń, uogólnień, refleksji. Trwanie. Ciepłe, wilgotne powietrze Bejrutu.

Pokój na szesnastym piętrze budynku na skrzyżowaniu rue Sadat i El Hamra. Dwudziesty drugi wrześnie, godzina szósta siedem wieczór.

Mucha na złożonej ramie wyprostowała skrzydła, poderwała się i z bzykaniem krążyła pod sufitem.

To te cholerne śmiecie, pomyślał. Tonęły w nich przedmieścia, a teraz nawet i główne ulice. Gdy przyleciał tu w końcu maja, nie wyglądało to tak źle. Szeptano, mówiono, krzyczano, że to początek czwartej rundy, ale nie była to jeszcze wojna domowa. Dziennik poranny rozpoczynał charakterystyczny motyw nerwowo przerywanej melodii, ale głos spikerki był spokojny, a nawet przyjemny: „Hallo, hallo, hallo! Ici radio Beyrouth! Après la nuit assez calme, avec seulement quelques plasticages, la journée semble...”

Ten stereotyp powtarzał się przez kilkanaście tygodni: „po stosunkowo spokojnej nocy, zakłóconej tylko kilkoma zamachami bombowymi, wydaje się, że dzień minie spokojnie...”

Istotnie. W maju, czerwcu, a nawet do połowy lipca życie

w dzień toczyło się pozornie normalnie. Miasto było barwne, rojne hotele, restauracje i kawiarnie zatłoczone, a samoloty wyrzucały na lotnisku coraz to nowe fale turystów.

„Visitez le Liban! Odwiedzajcie kraj mlekiem i miodem płynący! Kraj biblijnych zabytków, odwiecznych cedrów, fenickich i rzymskich budowli w Tyrze, Sydonie, Baalbeku i Trypolisie. Oglądajcie unikalną grotę Jeita i białe śniegi Faraya. Wycieczki autokarem do Damaszku, zwiedzanie meczetu Omajedów, grobu Abrahama, stolicy legendarnej królowej Zenobii...”

Nujens znał na pamięć kolorowe prospekty, rozłożone niemal wszędzie, począwszy od wielkiej hali lotniska poprzez hotele, restauracje, banki, aż do stolików kawiarnianych. Reklama była uczciwa, a nawet lakoniczna. Zdążył to wszystko zobaczyć. Oszalałoby to nawet jego chłodny, wyrachowany umysł. Olbrzymi kawał wieków, zmuszający do refleksji. Tylko że kraj ten był chory, a teraz ciężko chory.

W początkach czerwca poznał pewną Amerykankę. Była laborantką w szpitalu amerykańskim przy rue Maamari. Zetknął się z nią na plaży Saint Georges. Leżała pod czerwonym parasolem, miała rozchylone usta i zza ciemnych okularów przyjmowała uważnie defiladę brązowych, muskularnych ciał. Sama panicznie unikała słońca. Heliofobia, a może tylko chęć zwrócenia uwagi na kontrastującą biel skóry.

Zwrócił uwagę.

Mieszkał w „White Palace” i kiedy nocą słyhać było detonacje wybuchających bomb i brzęczały szyby w oknach, wyrwała się z jego ramion wrzeszcząc histerycznie o okrwawionych kadłubach, poderżniętych gardłach, ohydnych ranach kastracji i cuchnących zwłokach, wydobywanych z bagażników aut.

— I can't, Peter! I can't! To wszystko wali do nas drzwiami

i oknami. Niedługo zabraknie łóżek. Kostnica to już po prostu składowisko mięsa. A tamci przychodzą! Ciągną stadami jak sępy po padlinę. Szperają, przewalają i rozpoznają. Ten gardłowy skowyt, jęki, płacz rozrywający płuca przenika z dołu, wypełnia korytarze aż do laboratorium. Nie mogę!

Zsuwała się z tapczanu, przebiegała przez pokój, szperała w torebce i chwilę tkwiła nieruchomo jak biała plama. Nujens słyszał szelest rozwijanego papierka, widział dłoń przy twarzy, a później westchnienie ulgi. Potem znów podpływała jak obłok, już spokojna i lekka.

Milczenie.

— O czym to mówiliśmy, Peter?

Był to już inny głos, senny, odległy, dobiegający jakby z drugiego pokoju.

— Ach taaak... Przypominam sobie... — I po długiej chwili:
— Wyjadę! Jeszcze tylko dwa miesiące.

Nie wyjechała.

W końcu lipca znaleziono ją w bagażniku uduszoną, ze śladami zbiorowego gwałtu. To było gdzieś koło Jdaide i chyba jechała na weekend do Cedrów.

Nujens przeczytał o tym w „L'Orient Le Jour”. Pas de chance! Skrzywił usta. Cóż? Miejmy nadzieję, że śmierć miała lekką, a może... przyjemną? Zastanowił się chwilę i znów utknął wzrokiem w długiej liście ofiar. Życie ludzkie? Przeznaczenie, przypadek? Frazesy! Po prostu okruczeństwa.

Czerwień na suficie cofała się do okna i gasła powoli.

Zgasił papierosa, wziął ze stołu butelkę i utykając poszedł do łazienki. Tu panował już półmrok. Głębokie cienie zaścielały posadzkę i wspinały się na ściany. Podniósł deskę sedesu i nie odstawiając butelki oddał mocz. To trwało długo, aż poczuł kłujący ból.

To te cholerne kamienie! Zapiął spodnie myśląc o jutrzejszym lądowaniu w Zurychu. Tam rozpuszczą mi to świństwo. No a później?

Urlop, Nujens, a właściwie wakacje. Tak jak chłopiec. Lasy, jeziora i oddech świeży, głęboki, zgrany z biciem serca. A właściwie nie! Męski, krwisty wyraj, nagroda za maksymalne wykorzystanie wszystkich możliwości.

To już było. Zbyt dużo masz pieniędzy, żeby robić głupstwa. Lepiej z daleka od ludzi. Domek czy willa na wybrzeżu Hiszpanii, Włoch, no i coś takiego jak... miłość. Taka inna, nie młda jak stabilizacja ani zaprogramowana na permanentne podniesienie.

Nie doceniałem wartości kobiet.

Nujens sprężył się i tkwił w bezruchu, skoncentrowany na przywołanym obrazie. Twarz, ciało, skóra — idealnie gładkie, oliwkowe. Kobieta! Chyba druga, obraz tej pierwszej zbladł, przygaszony mocnym, ostrym zapachem włosów. Taaak! Tu na Bliskim Wschodzie włosy rosną wspaniale, dotyczy to szczególnie kobiet. Gęste jak las albo kępy dzikich pachnących traw.

Baalbek...

Kolumny wbite w niebo tak rozświetlone, jak rozpusztne ulice miast, które mijał nocą szukając bioder, brzucha, spazmu. Znajdował. Czasem nawet nie płacił.

Baalbek.

Taki jak na prospektach. Ruiny, stare freski, rzeźby sprzed tysięcy lat. Srebrny pył zapomnienia? Nie. Raczej smutku przemijania. Lecz twarze, sylwetki uwiecznione w rozgrzanych od słońca kamieniach bardzo bliskie, ludzkie. Ubrać ich inaczej! W sportowe ubrania, dżinsy, obcisłe spódnice, bluzki i koszule z nadrukami marek papierosów, koniaków, z wizerunkami śpiewających brodaczy. No i obudzić z zadumy, rozwalić

ich twarze fałszywym uśmiechem cywilizacji.

Taaak... Baalbek.

Weekend w końcu lipca. Właściwie... podróż służbowa. Auto pani było w przegładzie, więc pojechał swoim zielonym por-sche. Pachnąca, wypielegnowana, ze złotym krzyżykiem w roz-chylonej bluzce siedziała milcząc z tyłu, marszczyła tylko brwi, gdy wóz z piskiem opon ścinał zakręty. W południe nie chciała mieszać się z tłumem turystów i dopiero wieczorem kazała podjechać pod strzeliste, oświetlone reflektorami kolumny.

Stare, kruszejące już świątynie, napisy, ale i gruzy. Doły i wyrwy porośłe wysoką trawą, pełne pustych butelek po coca-coli, puszek, papierów, śmieci.

Szedł za nią, właściwie znudzony, gdy nagle poczuł ten mocny, ostry zapach.

Włosy!

Były przed nim. Rozrzucone na ramiona chwiały się i poły-skiwały w reflektorach oświetlających ruiny. Stąpała ostrożnie, w białym kostiumie, pachnąca, niedotykalna.

Może by tego nie zrobił? Ale dlaczego ma cię to ominąć? Boś taka wymuskana, oschła, pewna siebie?

Właśnie tu, w sąsiedztwie wieków i współczesnych śmieci w dołach. Chwyił ją za włosy tak, jak chwyta się za gardło, mocno, z wykluczeniem jakiegokolwiek oporu.

To chyba była najbardziej udana akcja. Ruiny, piaski, ale i hotel. Może nie taki jak w Bejrucie. Bez klimatyzacji. Lecz noce tu są na ogół chłodne. Leżeli koło siebie i ona mówiła, zupełnie inaczej niż wszystkie inne. Podobało mu się to. Przejmujące piękno okrągłego miliona dolarów.

Drgnął.

Sygnaturka na pobliskim kościele Serca Jezusowego wydzwoniła kwadrans po szóstej, sygnał skończonej modlitwy. Już czas, pomyślał. Wyjął z szafki polową lornetkę, podszedł do okna i lekko wychylając głowę przejechał szklami po przeciwnym budynku.

Cześć, stary! Uśmiechnął się jak do kumpla. Znam cię na wylot. Chyba nie zrobisz mi kawału, jak ten wieżowiec w Sao Paulo, który w decydującym momencie wywalił szybę? Mimo lekcji mojego Reukena pośladki ze strachu tak mi się ścisnęły, że nawet najcieńsza żyłeczka...

Był to dwunastopiętrowy budynek o jasnej, piaskowej elewacji. Cienkie aluminiowe listwy, obramowujące gzymsy i framugi, wyszczuplały jego sylwetkę o szerokich kondygnacjach, podobnie jak podłużne okna, przypominające kostki domina. Usytuowany w ruchliwym punkcie El Hamra, między hotelami „Plaza” i „Strand”, przyciągał wzrok nowoczesnym wystrojem.

Nujens ustawił szkła lornetki i jak zwykle zaczął od dachu. Na płaszczyźnie, otoczonej betonową balustradą, wyrastały dwa rzędy wywietrzników. Przejechał po ich spiczastych daszkach i utknął na nadbudówce wejścia.

Doskonale! Zamknięte, stwierdził z zadowoleniem. Przypomnił sobie, jak dwa tygodnie temu robotnicy, którzy montowali antenę telewizyjną, wrócili niespodziewanie na dach — może zapomnieli narzędzi — akurat gdy rozpoczął swoją codzienną obserwację. Ledwo zdążył uskoczyć. Zachodzące słońce padało prosto w okienko i mogli łatwo dostrzec błysk lornetki. Te japońskie cacka były znakomite, ale w słońcu potrafiły zapalić się jak reflektory.

Toteż jeszcze raz powrócił do nadbudówki i szarej kłapy

wejścia. Doskonale! Przylegała szczelnie do betonowego obramowania. Uspokojony przejechał szklami po dachach sąsiednich domów. Koło prostokątnych zbiorników z ropą, zasilających bojler, a zimą centralne ogrzewanie, sterczały metalowe sztangi, a na rozciągniętych sznurach suszyła się bielizna. Na to już nie było rady. Znał tutejsze zwyczaje. Wieszanie i składanie bielizny trwało permanentnie, w zależności od zwalnającego się miejsca. No ale kamienice były dużo niższe, przeważnie czteropiętrowe, i chronił go kąt, pod którym patrzył.

Wspiął się na palce, wychylił. Okno łazienki, nieduże, wąskie, mieściło się w szczytowej ścianie. Parę dni temu, gdy Nambulzi oprowadzał go po apartamencie, otwierając drzwi i pokazując rozkład pomieszczeń, od razu upatrzył sobie to miejsce. Narzucało się samo — przypominało strzelnicę fortu lub bunkra. Płaszczyzna parapetu, rozszerzająca się do wewnątrz, pozwalała na półleżącą pozycję, dawała wygodne oparcie łokciom i maskowała z dołu wychylenie głowy. Na zewnątrz znajdowała się prostokątna skrzynka klimatyzacji. Prawdziwy skarb. W ciągu paru godzin wymontował z niej aparaturę i zyskał tym sposobem świetny schowek na amunicję i składanego remingtona.

Teraz Nujens, czując piersią ciepło rozgrzanego jeszcze słońcem parapetu, oparł na nim łokcie i przejechał lornetką po dwóch górnych piętrach. Niebieski neon między oknami zapalał się i gasł w równych odstępach czasu.

„Jacques M. Tukadijan — Mecenas — Usługi Prawno-Handlowe”. Potrzebne w tym mieście, Nujens uśmiechnął się zgryźliwie. Potrzebne, ty, zwinny, łaszący się borsuku...

Właściciela, zażywnego Ormianina, poznał na cocktailu w „Holiday Inn”. Była to uroczystość otwarcia spółki akcyjnej

budowy kolonii letnich domków, Bardzo skwapliwie skorzystał z zaproszenia i na drugi dzień, siedząc u niego w gabinecie, dyskretnie obserwował szczyt domu stojącego po drugiej stronie ulicy.

— Cudownie! — wyrwała mu się głośna uwaga. — Naprawdę cudownie — dodał widząc zdziwione spojrzenie mecenasa. — Wspaniale pan się tu urządził.

Luksusowe biuro, dzielnica.

Z okna tego gabinetu jego punkt obserwacyjny wyglądał jak mała plamka nad wystającą skrzynką klimatyzacji. Żegnając się, uścisnął kordialnie pulchną rękę.

— Do zobaczenia, mecenasie! Do rychłego — dodał już, zjeżdżając windą. Nie wiem jeszcze, czy będziesz moją zwierzyną, ale twoją norę, borsuku, muszę poznać dokładnie.

Po serii regularnych obserwacji Nujens stwierdził, że w biurze Tukadjana wszystko idzie jak w zegarku. Codziennie o wpół do ósmej wchodził woźny, wyłączał nocny system alarmowy i uruchamiał klimatyzację. Mecenas przychodził do biura o rozmaitej porze, ale wychodził zawsze ostatni. Przez szkła lornetki widoczny był jak z odległości paru kroków.

O czternastej podnosił się zza biurka i kolejno obchodził pokoje. Następnie mył ręce w toalecie, wracał do gabinetu, brał teczkę i dokładnie sprawdzał zamknięcie kasy pancernej. Dopiero po chwili zamykał gabinet i szedł do windy. W lornetce Nujensa było to drgnięcie klamki i cień sylwetki Tukadjana na szybie drzwi wychodzących na korytarz. Po chwili mecenas wychodził z budynku, skręcał w ulicę Jeanne d'Arc, wsiadał do zaparkowanego na chodniku samochodu i dwójką piął się w kierunku rue de Rome,

Mniej więcej o trzeciej po południu wkraczała do biurowca

ekipa sprzątaczek. Pod nadzorem strażnika uwijała się szybko, tak że już przed piątą wychodziła ciągnąc wózek pełen papierów i śmieci.

Teraz gmach był zupełnie pusty. Nujens przemknął spojrzeniem po dwóch kolejnych piętrach, które od miesiący nie były wynajęte. Żadnych zmian. Wyostrzył obraz i zatrzymał się na ósmym piętrze.

Duży czerwony neon płonął jaskrawo. „Crédit Libano-Alsacien...” Znał ten bank bardzo dobrze. Francusko-libańska spółka, choć powstała niedawno, miała już wyrobioną klientelę, a Nabalzi przeniósł tam prawie wszystkie swoje interesy. Cukier, mąka, kryształ, aparaty fotograficzne i radiowe, amunicja myśliwska, sprowadzane przez Nabalziego z Europy, przesuwały się przez okienka i sale operacyjne w formie pokalnych paczek dokumentów handlowych.

Nie było tygodnia, żeby Nujens nie wpadał tam na godzinę lub dłużej z pieniędzmi i czekami, dokonując przedpłat, przelewów bądź informując się o przesyłkach czy kursach walut na rynkach dewizowych. Jako sekretarz Nabalziego miał wszędzie drzwi otwarte: do prezesa Hamilkara, dyrektora Chiffoniera, do doradców i kierowników działu. Znał również doskonałe rozkład pomieszczeń.

Podłużny, prostokątny hall, chociaż urządzony nowoczesnie, nawiązywał do przeszło stuletniej tradycji Crédit Alsacien, który tu w Bejrucie powiązał się w spółkę mieszaną. Nujens, przechadzając się, oglądał stare sztychy katedry w Strasburgu, gmachu centrali w stylu secesyjnym, ze staroświeckim frontonem, na którego gzymsie piersiasta Marianna podtrzymywała szeroką wstęgę z rzeźbionym napisem „Sécurité et Confiance”. Obfity biust pod czapką frygijską i ozdobny, rzeźbiony napis trąciły myszką, lecz widocznie mieszana dyrekcja była zdania, że w sprawach pieniądza i zaufania reklama

winna być taka, jak na etykietach najlepszych win francuskich.

Ciekawe, jak też w tamtych czasach wyglądałbym ja? — myślał oglądając te sztychy. Chyba coś z Conan Doyle'a... A może faceta z fin de siecle'u? Melonik, wąsy, sztuczna broda, półmetrowa luneta i dalekostrzelny winchester, którego huk spłoszyły wszystkie gołębie w Bejrucie.

Tak! Dzisiejsze rekwizyty wysubtelniały, jak sylwetki kobiet, samochodów, pistoletów i takich cacek jak mój niezawodny remington. Z tłumikiem to nawet nie trzask, tylko szept.

Skrzywił się i wolno, cierpliwie odszukał okna sali konferencyjnej. Były zamknięte, lecz za odbłaskiem nieba i ciemnych już obłoków dostrzegł sylwetki palm stojących w rogach, długi owalny stół i równo rozmieszczone fotele. Obite ciemnym skajem, wygodne, wysokie oparcia wyglądały jak prosto siedzący ludzie. Hamilkar, Chiffonier, Nabalzi, Eponge i kasjer. Zgadza się. Pięć!

Za trzy kwadranse oni...

Lecz myśl urwała się. Za oknami błysnęło i z mruganiem jarzeniówek zapalił się żyrandol. W uchylone drzwi wsunęła się sylwetka mężczyzny.

Punktualnyś, braciszku, pomyślał Nujens z uśmiechem, patrząc na twarz, którą rozpoznał natychmiast. Eponge!

François Eponge, doradca dyrektora Crédit Libano-Alsacien w Bejrucie, przekręcił się na wznak i wyprostował podkulone nogi. W ostatnim numerze „Paris Match”, sekspsycholog, tak ją nazywał, Catherine Breillat dowodziła, że podczas nocnego snu przyjmuje się bezwiednie pozycję płodu. Związane jest to z pamięcią mięśniową i dążeniem ciała do

najwygodniejszej pozycji. Może i racja, pomyślał.

Mimo że położył się spać dopiero przed trzecią w nocy, bo nagrywał na taśmę serie wybuchów i wystrzałów, czuł się wypoczęty.

Zaczynało się to podobnie jak w Algierii, też od bomb i pojedynczych strzałów, a później trzeba było wiać z szybkością odrzutowca. No, a przy tym dwie zasadnicze różnice. Wtedy był rok 1950 i przeciwników rozpoznawało się natychmiast, z jednej strony Francuzi, a z drugiej Arabowie.

A tu?

Dwudziesty drugi września 1975, tak wyraźnie widniało na kalendarzu, a walczące strony? Ten sam kolor skóry, język, a nienawiść jeszcze głębsza.

Znów wpadłeś, Eponge, pomyślał nie bez ironii. Tylko że tam, w Algierze, miałeś całe ćwierć wieku mniej, kończyłeś służbę wojskową i na pożegnanie stawiałeś długie kolejki. W powłóczystych spojrzeniach barmanek widziałeś swoją młodą sylwetkę pistoleta z trzema naszywkami na rękawie. A na dalsze trzy lata angażować się już nie chciałeś.

Drogi, zacyjny Lecroiseur przekonał cię, a był to już ostatni dzwonek. Omiótł cię tym swoim aksamitnym spojrzeniem i powiedział: „Wiej, François! Wiej. No, chyba że chcesz dorobić się pośmiertnie Legii Honorowej. Rozmawiałem z naszym dyrektorem... Przyjmie cię. A w końcu miesiąca ewakuujemy się do Strasburga.”

Eponge przeciągnął się, aż zatrzeszczało w kościach, i odwiecznym ruchem sięgnął po papierosa. Dobiegał pięćdziesiątki, ale czuł się znakomicie i nic nie stracił ze swego niefraso-bliwego humoru i pogodnej ironii wobec świata. Nie znaczyło to, że nie potrafił traktować spraw poważnie. Przeciwnie, miał

zdolność klasyfikacji i zapewne to pozwoliło mu dobrnąć do stanowiska doradcy dyrektora Crédit Libano-Alsacien w Bejrucie. Powiedzonko o plecaku i buławie znalazłoby może potwierdzenie w bankowej karierze Eponge'a, ale właśnie przeszkadzał mu ten zmysł humoru, tak nieliczący z hierarchicznym gronem urzędników.

W każdym razie, gdy po przejściu kilkunastu służbowych szczebli wyznaczono mu funkcję doradcy dyrektora spółki mieszkanej w Bejrucie, z zadowoleniem zatarł dłonie. Przygoda, moi drodzy! Nareszcie coś ciekawego.

Eponge, chłonny jak gąbka, czuły na zapachy życia, nieraz zastanawiał się, dlaczego tyle lat trzyma się banku. Powiedzmy dziennikarstwo. A może nawet film. Wspaniale! Ujmować kamerą sytuację, ustwiać ludzi na planie, tworzyć rzeczywistość według własnej wizji. No ale jakoś zawsze powracał do biurka.

Praca bankowa też była ciekawa. Wielki konkret. Wymagała trafnych reakcji. I na wyniki nie trzeba było czekać długo. Przychodziły wraz z codzienną pocztą, w skromnej formie podłużnych kolorowych papierków, z lakoniczną, ale mocną wymową cyfr.

Trochę wyobraźni, a odczuwało się fascynujące tętno świata. Odległe porty, statki, pociągi załadowane towarem, dymiące fabryki, kopalnie, setki kilometrów rurociągów, plantacje, no i oczywiście ludzie. Biali, kolorowi, o różnych twarzach i sylwetkach, ale mocno połączeni jedną myślą: zysk. Międzynarodowy zestaw twardych, bezlitosnych reguł.

Po paru latach pracy, gdy otarł się o wydział giełdowy, arbitraży, umów kredytowych, gdy uczestniczył w rozmowach z przedstawicielami firm, banków, różnymi specami od złota i dewiz, pojął zasady gry. Pojął również finezyjną muzykę okrągłych słów, zapewnień, niedomówień i konfidencjonalnego

wyciszania głosu, a przede wszystkim najbardziej niebezpiecznych wylewnych deklaracji i kordialnych uścisków dłoni.

Polubił ruch, samodzielność, ciekawe kontakty, ale na rok przed wyjazdem wpadł do wydziału rozliczeń inkasowych. To była sztampa, monotonia powtarzających się plików dokumentów i nużącego czekania na awiza banków zagranicznych. Stosy korespondencji, które podpisywał prawie automatycznie, zlewały się w szarą, leniwie płynącą rzekę, podobną do zaśmieconego Renu, przepływającego przez Strasburg.

No, to już mam za sobą, pomyślał teraz. I nie tylko to.

Znów natrętnie powróciło wspomnienie niezbyt udanego lądowania w Bejrucie. Zmarszczył brwi, ale zaraz uśmiechnął się szeroko. Usiadł i poprawił poduszkę. Na przeciwległej ścianie ustępujący mrok oscylował refleksami poranku.

Mais parole d'honneur... Słowo honoru, jak ekran!

Tylko trochę przyciszonej muzyki i burleska. Filmowe arcydzieło z lat trzydziestych pod tytułem: „Wesoły przyjazd François Eponge'a do Bejrutu”.

Obsada?

Rola główna to ja! Mógłby ją zagrać Max Linder albo wielki Charlie... Witający na lotnisku? Naczelnny dyrektor Chiffonier — Buster Keaton. Nie! Zbyt dystyngowany. Lepiej już Fernand, bardziej podobny i francuski. Duże kotletowate uszy i charakterystycznie przygarbione plecy. Zostaje jeszcze Epargnant... Zastanowił się chwilę nad drugim doradcą dyrektora. Niech on sam zagra swoją rolę, rozstrzygnął. Jest wystarczająco komiczny z tą swoją księżycowatą twarzą, świecącym jak reflektor czołem i ustami otwartymi w wiecznym zdziwieniu nad niespodziewaną karierą.

Alors... Voici!

Pierwszy kadr.

...Eponge w Strasburgu celebrytuje swój odjazd. Przy nim nieodłączni muszkieterzy. Lecroiseur pochylony nad górą golonki, Devalentin, przystojny, smagły dłubiący wykałaczką w zębach, i żywo gestykujący Combatant. Szczupły, z twarzą o różowej cerze sportowca opowiada namyślnie epizod z ligowego meczu piłki nożnej.

— Słuchajcie no! Słuchajcie... — Poszturkuje łokciem zajętego dłubaniem w zębach Devalentina i Lecroiseura, który znosi to dość cierpliwie, dopóki pochłonięty jest jedzeniem. Lecz gdy skończy i odsuwa talerz, jego zazwyczaj łagodny wzrok zapala się ognikiem zniecierpliwienia.

— Combatant...? Co nam tu pieprzysz, znamy to na pamięć. Weź się w kupę, podskocz do bufetu i zamów coś uczciwego. Bo ja na przykład — kończy basem — jestem wyraźnie głodny.

Combatant fałszywie mruga oczami i z trudem uwalnia przyciśniętą przez Lecroiseura rękę. Z niechęcią wygasza wizję pamiętnego meczu i ginie w głębi sali. Devalentin patrzy za nim z uśmiechem, podnosi kieliszek i stuka się z Eponge'em.

— Twoje, braciszku! Za podróż i pobyt... A wiesz, że tam pachnie prochem?

— A gdzie nie pachnie? — Max Linder w roli Eponge'a nie dbale macha ręką. — Przed tygodniem byłem w Mediolanie i wybuch bomby mało nie wyrzucił mnie z łóżka.

— Sam spałeś? — pyta mrugając Devalentin.

— Chyba nie... — mruczy Eponge-Max Linder. — Miałem się czego trzymać.

Koniec kadru.

Eponge znów sięga po papierosa. Zwykle w łóżku wypala trzy gitane'y i choć teraz, w czasie zamieszek, ich cena

podskoczyła prawie dwukrotnie, nie sili się na zmniejszenie porannej porcji. Zaciąga się głęboko i śledzi przez chwilę dym, spływający wąską strugą w stronę uchylonego balkonu.

Powietrze w pokoju jest chłodne i świeże, mimo że na noc wyłącza zawsze klimatyzację. Jej szum głuszy muzykę cykad gnieźdzących się na pobliskim skwerku. Przycicha ona przed wschodem słońca, którego właśnie pierwsze promienie odbijają się na suficie.

Z papierosami krucho, myśli. Trzeba zrobić zapas. No, ale to miasto jest godne podziwu!

Czwarty tydzień zamieszek, na redzie dziesiątki nierozładowanych statków, a tu jeszcze wszystko można dostać.

Czwarta runda!

Ledwie na wiosnę skończyła się trzecia, spokój trwał raptem parę tygodni, a później znów to samo. Bomby, snajperzy paraliżujący ulice, a teraz to już artyleria i moździerz. A na domiar złego te okropne stosunki w banku. Spółka Chiffonier—Eparnant niszczyła go planowo i podstępnie. Do diabła! Dwie wojny domowe to trochę za dużo. Nawet dla mnie. Ale powróćmy do pamiętnego przyjazdu. Eponge przemknął jeszcze wspomnieniem po tamtej pożegnalnej nocy, następnym dniu, kiedy wsiadł do samolotu, i podwójnej szkockiej w parę minut po starcie. Później już szło. Po dwóch godzinach lotu widział tylko rozgwieżdżone niebo. Było wszędzie, w owalu okienka, w dekolcie stewardesy i w wizjach chwytającej go drzemki. Drugi kadr.

Wnętrze samolotu. Max Linder-Eponge przy oknie, pozycja niedbała, dyskretna czkawka za dłonią przesłaniającą usta.

— Fe... Fe... Fenicja! Kartagina, Salambo... Hannibal!

Zachwycony własną erudycją wypija odruchowo podsunięty mu z boku kieliszek. Trunek jest mocny, szczypiący, o specyficznym zapachu.

— Araki! — Raptem wypływa z boku śniada twarz muzułmanina. — Mister? You Beyrouth?

Eponge słabo zna angielski, ale takie pytanie dociera do niego, mimo że od pół godziny hušta się na dyszlu Wielkiego Wozu.

— Of course, Beyrouth!

Z boku znów czekoladowa ręka z kieliszkiem, a gdy wypija, znów muska go ten sam oddech.

— Mister? Beyrouth very, very well! A lot of whisky and habibi. Love... l'amour!

Arab podkreśla gestami znamiona seksu i szczyrzy białe jak śnieg zęby.

— Gold Finger, Eldorado, Las Vegas, hotel „Normandy” — wymienia nazwy tingel-tanglów.

Eponge mruży oczy, żeby wyobrazić sobie uroki tamtych kabaretów, ale już do końca podróży są tylko gwiazdy.

Kadr wygasa.

To ten cholerny arak, myśli Eponge. Smak i zapach czułem do następnego południa. Burleska! Walmy dalej.

Trzeci kadr.

Maxa Lindera-Eponge'a wyprowadzają z samolotu. Wdycha głęboko, ale zamiast powietrza — wilgotny zapach pralni. Aaa... Bejrut! Ciężko opiera się o barierę kontroli paszportowej, z trudnością wyciąga dokumenty i mętym wzrokiem omiata rozległy hall.

Są! Stoją obok siebie zdetonowani. Chiffonier, Epargnant.

Eponge prostuje się, odbiera dokumenty i z przyjaznym gestem ręki pruje ku wyjściu.

— Hallo! Cher directeur! — ryczy na całą salę. Nagle

przypomina sobie towarzysza podróży i nazwy wymienionych tingel-tanglów.

— ...mais où sont les jolies femmes?! — dziwi się szczerze nie widząc miejscowych piękności.

Prze do przodu, ale noga ucieka na pomarańczowej skórcie, więc potężnym dublem wpada na bladego Chiffoniera. Dyrektor chwieje się, lecz już podtrzymują go usłużne ręce Epargnanta. Eponge słyszy jego alzacki, sepleniący żargon:

— Hm... A co? Nie mówiłem, panie dyrektorze? On lubi... Bardzo lubi! Taka kompromitacja. Ojej, jej! I to tu, na placówce zagranicznej!

Eponge po raz ostatni tego wieczoru trzeźwieje. Prostuje się, przysuwa twarz do Epargnanta i rzuca, buchając ostrym zapachem araku:

— Cicho, gnojku! Ciiicho, bo...

— No, no, panie, panie! — Chiffonier chwyta go za podniesioną rękę.

Max Linder vel Eponge kończy swoją rolę. Jest prawie dośójny, jak aktor, który wśród burzy oklasków schodzi ze sceny. Odtrąca Chiffoniera, cofa się o krok i rzuca ostatnie słowa swojej kwestii:

— A ja...! Pana dyrektora też...

Koniec burleski.

Eponge (już nie Max Linder) pamięta, jak trzymano go pod pachy, wpakowano do auta, a w drodze objęła mu się o twarz wiązanka kwiatów. No... niby ładnie z ich strony — mruczał zapadając w głęboki sen.

Ta scena przyjazdu powracała często.

Teraz wyskoczył z łóżka i machnął niedbale ręką. Kompromitacja? Zapewne, ale w tym mieście, gdzie ludzie podrzynają sobie gardła, kastrują się, gwałcą, zawsze to jakiś promyk uśmiechu. No i po co na drugi dzień ten szum? Telefony? Raporty?

Pamiętał, jak następnego dnia Epargnant powitał go ze złośliwym uśmiechem, informując skwapliwie, że Chiffonier już od rana konferuje w ambasadzie. Eponge odczuwał niesmak i miał szczery zamiar przeprosić za ten incydent, a nawet zrezygnować ze stanowiska i wrócić do Strasburga. Ostatecznie świat nie kończy się na Crédit Alsacien, a on umiał płacić za lekkomyślność, hojnie, czasem nawet z napiwkami. Jednakże zadowolona mina Epargnanta i reakcja Chiffoniera zrodziły upór. Klepnął przyjacielsko Epargnanta w ramię i roześmiał się głośno.

— Alez dziękuję, panowie. Dziękuję. To naprawdę zbyteczne. Po co zaraz ambasadora? Wystarczyło mi wasze powitanie, panowie!

— Chyba pan nnie roozumiesz, ppa...anie Eponge — jękał tamten, porażony zdumieniem. Wwaa...zą się ppa...ańskie llosy!

— Zapewne. Chwila co najmniej uroczysta — przyznał. — No ale tylko pomyślcie, kolego. Skoro moja sprawa jest w rękach znakomitej francuskiej dyplomacji... mogę chyba być zupełnie spokojny.

Uśmiechnął się i wymijając zagapioną w siebie twarz, spojrział w duże, rozsloneczone okno.

Ten kawałek miasta za szybą był banalny, jak w Europie. Okna, balkony, dachy, pałaki anten telewizyjnych, lecz na pobliskim skwerku chwiały się zielone wachlarze palm, a błękit kłuły strzeliste cyprysy. Dalej, za pudełkami domów, emalia nieba stykała się półkuliście z rozległym lustrem morza.

La vie est belle! Przemknęło wspomnienie czasów, gdy młodszy o całe ćwierć wieku przemierzał w barwnym mundurze spahisów bulwary Algieru.

— No cóż? To ja tymczasem... na plażę, drogi kolego. Wiecie chyba? — dorzucił urzędowo — że zgodnie z uchwałą zarządu banku numer czterdzieści trzy, paragraf dwadzieścia jeden,

punkt cc... duże ce, kolego! urzędnikom przyjeżdżającym na placówkę przysługuje dzień wolny od zajęć. Nieprawdaż?

Po chwili, jadąc rozklekotaną arabską taksówką, wdychał mocny, słony zapach morza.

Nie było to potrzebne. Fakt! Poczł jeszcze raz niesmak tamtej historii. No ale przynajmniej układ jest jasny. Chiffonier—Epargnant w ataku. A ja? Stracona pozycja? Nigdy! Za mocną barykadą humoru i ironii.

Poranna gazeta pachniała jeszcze farbą drukarską ...”L’Orient Le Jour”. Bejrut... poniedziałek... dwudziesty drugi września 1975.

Eponge rzucił wzrokiem na pierwszą stronę, wypełnioną zdjęciami płonących budynków, ale nim zaczął czytać, podszedł do balustrady tarasu i oparł się wygodnie.

Zazwyczaj wstawał bardzo rano i mimo że był już po kąpieli i śniadaniu, zegarek wskazywał zaledwie parę minut po szóstej. Do banku chodził na ósmą, ale nawet gdyby spóźnił się trochę, to i tak byłby pierwszy. Chiffonier i Epargnant dosypiali nerwowe noce, a później kluczyli ulicami, przeskakując od bramy do bramy w poszukiwaniu najbezpieczniejszych przejść.

Zapalił papierosa i spojrzął przed siebie.

Kolejność, Eponge! Pierwsza zasada strategii. Skoro wstępujesz w ten dzień, ważny, może decydujący, musisz dobrze wiedzieć, jak wygląda twoja pozycja w tym mieście i toczących się wypadkach.

Od roku mieszkał na piątym piętrze budynku, na rogu ulic Mraise i Abdel Azis. Pobliskie morze, park koło ambasady amerykańskiej i zielone ogrody ciągnących się szeregiem luksusowych willi były nieocenionym rezerwatem powietrza.

Oaza wśród rozpalonego betonu wieżowców, domów, magazynów, sklepów, w gmatwaniu ciasnych, zapchanych samochodami ulic, gdzie odór spalin i gnijących na podwórzach śmieci przenikał do wszystkich pomieszczeń.

Wdychając na przemian dym gitane'a i świeży zapach poranku, przejechał wzrokiem po Avenue de Paris, na którą jeszcze rzadko wskakiwały pędzące auta. Za nią wąski pasek piaszczystego wybrzeża i urzekający widok morza. Turkusowe, ukrwione żyłkami czerwieni podnoszącego się na horyzoncie słońca, oddychało miarowo poranną bryzą.

Sacré Dieu! — mruknął.

Z lewej soczysta zieleń parku, na wprost dwa rzędy ciemnych na tle zieleni morza, błyszczących jak glansowana pocztówka palm. A z prawej... idylla uśpionych willi wśród ogrodów.

Ci miejscowi bogacze, po codziennych szwindlach przynoszących krociowe zyski, odradzają się w tym zakątku spokoju i piękna. Długo jeszcze będzie trwać ta sielanka? Przypomniał sobie minioną noc, coraz bliższy huk bomb, strzelaninę i błysk rakiet, które jak gwiazdy spadały na miasto i morze.

Teraz... pozycja wroga, Eponge! Z bliska!

Cofnął się do pokoju i za chwilę, uzbrojony w lornetkę, przylgnął wzrokiem do pobliskiej willi.

Za siatką ogrodzenia widać było asfaltowy podjazd i smukłe, białe kolumny ganku. Spojrzał na zaparkowane przed wejściem samochody. Czarny mercedes Nabalziego i srebrny Chevrolet jego siostry. Wczoraj wieczorem stało tam jeszcze niebieskie volvo dyrektora Chiffoniera.

Eponge gniewnie zagryzł usta.

Swoją drogą ten zarząd Crédit Alsacien w Strasburgu nie grzeszy wyobraźnią! Spółka Chiffonier—Epargnant, mimo

rozpaczliwych listów prezesa Hamilkara, topi zyski wypracowane we Francji. Czyżby dla tych ludzi pozbycie się z centrali osoby Chiffoniera było aż tyle warte? W tym nasze interesy są zbieżne — mruknął.

Za willą ogród obniżał się i kończył wąskim pasem piaszczystej plaży. Spacerowało po niej miarowym krokiem dwóch ludzi w zielonych drelichach. Eponge dokładnie widział chwytające się na piersi pistolety maszynowe, a nawet ślady kroków w wilgotnym piasku. Trochę wyżej, z boku, pod płaskimi koronami pini brązowały plandeki ciężarówek i kręcili się uzbrojeni ludzie.

Prywatna armia!

To już nie burleska, Eponge, ale niebezpieczny dalszy ciąg niefrasobliwego lądowania w Bejrucie.

Opuścił lornetkę.

Znów ekran wspomnień. Mignęły ulice mijane codziennie. El Hamra, jaskrawy neon Crédit Liban-Alsacien, oszklone drzwi na ósmym piętrze, hall i sala.

Ludzie...

Znał ich dobrze, niektórych przyjmował do pracy. Twarze ciemne, jasne, pochylone nad papierami lub wyzierające zza oszklonego kontuaru. Ludzie gorsi, lepsi, czasami kłamliwi, a czasem prostolinijni, ospali czy też naładowani energią pracowali jak mogli najlepiej. Zgrali się. Rytm nieomal muzyczny.

Poranny zgrzyt podnoszonej kraty, zdawkowe powitania, szuranie krzeseł i za chwilę trzask maszyn. Koło dziewiątej, gdy włączano klimatyzację, zjawiali się pierwsi klienci. Różni. Ubrani z europejska lub w szerokich arabskich szarawarach, w kapeluszach, turbanach, fezach.

Też znał te twarze.

Powtarzały się jak twarze aktorów tego samego filmu

podczas kolejnych seansów dni i tygodni. Szczupli, otyli, poważni, to znów uśmiechnięci rozmawiali głośno, gardłowo, naradzali się półgłosem, a czasem szeptali skrycie. Dawali lub zabierali pieniądze.

Znów muzyka.

Charakterystyczne chrząknięcie kasjera, matowy półgłos przywołujący klienta, dźwięk kluczy, szelest odliczanych banknotów, perkusja spadającego na ladę bilonu i stuk opuszczanego okienka.

W godzinach południowego skwaru zgiełk sali przycichał. W odbiciu uchylonych wywietrzników migiała El Hamra, dochodził jęklivy pogwar silników, czasem pisk opon, ostry gwizdek policjanta i monotonne, śpiewne nawoływanie handlarza pomidorów; jeszcze przed otwarciem banku tkwił na rogu ulicy, brązowa figurka nakręcona na ten sam refren. Na sali pachniało kawą, colą, wędliną, chlebem. Niebieski dym marlboro, gitane'ów i gauloise'ów sphywał do wywietrzników, tak jak ulatujące słowa prowadzonych rozmów.

Raz, dwa, raz, dwa — cykał duży zegar w hallu, jak gdyby odliczał kroki spacerującego tam strażnika.

Półtora roku! Ładny kawałek czasu, ale za trzy, cztery lata...?

Dwadzieścia pięć po szóstej. Eponge spojrział na zegarek i gdy podniósł głowę, te wszystkie twarze, widziane przed chwilą, zszarzały jak asfalt autostrady.

Tak będzie ze wszystkim. Uśmiechnął się. Ten widok z tarasu, El Hamra i czerwony neon Crédit Libano-Alsacien...

Nagle sprężył się w sobie, a twarz ścięła mu mocna, męska nienawiść. Nie pomyliłem się. To nie burleska. To już dramat. Mignął mu krótki, ciemny korytarz i lustrzany gabinet Chiffoniera.

Ma prawdziwego pecha ten sukinsyn, że urządził się na tujejszą, lustrzaną modłę. Ile razy tam wchodzę, patrzy w te swoje

odbicia i mamrocze, jakby rozmawiał z sobą.

Do diabła! Zmrużył oczy. Mocne światło na pierwszy plan. Niech wychodzi!

Kadr-monolog.

...Guy Chiffonier, dyrektor Crédit Libano-Alsacien. Szczupły, wysoki, o pochylonej, trochę gorylowatej sylwetce. Uciekające w bok spojrzenie i mdły, fałszywy uśmiech.

Pozornie dostojny za szerokim dyrektorskim biurkiem, marsowy, władczy, ale gdy zostaje sam w gabinecie — galaretowaty kłębek nerwów. Wybitna skłonność do urojeń.

Naprawdę ma pecha. Lustrzany gabinet zwielokrotnia jego paniczny strach.

— Po co oni mnie tu wysłali? To ten sukinsyn prezes! Nie lubi mnie...

— A kto cię lubi, Chiffonier? Czy jest chociaż jedna osoba w banku, której wyświadczyłeś jakąś przysługę?

— Źle sformułowane pytanie! Czy jest chociaż jedna osoba w banku, której nie zrobiłeś świństwa?

— Dobrze, dobrze. Pomału. Kobiety, Chiffonier, to inny bogaty rozdział twoich świństw. Może i tworzyłeś stanowiska, trochę windowałeś w górę, nie za wysoko, dawałeś podwyżki, premie, nawet hojnie. Przecież ostatecznie płacił za to Crédit Alsacien. No ale tamte biedule musiały się naprawdę tego napracować. Przecież niedługo stuknie ci sześćdziesiątka!

— Czy przyjrzałeś się kiedyś sobie? Tak w pełnym świetle, bez pozowania.

— No co? Źe niby?...

— Nic nie niby! Ziemska powłoka, Chiffonier, to nie takie istotne. Może przecież powlekać piękną, fascynującą duszę.

Ale gdy powleka strach, fałsz i głupotę?

— Masz odpowiedź, dlaczego się ciebie pozbyli z centrali w Strasburgu!

— Już ja im pokażę!

Usta otwierają się szeroko, głośnym, piskliwym krzykiem. Widocznie przenika on przez drzwi, bo za chwilę uchylają się i staje w nich pokorna sylwetka Epargnanta. Patrzy gapiowato i zaczyna alzaczyć tym swoim śmiesznym żargonem:

— Cy...cy pan mnie wołał, panie dyrektoze?

— Nie! Nie kręćcie się! Kończcie wreszcie to moje rozliczenie ze Strasburgiem. To już ósmy miesiąc i stale jeszcze nie wiem, czy mam jakieś oszczędności, czy nie!

Epargnant, a podobno pochodzi z arystokratycznej rodziny, kuli się jak psiak i zaraz niknie za pospiesznie zamkniętymi drzwiami.

— Ha, ha, ha! Oszczędności? Chiffonier, tyś chyba naprawdę zwariował! Mimo że mieszkasz w hotelu i zjadasz posiłki na koszt centrali, jeździsz na służbowej benzynie i ciulasz procenty od kapitału, który od dawna należało przekazać do Strasburga, stale jesteś w debecie. No... ale to jeszcze można byłoby wybaczyć.

— Nie wieszaj się! Na to zawsze jest czas. Przed chwilą mówiłeś... ba, nawet krzyczałeś przerywając spokojną drzemkę Epargnanta: „Już ja im pokażę!” Chyba tak. Pokazałeś, jak wygląda krańcowa nieudolność.

— Rozkręcam biznes. Rozumiecie!? Nie wszystko się udaje, zwłaszcza tu, gdy są te zamieszki. Ale te moje operacje z Egiptem, Libią, Turcją...

Ojej, przecież ktoś może usłyszeć. Na przykład taki Eponge.

— Tylko nie on! Alkoholik! Mściwy i...

— Nie zmyślaj, Chiffonier! Powiedzmy... lubi. No, ale nie tak chorobliwie jak ty te swoje wysłużone łanie. Mściwy też nie. Już dawno skorzystałby z tych zamieszek i — naszpikowanego jak trza — wsadziłby cię do bagażnika twojego niebieskiego volvo. W tym mieście to nie dziwota. A chłopak miałby okazję odwiedzić kolegów w Strasburgu, popić na stypie, a może nawet wygłosić parę gładkich słów nad trumną. Naprawdę to on jest tylko pamiętliwy. Był w wojsku... twarde ślady. No i lubi wyrównane salda, dwadzieścia lat w banku, to wchodzi w krew!

— Ale do rzeczy. Mówiłeś o tych operacjach z Egiptem, Turcją, Libią. Zapominasz, kto nastreczył ci klienta? Hamilkar, złociutki! Właśnie ten Hamilkar, którego obszczekujesz w centrali, bo ma swoje zdanie. A kto uratował sytuację z tą czteromilionową lokatą, coś ją przyjął za potrójnie zawyżony procent? Hamilkar. Nie z miłości... przecież twoja nieudolność to i jego strata. Chiffonier, Chiffonier! Maluczko, a padniesz przed nim na klęczki, żeby ratował cię przed gniewem centrali!

Koniec kadru.

Eponge zgasił wizję. Mała przerwa na papierosa. Zapalił nowego gitane'a i usiadł na chwilę na leżaku. Wspomnienia były żywe, mocne. No cóż, ten następny kadr może się nazywać Nabalzi. Ten człowiek... Zastanowił się chwilę. To już nie kłeska dla Credit Libano-Alsacien. To katastrofa!

Eponge siedział w banku w głównej sali. Zza szklanego przepierzenia widział doskonale wejście, hall i korytarz prowadzący do dyrekcji. Dobrze pamiętał pierwszą wizytę Nabalziego.

Ten maronita przyszedł z całą swoją świtą. Okazała, zwalista sylwetka zamajaczyła w hallu, jak postać bajkowego księcia.

Tuż obok zgrabna, rzucająca się w oczy jego siostra, Marta Nabulzi.

Fiu, fiu — zagwizdał przez zęby i dopiero po jakimś czasie spojrzął na idących z tyłu mężczyzn. Barczyści, w rozpiętych frenczach, na których mimo to widać było wzgórki ukrytej broni, nie budzili żadnych wątpliwości.

Goryle! — połączył w myślach pochodzenie i funkcję.

Był prawie rok w Libanie i znał dobrze górskie miejscowości w okręgu Bcharré i Cedrów. Ci ludzie pochodzili właśnie z tamtych stron. Stygmat! Elastyczny, skradający się krok, wydłużone od chwytania skał ręce, żylaste szyje i oczy czatujących orłów.

Dopiero parę kroków za nimi szła sekretarka Nabulziego. Eponge lubił ładne kobiety, toteż przylgnął do niej wzrokiem. Lubił także zwięzłe określenia.

Marilyn Monroe... w skali jeden na półtora, określił jej drobną, ale pełną seksu sylwetkę. Widocznie nasz nowy klient ma ojcowskie skłonności. Uśmiechnął się i zaraz zrozumiał odświętny wygląd dyrektora Chiffoniera.

Lepszy garnitur, nareszcie odprasowane spodnie, nowa koszula i krawat. Rozumiem. Prawdziwa wyżerka. Dwie seksbomby, i to z różnych stref geograficznych. Można od wschodu... do północy. W każdym razie przy twojej Suzanne Craupicheau, dobrze już podniszczonej, którą sprowadziłeś ze Strasburga jako pogotowie erotyczne, to te dwie lśnią niczym diamenty!

Pamiętał też zwycięski uśmiech dyrektora Chiffoniera, gdy Joseph Nabulzi otworzył rachunek, wpłacając kilkaset tysięcy libanów.

— Widzisz pan! Mój klient, ściągnąłem go tu, panie Eponge. I zobowiązuję. Jego zawsze w pierwszej kolejności. — I zaraz potem z aluzją: — A są tacy, co myślą, że ja tylko przeglądam

się w lustrach i nic nie robię.

— Może i są — mruknął Eponge i przypomniał sobie arabskich kupców, jeszcze z czasów służby wojskowej w Algierii. Cierpliwa natarczywość i błyskawiczne rozeznanie w nastroskach klienta.

Dziwił się zawsze tej rzadko spotykanej zdolności wyczuwania i odgadywania pragnień nawet przypadkowego przechodnia. Nieraz po wypłacie żołdu, gdy chciał kupić jakieś drobiazgi i wciągnano go za rękaw do arabskiego sklepu, twarz za ladą była wszechwiedząca. Błyskawicznie wychwytywała sierżanckie naszywki i już była plastrem miodu. A gdy przy płaceniu wymował plik franków, stawała się ambrozją. Jak na zaczarowanym stolczku pojawiała się kawa, lukrowane orzeszki, czasem koniak lub papierosy z „trawką”, a głos kupca wabił jak dźwięk fletu.

Jak to się kończyło?

Uśmiechnął się do wspomnień. Przeważnie na zapleczu albo gdzieś obok, w brzęczącej muchami kawiarni, która miała wąskie przejście do schludnej, pachnącej wonnym olejkiem cabane. A tam? *La vie parisienne!*

Wracało się przeważnie pusto, lecz przez cały tydzień można było opowiadać historie, wobec których zeszyty porno były umoralniającymi obrazkami dla młodzieży. A przecież chodziło o zwykłych arabskich handlarzy. Gdyby tak dać im wykształcenie.

Byliby właśnie tacy jak Joseph Nabalzi.

Chiffonier, ty dupku! Czy ty naprawdę nie widzisz, że ten człowiek opanował nie tylko ciebie, ale i bank? Kto wpakował ci akcje „Rocher de Paradis”? Rajska skała... To już setki tysięcy straconych dolarów. Kto kołował koło ciebie jak pająk i wreszcie wlepił tę akredytywę? Narzędzia rolnicze z Belgii?

Takie same posyłano do Ghany, kiedy spływała krwią. Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz?

Eponge podniósł się i znów wziął lornetkę. W niebieskawym odbłasku szkieł smukłe kolumny ganku i biały budynek willi na tle ogrodu i morza tworzyły urzekający obrazek spokoju. Powoli, mijając gałęzie drzew, odnalazł pokój Nabalziego. Duże okna były szczelnie zasłonięte. Klucz zagadki, pomyślał o wieczornym zebraniu w banku.

Zjeżdżając windą, jeszcze raz spojrzął w lustro.

Mais ça va! — szepnął do swego odbicia.

Był w jasnym tropiku, brązowej koszuli i krawacie w kropki. Przyglądał siwiejące skronie. Twarz miał gładką, a blond włosy, choć przeredzone nad czołem, układały się całkiem nieźle. Spojrzenie jasne, otwarte, trochę ironiczne.

Chyba za to oni mnie tak nie lubią, pomyślał o swoich ziomkach z banku. To właśnie jest takie przykre i niezrozumiałe. Ci Francuzi za granicą, a jeszcze na placówce, są jak ludożercy. Podkopują się wzajemnie, wygryzają, choć przecież ich przodkowie ramię w ramię maszerowali na Bastylię, a jeśli ginęli na szafocie, to też przy dźwiękach tej samej *Marsylianki*.

Do jasnej...! — wzbierała w nim złość. Dlaczego inni zachowywali się inaczej? Tacy Niemcy, Anglicy, Włosi? Znał ich dobrze z cocktailów, wizyt, wspólnych lunchów. Osłaniali jeden drugiego, świadczyli normalne, ludzkie grzeczności, tak bardzo potrzebne, szczególnie w tym naszpikowanym dynamitem mieście. A jeszcze bardziej tacy Węgrzy, Rosjanie, Polacy! Przyjemnie popatrzeć. Zapraszają się, śpiewają te swoje pieśni, popierają w interesach, pomagają sobie. To naprawdę siła.

Eponge pamiętał wizytę w Banku Handlowym for the Middle East. Przyjemny, europejski bank. Jasny budynek, duża sala operacyjna, nowoczesne maszyny i urządzenia, no a przede wszystkim ludzie. Dlaczego tak zgrani, uprzejmi, uśmiechnięci? Ton nadawała dyrekcja składająca się z trzech sympatycznych Polaków.

Już od wielu lat interesy z Polską rozwijały się nad wyraz pomyślnie. Bank Handlowy to był solidny partner, bez ryzyka bankructwa, rzutki i elastyczny w działaniu.

Jesienią ubiegłego roku Eponge negocjował z dyrektorem tego banku otwarcie obopólnych rachunków. Nazwisko Polaka trudne... Mecki? Nie. Chyba Zitencki, no ale to nie takie ważne. Istotne, że on sam — klasa!

Eponge prawie od dwudziestu lat przewijał się wśród bankowców i tylko pozornie byli to różni ludzie. Już po niedługim czasie mógł wypośrodkować model. Ale ten człowiek nie podpadał pod sztampe.

Przystojny, o inteligentnej, otwartej twarzy, bujnej, siwiejącej już czuprynie miał w sobie coś, co wzbudzało zaufanie. Może to właśnie ta słowiańska szczerłość, osnuta melancholią ich chłodnego nieba?

Polak mówił wyraźnie, doskonałą francuszczyzną i do sprawy rachunków odniósł się z całym entuzjazmem. W krótkiej przerwie wniesiono kawę i znakomitą polską wódkę. Pour la France! — padło zza biurka. Pour la Pologne! — Eponge szybko podniósł swój kieliszek. Trunek był mocny, ale rozpląwał się w ustach nie zostawiając smaku. To trzeba mi było pić w samolocie, pomyślał. Nie byłoby tej całej trzyaktówki.

Rozmowa zeszała na temat życia w Bejrucie, walarów

turystycznych Libanu i zaczynających się, już zamieszek.

— To nieuniknione — dowodził Polak. — Ten kraj jest naprawdę nieszczęśliwy. Pays du passage! Ile przeszło tędy kultur, religii... Z dawnej Fenicji nie zostało wiele. Ruiny i obsesyjna chęć zysku. Zresztą sam pan wie najlepiej! — Uśmiechnął się do Eponge'a.

— Jeden z najdroższych krajów świata. Marża na importowanych towarach sto pięćdziesiąt do dwustu procent. Dlaczego? Bogaci sprowadzają dla jeszcze bogatszych. To widać na wystawach pełnych zbytku. Podstawowe potrzeby, gospodarka planowa, problemy społeczne? Tu te słowa są nieznanne.

Polak wstał zza biurka i przechadzał się pod rozwieszoną na ścianie mapą. Podłużny płat Półwyspu Arabskiego oddzielała od Azji Zatoka Perska, a od Afryki — szeroki rów Morza Czerwonego. Półwysep... jeden organizm. Potężny korpus Arabii Saudyjskiej, tętniące żyły rurociągów i państwa-cysterny. Zjednoczone Emiraty, Jemen, Kuwejt, Irak. Wyjście na zachód, na Morze Śródziemne? Właśnie Liban i Bejrut. Tu krzyżowały się morskie szlaki i linie lotnicze wiodące do tamtych portów i miast.

— Oczywiście! Początek... to nafta — zaczął nie przerywając spaceru. — Kiedyś sprawa była prosta.

Przyjeżdżali amerykańscy lub europejscy inżynierowie, stawiali wieże wiertnicze, rurociągi, mocodawcy płacili szejkom procent i ropa spokojnie płynęła na zachód. Teraz odwrotnie. Zamieniona w dolary płynie do szejków. Oni wiercą i budują rurociągi, dyktują ceny i wybierają partnerów. Problem nafty dla nich nie istnieje, to problem krajów uprzemysłowionych.

Natomiast problemem są dolary i konflikt bliskowschodni, inspirowany i finansowany przez zdenerwowanych konsumentów ropy.

Na chwilę przerwał i zatrzymał się przy mapie. Liban! Reklamowana w bejruckiej prasie Szwajcaria Bliskiego Wschodu, kraj tranzytu kapitałów i towarów. Oaza wypoczynku dla kąpiących złotem szejków.

Eponge skorzystał z chwilowego milczenia i rzucił pytanie, które już od tygodni było na ustach wszystkich:

— Jak pan przypuszcza, dyrektorze? Przyszłość?

Przez okno dochodził głośny, nerwowy zgiełk miasta. Nagle, jak grzmot nadciągającej burzy, przetoczył się odgłos wybuchu, jeden, drugi, trzeci — i zadzwonił o szyby. I zaraz rozpękły się serie broni maszynowej.

— Achrafieh! — Polak odwrócił się od mapy. — Wschodnia, muzułmańska dzielnica i palestyński obóz El Zatar. To jest właśnie odpowiedź!

Założył ręce do tyłu i mówił spacerując wzdłuż ściany:

— Wie pan? Ci inspiratorzy bliskowschodniego konfliktu nie przewidzieli, a może tylko zbagatelizowali sprawę, że to skonsoliduje arabską świadomość. Tu w Libanie skrzyżowały się wszystkie problemy wyjątkowo dramatycznie. Naftowe prosperity dla tego kraju to już nie przysłowiowy „embarras de richesse”, ale prawdziwa tragedia. Koniunktura wzbogaciła tylko klany wielkich rodów, przeważnie maronickich, i pogłębiła przepaść dzielącą je od większości muzułmańskiej.

A agresja izraelska? Ten kraj patrzył obojętnie, a dla warstw elitarnych to nowe sąsiedztwo wyraźnie jest wygodne. Natomiast bardzo jest niewygodne te czterysta tysięcy uchodźców palestyńskich, i to już problem numer jeden... Przysłowiowy koń trojański. W tutejszej mieszaninie mniejszości maronickiej, broniącej pod sztandarem Cedrów bastionów ekonomicznych,

mas muzułmańskich rozbitych na sekty religijne i orientacje... Może i paradoks? Lecz właśnie ci przybysze, gnieźdzący się tu w nędznych obozach, są najbardziej uświadomionym elementem, są bardziej libańscy niż Libańczycy i bardziej muzułmańscy niż tutejsi muzułmanie.

Jeśli dojdzie do wojny domowej — mówił dalej zamyślony — to tutejsza elita uderzy w nich. Od miesięcy płyną dostawy broni, a prasa maronicka wynalazła już slogan: „Bejrut to nowy Belfast”. Nonsens! Tolerancja religijna ma tu tysiącletnią tradycję... Chyba obaj wiemy... — Uśmiechnął się nie dopowiadając myśli. — Zresztą zobaczymy. Będziemy przecież świadkami tych zmaganiań.

Może i tak? Eponge przypomniał sobie czołgi strzegące amerykańskiej ambasady. Machnął ręką i pchnąwszy drzwi sieni wyszedł na rozświetloną ulicę.

Mimo wczesnej godziny ulica wyglądała jak w czasie przedpołudniowego nasilenia ruchu. Rzeka aut, furgonetek, ciężarówek parła w kierunku rue de Rome, a tłum podpływał falami z bocznych ulic, przystawał przed wystawami sklepów i obładowany zakupami ciągnął w kierunku śródmieścia. Przed piekarniami formowały się kolejki.

Ubiegła noc była wyjątkowo niespokojna. Wybuchy bomb raz po raz wdzierały się w ciszę miasta i Eponge, skręcając w boczną ulicę, natknął się na kawałki szkła i odłamki gruzu. W osmalonym dymem wnętrzu zdemolowanego sklepu, z którego ludzie wynosili resztki ocalałego towaru, skrzypiały strzepy metalowych żaluzji. Quatrième rounde. Czwarta runda. Te słowa wypowiedali zatrzymujący się przechodnie.

Czwarta runda!

Przypomniał sobie niedawny pożar suku. Olbrzymi arabski bazar płonął kilka dni, a dym i popiół docierały do śródmieścia.

Były to setki sklepów, straganów, magazynów zawałonych towarami, fabryczek, warsztatów. Całe uliczki szewców, białoskórników, złotników. Olbrzymia drewniana hala, jeszcze z czasów tureckiej Porty, spłonęła jak zapalka. Pod jej zgłiszczanymi dopalały się nagromadzone fortuny i majątki. Czarne kłęby dymu przesłaniały niebo, rzucając upiorny cień nienawiści.

W mużułmańskich uliczkach padały słowa oskarżenia. „Maronicy podpalacze! Straż Cedrów! Bogacze z Ras Beyrouth zniszczyli nasze tanie sklepy!”

Właściciele bogatych magazynów na El Hamra spoglądali na chmurę dymu. W ich oczach nie było współczucia. Tani mużułmański suk, gdzie wszystko można było dostać za pół ceny, od lat psuł im interesy.

Lecz stojąc za ladą swego sklepu cmokali ze zgorzeniem. „Co za czasy?! Nikt nie jest pewny jutra. Kiedyś tego nie było.” Czasem poufnie ścisiali głos: „To te palestyńskie męty! Wiedziano ich... Podpalili dla rabunku. Po co oni tu przyszli na naszą ziemię? Po co!”

Eponge już prawie półtora roku mieszkał w tym mieście. Stykał się z ludźmi, obserwował, ale gdyby go ktoś zapytał o obraz tutejszych problemów, nie dałby jasnej odpowiedzi. Mozaika plemiennie-religijna? Zwalczające się ugrupowania polityczne? Penetracja Izraela, Europy Zachodniej? Konflikt bogaci-biedni? Chyba wszystko to razem.

Ale jedno wiedział na pewno:

Miejscowe władze były zupełnie bezsilne. Policja, żandarmeria patrolowały miasto za dnia, lecz w nocy kontrola ograniczała się do śródmieścia i ważniejszych budynków. Czasem podczas burzliwych obrad parlamentu padało słowo armia.

Błady wtedy twarze prawicowych ministrów i maronickich liderów. Słowo upiór.

Armia? Nonsens! Przecież to całe pułki muzułmańskiej biedoty, synów rybaków, chłopów uprawiających małe poletka, straganiarzy, rzemieślników gnieźdzących się jak mrówki w ciasnych uliczkach kasby.

Eponge był świadkiem lutowych rozruchów w Sydonie. Pojechał tam w interesach Nabulziego, na zaproszenie firmy transportowej „Beirut-Express”.

Jadąc autem wśród urodzajnych pól, zieleniejących pod słońcem wczesnej libańskiej wiosny, nie przypuszczał, że będzie świadkiem tragicznych zająć, które nazwano później „trzecią rundą”.

Jeszcze w początkach stycznia prasa bejrucka doniosła o projekcie utworzenia wielkiej spółki rybackiej do eksploatacji terenu połowów od Sydonu aż po Tyr.

Chociaż najpoważniejszym wspólnikiem i dyrektorem był Ahmed Khury, to projekt wyszedł od Josepha Nabulziego. To on nawiązał kontakt z francuskimi spółkami, sprowadził ekspertów i zaczął skupować nadbrzeżne obszary. Projekt jak na Liban był gigantyczny. Miały to być całe flotylle kutrów, olbrzymie magazyny i chłodnie oraz nowoczesne fabryki konserw.

Eponge dziwił się, dlaczego sam Nabulzi nie inwestuje kapitału, odmówił stanowiska naczelnego dyrektora, a nawet nie wszedł do spółki jako akcjonariusz. To chytry lis, myślał. Coś węższy.

Zapytany o zdanie prezes Hamilkar uśmiechnął się znacząco. „Dla Nabulziego to nie interes. Nie lubi dużych firm i przedsiębiorstw. Przecież to podatki! On chwytą pieniądze z powietrza, a przy tej rybackiej spółce tym powietrzem jest skupowanie terenów...”

Transakcje przechodziły przez Crédit Libano-Alsacien i Eponge mógł się przekonać, jak w Bejrucie robi się pieniądze.

Zrozumiał również, dlaczego Nabalzi tak nagle przeniósł swoje konto i operacje handlowe do nowego, francusko-libańskiego banku. Tu był jeszcze nieznany, a Chiffonier zapewnił mu całkowitą dyskrecję.

Nabalzi ujął również w swoje ręce organizację przyszłego transportu. Toteż jadący do Sydonu Eponge miał w teczce przygotowane oferty panharda, chevroleta i berlieta. Wiózł także kolorowe prospekty lekkich dźwigów portowych, ciągników i długich przyczep-chłodni, które z łatwością mogły przewozić świeże połowy nie tylko w głąb Libanu, ale również do Ammanu, Syrii i Jordanii.

Wielki biznes!

Nowy wybuch betonu, stali, pożerający połetka sadów, ogrodów i winnic.

A brzeg i morze?

Tam właśnie, w małych, zacisznych zatokach, osłoniętych skałami, przycupnęły wioski rybackie. Wrosły mocno w krajobraz, w ziemię, tak jak flotylle ich łodzi odpoczywające bezpiecznie w ciągu dnia na piaszczystym brzegu.

Odwieczny porządek rzeczy.

Wiatr szumiący w rozwieszonych sieciach przynosił kiedyś do tych osad zgiełk toczących się bitew i swąd spalenizny, a fale wyrzucały szczątki starożytnych okrętów. Lecz przecież brzeg i morze trwały. Od tysięcy lat rybacy co wieczór wypływali na połów. Jakże mogło być inaczej?

Dojeżdżając do Sydonu, Eponge widział tych ludzi. Zbici w małe grupki gestykulowali żywo i wykrzykiwali coś gardłowym głosem. Widział też ich spojrzenia — ciemne, płonące gniewem — na sznury jadących aut i ciężarówek. Czuł, że coś narasta, pęcznieje jak wulkan, dojrzewa.

Nie mylił się.

Zaczęło się niewinnie. Pochód? Manifestacja?

Na trzeci dzień po przyjeździe, gdy właśnie szykował się do zakończenia rozmów i podpisania umowy kredytowej z „Beirut-Express”, zadzwonił do niego dyrektor przedsiębiorstwa i ostrzegł, żeby nie opuszczał hotelu.

Było to przed południem, około dziesiątej czy jedenastej. Wcześniejsza pora nie wchodziła w grę. Ludzie musieli się wyśpać po nocnym połowie, ubrać odświętnie, wreszcie zabrać licho sklecone transparenty z wizerunkami Nasera i z napisami: „Chcemy żyć z pracy rąk! Niech bogacze nie wydzierają morza biednym!”

Już uformowani ruszyli wąskimi uliczkami przedmieść do centrum miasta. Właśnie wtedy — w tych uliczkach małych warsztatów, sklepików, straganów — dołączyły do nich całe rzesze muzułmańskiej biedoty. Przecież i oni mieli to na ustach. Ich świat też niszczał, przygnieciony wieżowcami, których rozległe partery zajmowały luksusowe restauracje, supermarkety i magazyny pękające od towarów.

Cóż z tego, że za szybami wystaw kręcili się ich bracia muzułmanie? Ale co oni tam robili? Portierzy, subiekci, sprzętacz, dozorczy. Dźwigali ciężkie skrzynie i paki, zmywali talerze, pocili się w dusznych kuchniach i pralniach, czyścili buty, kłozety i uśmiechali się przymilnie o bakszysz. Olbrzymie neonowe szyldy płonęły nazwiskami tych, co tu przyszli wydzierać im ziemię.

Eponge stał na tarasie hotelu. Obraz był ten sam, brakowało tylko dźwięków *Marsylianki*. Tego dnia pod niebem Sydonu czas cofnął się do pamiętnego francuskiego lipca, gdy tłum ruszył na Bastylię.

Pochód gęstniał, szedł wolno, mrówczo, zakwitał biało

transparentami, a czasem zieloną chorągwią proroka. Pośród białych burnusów, czapek z owczej wełny, czerwonych fezów migąły kraciaste chusty fedainów.

Poblądły twarze ludzi stojących w oknach luksusowych magazynów, biur i banków. Rozdzwoniły się telefony. Z trzaskiem opuszczano żaluzje. Z głównych ulic z piskiem opon uciekały limuzyny.

Policjanci na skrzyżowaniach uśmiechali się, a czasem odpowiadali na przyjazne gesty i słowa.

Marhaban! Kifak! Jak się masz, Mohammed? Jak się masz, Ali? A ty, Salim? Jutro mamy służbę w waszej dzielnicy...

Ahlam! Doskonale! Przyjdźcie na kawę. Albo lepiej zaparzemy zielonej herbaty i usmażymy ryby.

Przyjdziemy na pewno. Idźcie śmiało! Pokażcie tym zza szyb, że jest nas całe mrowie. Z nami Naser, chorągiew proroka i Maruf Sad. To on broni nas w parlamencie! Nie damy sobie wyrwać ziemi i morza. Jednakowa sprawiedliwość dla wszystkich!

Z małych sklepików i kawiarni ludzie przyjaźnie kiwali głowami i pozdrawiali idących. Tłum zatrzymywał się, podnosił głowę i skandował hasła, a później znów ruszał z gwarem głosów i setkami stąpań, jak wielka fala przyboru.

Nagle zatrzymał się.

U zbiegu ulic, w perspektywie placu, stało wojsko. Zieleniały w słońcu oliwkowe mundury, lśniły metalowe kaski, a piersi żołnierzy falowały wysiłkiem forsownego marszu. Przed tyralierą szeregów uwijali się maronicy oficerowie. Tłum rozpoznał ich od razu. Świecące złotem dystynkcje i chłodne, zacięte twarze.

Zachwiały się portrety i transparenty. Ktoś krzyknął: „Nie uciekać! Za nimi nasi bracia muzułmanie. Chorągiew proroka. Wyżej!”

W głębokiej ciszy sztandar strzelił w górę i załopotał na wie-
trze. Po obu stronach zafalowały przyspieszone oddechy. Czas
stał na chwilę. Wydawało się, że tłum i żołnierze odpoczywa-
ją, żeby później spokojnie rozejść się do domów. Przecież jedni
i drudzy spełnili swoje zadanie.

Lecz już zadzwoniły kroki, błysnęły dystynkcje i padły roz-
kazy. Broń podskoczyła. W napiętej groźbie ciszy huknęła salwa.
Zadzwoniła o szyby, rozdarła skwerek i ulicę i poderwała z
łopotem spłoszone gołębie. Echo spadło na tłum. Krzyk i rze-
żenie poszybowały w górę.

Ludzie, którzy później zmywali krew z ulicy, mówili o
śmierci Marufa Sada, o zabitych i rannych, o podartej chorągwi
proroka. Mówili też szeptem, że plamy posypane piaskiem
wkrótce zamienią się w rzekę.

Eponge wyminął stojących przed rozbitym sklepem i wolno
ruszył do skrzyżowania. Klębiły mu się w głowie różne myśli.

Po co przyszlśmy do tego kraju?

Budować hotele, restauracje, banki, zaciszne gabinety i kasy
pancerne, pęczniejące od banknotów i złota. Postęp? Dobro-
byt? Dla kogo?

Dla małej grupki ludzi uprawiającej kult zysku. Co im da-
jemy za pieniądze zdobyte szachrajstwem? Pomnażamy ich
skarby na giełdach Nowego Jorku, Paryża i Londynu. Karmimy
cywilizacją. Luksus i śmierć. Limuzyny i bomby, telewizory i
broń, alkohol i amunicja. Tego już nie zmienisz, Eponge.
Uśmiechnął się. Bomby nie wybuchają tylko w Bejrucie.

Spojrzał na zegarek.

Było wpół do ósmej. Pół czarnej po arabsku to jak poranna
modlitwa, pomyślał. A ten dzień? Naprawdę jest ważny. Rozej-
rzał się.

Wąska uliczka opadająca do El Hamra była zupełnie pusta. Nie spiesząc się, minął parę zamkniętych sklepów i skręcił do pasażu. W oświetlonej wystawie kina tkwiła dobrze znana, smutna twarz Alaina Delone. Podeszedł i spojrział na fotosy. Na chwilę znalazł się w płonącym karambolu aut, wśród twarzy wykrzywionych strachem, na wprost wycelowanego pistoletu. Nawet nie usłyszał głośnego pisku opon hamującego przed pasażem samochodu.

Kaliber dziewięć koma sześćdziesiąt dwa, stwierdził pochylony ku szybie. Chyba enfield? Przyglądał się prosto wycelowanej lufie. Nagle drgnęła, tak jak i dwie odbite w szybie sylwetki.

Popychany lufą pistoletu ruszył do stojącego przed pasażem auta.

DRUGI KWADRANS

Nujens cofnął się i syknął.

Przy gwałtownym ruchu kolano dawało się we znaki. Roztarł je dłonią, podniósł głowę i przejechał lornetką po dachu.

Pusto.

Wydłużyły się tylko cienie betonowej bariery, a z wywietrzników znikły czerwone plamy słońca. Spojrzał na nadbudówkę i drzwi. Żadnych zmian. Tuż pod gzymsem okna biura Tukadijana lśniły perłowo i odbijały niebo i obłoki. Lecz przez szpary skośnie uchylonych szyb widać było wnętrze i puste, posprzątane biurka.

Odruchowo już przejechał spojrzeniem po dwóch niewynajętych piętrach, szkarłatnym neonie Crédit Libano-Alsacien, i wyostrzając obraz utknął na obszernej sali posiedzeń.

On tam stał.

Zapalony przed chwilą żyrandol mrugał rurkami jarzeniówek, lecz po chwili, gdy światło zintensywniało, twarz Eponge'a podплыnęła dotykalnie blisko. Przypomniały mu się twarze w skrzyżowaniu niebieskich linii lunety jego remingtona.

Drgnął. Instynkt?

Złudzenie — mówił Reuken. — Przyzwyczaisz się. Nasi pacjenci to nie zwierzyna, czujna nawet pod wiatr. Przeważnie myślą zwyczajnie, o interesach, kobietach, wódce.

Rozprężył się i uśmiechnął. Nad lewą brwią Eponge'a, skosnie, aż do połowy czoła, czerwieniła się krecha przypudrowanej blizny.

Rozstawił nogi, wygodnie oparł łokcie.

Ach tak? — wycedził Nujens przez zęby. — Bawiłeś się w bohatera, Eponge? Podoficerska szkoła w Algierii... Brzydko. Zdenerwowałeś chłopców, no i mała lekcja. Ale chyba teraz zapamiętasz? Tylko cztery punkty... Cztery proste, następujące po sobie czynności.

Mocno przywarł do lornetki i obserwował jego zamyśloną twarz.

Szok, mój drogi! — Ściągnął ironicznie usta. — Mimo to trzymasz się? Pogratulować. Ciemne ubranie, świeża koszula... Dystyngowany urzędnik. No cóż? Czas działać. Co przyrzekłeś chłopcom, robaczku? Punkt pierwszy.

Eponge, jakby prowadzony jego myślami, obszedł stół i szeroko otworzył okno.

Prawidłowo, stwierdził Nujens, ale zaraz zmarszczył brwi. Tego nie było w programie — syknął, widząc, jak tamten wychyla się na ulicę. Sprawdzimy. Sprawdzimy wszystko.

Zaciął usta i zjechał lornetką do chodnika. Zwykle parkowały tu samochody, ale teraz był pusty, a w parterowych wystawach Banco di Roma żarzyły się już światła. Po nocnej i rannej strzelaninie ruch na El Hamra był nieduży. Wprawdzie jezdnię spływały jeszcze samochody, lecz jechały szybko w stronę nadmorskich hoteli lub skręcały w El Mraise, gdzie restauracje i kawiarnie czynne były do późnych godzin nocy. Nieliczni

przechodnie dopadali jeszcze otwartych sklepów, robili ostatnie zakupy i szybko ginęli w bramach domów.

Spojrzał na róg przeciwległej ulicy, gdzie jak zwykle nad wózkiem pomidorów kiwał się stary Arab. Nujens słyszał jego gardłowy głos nawet w nocy, kiedy wybuchy bomb i strzelanina zbliżały się do śródmieścia.

W porządku.

Uspokojony znów spojrzał na salę posiedzeń. Żyrandol właśnie zgasł, ale Nujens zdążył jeszcze zobaczyć znikającego za drzwiami Eponge'a.

A teraz... punkt drugi! — szepnął. Odprawić dyżurującego Nagiba. To potrwa dobre piętnaście minut, nim tamten zdejmie mundur portiera, włoży spodnie i bluzę i ruszy przygarbiony w stronę swojej dzielnicy.

Odłożył lornetkę i cofnął się do pokoju. Okna były jeszcze jasne, lecz mrok zacierał już deseń dywanu i wspinał się na ściany i meble. Złożone lustro oscyloowało perłowo. Przynął blisko twarz. Odbicie było wyraźne i zadowolilo Nujensa. Gładkie policzki, zniknęły worki pod oczami, a szare spojrzenie było spokojne i chłodne. Zatarł ręce. Zaskakuję, pomyślał. Koncentracja!

Reuken, choć nie był profesorem filozofii, ujmował to doskonale. Uśmiechnął się na wspomnienie więzienia i tego suchego, szeleszczącego głosu:

Nie wiem, co będziesz myślał w chwilach szczytu, blanc bec.

Kiedyś wydawało mi się, że tylko ja... ale pytałem tych z branży. Niby różnie... O przygotowaniu miejsca, pieniądzech, planach na przyszłość, jednakże refren ten sam. Taki rachunek sumienia. Czy rozliczenie? Jakbyś wyciągał korzenie, z których

powstałeś. Upewnić się, że jesteś, a to, co ma być, jest tylko logicznym ciągiem. Wtedy wszystko jasne, żadnych wahań. I to jest ta konieczna pewność!

Naturalnie, że nie spowiadasz się jednym tchem jak przy konfesjonale. To się przeplata z rzeczywistością. Czyścisz broń i raptem wyskakują sceny z dzieciństwa, młodości, jak pucowałeś ulubioną zabawkę lub buty przed randką. Pijesz kawę i na dnie filiżanki miga ci twarz pierwszego pacjenta. Zjadasz krwisty stek. Niby smakuje. Soczysty. Pieprzny. Trzymasz taki pachnący kęs na widelcu i nagle spojrzenie za szybę restauracji. Kamienica, brama, klatka schodowa? Podobne. Wkładasz do ust mięso, ale i pytanie. Gdzie to było? Oczywiście. I już gryziesz z widokiem tamtego miasta, ulicy, miejsca. Przeżuwasz historię. Nagle przełykasz ze zdumieniem. Przecież tamtego dnia też jadłeś taki stek i... myślałeś kropka w kropkę to samo! Cykle, blanc bec. Koła. Nie wyjdiesz z nich. Zawsze w środku!

Zegar na konsolce cykał miarowo.

Porcelanowe płatki lilii okalały błyszczącą tarczę i znów drgnęła strzałka wskazówki.

Siedemnaście po szóstej.

Za niecały kwadrans ponownie rozdzwoni się sygnaturka na kościele Serca Jezusowego. Pobożni jezuici opuszczą dziedzińiec i wejdą do kościoła na wieczorną modlitwę. W dwie czy trzy minuty później, gdy ostatni błysk słońca dotknie iglicy latarni morskiej, od ciemnych sylwetek gór oderwie się mrok i ruszy na miasto. Wtedy z minaretu rozżali się śpiewnie głos muezzina. Gardłowy, utyskujący odbije się od ulic i dachów i uderzy w niebo.

Nujens usiadł w fotelu i oparł ręce na poręczach.

Masz rację, Reuken, to się przeplata.

Poruszył palcami. Były elastyczne, sprawne, czułe jak

instrumenty. Tkwiła w nich pamięć wszystkich dotyków — chłodnych, ciepłych.

...Rączka walizki była ciepła, chropowata. Kiedy stawał walizkę na stole w kantorku stacji benzynowej przy Forsthausstrasse, rączka opadła stukając matowo, jakby ktoś pukał w obite skórą drzwi.

Siedzący nad rozłożoną „Frankfurter-Allgemeine” podnosił powoli głowę. Nujens widział świecąca półkulę czaszki, później słomiane brwi, jasne szpary oczu i wreszcie rozlaną twarz Melkera. Cofnięty podbródek wyskakiwał zawsze z tym samym pytaniem: „Ist es alies in Ordnung?”

W odpowiedzi kiwał głową.

Były to chyba najkrótsze rozmowy, jakie miał w swoim życiu. Kiedy Melker zabierał walizkę i znikał za przepierzeniem, Nujens zdejmował kapelusz i patrząc w lustro poprawiał czuprynę.

— Sehr gut, Herr Hagen! — szeptał.

Akcent miał już miękki, bawarski, a lamowana marynarka była bardziej przekonująca niż najlepiej podrobiony paszport. Słowa wyszeptane przed lustrem były dopełnieniem lakonicznej rozmowy z Melkerem. Słyszał skrzyp jego butów za kotarą. Obserwuje mnie, błyskała myśl, i wtedy obojętnie ogłądał sobie paznokcie.

Tamten za chwilę pojawiał się i stawał walizkę na stole. Dokładnie w tym samym miejscu. Były w niej teraz tygodniowe zestawienia obrotów i dwie bańki oleju ekstra, dla mercedesa. Przez chwilę patrzył na Nujensa wodniście, kładąc palec na tarczy ręcznego zegarka. Stał na tle okna i Nujens, patrząc nań, widział auta mknące w kierunku lotniska i chłopaka myjącego szyby jego mercedesa.

Melker kiwał głową.

Oznaczało to następny piątek i odlot boeinga do Buenos

Aires o 13.45. Dla Nujensa była to 11.45, dokładnie dwie godziny przed odlotem, gdy dostarczał na Forsthausstrasse spreparowaną, gotową do wysyłki heroinę.

Interes był prosty.

W każdy wtorek odbierał surowiec na stacji benzynowej przy Alte-Hauptwache, tuż koło ruchliwego Zeilu. Samolot z Bejrutu lądował we Frankfurcie o 18.30. O godzinie dwudziestej Nujens wychodził z podręczną torbą ze swego mieszkania na Blumenstrasse i nie spiesząc się kupował pieczywo.

— So wie gewöhnlich, Herr Hagen? Zwei Butterbrote und zwei Schwarzbrote... Nicht wahr?!

Dziewczyna sięgała pod ladę i przez chwilę Nujens widział jej biust pachnący chlebem i ciastkami. Gdy byli sami w sklepie, ujmował jej podbródek.

— Nicht wahr? ! — przedrzeźniał. — Schatzi? Kannst du heute zu mir kommen... Kognak trinken?

Miękko opierała podbródek na jego dłoni, a usta wyrzucały się apetycznie. „Mädchen mit offenen Lippen.” Dziewczyny z rozchyłonymi ustami... Najlepsze porno w kinie na Kaiserstrasse.

Chleb był pulchny, miękki, jak wałki oleistej masy, które odbierał przy Alte-Hauptwache. Dziewczyna zawijała bochenki w papier firmowy. Układali je razem w torbie i ręce ich spotykały się, gdy wciskał jej swój klucz od mieszkania.

Przed północą wracał mercedesem z Bockenstrasse, gdzie mieściło się laboratorium. W mieszkaniu było ciemno, ale od damskiego płaszcza pachniało świeżymi ciastkami. To naprawdę dobry film, ten na Kaiserstrasse, myślał wchodząc do pokoju.

Nujens zdjął ręce z poręczy i przeciągnął się leniwie.

Seks?

Mały problem, mówił Reuken. My te przygody liczymy na sztuki. Segregujemy według koloru włosów, obwodu w białym, biodrach czy temperamentu. One przeliczają to na prezenty lub pieniądze. Rachunek wyrównany. Klęska, gdy coś trwa dłużej i nie można się odkleić. Wielki problem. Stajesz się bezbronny.

Czasem dłuższy układ ma dobre strony. Pamiętasz? Wtedy, w więzieniu regularnie dostawałem paczki. Po zgaszeniu światła urządzaliśmy wspólne kolacyjki. Chrupiące grzanki, maselko, szyneczka... To rozpałało wyobraźnię! No i nie traciło się formy.

Eliza Roselare.

Zrewanżowałem się jej po wyjściu. Prawie tydzień nie wychodziliśmy z łóżka. Ale był garniturek? Był. Koszula, krawczyk, no i kieszonkowe. A nawet nie taka kiepska przyszłość. Tylko że już tkwiłeś we mnie i w tych adresach, których wyuczyłem się na pamięć.

W dwa tygodnie później chciałem się po cichu ulotnić. Już ubrany zajrzałem do sypialni. Pusta. W kuchni paliło się światło, pachniała kawa i przygotowane kanapki. Eliza miała na sobie szlafrok, który lubiłem najbardziej. Bordo, w japońskie róże, a gdy poruszała się, krótkie, szerokie rękawy odsłaniały ręce aż do ramion. Ciepła, księżycowa skóra...

Wiesz, Reuken? Nikogo jeszcze tak szczerze nie ucałowałem na pożegnanie.

Szukałem później takiej.

Wydawało się nieraz, że... już. Gładka szyja i ten sam energiczny chód, w którym chwiała się wszystko co trzeba. Doganiałem. Ale później, nie to... O, nie.

Nie tak łatwo znaleźć. Tyle warunków?

No, pomyśl, Reuken. Nie może być bardzo młoda. Tacy jak my... nie do wychowywania dzieci. Dojrzała? Właśnie, ale... Taka jeszcze na drzewie. Gładka, pachnąca, wyrumieniona słońcem.

Szkoda, że nie żyjesz, profesorze!

Tego dnia, gdy opuszczałem celę, twoja radość przerastała moją. Myślałem o tym. Właśnie w tych godzinach szczytu. Jesteś. To był twój najlepszy numer, Reuken. Wyszedłeś razem ze mną.

Ciało? Gruźlica. Stare jak znoszone ubranie. W dwa lata później rozplynęło się, jak ciała innych z tego smutnego budynku, gdy nikt nie zgłasza się po zwłoki. Dymek i garstka popiołu.

Śmieszne. Miałem nieraz wrażenie, że pyłek przygnany wiatrem może i siada na muszce mojego remingtona. Nie potrzebujesz się przypominać, Reuken. Zostałeś ze mną.

Radość! Ale nie taka, jak po udanej akcji czy przy realizacji czeku, czy podczas beztroskiego wypoczynku z dobrze wypchanym portfelem. Uczucie wydostania się z brudnej, niebezpiecznej uliczki na szeroki, tętniący życiem bulwar. To szumiało, tętniło w skroniach i napępniało siłą.

Nujens poderwał się — chodził tam i z powrotem krótkim, energicznym krokiem. Miejsce, przedmioty, zmierzch były tylko ramą jednego jaskrawego obrazu.

Dwadzieścia po szóstej.

Podszedł do drzwi, lecz cofnął się jeszcze. Nalał sobie whisky i trzymając szklanekę ruszył korytarzem. Potem wszedł do sypialni Nabalziego.

Duszno i ciemno.

Nie zaglądał tu od tygodni, zajęty obserwacją ulicy i budynku. Wystarczał mu pokój, który mu odstąpił Nabalzi. Ciężkie zasłony tłumiły odbłask wieczoru. Pachniało skórą, lakierem i wełną. Włączył klimatyzację i zapalił nocną lampę.

Przedmioty drgnęły i przykucnęły nieruchomo. Cisza. Szum miasta wchłonął odgłos wentylatora. Musnęła go fala chłodnego powietrza.

Wypił whisky i podszedł do tapczanu. Narzuta tkana w srebrne arabeski, gobelin i dwa portrety. Twarz Nabulziego o ostrych, semickich rysach i ona.

Marta Nabulzi... Uśmiechnął się. Marta.

Podszedł do portretu.

...Gdy po raz pierwszy rozmawiałem z twoim bratem, nie wiedziałem, że tu jesteś. Piękna, uległa, bogata, szeptał. Nawet nie przeczuwałem.

Tak, teraz to wszystko nabiera sensu. Pierwszy zapach prochu, cela, Reuken. Byłaś już wtedy. Mała arabska dziewczynka, ale ze starego rodu Nabulzich. Przyzwyczajając się do zgiętych pleców służby, do natychmiast spełnianych zachcianek i atmosfery podziwu.

Dystans?

Oczywiście. Choć dla mnie dystans to odpowiednie ustawienie lunety remingtona. A dla ciebie?

Nujens uniósł dłoń. Z owalu fotografii Marta patrzyła na niego z pogardą.

Pamiętam! Uśmiechnął się. W „Holiday Inn”, dwa tygodnie po moim przyjeździe.

Twój brat wprowadzał mnie w interesy i właśnie przyszliśmy razem na ten cocktail.

Nie znałem tych imprez handlowo-towarzyskich. Miejscowa śmietanka. Dyplomaci, dyrektorzy banków, spółek handlowych, członkowie parlamentu. No i oczywiście żony, przyjaciółki, sekretarki. Odświętny tłum, protokół prezentacji, powitań i zaraz grupki poszukiwaczy zysku, kontaktów, protekcji.

Wchodząc przejrzałem się w lustrze. Bez zarzutu. Światła sali rzucały przyjemne refleksy na mają brązową czuprynę. Rozluźniona twarz pasowała do miejsca, ludzi i biletów wizytowych, które miałem w portfelu.

Albert Hagen. Assistant General Manager Dr. Joseph Nabalzi Import-Export Co.

Większość zaproszonych była jeszcze w hallu i przy szatni, ale w głębi, koło migającego światłami baru gromadzili się już goście. Obszedłem podkowę suto zastawionych stołów i zatrzymałem się.

Za szpalerem otaczających cię ludzi wibrował twój śmiech.

Cholernie drażniący. Śmiech — wyzwanie.

Przesuwam sznurka po zębach. Skrobanie blachy. Nie potrzebowałem się oglądać. Zawsze jednakowe twarze. Zawsze działa mi dłoń, żeby przerwać ten drażniący chichot tęgim policzkiem.

Ale wyzwanie przyjąłem.

Wiedziałem. Nabalzi uprzedził mnie, że będą cię otaczać ludzie najstarszych rodów. Najznakomitszych. W tym twoim kraju, pozującym na nowoczesność, arystokracja jak w średniowieczu. Nazwy największych ulic, placów. Ich władza 40 dziesiątki osad, wiosek, całe podgórskie okręgi aż do Bcharré i Cedrów. Władza bezwzględna. Odwieczna jak ich twarze, wycięte ze starych fenickich fresków. Klan uderzających podobieństw, krwi łączonej w tym samym kręgu. Czerwony odbłask złota... Przebijało spod jedwabnych koszul, błyskało w uśmiechniętych ustach, świeciło z sygnetów i bransolet.

Dlatego przyjąłem twoje wyzwanie, Marto.

Wszedłem między stojących i oparłem się o ladę, jak równy.

— Whisky! — rzuciłem głośno i spojrzałem na ciebie.

Wszystko zamarło.

Urwały się gesty, uśmiechy, znieruchomiał mikser barmana. Patrzyliśmy na siebie, Marto.

Moja teoria czasu.

Znów byłem w środku koła i przemieszczałem się błyskawicznie na jego obwód. Urywki wspomnień, rzeczywistość, przyszłość zlewały się z monotonnym szumem wentylatora i błyskiem światła.

Ach tak! Wstrzymywałem przyspieszony oddech. To przecież oczywiste! Przyglądałem się twojej twarzy. Natchnienie. Widziałem to, co ma nastąpić. Tak jak później w Baalbeku, gdy mocno ująłem twoje włosy. Twarze patrzące wtedy na nas z boku już były twarzami fresków. Tylko ty i ja byliśmy żywi.

Nad ladą baru światło zapalało się i gasło. Raz na twojej, to znów na mojej twarzy.

Wrażenie?

Mówiłem ci o tym, Marto. Mocne.

Szósta dwadzieścia trzy.

Nujens spojrział na zegarek i zgasił lampę. Blask neonu Credit Libano-Alsacien szkarłatnie barwił okno i zaraz gasł na zasłonach. Równe odstępów czasu. Przez krótką chwilę bure światło dotykało przedmiotów i portretu Marty. Wtedy zdawało się, że jej twarz drga, odwraca się od Nujensa, ale już bez pogardy, z nerwowym, przypominającym pytaniem.

Dobrze już. Dobrze, Marto. Pilnujesz mnie jak Reuken. Uśmiechnął się w jej stronę. Więc powtarzam jeszcze raz: wszystko jak w zegarku. Godzina dwudziesta w hallu lotniska. Nie podchodzimy do siebie. Dopiero w samolocie. Poznasz mnie łatwo. Granatowa marynarka, jasne spodnie, koszula w kropki i żółta, płaska walizka. No, jeszcze okulary w grubej, czarnej oprawie. Wszystko. Francuski turysta opuszczający w pośpiechu zrewoltowane miasto. Spokojnie, Marto, tylko półtorej godziny.

Dla mnie — trzydzieści siedem minut.

Znów czas. Miękka, plastyczna masa. Można ją rozciągać, wydłużać, skracać. A do tego jeszcze katalizator alkoholu. Skrzydła.

Ile wypileś, Nujens? Obliczał. Jednorazowa dawka,, sześćdziesiąt gramów. W pokoju, w łazience. To dwa. No i teraz tu, w sypialni. Sto osiemdziesiąt. Trzysta to moja norma. Gwarancja szczytowej formy. A ty, Reuken? Doszedłeś do pięciuset. Przysięgałeś, że strzelało ci się bezbłędnie. Twoje zdrowie, stary! Za wspólny urlop... oczywiście z Martą! Wysączył do końca szklanę. Znów świeży strumień ciepła i myśli.

Śniadanie u Hamilkara będzie uroczyste i na pewno długie. No, ale najpóźniej do piątej. Przyjdą tu prosto z rue d'Amérique. Niedaleko. Nawet z ewentualnym objazdem niebezpiecznych ulic najwyżej kwadrans. Powinni być punktualnie o siódmej. Hamilkar usiądzie na wprost otwartego okna. Dopilnuje tego Eponge. To jego trzeci punkt, który mu tak mocno wbili do głowy chłopcy Nabulziego. Punkt czwarty... Gdy Hamilkar odmówi przyjęcia pieniędzy i wydania dokumentów (zbyt dobrze go znam, zrobi to z pewnością), Eponge zabierze teczkę i przejdzie do końca stołu. Nabulzi podniesie się i stanie na drugim końcu. Reszta to ja!

Złożył ręce, długie, chłodne palce zetknęły się. Łatwy, naprawdę łatwy strzał. Czterdzieści pięć metrów. Kąt nie większy niż czterdzieści siedem stopni. Sprawdził. Soczewka obejmowała cały blat stołu. Jeśli będzie siedział prosto, nawet odchyłony, to trzy czwarte twarzy. Gdy pochylony... kawałek czoła, ale czaszka aż do potylicy. Oczywiście z podpórką. O siódmej będzie już dobrze ciemno i śmiało mogę się wychylić. Po strzale...

Dajmy spokój! — przerwał tok myślenia. Wiadomo, że niedługo i nieuniknione. Po co te spekulacje? Szkoda nerwów.

Dopiero jak cel będzie w środku soczewki. Prawda, Reuken?

Nujens wciągnął głęboko powietrze. W sypialni było przyjemnie chłodno. Monotonny szum włączonej klimatyzacji, półmrok i migająca jak w porozrywanej taśmie filmowej twarz Marty Nabulzi. Sekundy jak pęczniejące krople wody. Naciekały wolno, cierpliwie i... plusk!

Szósta dwadzieścia cztery.

Tarcza zegarka fosforyzowała niczym świetlne koło. Sacré Dieu! Uśmiechnął się. Gdybym nie wplątał się w to strzelanie i ukończył na przykład filozofię? Kto wie... Mam przecież zaciecie. Co to ja takiego kiedyś powiedziałem? Aha: życie to nie kolejne dni, jak ponumerowane strony pamiętnika. Droga... a słupy milowe to nie czas, ale przeżycia. Ważniejsze niż całe miesiące i lata wegetacji. Słupy milowe i ścieżki. Pozornie przypadkowe, ale zawsze wybierane siłą pragnień.

Wstrzymał oddech zafascynowany coraz wyraźniejszym obrazem. Wszystko było potrzebne. Antwerpia, cela, Reuken, paryska znajomość z Maurice'em, to wciąż jeszcze bolące kolano i tamto miasto nad Menem. Frankfurt.

Nie taki znów wielki, ale Babilon. Mozaika twarzy, ras, upodobań. Co czwarty frankfurczyk to obcokrajowiec. Turcy, Marokańczycy, Włosi i trochę Słowian. W tłumie ginie się bez śladu. Można jedną ulicą przechodzić dziesięć razy dziennie. Nikt nie zwróci uwagi, nie rozpozna.

Z początku chciałem ufarbować włosy, pomyślał z uśmiechem. Niepotrzebne. W kawiarni przy Alte-Hauptwache zawsze żarzyło się od rudzielców.

Szybko wskoczyłem w skórę Alberta Hageny. Moje życie? Dokładny, niemiecki zegarek. W każdym tygodniu dwa razy

wysuwały się palce do jego tarczy. Gruby, rozplaszczony Melkera z Forsthausstrasse i wąski, spiczasty tego z Alte-Hauptwache.

Na Boskenheimer... towar wydawał mi zawsze właściciel. Wieczorem, kiedy laboratorium i biuro świeciły pustkami. On... taka przerysowana karykatura Einsteina. Długie, siwe włosy, balon czaszki i poplątane sznurki kończyn. W świetle lampy to biały fartuch suszący się na wietrze. Rozmowa? Pojedyncze słowa, i to nie zawsze. Może w ciągu miesiąca było tylko to jedno skąpe zdanie.

Rozmowę prowadziłem, dopiero w biurze Vacuum Oil Co. Dwudzieste drugie piętro, szklane pokoje, puszyste chodniki, automatyczne popielniczki z gwiazdzistymi porporczykami i gabloty z modelami tankowców.

Co tydzień składałem raporty. Zabierała je szczupła panienska w białym fartuchu i z piersiami jak dwa piegi. Gdy mówiła „of course”, wyglądało to tak, jakby przez nieuwagę polykała gumę do żucia. Widziałem przez szybę, jak dziurkuje na taśmie dane moich raportów, później wkłada to w komputer, fioletowe błyski lampek i za chwilę gotowe zamówienie.

W końcu każdego miesiąca kwitowałem wynagrodzenie i wtedy czasem widziałem bossa. Odpowiadał na mój ukłon przyjaznym gestem dłoni, a później oglądał się z malującą się na twarzy rozterką. Dwa piegi w białym fartuchu wyjaśniały, że ma słabą pamięć i nie zna wszystkich kontrolerów. Również co miesiąc były przekazy z Paryża.

Kolano leczyłem w klinice Wolberta. Namawiał mnie do nadsztukowania ścięgna, ale nie chciałem ryzykować. Plastyk? Ohyda! Wszędzie... począwszy od łazienki, kubków, szczotek do zębów, sedesu, aż do zwietrzałej szynki zapakowanej też... w

plastyk. Ciało. Nawet uszkodzone, ale krwiste. Zresztą po pół roku chodziłem zupełnie znośnie.

Życie prywatne?

Zabijanie... tym razem czasu.

Chodziłem na pływalnię i zapisałem się do klubu strzeleckiego w Dusseldorfie. O nie! Nie zdradzałem swoich możliwości. Dziurawiłem tarcze i sylwetki według fantazji. Numery telefonów, losy loteryjne, daty wypadów do Ameryki Południowej lub planowanych spotkań z „chlebową Schatzi”. Instruktorzy cierpliwie zmieniali mi broń, naboje, pouczali dyskretnie, a w końcu poprzestali na tolerancji.

Jednostajność.

Przebudzenia to spojrzenie na zegarek. Automatyczny kienzle, z wyskakującą datą i skalą z nazwami światowych metropolii.

...Tam gdzieś czerniały noce, płonęły południa, opalizowały świty i zachody. Zapach! Mórz, oceanów, słonych plaży i krwistych argentyńskich steków. Estakady spływających aut, porty, lotniska, tunele metra, ruchliwe, nowoczesne centra i podniecający szelest tłumu.

Blumenstrasse. Cicha ulica. Emeryci i zgrzytający protezami bohaterowie ostfrontu, zardzewiali jak historia ostatniej wojny. Czas zsuwał się leniwie. Widoczny na tarczach zegarków sklepów jubilerskich na Zeilu, na gotyckich wieżach kościołów i ratusza i w poczekalniach kolejki podziemnej.

Gdy wieczorem wysiadywałem w kawiarni... Tłum był płaski, szary w zmierzchu jak nadgryzione tynki domów. Wiało nudą.

Chandra. Znajoma z celi 223. Wyłączenie światła. Wszystko szarzało. Obce, wrogie, bezsensowne. Nawet Reuken ze swoim powtarzającym się repertuarem. Zrywałem się, chodziłem po celi, specjalnie zwracając uwagę na przedmioty, lekceważąc ich ostre

kanty. Szamotanina. Bagno. Każdy ruch pograżał.

Wieczorami w domu na Blumenstrasse sen odlatywał. Gorączka oderwanych, skłębionych myśli.

Blanc bec, mój żółtodziobie. Więzienie trzeba przechorować jak tyfus. Wytrzymasz? Przejdzie! Tamci... (Reuken głąkał dłonie, jakby wygładzał rękawiczki. Rozumiałem, że myśli o przedstawicielach prawa) wiedzą o tym bardzo dobrze. Oni liczą na to! Dlatego zabierają ci pasek, sznurowadła. Wiedzą, że jak cię weźmie chandra, połkniesz łyżkę, skorzystasz z nieuwagi fryzjera lub drzemki strażnika i zaczepisz ręcznik o kratę. Na jego drugim końcu jest wolność.

Myślałem i o tym, Reuken.

Ciemny pokój, bezsenność, papierosy i przewieszane przez krzesło ubranie. Albert Hagen-posłaniec, zwykły roznosiciel paczek. Srogi wyrok!

Powracałem do paryskiej rozmowy z szefem. Niewyraźny zarys twarzy i ostra biel wysuniętej w światło ręki. Nerwowy, niecierpliwy, wykluczający możliwość wtrącenia choćby jednego słowa. Przykazania. Twarde! Przyschnąć, żadnych kontaktów, korespondencji. Tylko wykonywać polecenia.

Zrywałem się z łóżka, wyciągałem wóz z garażu i po chwili drążyłem noc autostradą na Wiesbaden. Sto dwadzieścia... sto czterdzieści, sześćdziesiąt!

Migały skrzyżowania, stacje benzynowe, miasteczka, osady i znów samotność uciekającego asfaltu.

Za Wiesbaden Ren wyglądał jak tunel metra. Srebrne szyny rzeki i strome wąwozy brzegów. Poświata gwiazd spadająca ze stropu na bure winnice i baszty starych zamków. Zgrzyt hamulców i czerwone światła przejazdu.

Opuszczałem szybę i wdychałem chłodny zapach rzeki. Pędzący pociąg rozrywał ciszę nocy i gdy ginęły rozświetlone

wagony, myśl powracała. Za przejazdem zjeżdżałem na pobocze i potem wspinałem się pod górę, aż do utraty tchu. Zmęczony siadałem na twardej, gliniastej ziemi.

Co on myślał? Co myślał, gdy żegnając się ze mną powiedział „...no a później zobaczymy”. Skąpe słowa i szeroki margines na wątpliwości.

Czasami w dole zapalały się smugi światła i wyskakiwały samochody. Gładkie, lakierowane pociski rozpryskujące się za chwilę w mroku.

Pionek! Oni o mnie wszystko, a ja... nic. Nie znam nazwisk, adresów. Ich zamiary? W tej branży wszystko możliwe. Gra idzie o całe korytarze przemytu. Może trzeba poświęcić małą, niewiele znaczącą ścieżkę dla zasłonięcia głównej drogi?

Ból zaciśniętych szczęk.

W czym tkwię? Te parokilogramowe ładunki i trzech zużytych przez „hero” dżentelmenów?

Wracalem. Zostawiałem wóz w garażu, a sam włączyłem się jeszcze. Bary, spelunki na Kaiserstrasse i szukanie zaczepki.

W tych godzinach przed świtem były to już cmentarze wypełnionych popielniczek, pijani sutenerzy, brodaci narkomani i spłowiące ze znużenia prostytutki.

Nujens wzdrygnął się i potarł czoło. Cholerne dni! Wspomnienie, a jeszcze boli. Ale było potrzebne, właśnie dla tej dzisiejszej godziny. Układa się. Logicznie.

Ominął portret Marty i wpił wzrok w twarz Nabalziego. Trochę sataniczny w migającym szkarłacie neonu, ale on!

Tak wyglądałeś, bogaty staruchu. Nujens skrzywił się ironicznie. Właśnie tak, gdy zapukałem do twego pokoju we Frankfurcie. Nie tak dawno... W kwietniu, mój drogi!

Frankfurcka wiosna. Dla mnie druga w tym mieście. Na ogół nie zachwycam się krajobrazami. Drzewa, słońce, chmury, deszcz... Dla mnie miały wymowę osłony, widoczności czy też poślizgu opon na jezdni. Na początku zaciekała mnie egzotyka Ameryki Południowej. Ogrom metalicznego odbłyśku oceanu, dziwaczne wierzchołki gór, araukarii, eukaliptusów, palm i drgające upałem perspektywy tych wszystkich „piazzas” i „avenidos”. Lecz to zniknęło szybko, jak widok z samolotu, pociągu czy auta.

Na trwałe pozostały wnętrza salonów samochodowych i sklepów z bronią. Lekkie, połyskliwe pozeracze przestrzeni. Panhardy, cadillaki, dodge, porsche, automatyczne skrzynki biegów, ekran półkolistych szyb, klimatyzacja i stereofonia. Dotykałem karoserii, klamek, uchwytów i nieomal magicznych kolorowych przycisków. Wszystko w zasięgu ręki, oszczędnych ruchów.

Krajobrazy?

Nie dla mnie. Może po prostu nie rozumiałem ich piękna. Lecz pojmowałem przejmujące ciepło i czujność palców, gdy na dłoni ważyłem enfielda, sprawdzałem spust remingtona i jego smukłą kolbę wślizgującą się bezbłędnie w zagłębienie barku. Niebieskawe soczewki lunet, lornetek przybliżały mi świat. Niewidoczny przenikałem w sylwetki, twarze, w daleko zaparkowane samochody. Broń, auto, lornetka — atrybuty mojej władzy.

— Koniec kwarantanny!

Słowa wyskoczyły zza moich pleców, tak blisko, że poczułem znajomy zapach tytoniu, whisky i mocnej wody kolońskiej. Przed chwilą minąłem pełne tulipanów klomby przed Alte-Hauptwache. Na wieży kościoła wydzwoniła druga, gdy skręcałem do Zeilu, i zauważyłem faceta na odległej ławce, jak machał

ręką do przechodzącego tłumu.

Przed wystawą salonu samochodowego zapaliłem papierosa. Za szybą rozkwitały kolorowe karoserie samochodów. Ścielił zgiełk ulicy. W błysku wystawy przeciągające nad głową obłoki, a w dole magia sylwetek i cyfr. Porsche 74! Osiemnaście tysięcy marek. Starczy, pomyślałem o koncie bankowym i wpiłem wzrok w ciemnozieloną karoserię. Cacko.

Wystarczy. Zaciągnąłem się głęboko. Wiatr zdmuchnął dym i w szybie pojawiła się głowa.

— Koniec kwarantanny! Nie poznajesz? Kiwałem do ciebie na placu.

Odwrociłem się trafiając ręką w wyciągniętą dłoń Maurice'a.

Do późnej nocy rozbijaliśmy się taksówkami, szlifowaliśmy łokciami lady barów, stolików w nocnych klubach, spijaliśmy szatańskie mieszanie drinków.

W jasny krąg światła wpadła naga, w długich butach, Rita Barone. Świst pejsza i tusz orkiestry.

— Przyjechałem cię podmienić, stary.

Pulchna ręka Maurice'a odsuwa niedopitą szklankę i zakreśliła w powietrzu półkole.

— Cycki niczego, ale biodra wąskie.

— Nie zmieniłeś się, Maurice — mówię. — Zawsze ta skłonność do żeńskich perszeronów.

Na parkiecie przelewają się wysrebrzone światłem fale włosów i już chrypi piosenka-deklamacja.

— Jutro o dziewiątej... — rzuca Maurice. — Frankfurterhof pokój dwieście trzydzieście. To Libańczyk, stary znajomy szefa.

— Omen! — szepczę mu w ucho. — W Antwerpii, stary, ten mój zakratowany pokój miał numer dwieście dwadzieścia trzy. Wiele się tam dowiedziałem. Może tu dowiem się jeszcze więcej.

Maurice chichoce. Jest zadowolony. Dwa steki, szparagi wiosenne, no i oczywiście... Sięga po szklanke, pije i dyskretnie wyciera palcem usta. Półgłosem:

— Nabulzi. Trochę dziwne, ale to Bliski Wschód. Pamiętaj! W recepcji doktor Nabulzi.

Rita strzela pejcem, pochyla się i chwieje naszprycowanym parafiną biustem. Maurice odyma wargi.

— Taaa... Zdrowe dydki! Krótkie milczenie.

— A ta nowa partanina, stary?

Tym razem milczenie trwa dłużej. Maurice odsuwa się trochę. Jest w tym czujność, obcość, zastanowienie. Na parkiecie zmiana świateł i numeru. Złoty od farby kulturysta. Maurice odwraca z niesmakiem głowę i niedbale macha ręką.

— Zresztą i tak wyjeżdżasz... No, w twoim zawodzie, stary. Tam gorąco i ten libański nabab rżnie w portki. W tym rzecz, że nie ufa nikomu.

— Nikomu — powtarzam. — To bardzo dobrze.

Ma widocznie powody, pomyślałem wpatrując się w bursztynowy koniak na dnie. Wypiłem. Ciepło słońca i rozległy, fascynujący horyzont.

Na parkiecie kulturysta napinał mięśnie w zmieniających się falach światła. Wyglądało to, jakby ktoś wpychał mu pod skórę kamienne bryły.

Ten nabab ma powody, pomyślałem znowu. Moi dotychczasowi zleceniodawcy to szare sylwetki z drugiej strony biurka i suche, skąpe słowa. Tego Libańczyka jeszcze nie widziałem, ale boi się, a to już barwa. Interesujące.

Sygnaturka na kościele Serca Jezusowego wydzwania w pół do siódmej. Odgłos odbija się srebrzyście od ulic i dachów, głuży szum samochodów na El Hamra.

Nujens tkwi w chłodnym mroku sypialni. Nie słyszy już monotonnego szumu klimatyzacji, a nawet śpiewnego nawoływania handlarza. Myśli ma jasne, zwięzłe.

Cztery miesiące.

Czas. Niby biegł normalnie. Dni, noce, tygodnie... Słońce wędrowało od pustyni syryjskiej i codziennie jednakowo wyskakiwało znad ciemnych garbów gór. Przez kilkanaście godzin grzało, paliło beton i asfalt miasta i znów, jak co wieczór, czerwone tonęło w morzu. Czas nad tym miastem, pod wędrującymi odwiecznie gwiazdami, nic nie zmieniał. Warstwa życia? Cienka. Do wysokości orłów unoszących się nad górami i samolotów podchodzących do lądowania.

Tu w dole rytm życia był zdradliwy, gorączkowy. We Francji, Włoszech, w Ameryce Południowej czy na Karaibach też było niespokojnie. Strajki, manifestacje, rebelie, zmieniające się dyktatury, terroryści, gangi i mafie. Nujens wiedział, jak czytać gazety. Lokalne zawieruchy i niepokoje znajdowały wytłumaczenie w oklepanych rzeczownikach. Problemy społeczne, odwieczna zawiść biedni-bogaci, miedź, nikiel, złoża uranu czy nafta.

Tu w Libanie, na małym skrawku ziemi, problemy te nabierały wyjątkowej ostrości. Przedpole państw-zbiorników nafty, penetracja rozdmuchiwanej sztucznie potęgi Izraela, konfrontacja islamu z chrystianizmem, zacofania z bezduszną nowoczesnością, zapewniającą bogacenie się bogatych i coraz gorsze bytowanie biednych. Wreszcie chytre, podstępne wydzieranie sobie tłustych kęsów naftowej koniunktury.

Nujens śmiał się w kułak z miejscowej i zagranicznej prasy i fałszywych sloganów, którymi wyjaśniano źródła „czwartej rundy”. „Bejrut Belfastem Bliskiego Wschodu”, „Obozy palestyńskie to arsenały i zarzewie rozruchów”, „Liban — mozaika

szczepów, sekt i orientacji”, „Porachunki rodów, kast i mafii...”

Przez te cztery miesiące otarłem się o to tak blisko, jak żaden dziennikarz czy korespondent, pomyślał z uśmiechem. Cóż oni? Przyjeżdżają za pieniądze różnych odłamów prasy, żeby zebrać trochę nazw miast, osad, frakcji, nazwisk wpływowych ludzi i zrobić parę efektownych, w miarę rzewnych zdjęć potwierdzających gotową już opinię.

Otarłem się jak nikt... Sacré Dieu! Widziałem ten pasztet z góry, z dołu, z zewnątrz, od wewnątrz. Okiem opatrności mojej snajperskiej lunety, wszechmogący dzięki lufie remingtona, wszechwiedzący dzięki Nabulziemiu i jego radcy Tukadijanowi. A te niezapomniane akcje i nocne wypady, gdy poznawałem miasto i ludzi?

Poznawałem na rautach, cocktailach, w barach i klubach nocnych jako szukający wrażeń turysta. Luksusowe lupanary i domy gry, różne zakazane spelunki, gdzie haszysz, hero i kokaína dostępne są jak pomarańcze, przez cały okrągły rok.

Esencja? Złoto, biżuteria i dolary. Złoto błyszczało w marońskich krzyżach, w plakietkach z wersetami Koranu, wśród brylantów i pereł na smagłych szyjach kobiet w Casino du Liban. Zielone sukna rulety i stolików karcianych wchłaniały fortuny naftowych szejków.

Poznawałem i cieszyłem się skrycie — oto jestem w kraju, gdzie wszystko uchodzi bezkarnie. Tu nie ma problemu kodeksu, są tylko ceny odpowiednie do paragrafów. Wymarzona oaza.

Poznawałem też i drugi świat. Mimo woli i ze wstrętem. Ohydną nędzę kasby, sparszywiałych od wrzodów starców i rachitycznych wyrostków utyłanych w kurzu i błocie. Dno piekła palestyńskich obozów. Nory wygrzebane w ziemi, pełne

wynędziałych kobiet z buklakami wyschniętych od ssania piersi. Mężczyźni? Strzępy ludzkie, o zgasłych, półoślepiętych oczach, wypatrujących na próżno drogi powrotu do kraju.

Uchodziłem stamtąd w pośpiechu. W hotelu brałem gorący prysznic, żeby zmyć odór, kurz i lepki dotyk much obsiadających rojami wszystko dokoła.

A gdybym tak urodził się wśród nich? Myśl była upiorna, ale natychmiast rodziła się odpowiedź. Nujens, braciszku! Zapewniam cię, że robiłbyś to co teraz, tylko częściej i z prawdziwą nienawiścią.

Podniósł się i jeszcze raz spojrzął na migające portrety. Błysk, szkarłat i utkwione w nim spojrzenie. Gdy neon gaśł na chwilę, twarze oddalały się, ale i tak miał je zawsze przed oczami.

— Doktor Nabulzi?

Wyrwany ze snu w pierwszej chwili nie dosłyszał pytania. Zapalił lampkę i mocniej przycisnął słuchawkę.

— Czy doktor Joseph Nabulzi?

Głos był chrypiący i niewyraźny.

— Tak, Nabulzi. Słucham?

— Proszę nie odkładać słuchawki.

— Słucham... słucham! — powtórzył odciągając rękaw piżamy.

Zegar na stoliku cykał miarowo. Dochodziła czwarta. Nabulzi dziwił się. Rozmowę z Buenos Aires zamówił na szóstą i ten telefon przed czwartą był co najmniej dziwny. Wstał z tapczanu i trzymając słuchawkę usiadł przy oknie.

Było jeszcze całkiem ciemno i za szybą błyszczały gwiazdy. Niżej, za wierzchołkami palm na tarasie, widać było mroczną

plaszczynę morza i białe plamy piany. Na wąskim skrawku plaży zobaczył Rolfa i Arisa. W odbłasku gwiazd widać było tylko czarne postacie. Kontury pistoletów maszynowych zwisających na piersiach i zadarte w górę daszki czapek. Stali koło przystani, opierając nogi o pomost, i widocznie musieli rozmawiać, bo gestykulowali żywo, wskazując na morze.

W słuchawce zatrzeszczało i niespodziewanie spłynęła melodia, żalący się głos Niny Fejruci opiewającej tragedię Petry.

Nabulzi znieruchomiał. To na pewno magnetofon, pomyślał. Piosenkę znał dobrze z Casino du Liban. Stara arabska opowieść o księżniczce poświęcającej syna dla ratowania szczepu, a kończyła się głośnym trzaśnięciem bata i oddalającym się tętentem koni.

Chwilę wahał się, czy nie odłożyć słuchawki, ale głos śpiewaczki drgał już końcową frazą. Po suchym strzale bicza i tupocie końskich kopyt zapanowała cisza.

— Halo! Halo! — rzucił niecierpliwie.

— Nie odkładać słuchawki — znów zaszeleścił głos. W membranie stuknęło coś i zaszumiało, jakby ktoś potrącił czy też przesunął telefon.

Nabulzi wstrzymał oddech. Głos teraz był mocny, wyraźny i wolno skandował słowa:

— Fakkir meljih iza beddak... Zastanów się dobrze, zanim opuścisz braci!

— Halo... Halo! Kto mówi?! — Poderwał się z fotela, czując, jak serce podchodzi mu do gardła. Kto mówi?! kto... — Zachłysnął się.

Po drugiej stronie ściszone, szyderczy śmiech i znów te same słowa:

— Fakkir... Zastanów się dobrze!

Pokój zawirował. Nabalzi puścił słuchawkę i ciężko opadł na fotel. Zsunęła się z kolan i zabujała jak wahadło zegara. Mikrofon oddalał się i przybliżał kończąc rozpoczęte słowa:

— ...zastanów się, zanim opuścisz braci!

Obudził się o siódmej.

Nasenny proszek szumiał jeszcze w głowie, ale zapewnił mu luksus niemyślenia. Wraz z jasnością dnia rzeczywistość powróciła.

Wstał i położył słuchawkę na widełki. Naddin zobromok! — zaklął. To na pewno ci parszywi maklerzy z giełdy. Podstępni, jadowici Ormianie... Mściwi jak Żydzi! Uchwycił się tej myśli, żeby odegnać najgorszą. Ja mam ciągnąć ich klientów z tego dna, które nazywa się „Rocher de Paradis”? To przecież tylko akcje, papiery, a one zawsze mają prawo iść w dół. Dlaczego mnie nie pytali, jak szły w górę?

Niech ich jasna cholera, tyfus, dżuma, trąd, skorpiony — miaotał chrapliwie chorobami i nieszczęściami, aż skończył na sępach szarpiących wątrobę. Zresztą... teraz to mam ich naprawdę gdzieś! Mogą mnie pocałować! Mam argentyński paszport? Mam! Że tu jestem? Tylko dla tego ostatniego interesu. Nietykalny! Wypreżył piersi z poczuciem całkowitego bezpieczeństwa.

Już od paru tygodni mieszkał u siostry, bo swój apartament przy El Hamra odstąpił sekretarzowi. To był najlepszy punkt obserwacji Crédit Libano-Alsacien, a przecież tam za niecałe dwanaście godzin ma zapaść decyzja w sprawie statków czekających na redzie. Siedem! Uśmiechnął się. Siedem odrapanych z farby greckich drobnicowców. Niby zakotwiczonych i czekających na kontrolę. W dzień z portu były prawie niewidoczne,

a w nocy nie paliło się na nich żadne światło.

Nabulzi... — szepnął z żarliwą, prawie pobożną miną, dotykając palcami krzyża i plakietki z werselem Koranu. Na Chrystusa, Allacha... — Gładził ich ciepłe kształty, podnoszące się i opadające wraz z oddechem. — Na Baala i Cedry! Czterdzieści lat prowadziłeś interesy, uczyłeś się od dziadka, ojca. Zrobiłeś doktorat z ekonomii i jeździłeś za granicę poznawać ludzi. Pojąłeś wiele rzeczy, ale i tę jedną, najważniejszą.

Prawdziwa mądrość tkwi nie w mózgu, ale we krwi przekazanej przez przodków. Mądrość pasterzy powiększających swoje stado. Nakaz pustyni, wody i bezwzględnego zabijania wilków, szakali i sępów.

Pochylił głowę. Całe życie byłeś tym bezwzględnym pasterzem i tak powiększyłeś stado przodków, że nigdy to się im nie śniło pod płótnem zgrzebnych namiotów. Nie śniło im się również, że ten zakątek ziemi zmieni się w głęboką dziurę tryskającą naftą i właśnie po nią wyciągną się chciwe ręce całego świata.

Ja, Nabulzi... Wyprostował się i uderzając dłonią w pierś, szeptał żarliwie jak modlitwę: ja, Nabulzi, pasterz dobry i bezwzględny wyprowadzam swoje stado do Ziemi Obiecanej. Nic i nikt nie może stanąć mi na drodze!

Dziś w nocy — wrócił myślą do statków — odłączą od sznura zakotwiczonych towarowców i przemkną poza krąg latarni morskiej. Wtedy z „Rocher de Paradis” wypłynie flotylla rybackich kutrów. Do rana... po wszystkim.

Saaba Jussuf... — rzucił przez zęby z uśmiechem. — Saaba! Jak wolisz? Seven, sept, wszystko jedno. Siedem statków o dziwnych greckich nazwach: „Filostratos”, „Temistokles”, „Dafne”... Mój ostatni interes w tym kraju — i oznacza siedem milionów dolarów.

Zatarł ręce. Dwudziesty drugi września. Zapamiętaj, Nabulzi. Dziś rodzi się nowy człowiek. Spokojny. Bogaty. I to jak bogaty. Przemknęły mu przez myśl sumy na kontaktach w Londynie, Szwajcarii i tego najważniejszego, w Buenos Aires. Przemknęła wizja willi nad oceanem, wysoki, biały mur... a za nim? Szczęście!

Nagle spochmurniał i poczerwieniał na twarzy. Nie saaba, Nabulzi... Już nie siedem. Westchnął głęboko. Wieczorna rozmowa z Martą zakłuła pod sercem.

Podła! W ostatniej chwili...

Załóżyl ręce do tyłu i podszedł do okna.

Willa Marty mieściła się w końcu ulicy Rebeiz, w dużym ogrodzie opadającym do morza. To była najspokojniejsza dzielnica Bejrutu. W pobliżu, frontem do Avenue de Paris, stała ambasada amerykańska, a za nią uniwersytet i rozległy park, już od miesięcy strzeżony przez czołgi i posterunki.

Mogą mnie pocałować! Przypomniał mu się znów poranny telefon. No, ale przed własną siostrą nie sposób się obronić. O nie!

Przymglone porannym oparem słońce wydłużyło cienie palm na tarasie. W dole, na plaży miarowym krokiem spacerowali Rolf i Aris. Nabulzi znów westchnął i spojrział na zegarek. Porażka? Pomyślał jeszcze raz o rozmowie z Martą. Wobec tego co mam? Myślmy o dniu dzisiejszym. Włożył bonżurkę i uchylił drzwi na korytarz.

W korytarzu paliło się jeszcze nocne światło. Tuż przy drzwiach, siedząc na taboretach, chrapało dwóch krępych, podobnych do siebie mężczyzn. Głowy opierali o ścianę, a ręce trzymały broń położoną na kolanach. Na małym stoliku stała niedopita kawa, puste kieliszki i popielniczka pełna niedopałków.

Zasmradzają dom! Nabulzi skrzywił się z niesmakiem i pomyślał o Marcie, do przesady nieznoszącej dymu i przenikliwego

odoru araku. Musi wytrzymać. Zacisnął zęby. Przecież kosztuje mnie to milion dolarów. Dobrze, że chociaż ci, wierni jak psy... Popatrzył z zadowoleniem na chrapiących.

Wierni. Od szczeniąt przyzwyczajeni do czuwania. Mocni, zwinni górale. Tacy rodzą się tylko w okręgu Bcharré. Stalowe mięśnie i nieomylny wzrok.

Potrącił nogą stolik.

Poderwali się natychmiast, a widząc Nabulziego sprężyli na bacność.

Nabulzi, wyprostowany, w bonzurce o wатовanych ramionach, wyglądał imponująco. Mierzył ich wzrokiem długo i bawczo, aż wyczytał to, co chciał wiedzieć, fanatyczne oddanie.

Przez chwilę patrzyli mu prosto w twarz. Halef pierwszy opuścił wzrok i zaczął się bawić paskiem pistoletu maszynowego. Omar, starszy, o żywych błyszczących inteligencją oczach, wytrzymał dłużej, ale w końcu też pochylił głowę.

Nabulzi dopiero po jakimś czasie położył rękę na ramieniu Omara.

— Czas! — rzucił krótko. — Przygotowaliście samochód?

Omar podniósł głowę i zaczął mówić po arabsku.

— Po francusku, Omar! Po francusku... Tak jak będziesz z nim rozmawiać, spokojnie i wyraźnie.

Tamten urwał w pół słowa, wciągnął oddech i zaczął gardłową, ale płynną francuszczyzną:

— Oui, cheik, Registration syrienne... Tablice z rejestracją syryjską. Nikt nie pozna.

Nabulzi kiwnął głową i powiedział wolno, z naciskiem:

— Pamiętaj! Żadnej przemocy, Omar! Tylko ty z nim rozmawiasz. Rozumiesz?

Zastanawiał się chwilę. Mignęła mu przed oczami sylwetka

tamtego człowieka, tak jak widział go w banku, spotykał na przyjęciach czy podczas wizyt u prezesa Hamilkara.

No cóż? Typowy bon-vivant. Halef i Omar zgodnie potwierdzali tę opinię. Już od miesiąca śledzili doradcę dyrektora Crédit Libano-Alsacien. Przyjemnie spędza czas, chodzi na plażę, grywa niekiedy w Casino du Liban ryzykując umiarkowanie i nie stroni od barów i kobiet.

Chyba rozsądny, myślał Nabulzi. Najważniejsze, że, mu nie wychodzi z tamtymi. Przypomniała mu się nieprzyjemna, o przytępionym i uciekającym w bok wzroku twarz dyrektora Chiffoniera i jego drugiego zastępcy Epargnanta, której każdy rys świadczył o bezgranicznej wierności i adoracji. No tak! On tam jest zupełnie sam, pomyślał z zadowoleniem.

— Wydaje się rozsądny — powtórzył głośno do Omara. — Po rozmowie... podrzucicie go na Place de Canon i uprzedzicie, że każdy jego krok jest śledzony.

— Będzie, jak powiedziałaś, cheik! — Omar błysnął zębami.

— No to już... Allez en route! Przed dziewiątą czekam w biurze na telefon.

Patrzył chwilę, jak tamci z pośpiechem zabrali stolik i taborety i znikli w końcu korytarza. Przedłużenie moich ramion! Uśmiechnął się i spojrział na zegarek. Było dopiero pięć po siódmej. Zaczęło się, szejku Nabulzi. Zaczęło — szepnął i cofnął się do pokoju.

Palił cygaro, a myśli krążyły wokół rodzinnego Bcharré i kamiennego domu dziadka, gdzie jako chłopiec spędzał miesiące największych upałów.

Wszystko zaczęło się nieomal biblijnie, mój drogi. Od gór, stad i pasterzy. Kiedyś jeden z pra-Nabulzich tak powiększył

swoje stado, że już nie chciało mu się chodzić z laską i sypiać pod płótnem namiotów. Okrzyknięto go szejkiem. Dwieście? Trzysta lat temu? Co to ma za znaczenie?

Ma! Zasepił się. Korzenie, mój drogi. Wrosły mocno, głęboko jak cedry, a ty chcesz je wyrwać.

„Fakkir... Zastanów się, zanim opuścisz braci!”

Do diabła! — zachnął się. Głupi, ordynarny kawał. Znów twarz mu poczerwieniała na wspomnienie melodii Petry i wolno skandowanych słów. Nawet jeśli to nie byli maklerzy z giełdy, to ktoś, komu moje bogactwo spędza sen z oczu.

W popielatym obłoku z cygara mignęły mu twarze chytre, uśmiechnięte, ugrzecznione i łaszące się, a czasem źle skrywające zawiść. Gdzieś przy końcu tej galerii głów dostrzegł dobrze znany profil mecenasa Tukadijana.

Oczywiście, oczywiście! To ten chytry ormiański lis, który zna na pamięć moje interesy, a teraz chce, się wśliznąć do rodziny. Zobaczymy, Tukadijan... Ten dzień dopiero się rozpoczął i...

Zadzwęczał telefon. Głos po drugiej stronie brzmiał z wyraźnym wyrzutem:

— Co z pana aparatem, doktorze? Uszkodzony? Od dwóch godzin nie mogę się dodzwonić.

Nabulzi burknął coś niewyraźnie o wczorajszej strzelaninie i przerwie w dostawie prądu.

— ...mam po raz drugi Buenos Aires. Łączę.

Nie zdążył nawet podziękować. Był już tam, po drugiej stronie, tak jak pół roku temu, gdy dobijał targu o kupno willi.

...Avenida la Plata drgała w upalnym powietrzu, a jaskrawozielone palmy podbiegały do pędzącego samochodu. Uroczy, przyjazny kraj. Jasny tropik i słomkowa panama podkreślały brąz wypoczętej twarzy. Dwa tygodnie w Nicei, tydzień w

Bari zrobiły swoje. Wspaniale. Patrzył z zadowoleniem w lusterko myśląc także i o willi, której wysoki, biały mur wyskoczył zza zakrętu. Cacko. Tylko trzeba było na nią umieć spojrzeć. Przycisnął słuchawkę, w której szumiało jakby odgłosem tamtego oceanu, i rozparł się wygodnie w fotelu.

Naprawdę cacko! To nic, że sypały się tynki, że obicia wewnątrz były wręcz szkaradne, skłócone w kolorach, na gust tego Metysa, który wyjeżdżał do Meksyku po naftę.

Poczujesz jej zapach, hombre, pomyślał z ironią podpisując akt kupna. Poczujesz... Zapach krwi, prochu, dynamitu, intryg i skrytobójstwa. Twoja sprawa. Moja? To, że ta willa... marzenie. Tu będzie miejsce, gdzie czas zatrzyma się na długo.

Nareszcie! Z szumu i trzasków spłynął jasny, ciepły głos:

— Doktor Nabalzi?

Pochylił się z drżeniem, tak jak przed miesiącem, gdy na pożegnanie ją obejmował.

— Svea... Co słyhać, fillette? Nie za dużo kłopotów ma moja dziewczynka?

Po drugiej stronie, intymnie:

— Ach, Joseph! Martwiłam się. Dwie godziny nie było połączenia, a tu gazety takie straszne rzeczy wypisują o Bejrucie.

— Przesadzają, Svea. Jestem zresztą u Marty, fillette. To wspaniała dzielnica. Dzień i noc pilnują nas amerykańscy żołnierze. No i mam przecież osobistą ochronę.

— To dobrze. A jak Marta? Jak przeżywa to wszystko?

— Jak przeżywa, pytasz? — Machnął ręką, ale twarz spochmurniała mu na wspomnienie wczorajszej rozmowy. — Żmija — syknął.

— Nie słyszę, Joseph. Co mówisz?

— Mówię właśnie, że chyba ją znasz. — (Właśnie że nie znasz — gotowało mu się w mózgu — tak jak i ja jej nie znałem do wczorajszego wieczora, który kosztuje mnie równy milion dolarów.) — Znasz ją chyba. Nowoczesna kobieta, po arabistycie. Wierzy w przeznaczenie, odważna. Gdy strzelanina zbliża się do naszej dzielnicy, poprawia włosy, maluje usta i mówi: „Joseph? Jeśli już mam lądować w wieczności, to tak jak na paryskim Orly. Elegancko i w pełnej formie!”

— Kpisz chyba? — Nieomal dziecięcy śmiech.

Nabulzi zmrużył oczy. Sylwetka Svei Ahrenberg... Nieduża, zgrabna, w sportowym kostiumie. Wchodziła wtedy do gabinetu. Patrzył z upodobaniem na jej energiczne ruchy, na pełne, rozchyłone usta. Nie zmylisz mnie, laleczko! Uśmiechnął się. Tylko i wyłącznie w moim cieniu, za wysokim murem ogrodu. A gdy będzie potrzeba, to znajdę i eunucha!

— Słuchaj — głos Svei relacjonował z powagą — mam za sobą pracowity tydzień, szejku. Byłam w banku, w poniedziałek. Tak jak mnie uczyłeś. Wpływy zawsze z początkiem tygodnia. Szwajcaria przekazała wszystko.

— Wspaniale, fillette... Wspaniale! — ucieszył się. Mów dalej, proszę.

— Tak jak lubisz? — znów miękko, intymnie.

Nabulziemiu krew zabarwiła policzki.

— Mów.

— Dobrze. Jak twoja mała, posłuszna dziew...

Nagły zgrzyt i szum zagłuszył głos Svei. Nabulzi poderwał się i krzyknął głośno w słuchawkę:

— Halo! Halo! Mówi się!

— Ne quittez pas... La ligne est coupée.

— Bien compris, je reste! — rzucił ze zniecierpliwieniem, lecz zaraz dodał grzecznie: — ...j'attend mademoiselle.

Myśl, która przyszła mu do głowy, przepoiła go ciepłem. Poczekam. Nawet z przyjemnością. Zastanowił się chwilę, ale pragnienie, dręczące go zaraz po przebudzeniu, kiedy krew krążyła jeszcze leniwie, teraz łamało ostatnie opory.

Chyba tak... Trzeba! To da mi siłę.

Wiadomość była naprawdę rewelacyjna.

Przed tygodniem dał polecenie Crédit Suisse, żeby szwajcarski bank pościągał wszystkie wkłady z jego kont w Paryżu, Londynie i Rzymie i przekazał do Buenos Aires. Był przekonany, że to potrwa przynajmniej trzy tygodnie. Pewność, że pieniądze już są w Argentynie, była cenna jak fundament i potwierdzała nieodwołalność zamierzeń.

Odłożył słuchawkę. Tylko na małą chwilę. Trzeba!

Wstał, podszedł do drzwi i nasłuchiwał. Cisza. Marta jeszcze śpi. Oczywiście! Przyjemny, spokojny sen po wczorajszej rozmowie. Zacisnął dłonie, ale złość rozplynęła się w poprzedniej myśli, która teraz była nakazem.

Trzeba.

Przekręcił klucz i spojrzał w okno. Widok palm, ogrodu i morza jeszcze płowiął w oparze, którego nie wessało słońce. Barwy? Zaraz będą jaskrawe i żywe. Sięgnął do szufladki i wyciągnął zamszowy futerał. Ciepły dotyk nieomal ludzkiej skóry. Tak! Zbliżenie... no i przenikanie.

Zdjął bonzurkę i odwinął rękaw pizamy. Igła weszła miękko i kropla krwi zabarwiła przejrzysty płyn w strzykawce. Połowę — szepnął patrząc na różową ciecz. Połowę. Zmrużył oczy. Naciskał palcem umiejętnie, wolno, z tym wyczuciem, jakiego na

próżno uczył swych przyjaciół z Paryża, Marsylii i Frankfurtu.

Wy... Europejczycy! Przelotny, gorzki uśmiech. Niestety. Cywilizacja tak! Lecz poza tym... rażąca brutalność. W miłości, piciu i narkotykach. A przecież to sedno życia. Więcej... esencja! Ten podłużny nikłowy przedmiot delikatniejszy jest niż skrzypce. Nacisk? Tylko jak lekki podmuch wiatru. Jak technicznie Boga!

Krew pochwyciła dawkę, dotknęła palców i jak odbita przemknęła do serca i mózgu. Patrzył na wyciągniętą rękę. Gruba, niebieska żyła pulsowała rytmicznie. Rzeka płynąca przez łąki kwitnących maków...

Podniósł głowę i spojrzał w okno. Oczy zapłonęły światłem, w którym fiołkowe niebo łączyło się ze złotym morzem zawieszonym nad seledynowym ogrodem.

Słońce! Rozpalone groty przebijały okno na wskroś i dźwięcznie dotykały przedmiotów. Muzyka i harmonia. Wydobywały się z niej dziesiątki wyraźnych, oddzielnych dźwięków. Kroki na plaży, osuwające się ziarenka piasku, lekki oddech Marty za ścianą i powtarzający się jak dzwon mocny dźwięk własnego serca.

Dosyć. Schował strzykawkę i zmasał dłonią ciemną plamkę krwi. Teraz! Westchnął głęboko, olśniony napływającą siłą. Myśli spadną jak... meteory!

Usiadł w fotelu i przymknął oczy.

Najpierw Marta. Niewdzięczna, okrutna Marta Nabalzi.

Mignął mu taras, ojciec nachylony nad kołyską i drobne ciało w głębi białych koronek. I te rączki wyciągnięte, chwytające chciwie wszystko dokoła.

To ci zostało, Marto. Wczoraj wieczorem, gdy zachnąłem się słysząc twoje żądanie i jak ryba złapałem powietrze, szykując cały potok słów, powstrzymałaś mnie gestem dłoni. Już wiedziałem, że ustąpię.

Pochyliłem głowę i wtedy spadł na mnie deszcz cyfr, dat, nazw obiektów, które kupilem operując twoim kapitałem. Mówiłaś o ich sprzedaży, o dziesięciokrotnym zarobku, o sporządzonych aktach, ich numerach, jakby to było wczoraj. Straciłem oddech. Nie zapomniałaś o niczym. O zyskach na dewaluacji dolara, zwwyżce złota i akcjach „Rocher de Paradis”.

— A gdybym stracił, Marto? — rzuciłem ochłoniwszy po tej twojej potwornej wszechwiedzy, której źródło rozpoznałem natychmiast. Widziałem... gnijące w bagażniku, podziurawione ołowiem moich ludzi ciało Tukadijana. To dawało mi pewność siebie i zwycięską minę. — No więc gdybym stracił? Przecież było to wyłącznie moje ryzyko. Zażądałabyś swojej części. Na pewno. Co by zostało dla mnie po sprzedaniu willi apartamentu, biura, a nawet posiadłości w Bcharré. Kim byłbym wówczas? No kim?

— Zawsze moim bratem, Josephem Nabulzim.

Podeszłaś i objęłaś mnie tym swoim gładkim, pachnącym ramieniem, całując jak Judasz moje spocone czoło. — Joseph — szepnęłaś mi w ucho z tym przeklętym zapachem jaśminu. — Joseph — Powtórzyłaś mocno i pewnie. — Tyś już sprzedał.

Zamarłem. Nie zwróciłaś na to uwagi, stałaś przede mną wyprostowana, piękna, okrutna jak biblijna Salome. Dochodziły mnie tylko urywki zdań.

„Filostratos”, „Temistokles”, „Dafne”.. Statki greckiej linii Hellenic Trading Corporation, zanurzone głęboko na redzie pod ciężarem ukrytej broni. Saaba! Siedem milionów dolarów... Powiedziałaś to tak swobodnie, jakby to była cena sukienki czy perfum. Mówiłaś jeszcze, ale tak cicho, nie wiem, może to moje własne przerażone myśli. „Wystarczy jeden krótki telefon. Wiadomość dla Komitetu Obrony Cedrów...”

Oczy wyskoczyły mi z orbit.

Przykryłaś je dłonią, Marto. Dopiero po jakimś czasie ciemność rozjaśniła się. Tam była twoja twarz i uspokajające słowa:

— Joseph... to przecież tylko jeden milion dolarów. Proszę! Jutro telegraficznie do Swiss Bank Corporation... w Zurychu, mój drogi, na moje konto. Niedrogo za milczenie, zgodę na Argentynę i małą Ahrenberg.

— A twoje plany, Marto? — Wyzwolilem się wreszcie z pachnących rąk. — Może wychodzisz za mąż?

— Przecież znasz Tukadijana. — Uśmiechnęłaś się. — Wybór... chyba rozsądny?

Zrozumiałem, że dziś rano przekażę pieniądze, a moi ludzie nie tkną Tukadijana.

Telefon zadzwęczał wyjątkowo głośno. Głos Svei relacjonował tak płynnie, jakby w ogóle nie było przerwy w połączeniu:

— Tak jest. Przekazali wszystko na twoje konto, szejku. Bardzo korzystny kurs... Sam dyrektor mnie przyjął. Byłoby grzechem, powtarzam tylko jego słowa, żeby taki kapitał marnował się na oprocentowaniu. Oszłomił mnie propozycjami inwestycji... No ale to już po twoim przyjeździe. Słyszysz mnie, Joseph?

— Tak, droga... Słyszę. Słyszę!

Głos Nabalziego był oschły, gdyż myśli tkwiły jeszcze w wywołanej przed chwilą wizji. Svea musiała tego nie zauważyć, bo dalej relacjonowała tonem sprawozdawcy sportowego:

— We wtorek... Tak, we wtorek, rozmawiałam z dekoratorem i wybraliśmy obicia do twojego gabinetu i sypialni. Nie chwałę się, ale wyszło to bardzo dobrze. Gabinet matowy marron w połyskliwe, pomarańczowe desenie. Ten włoski jedwab jest cudowny!

Meble wstawią we czwartek, takie jak wybrałeś. Palisander i okucia z brązu. Sypialnia też wspaniała. Tak jak pogodne

niebo. Uspokaja. Od sufitu prawie granat, a do podłogi rozjaśnia się aż do bieli...

Żebym tak mógł się czuć zawsze, pomyślał Nabulzi. Silny, zwielokrotniony, panujący nad czasem i zdarzeniami. Przed chwilą skończyłem rozmowę z Martą. Konkluzja? Naprawdę niedrogo. Te greckie statki odbijają mi to sześciokrotnie. Jeszcze dziś! Jestem tu, na Rebeiz, słyszę oddech śpiącej Marty, widzę morze, ogród, ale jestem też tam, na redzie. Na odrapanym „Temistoklesie” czeka na mnie kapitan. Może pije, żeby skrócić czas do nocnego przeładunku. Dostaniesz i pieniądze, i dokumenty, nawet gdy Hamilkar nie zgodzi się na wydanie. Umarli nie mogą się nie zgodzać, prawda? Uśmiechnął się w poczuciu własnej mocy. Jestem i z tobą, Albercie Hagenie vel Nujens. Tkwią w twojej kociej sylwetce, we wzroku obserwującym Crédit Libano-Alsacien. Jestem też i za oceanem. Teraz Svea Ahrenberg!

— ...a do podłogi rozjaśnia się aż do bieli.

Pochwycił ostatnie słowa i świeży, czysty dźwięk głosu. Kim byłabyś beze mnie? Drobną, ładną, szwedzką dziewczyną. No i powiedzmy zdolną sekretarką. Codziennie o ósmej w biurze, telefony, korespondencja, czekanie na podwyżkę. Szansa życiowa? Romans z szefem. Prezenty, czasem podróże. W ciągu dwudziestu lat (tyle mniej więcej potrzeba na przywiednicie twoich wdzięków) parę romansów, a później już nie sekretarka. Urzędniczka. Jeszcze parę latek i tylko lichutki ogródek wspomnień.

Jestem dla ciebie główną wygraną, Sveo. Zaraz to zrozumiesz, ale jesteś tylko kobietą. Pewny? Mogę być... rok, dwa, nim oswoisz się z tą myślą, bogactwem. Wejdiesz w swoją rolę szybko, z całym impetem młodości. Chwilowo mogę. Przybliżył usta do słuchawki.

— Svea?

Słowo było krótkie, ale ton i sposób, w jaki je wypowiedział, był już początkiem testu.

Chwyci! Zmarszczył brwi. Jest bystra, wrażliwa. Bardzo wrażliwa. Przemknęło wspomnienie, jak zadziwiła go podczas pierwszych dni pracy. Gra refleksów na twarzy, ustach, jeszcze przed końcem usłyszanego zdania. Dlatego nosi te niebieskie okulary, że oczy bezbronne.

Chwyci! Wsłuchiwał się w szum membrany to wzmagający się, to znów słabnący. Jej oddech. Intymna bliskość.

– Słucham cię... mój szejku. Słucham.

Nabulzi jeszcze mocniej przycisnął słuchawkę.

Działanie wstrzykniętej dawki osiągało szczyt. Wyczulenie na pograniczu bólu i ekstazy. Rozkoszna nagość. Nerwy nieosłonięte skórą. Chyba za tym tęsknią ci, którzy później kończą w szpitalach, bezwolni, żałośni jak zamorzone dzieci.

Test. Muszę wiedzieć. Widzieć jasno! Teraz jestem wystarczająco silny. Ścisnął krtań do szeptu:

– Dwie niespodzianki, miła. Domyślasz się może?

Milczenie.

Wpił wzrok w telefon, tak jakby patrzył na jej jasne, proste włosy i wydierał spod nich prawdę.

Cisza.

Czas na obmyślanie kłamstwa? Poczul gorycz. Jak wszystkie inne kobiety... Wcisnął się głębiej w fotel czując zawrót spadania.

A przez chwilę łudziłem się. Myśl była cierpka, trująca, wykrzywiła mu twarz. Wyglądał teraz strasznie. Wpadnięte policzki, bruzdy, zmarszczki. Płamiste skronie żółciły się trupio. Błyszczały tylko oczy. Cofnięte w głąb jarzyły się nienaturalnym blaskiem. Świadomością złej prawdy.

Teraz odpowie jak wszystkie inne kobiety. Też słucha mojego

oddechu, tylko nie wie, że czekałem prostej, uczciwej odpowiedzi. Zabarwia głos radością, ale...

— Wiem. Jedna to ta, że przyjeżdżasz. Prawda?

Może bym i nie poznał fałszu, gdyby nie ta dawka.

Teraz wiem. I to jest ważne. Twarz znów zapulsowała energią. Kupię cię, mała. Dokładnie, wszystko. Ciało już miałem. Kupię twoje myśli, pragnienia, fałsz, obrzydzenie, a nawet sztyderstwo. Też przyjemność. Może jeszcze większa? Roześmiał się w słuchawkę.

— Oczywiście. W piątek. Jestem prawie na wylocie. Ale za to, żeś się domyśliła, to jeszcze dwie niespodzianki.

Oddech po drugiej stronie załopotał jak skrzydła ćmy tłukącej się o lampę.

— Joseph! Powiedz. Nie dręcz!

Pochylił się i wolno masował kolano. Na razie jeszcze celebrowanie targu. Kupię cię, jaką jesteś.

— No, zgadnij, maleńka — rzucił z żartobliwą przekorą.

— Proszę, Joseph...

Ta willa na Avenida la Plata — cacko. Wspaniałe mury otaczające całość. Wysoki, biały.

— No dobrze, Svea... podpowiem ci. Kiedyś coś ci się podobało u Marty. Przypomnij sobie.

— Naszyjnik?

— No właśnie. Tylko że jeszcze okazalszy.

— Niepotrzebnie wykosztowałeś się. Przecież to cały majątek!

— Dla ciebie? Nie ma ceny! Zresztą okazja. Ludzie wyjeżdżają ze strachu, więc potrzebują pieniędzy. A druga niespodzianka? No, nie będę cię już męczył...

Wciągnął powietrze, jak przy pokerze, gdy wykladał wygrane karty.

— Rozmawiałem z Martą, kochanie. Wiesz, w maronickich rodzinach taki już jest zwyczaj. Wszystko uzgadnia się, nawet

z siostrą. Akceptuje ciebie. Z całego serca... pani Nabalzi. Pani Sveo Nabalzi.

Nie słuchał odpowiedzi. Kupiłem na własność. Zasłonił dłonią mikrofon. Może i szok, jasnowłosa? Lecz już wskakujesz w nową rolę. Zdjęłaś okulary i patrzysz na pokój, meble, ogród. Współwłaścicielka!

Pozwolę ci dojrzewać bezwstydnie, jak symbolizującej płęć orchidei. Zapuścisz głęboko korzenie pewna siebie, dumna z bogactwa, z władzy nade mną, kapryśna, rozpieszczona. Będziesz rosła i ukradkiem liczyła płamy na moich rękach, czole, czy jeszcze długo. Dlaczego tak długo?

Tak już jest, moja miła, że ogrodnik żyje dłużej niż dojrzewające kwiaty. Rozkosz obserwacji. Będę śledził każdy nowy listek znużenia, niecierpliwości, nienawistnego przymusu, obrzydzenia, ironii i szyderstwa, aż rozkwitniesz udręką.

Ja nie Europejczyk. Żadnych kłótni, brutalnych scen. Pewnego dnia czy też nocy namówię cię. Tylko jeden, jedyny raz! Zasmakujesz... białoskóra, jasnowłosa, wrażliwa. Później będziesz kłuła się już sama. Wykradała z mojego biurka strzykawkę, zawsze gotową, pełną.

Potrwa? Rok, może półtora. Szpital? Sanatorium? Oszczędzę ci tego. Ten mur jest wystarczająco wysoki. Spokój, cisza, ocean, łagodne słońce. Będę cię oprowadzał po ogrodzie, patrząc na twój zanikający cień.

Nabalzi patrzył za oddalającym się Hagenem. W odbiciach lustrzanych ścian były to trzy postacie podchodzące do ciemnych, obitych skórą drzwi. Dwie po bokach pochylały się, jakby szykowały do skoku, i traciły kontury, ale odbicie na wprost było wyraźne, barwne, niczym na kolorowej fotografii.

Stworzyłem go. Patrzył z upodobaniem na sylwetką sekretarza. Przekonywający... Elegancki, przystojny, oryginalny. Zatrzymał wzrok na bujnej, rudej czuprynie.

Oddalający się, stąpając cicho po grubym dywanie, wyraźnie utykał na prawą nogę, lecz przy prężnej sylwetce, mocnym karku i prostych, zgrabnych plecach ułomność ta podkreślała jeszcze harmonijność jego ruchów.

To też stworzyłem! Uśmiechnął się sunąc spojrzeniem do nóg Hagena i błyszczących, dopasowanych półbutów, z których prawy zataczał regularny, prawie taneczny łuk.

Dwoistość, panie Hagen. Mój pomysł, stwierdził z zadowoleniem. Nie wychodzimy na tym źle. Sekretarz i przedłużenie mojej ręki usuwającej przeszkody. A pan? Podwójna zapłata: pensja dla Alberta Hagena i sowite premie dla Pierre'a Nujensa. Mój paryski przyjaciel naprawdę nie przesadził ani na jotę. Wspaniały z pana nabytek.

Nabulzi dostrzegł jeszcze trzy wąskie dłonie naciskające klamkę i po chwili sylwetka Hagena zniknęła za drzwiami.

Teraz! Czy nie zawiedzie? Muszę sobie na to odpowiedzieć teraz, gdy już nie wpływa na mnie jego osobowość, ale pozostała bliskość. Ledwo uchwytnie ciepło odgniecionej w fotelu postaci, rąk na poręczach i pochylonej ku mnie twarzy z tym charakterystycznym, ostrym zapachem wody kolońskiej.

Nabulzi rozejrzał się po gabinecie. Światło dnia, przebijające przez grube, pomarańczowe zasłony, połyskiwało na meblach kolorem miodu. Masywne, ciemne biurko, za którym siedział, widok starego Bejrutu w złożonych ramach, skórzane fotele i duży dywan odbijały się w lustrzanych ścianach. Swisty, wysublimowany klimat.

Tu, na El Hamra, czynsze osiągały zawrotne sumy, toteż biura i gabinety były prawie jednakowe. Komfortowe, jak zresztą wszystko w tej dzielnicy, ale ciasne, zapchane funkcjonalną nowoczesnością, ślepiły niklem, plastykiem, połyskliwymi okładzinami ścian, w których gubiły się perspektywy. Biznes to biznes! Interes można ubić na paru metrach kwadratowych.

Zależy jaki, pomyślał z uśmiechem, wdychając głęboko zapach wnętrza. Przestronność. Staroświeckie meble i obraz, dywan przypominający deseniem gobelin, wszystko to powtórzone przez lustra stwarzało nastrój sali muzealnej, w której chodzi się i mówi po cichu.

Właśnie po cichu, panie Hagen, mówi się najgłośniej. I to zostaje, nieodwołalne jak rozkaz. Nie, jeszcze mocniej. Jak zaprogramowanie. Modne, ale i właściwe słowo. Rozkazu można nie wykonać. Czynniki subiektywne. Szkoda, że jednak jest pan człowiekiem. To niebezpieczne i budzi wątpliwości. Dlatego jeszcze raz przeanalizujemy pana człowieczeństwo. Barwę.

Pije pan. To widać po lekko podpuchniętych oczach, sugerujących ciągle napięcie uwagi. Nie szkodzi, a nawet dobrze. Pewien rodzaj pobożności, potrzeby oddalenia się od spraw i ludzi, wejrzenia w głąb i przeprowadzenia korekty. Byle nie wpaść w bigoterie! Ale do tego jeszcze panu daleko.

Jest pan młody, panie Hagen. Ambicje! A to zawsze pachnie zamachem stanu. Zamach czy rewolucja, co za różnica. Spychanie tych, co zasiedzieli się w wygodnych fotelach, a nawet rozkochali w sobie. A zakochani są zawsze trochę ślepi. Nie widzą młodych, prężnych ciał, stalowych mięśni, energii. Ja nie jestem zakochany i umiem patrzeć. Próbował pan, panie

Hagen, ale tylko raz. Postarałem się i pan zrozumiał, że tu na Bliskim Wschodzie panuje doktryna pozbywania się niebezpiecznych ludzi. Utkwiło to w pańskim mózgu? Zaprogramowane?

Kobiety? Te są zawsze niebezpieczne, bo nieobliczalne. Dlatego przede wszystkim to sprawdziłem. Mój paryski przyjaciel jest dokładny. W aktach personalnych nie znalazł nic szczególnego. Jakaś odległa historia w Antwerpii, we Frankfurcie dziewczyna z piekarni, no i już pod moim okiem ta Amerykanka ze szpitala. Pan już przekroczył czterdziestkę, panie Nujens... Plus ta lekka ułomność. Stąd może podświadome jeszcze, ale wyraźne dążenie do stabilizacji. Jako Albert Hagen jest pan bez zarzutu i nie obchodzi mnie pana życie prywatne. Ale dla Pierre'a Nujensa musiałem to zrobić. Właśnie mechanizm. Niezawodny. Konstrukcja, połączenia, przewody, a nawet obudowa, wszystko bez zarzutu. Działanie? Precyzyjne. Napęd? Właśnie... Nie wystarcza zwykła mieszanka używana popularnie — pieniądze. Duże pieniądze! No i...

Panie Nujens! Duże pieniądze to wielka rzecz. Zobowiązują, wywołują cenne uczucie solidności, podporządkowania się, a nawet cień sympatii dla tego, co daje. Lecz dla takiego człowieka jak pan, z wyobraźnią, istnieją wartości nadrzędne.

Nie zawahałem się.

Pana droga... tunel przebijający się w górę, a tam musi być jakieś światło... pragnienie. Postawiłem na chęć stabilizacji. To już było odnotowane przez mojego paryskiego przyjaciela w trzech słowach: Antwerpia—Eliza—Roselare.

Nie zawahałem się.

Biblijna historia, Nujens. Abraham handlujący wdziękami Sary. Dlatego posłałem cię z Martą do Baalbek. To przepaść

wieków i gwarancja powtarzających się etapów. Mogę być pana pewny, Nujens?

Mogę.

Z uśmiechem zatarł dłonie. Były suche, ciepłe, pulsujące energią. Znów spojrzął po meblach i przedmiotach, na których osiadł już nalot czasu. Poręcze foteli wygładzone dotykami rąk, ramy obrazu pociemniałe od dymu cygar i papierosów, dywan spłwiałały od setek i tysięcy kroków, zbliżających się i oddalających.

Biznes to biznes! Nabalzi zagryzł wargi i zamyslił się głęboko. Żelazne prawo. I chyba pan wie o tym najlepiej, panie Nujens.

Lekki szum w skroniach był sygnałem zbliżającej się recesji. Nerwowo potarł czoło. Znał dobrze fazy działania wstrzykniętej dawki. Ponad godzinna euforia, w której myśli i obrazy nabierają wyjątkowej ostrości, a później fala odpływu. Głód narkotyku przyjdzie dopiero po drzemce, około dwunastej. Śniadanie u prezesa Crédit Libano-Alsacien, Hamilkara, o pierwszej. Nowe pół dawki dziesięciokrotni wolę i siłę przekonywania. Może? Gdyby prezes Hamilkar uległ, wieczorne zebranie w banku nie miałoby sensu. Dokumenty na grecki statek dotarłyby jeszcze przed zachodem słońca, a wyładunek... z początkiem mroku.

Przyszłość obmyślona nawet w najdrobniejszych szczegółach jest zawsze znakiem zapytania. Nabalzi pochylił się i nakreślił numer telefonu.

Ciszę w słuchawce przerwał jękliwy, powtarzający się sygnał. Nabalzi z niepokojem spojrzął na zegarek. Kwadrans po dziewiątej. Spóźniają się, pomyślał o Omarze i Halefie. Zapalił cygaro, lecz zanim wsmakował się w holenderskiego egebta, słuchawka telefonu drgnęła. To był Halef.

— Załatwione, szejku — zabrzmiało uspokajająco.

Nabalzi odetchnął.

— A co z nim?

Po drugiej stronie przedłużające się milczenie, a później niepewny głos:

— Szejku... to... to nie poszło tak łatwo. Twardy. Stawiał się, bronił, musieliśmy z Omarem...

Nabulzi poczerwieniał i wykrzywił twarz złością. Stłumił głos i patrząc na drzwi syknął:

— Naddin zobromok! Pętaki! Mówilem, nie tykać! Mało was uczyłem, jak się rozmawia?

Cisza, a później szum i tłumaczący się głos Omara:

— Na cedry i krzyż, szejku!...

— Mam gdzieś twój krzyż i cedry! Na matkę, Omar! Przy sięgaj, że niech nie doczeka jutra. Słyszysz?

— Na matkę, szejku — powtórzył głos. — Przeklęty Francuz ma krzepę. Dobrze, że byliśmy we dwójkę... Wykręciliśmy mu ręce, ale skowyczał jak parszywy pies. No więc... szejku, tylko skórka! Na matkę, niech nie doczeka jutra.

Nabulzi znów syknął. Obszuty skórą ciężarek mógł zabić nawet atletę.

— Znać? — rzucił gniewnie.

— Niby jest blizna. Ściągnęliśmy kolodium i trochę pudru. Dał słowo, że będzie tłumaczył to hamującą gwałtownie tak-sówką.

— Gdzieście go zostawili?

— Jak rozkazałeś. Opaskę z oczu na ulicy Cinq Coeurs, a puściliśmy go na Place de Canon, przy postoju. Bał się nawet obejrzeć... Nie zawiedzie!

Nabulzi cmoknął z powątpiewaniem.

— Uprzedziliście, że będzie śledzony?

— Mało tego, szejku. — Głos Omara tchnął podstępna radością. — W południe podrzucimy mu list... Będzie tam opisany każdy jego krok, ulice, którymi szedł, kogo spotkał. Załatwi to Fatima. Na moją starą matkę, on nie zawiedzie!

Nabulzi rozjaśnił twarz.

— Już dobrze, Omar. List koniecznie przed dwunastą. Ten Francuz później idzie do Hamilkara i niech wie, że każdy jego krok jest śledzony. Jeden z was pójdzie za nim aż do rue d'Amérique. Wystarczy. U Hamilkara to już ja go będę miał na oku. Jasne?

— Tak.

— Po południu przygotujcie mój samochód i czekajcie na Rebeiz.

— Będzie, jak powiedziałaś!

Nabulzi odłożył słuchawkę i znów potarł czoło. Szum w skroniach był teraz tak wyraźny jak cykanie zegarka. Rozluźnienie. Spojrzał na sofę. Nadchodząca senność kusiła wyłączeniem napięcia.

Przyjdzie... — szepnął, zafascynowany już stanem błogiego półsnu, który nie wyłączał całkowicie świadomości. Przejście od szumiącej rzeki na kolorowe łąki. Całokształt! Dzieciństwo, młodość, miłość, nienawiść, ludzie, twarze wabiły jak zieleń rozłożystych drzew, pod którymi można było usiąść i odpocząć.

Jeszcze nie teraz.

Zacisnął dłonie i całą siłą woli... Jeszcze rzeczywistość. Podsumowanie!

Ordynarny kawał Ormianina — błysnęło wspomnienie porannego telefonu. Mam ich z głowy. Marta już ma ten swój milion. Potwierdzenie telegraficznej wpłaty na jej konto najdalej za godzinę powinno być u Tukadijana.

Albert Hagen...

Mój niezawodny Nujens, jak precyzyjny mechanizm nastawiony na godzinę siódmą.

Doradca dyrektora Crédit Libano-Alsacien, François Eponge. Może najsympatyczniejszy z tych wszystkich, rozstawionych przeze mnie pionków. Wesoły, błyskotliwy... Przypomniał sobie szeroką, otwartą twarz doradcy dyrektora

Chiffoniera, tak jak widywał ją w banku, na cocktailach czy podczas towarzyskich spotkań. Saaba — szepnął. Siedem statków stojących na redzie. Siedem, nie sześć milionów, bo przecież milion zabrała spółka Tukadijan—Marta. No ale sześć to też potęga! Za taką sumę można znienawidzić nawet siebie.

François Eponge? Wykona! Blizna na czole jak stygmat. Tylko cztery punkty. Cztery następujące po sobie czynności.

Nie najgorzej zaczął się ten dzień.

Wstał, wyprężył się i podszedł do lustra. Żółte plamy na czole i skroniach pojawiały się coraz częściej. Znak czasu. Ale jeszcze nie starość. Patrzył na trzy imponujące postacie. Jeszcze nie starość!

Jesteśmy razem, myślał przyglądając się odbiciom. Dziadek, ojciec i ja, Józef Nabalzi. Potrójna mądrość, doświadczenie skupione jak w soczewce. Czasu, który przeszedł zostawiając te żółte ślady, nie szkoda. Pełnia! Potrójne bogactwo. Myśli, uczuć i milionów.

Nie najgorzej zaczął się ten dzień.

A przecież dwa tygodnie temu byłem o włos od stracenia całego ładunku.

Przekłete, nerwowe godziny.

Kunsztowny trójkąt Londyn—Bruksela—Larnaka zamieniał się w koło bez wyjścia. Wydawało się, że już nic nie można zrobić. Pozostały tylko godziny do otwarcia akredytywy.

Kto ci pomógł, Józefie? No kto?

Dotknął piersi, ale zaraz odsunął rękę. Te złote wisiorki? Werset Koranu i krzyż? Nie było minuty, żebym nie ocieplął ich dłonią. Zimne, martwe cacka. Siła? Tylko w ludziach. Wyjście z tego koła? Tylko jedno.

Prezes AGTE, Artur Grünberg. Światowa firma „Arthur Grünberg Tractors and Engineering Co. Ltd.” London/Wembley. Traktory, części zamienne, maszyny rolnicze, a nawet pługi, łopaty i motyki dla tego biednego „trzeciego świata”. No, Józefie! Handlować trzeba z każdym światem. Tak właśnie mówił w obszernym jak nawa gabinecie na Fenchurch Street.

Wielki Artur (tak nazywano go na londyńskiej giełdzie) sięgał Nabalziemu do piersi. Owad albo robot, myślał Nabalzi patrząc na filigranowe ciało o krótkich, drobnych kończynach, nad którym rozrosła się olbrzymia, łysawa czaszka. Nachylona nad biurkiem wyglądała jak kępa żółtego piasku z krzakami uschłego jałowca. Czerwone druty włosów drgały jak czujniki anten.

Jego kapelusz w obwodzie? Ponad dwadzieścia sześć cali. Przecież to bania, myślał nieraz Nabalzi, ale nie pusta. Wewnątrz były całe biura, i te w Londynie, i w Wembley, hale pracujących dniem i nocą fabryk, no i przede wszystkim obraz świata z zaznaczonymi bezbłędnie rynkami zbytu. Miejsca zmieniały się w zależności od sytuacji politycznej, ale właśnie w dziedzinie tych zmian Wielki Artur był prawdziwym specem.

Nabalzi musiał przyznać po cichu, że w ciągu lat znajomości z Grünbergiem nauczył się od niego więcej niż od ojca i dziadka. Zgłębiania problemów. Różnorodność ludzkich charakterów i spraw stwarzała klimat, w którym najbardziej zawile kwestie materializowały się. Posłuszne, precyzyjne mechanizmy rokowały w określonym czasie maksymalny sukces.

Czas. Najważniejszy wymiar.

Nabalzi potarł skronie i żeby przewyciężyć wyraźne już rozleniwienie, zaczął przechadzać się po pokoju krótkim, szybkim krokiem. Mijane meble, przedmioty, dywan, wszystko to

rozpływało się w pomarańczowym półmroku.

Dziewiąta dwadzieścia. Czas. Siedem, może dziesięć minut do upragnionej drzemki. Ale jeszcze świadomość, napięcie sterowania.

Dwudziesty drugi wrześnie. Rano.

Tło? Pomarańczowy półmrok, dochodzący przez okno szum samochodów jadących El Hamrą, przytłumiony huk strzałów i wybuchów w dzielnicy muzulmańskiej.

Niezależne ode mnie... ale punkciki poruszających się ludzi — tak! Odległe statki stojące na redzie i marynarze przygotowujący skrzynie do nocnego wyładunku. Bliżej „Rocher de Paradis” i moi ludzie uwijający się wokół przycumowanych do drewnianej przystani dźwigów i barek, które mają wypłynąć o zachodzie słońca. Jeszcze bliżej... willa Marty na Rebeiz. Ciężarówki ukryte wśród cyprysów i moja siostra, już sprzymierzeniec, szykująca się do decydującej wizyty u Tukadijana. Całkiem blisko Halef i Omar kluczący ulicami za oddalającym się z Place de Canon Epongem. On? Zaszokowany niespodziewaną napaścią, może pocierający obolałą bliznę, ale pogodzony z rzeczywistością, z tym nie zawsze moralnym, lecz najbardziej praktycznym głosem, głosem rozsądku.

No i już bardzo blisko... ,

Nabulzi zatrzymał się i nasłuchiwał chwilę. Obite skórą drzwi nie przepuszczały żadnego dźwięku, lecz od sufitu spływał wyraźny szmer charakterystycznych kroków Nujensa. Zapewne zaraz zacznie codzienną obserwację Crédit Libano-Alsacien. Prześliźnie się lornetką po hallu, sali operacyjnej — dobrze, że pomieszczenia są w amfiladzie — zajrzy do dyrektora Chiffoniera. To naprawdę szmata. Zapewne już trzęsie się jak galareta. Dobrze, że jest tylko podrzędnym pionkiem. W czasie wieczornego zebrania, gdy Hamilkar odmówi, on

odsunie się z fotelem, żeby być jak najdalej od linii strzału. To wszystko.

Hamilkar? Nic nie przeczuwa. Myśli o tym skrawku ziemi jako o ojczyźnie. Też pojęcie! Niebo i ziemia wszędzie są jednokowe. Może o rodzinie? Pięknej żonie, dzieciach? Szlachetny, prawy Hamilkar, który zmusza się, żeby tolerować mnie w banku i na dzisiejszym śniadaniu. Wzór obywatela, uosobienie sprawiedliwości nie wie, że wydaje pożegnalne śniadanie. Uczciwy i zasadniczy. Za zasady ginie się z zasady najprędzej.

Nabulzi uśmiechnął się z niezamierzonej gry słów. To wszystko. A teraz głębia całego problemu. Powrócił do przerywanej przed chwilą myśli i znów przemierzał pokój energicznym krokiem, takim, jakim wkraczał do gabinetu Artura Grünberga. Jego słowa... brylanty!

I ty się pytasz, czemu moja firma tak szybko się rozrosła i jest światowa? Dekolonizacja! Ty masz inną krew i wiarę, ale łączy nas historia. Kto obsługiwał faraonów, Greków, Rzymian? Kto łuskał ich sakiewki, podsuwał im najpiękniejsze kobiety, kupował miecze, a nierzadko wskazywał, kogo mają mordować? Ty i ja. To znaczy my i Fenicjanie.

Jesteśmy, Józef, dalszym ciągiem naszych przodków i w tamtych czasach mogliśmy już tak siedzieć razem w Aleksandrii, Tyrze czy Atenach albo w rzymskiej gospodzie. Jedno jest pewne. Nie piliśmy żadnego angielskiego drinka, ale za to jedliśmy placki. Ja te swoje praśne, a ty zakwaszone, lecz pocierane tą samą główką czosnku i okładane pieczenia z tego samego barana. Rozumieliśmy się na pewno.

De-ko-lo-ni-za-cja!

Te kolorowe ludy są jak dzieci, Józef. Co się dziwić! Kto troszczył się o ich mózgi? Owszem, o banany, orzechy kokosowe,

miedź, nikiel, kość słoniową, złoto i Bóg wie co jeszcze. A w co bawią się dzieci, jak im dasz wolność? W wojnę, Józef. Spójrz na którekolwiek podwórko, gdzie ganiają zasmarkańce.

Nie myśl, że ja, Artur Grünberg, popieram takie głupstwa. Ooo! Ja produkuję traktory, pługi, łopaty. Niech się wezmą za robotę, orzą, sieją... Co?

No ale, Józef... Jak ja wysyłam takie olbrzymie skrzynie z napisem znanym na całym świecie: AGTE, London, łamane przez Wembley do Belgii, a później tranzytem do Afryki, Azji, Indonezji, czy ja mogę przypilnować, żeby nie zmieniły zawartości? A jak idą przez Grecję i Larnakę, to ja już jestem pewien, że tam będzie broń. Józef? No, sam powiedz, człowieku. Powiedz. Jak ja mam tę pewność, to po co mi ładować w te skrzynie mój dobry towar? Sama skrzynia towar... A jeszcze z takim napisem!

No? To ile mam przygotować, Józef?

Pytanie padło w początkach maja.

Nabulzi pamięta dobrze drobną, szponiastą rękę Grünberga kreślącą w notesie liczbę sztuk, daty, nazwy portów, stacji kolejowych. Zawiała geografia szlaku wiodącego przez Belgię, RFN, Austrię aż do Triestu. Od czasu do czasu Artur podnosił głowę, patrzył przeciągle na Nabulziego i cmokał z zastanowieniem.

Duży ładunek, Józef. Duży! Mogę przyjąć ryzyka tylko do Triestu, z tym że zaraz wpłacisz połowę. Gdy mój agent w Szwajcarii da ci znać, że towar jest już we Włoszech, musisz natychmiast otwierać akredytywę, i to potwierdzoną, Józef! Napnij całą uwagę. Nie może być ani godziny opóźnienia. Po telegramie o tym ładunku masz tylko czterdzieści osiem godzin, ani minuty więcej. Spóźnisz się, ja umyвам ręce, jakby tego interesu wcale nie było. Ty rozumiesz?

Józef! Ty po tej depeszy nie możesz myśleć ani o jedzeniu,

ani o śnie, ani o żadnej innej rzeczy stanowiącej choćby cząstkę twojego codziennego życia. Ty umierasz dla wszystkiego i wszystkich, a żyjesz tylko tą akredytywą. Musisz mieć wyobraźnię! Wiesz, ile ludzi jest wpłątanych w to wszystko? Musisz czuć tak te skrzynie, jakby stały ppd twoim oknem.

Tymczasem skrzynie będą stały na boczniccy kolejowej, tuż przy basenie portowym. Z nimi będzie mój najzdolniejszy agent, który potrafi zamykać oczy celnikom i straży portowej zielonymi papierkami dolarów. Więcej. On już tak to urządzi, że załadunek odbędzie się podczas głębokiej nocy, a ludzie, co wezmą się do dźwigania tych skrzyń, też będą z tego długiego łańcucha.

Ale, Józef, jeszcze raz powiadam. Czterdzieści osiem godzin! Najmocniejszy łańcuch ma słabe ogniwa, a ci cholerni ludzie też potrafią myśleć. Niech który zwęszy sedno sprawy albo dostanie się na wagon, odbije deskę i zobaczy te delikatesy, pozbierane w belgijskich i niemieckich fabrykach broni. No? Może skalkulować, że jak sypnie, to więcej zarobi niż na podwójnej stawce nocnego przeladunku?

Nie notuj, psiakrew! Nic nie pisz! Żadnego śladu. Zapamiętaj jak ten swój pacierz czy werset Koranu, ale tylko na cztery miesiące. Później to wszystko wyrzuć jak śmiecie, ludzi, nazwiska, porty, stacje kolejowe. Wszystko!

...Z tą depeszą agenta znajdziesz bank w Bejrucie, taki — uważaj dobrze — któremu Szwajcaria potwierdzi akredytywę. Otworzysz ją telegraficznie na Zurych i już wpłacasz pieniądze, bo w tym samym momencie mój agent wyśle ci konosament. Jak wyjdiesz z tego banku, zamawiasz telefoniczny ekspres do Aten.

Józef, do jasnej cholery! Ty nic nie pisz!

Twarz Grünberga pobladła, a miedziane kępkі włosów najężyły się jak kolce.

Ty chcesz mi tu zrobić „czarny wrzesień”? Drugą olimpiadę w Monachium? Co? W Londynie nie brak palestyńskich brudasów. Za te twoje kilka arabskich słów, które skrobiesz w notesie, mam w kawałkach jechać do Abrahama? Daj to zaraz!

Chwycił wydartą z notesu kartkę i spalił ją w popielniczce, starannie rozcierając popiół. Uspokoił się i ciągnął półgłosem:

W czym rzecz, Józef? — zaczął ugodowo. — Ty sobie powtarzaj. Teraz, jak wyjdiesz ode, mnie, w hotelu, a później w samolocie. Zapamiętasz. Ojej.. Ty zrymuj sobie to wierszem, będzie łatwiej. Choćby na ten przykład:

...szachem Iranu jest Reza Pahlewi
w Atenach mówię z Jonatanem Lewi...

Dobrze?

No więc zamawiasz ten telefoniczny ekspres do Hellenic Trading Co, w Atenach i właśnie mówisz nie z szachem Pahlawi, ale z Jonatanem Lewi, żeby już wysyłał statki do Triestu. Wpłacasz mu połowę frachtu, a reszta loco Bejrut. Rozumiesz?

Zapłacisz słono, uprzedzam, ale on bierze całe ryzyko transportu i postoju w Larnace.

Grünberg pochylił głowę odsłaniając księżycową łysinę czaszki i szepnął tak cicho, że wydało się to szelestem przerzuconych stronic:

Na Cyprze, mój drogi... ładunek ginie. Puste skrzynie AGTE idą na brzeg, a towar jako pomarańcze i cytryny popłynie do ciebie do Bejrutu. Rozumiesz?!

Nabulzi przystanął i zmrużył oczy. Słoneczny romb rozrósł się na dywanie i sięgał już drzwi. Odczuł ciepło promieni i tkwił chwilę nieruchomo w coraz głośniejszym szumie ulicy. Dotyk

rzeczywistości, przemknęło mu półsennie przez myśl. Tego najważniejszego dnia, który poprzedziły tamte, nerwowe, napięte jak struna. Blisko... Już bardzo blisko.

Grünberg, depesza od twojego agenta w Szwajcarii — skrócił swój spacer omijając słoneczną plamę, jakby była przeszkodą — przyszła w czwartek rano. Mówiłeś: czterdzieści osiem godzin. Tylko trzydzieści sześć, Grünberg. Trzydzieści sześć! W sobotę w Szwajcarii zamknięte są wszystkie banki.

Wtedy na Fenchurch Street zapamiętałem wszystko i zrozumiałem cię dobrze, Grünberg. Może nawet lepiej, niż przypuszczałeś. No ale czy mogłem przewidzieć, co tu się będzie dziać pod koniec lata?

Ci cholerni muzułmanie i Palestyńczycy już na wiosnę zwąchali, co się szykuje. Ja się pytam, Grünberg, dlaczego mieli nie zwąchać? Na pięciu muzułmanów przypada tylko jeden maronita. Czy on może być wszystkim? Właścicielem hotelu, restauracji, sklepu i zarazem numerowym, kelnerem i subiektem? Albo właściciel banku czy dyrektor. Czy on może stać na sali operacyjnej za każdym urzędnikiem i patrzeć, z kim rozmawia albo gdzie dzwoni? Nonsens. I tak jest wszędzie, Grünberg. W urzędach, policji i armii.

Oni zwąchali wszystko.

Kto spalił ten ich Złoty Bazar, kto zmasakrował cały autobus Palestyńczyków, kto w biały dzień zamyka ulice i chwytą ich młodzież, a później morduje skrycie? Grünberg! Grünberg! Czy potrzebuję ci mówić, czyja to robota? Sam wiesz najlepiej.

Wam się marzy, żeby Liban był drugą Jordanią. Wam już za mało Palestyny. Wy potrzebujecie mocarstwa! Ten wasz kneset to grupka ludzi. Mieszczą się w jednej niewielkiej sali, ale ręce to mają wszędzie tam, gdzie płynie złoto i gdzie robi się wielką politykę.

Wtedy na Fenchurch Street, kiedy podarłeś tę kartkę i kiedy wbijałeś mi do głowy, co mam zapamiętać i co zapomnieć, gdy już będzie po wszystkim, zrozumiałem trzy kardynalne prawdy.

Pierwszą...

Dlaczego tak tanio liczysz za towar i wypychasz mi do kieszeni całe siedem, nie, sześć — poprawił się, krzywiąc boleśnie usta — całe sześć milionów dolarów. Bo ciebie ten towar nie nie kosztował, Grünberg! Płacili tamci. To jedna prawda.

Druga:

Muszę sprowadzić ten ładunek i nie mogę spóźnić się ani godziny.

A trzecia?

Wyczytałem to w twoich oczach. Was nie brak i w Bejrucie. Wiedziałeś od nich, że po cichu sprzedają place i nieruchomości i szykują się do wyjazdu. A skoro tak... to przejdę samego siebie i zrobię wszystko, żeby na koniec zarobić te pieniądze.

Wcale nie mam żalu, Grünberg. Biznes to biznes. No ale trzydzieści sześć godzin? I to w chwili, kiedy na wszystkich hotelarzy, restauratorów i bankierów padł błady strach? Tacy sami ludzie jak ty, Grünberg. Też nie chcieli w kawałkach jechać do Abrahama.

Obleciałem wszystkie banki w Bejrucie. Przy ostatnim byłem mokry jak mysz w pologu. I ze zmęczenia, i ze strachu. W tym cholernym mieście nikt nie chciał pieniędzy! Twarze dyrektorów bładły. Co? Siedem greckich statków? Z Cypru? Jakie pomarańcze? Jakie cytryny? U nas rosną pomarańcze i cytryny. Dziecko zrozumie, o co, idzie. I mnie, Józefa Nabulziego, zwyczajnie wypychali za drzwi.

Nie spałem, nie jadłem, modliłem się, macałem te swoje wiśiorki na piersi i... nic. Nawet maleńkiej szpary światła. Tylko

w ludziach, Grünberg, jest prawdziwa siła.

Jak o tym pomyślałem, uspokoiłem się, bo zaraz przypomniałem sobie ciebie i twoje słowa — brylanty.

„...gdy wszyscy apostołowie zawiodą, ty szukaj Iszkaroty. Znajdziesz!...”

Znalazłem!

Crédit Libano-Alsacien... Guy de Chiffonier!

Jaki on tam Guy, Grünberg? Owszem, coś podobnego, i też trzy litery. Ale właśnie taki potrzebny. Wziąłem tego francuskiego dupka do „Normandy” na dobrą kolację i lalczki. Oj, te lalczki to on lubi.

Podstawiłem mu taką pękatą z Malezji, że jak mu położyła nogę na kolano, to od razu był jak gąbka. A ja mu wtedy na serwetce okrągłe cyfry i prowizja. Było tego. Wystarczyło na pokrycie straty na akcjach „Rocher de Paradis”, no i dla niego, na opłacenie takich właśnie lalczek jak ta.

Arturze Grünberg... Naprawdę Wielki Arturze! Iszkariota... słowo brylant. Pękł! Telegraficzny tekst akredytywy poszedł w piątek wieczór.

Ufff!

Do trzydziestu sześciu godzin brakowało kwadransa.

Nabulzi podszedł do drzwi, przekręcił klucz i zapalił sygnał „Nie przeszkadzać”. Dopiero wtedy otarł spocone czoło. Westchnął głęboko, przeżywając jeszcze raz napięcie i radość tamtej chwili.

Tak, ten dzień zamknie wszystko.

Szum w skroniach ustał. Błogie rozleniwienie, jak po długiej, gorącej kąpieli. Zdjął marynarkę i powiesił na fotelu przy sofie. Drzemka. A właściwie półsen pełen barwnych obrazów wspomnień z młodości. Tak właśnie jak nad rzeką dobiegł go wyraźny, monotonny gwar miasta. Nad wartką rzeką. Przeciągnął się. Wolno podszedł do okna i odchylił zasłonę.

W dole El Hamra roiła się od przechodniów i ścięzionych na jezdni samochodów. Spojrzał na przeciwległy gmach z czerwonym szyldem Crédit Libano-Alsacien, potem poniżej, na stylizowaną sylwetkę rzymskiej wilczycy i żółty napis Banco di Roma. Przed witrynami parteru, jak co dzień, stały zaparkowane auta. Srebrny Chevrolet prezesa Hamilkara, niebieskie volvo dyrektora Chiffoniera i czarny mercedes Tukadijana.

Przyjaciel... Wydął wargi, a oczy błysnęły mu nienawiścią. Gdyby temu Ormiaszce wrzucono do mercedesa trochę trotylu, nie miałbym nic przeciwko temu. No ale teraz to już rodzina... Charmuta bira, cisnął przez zęby, nie zastanawiając się, czy to pod adresem Marty, czy Tukadijana. Przejechał wzrokiem do rogu ulicy i zatrzymał go na chwilę na wózku sprzedawcy pomidorów.

Stary, pomarszczony Arab rozpiął właśnie pasiasty daszek, a później przykucnął na drewnianej skrzynce, wykrzykując swoje śpiewne nawoływania.

Wzrok Nabulziego złagodniał.

Był to jeszcze okruch starego Bejrutu, z czasów francuskiego mandatu, taki jak na obrazie nad jego biurkiem. Moje ręce były wtedy gładkie. Zerknął na ciemne plamy podchodzące do samych palców. Gładkie i ciepłe.

El Hamrą jeździły niebieskie tramwaje, domy były o połowę niższe, a wzdłuż chodników roiło się od takich właśnie straganów z pasiastymi daszkami.

Czterdzieści lat temu. Szmata czasu. Dwie trzecie życia. A może dopiero połowa? Przypomniał sobie dziadka, który umierając dobiegał dziewięćdziesiątki. No ale dawniej życie nie było tak skomplikowane, pełne napięć. Było bardziej proste, czyste.

Świat zepsuł się, sparszał, najeżył problemami i coraz trudniej znaleźć wymarzoną oazę spokoju.

A może to tylko ja tak odczuwam?

Poczuł strach osamotnienia. Może tylko ja jeden? Intrygi, nienawiść, wzajemne sobie wydzieranie, lęki... Pamięci o tym wszystkim nie da się usunąć z mózgu. Żeby tylko... Pasma szczęśliwych dni na Avenida la Plata złagodziłyby ostrość dawnych napięć, niesmaku, wyrzutów sumienia. Cieszyłbym się widokiem ogrodu, willi, oceanu, cieszyłbym się słońcem, ciepłem jego promieni... No i bliskimi mi ludźmi. I tą najbliższą mi osobą.

Zmieniłem się.

Przez te czterdzieści lat bogacenia się, bezwzględnej walki celowo odrzuciłem ciepło i zapach świata. Stać się silnym człowiekiem! Stałem się, ale wyschłem. Naiwny myślałem: rzucę interesy, tamto wróci. A teraz widzę, że nie wróci. Niebo, morze, kwiaty, puste słowa. Przestrzeń, płaszczyzny, kształty bez koloru, głębi i woni.

Ludzie?

Toleruję ich, czasem są mi potrzebni. A gdy stają mi na drodze, po prostu ich usuwam. Zemszczą się. Już się zemścili. Strasznie. W każdym uśmiechu, cieplejszym słowie, odruchu sympatii widzę podstęp, wyrachowanie, odwet. Został mi zimny, płaski, szary świat, bez uczuć. Układy i cyfry.

Nabulzi oparł się o futrynę i czuł, jak zapada się i wali cały ten wspinały gmach, budowany przez dziesiątki lat.

Cmentarz.

Tonała w kurzu El Hamra z całym bezsenssem stłoczonego metalu aut i ludźmi-manekinami spieszącymi donikąd. Żywa jest tylko twarz starego sprzedawcy. Ogorzała, koloru tej ziemi,

pełna bruzd i fałd, śladów prawdziwych uśmiechów i zmartwień. Ten człowiek czuje zapach pomidorów poukładanych na wózku, zmęczenie po całym dniu śpiewnych nawoływań, rozkosz snu, gdy zasypia późną nocą.

To tylko krótka chwila depresji. Zwykłe działanie narkotyku. Ale przecież zaraz drzemka i wizje.

Nabulzi zastanawiał się, czy nie zamknąć okna i nie włączyć klimatyzacji, ale teraz, w trzeciej dekadzie września, nawet w południe upał już nie był dotkliwy. Mimo kurzu i spalin z El Hamra wiatr przynosił przyjemny zapach morza.

Odszedł od okna, rozluźnił krawat i wygodnie ułożył się na sofie. Patrzył długo na obraz starego Bejrutu, aż znikły złożone ramy, a wyblakły już błękit stał się niebem. Domy, ulice zafalowały i podbiegły tak blisko, że odczuł ciepło namalowanego słońca i zapach miasta.

Już przed szóstą wyjeżdżały ze skrzypieniem kół ociekające wodą beczkowsy. Brązowe muły wolno, cierpliwie pięły się od źródeł rue de Rome i mijając uśpione jeszcze ogrody skręcały w El Hamra. Poganiacze w białych zawojach podnosili drewniane dekle i z dziesiątków wąskich otworów tryskały strumyki wody na zakurzoną jezdnię. Tęczowy opar podnosił się aż do koron ulicznych palm, odświeżał zielen daktylowców i strzelistych cyprysów, a później chłodno i wilgotno spadał na chodniki. Ze zgrzytem metalowych żaluzji otwierano kawiarnie i sklepy, nadjeżdżały skrzypiące wózki handlarzy.

Po chwili wszystko stawało się kolorową, przestronną sceną. W perspektywę ulicy, pełną ostrych cieni od nisko jeszcze zwisającego słońca, wpadało echo dzwonów, trąbki pobudki z koszar, turkot wózków i chrapliwe krzyki poganiaczy. Powietrze było czyste, pachnące owocami, morzem i wilgocią skropionej ulicy.

W małych francuskich bistrach i arabskich cukierniach żarzyły się węgle i mocno pachniało kawą. Pod kolorowymi markizami rozsiadali się już na trzciniowych stołkach pierwsi goście. Byli to przybysze z gór i małych wiosek. Całą noc jechali na mulach i arabach, żeby być tu o świcie i skorzystać z odwiecznego prawa pierwszego klienta do największego wyboru i najniższej ceny. Poranna kawa była dla nich celebracją gestów, cmokań, zwilżała zakurzone drogą gardła i rozpałała wyobraźnię widokiem miasta i rozłożonych wszędzie towarów. Śnieżnobiałe zawoje, twarze spalone słońcem, szczelnie osłonięte kobiety i krzykliwe czarnookie dzieciaki. Błyskały miedziane tygle, lał się smolisty napój, dźwięczały filizanki i pochylały się twarze w uśmiechach, zapytaniach i rozmowach.

Okolo siódmej ulica tętniła już pełnym rytmem. Dzwoniły tramwaje, raz po raz, z dźwiękiem klaksonów, przeciskały się samochody, skrzypiały czubato załadowane arby, a nawoływania handlarzy wypełniały powietrze gardłowym refrenem:

Marhaban... Kifak! Ahtem! Sahtem!...

Powitania, ukłony, patriarchalne pocałunki w ramię, europejskie uściski rąk, uśmiechy i charakterystyczny szelest skórzanych sandałów.

Czasem w ten gardłowy zgiełk wpadła dźwięczna francuska mowa. Stukały wysokie, damskie obcasy i rytmicznie dzwoniły buty wojskowe. Francuscy oficerowie... Szyk! Złoczone kepi, wcięty frencz, białe rękawiczki i nieodzowna trzcinka. Przechodnie i handlarze rozstępowali się przed nimi z szacunkiem, a grupki wyrostków oblegały ich natrętnie, domagając się bakszyszu.

Zapach tamtych czasów.

Nabulzi pamiętał go dobrze. Był to zapach francuskich kolorowych pocztówek demonstrujących barwy gór Antylibanu,

zielone cedry, gaje pomarańczowe nad brzegami Litani, ruiny Baalbeku, Byblos, Trypolisu, białe parowce w bejruckim porcie, plaże i hotele z powiewającymi na wieżyczkach trójkolorowymi flagami. Z jednostajnie błękitnego nieba, pachnącego oleodrukiem, spływał idylliczny spokój na góry, ruiny, miasta i równie błękitne morze.

Takie pocztówki wysyłał dziesiątkami do Europy, Ameryki, do rodziny, znajomych i przyjaciół — z l'Université St. Joseph, gdzie studiował ekonomię z synami znanych maronickich rodów, bogatych szejków i urzędników administracji francuskiej.

Cywilizacja, postęp podpływały tu łagodnie, nieomal elegancko, jak białe trzypokładowe parowce przybijające do bejruckiego portu z ładunkiem wytwornych turystów. Messieurs i dżentelmeni w mono- i binoklach, w białych korkowych kaskach, kraciastych bufach, z całym rynsztunkiem aparatów fotograficznych i lornetek, w towarzystwie mesdames i ladies w fantazyjnych kapeluszach ocienionych tiulem. Kształty i barwy tamtego świata. Na białych trapach pachniało Paryżem, Londynem i Nowym Jorkiem.

Przyjazny, spokojny świat młodości.

Pamięta dobrze, jak w lekkim kolonialnym khaki, w kasku korkowym, ze skórzaną teczką pod pachą schodził do biura kapitanatu po pozwolenie wejścia na statek, żeby sprawdzić i przyjąć zamówione przez ojca towary. Francuskie tkaniny, galanteria, kryształy, angielskie aparaty fotograficzne, inkrurowana masą perłową broń myśliwska, tak chętnie kupowana przez szejków plemion góralskich w Bcharré, syryjskich przewodników karawan i czarno odzianych Beduinów.

Można było żyć w tym kraju. Francuski porządek akceptował hierarchię zamkniętego klanu maronitów, muzułmańskich szejków i bogatych kupców.

Nieraz myślał: jakie cudowne, spokojne życie miał jego dziadek i ojciec. Władza, kościół, meczet każdemu wyznaczały ścieżki. Nie trzeba było błędzić, szukać, walczyć. Tylko akceptować. Wtedy każdy był sobą: szejk — szejkiem, bogacz — bogaczem, biedak — biedakiem. Ojczyzna? Państwo? Abstrakcja. Po prostu kraj, słoneczny, o śródziemnomorskim klimacie, w którym winogrona, pomarańcze, jabłka miały jednakową słodycz dla ust każdego człowieka, i tego dającego z uśmiechem, i tego z uśmiechem przyjmującego. Uśmiech rozbrajał, zacierał różnice.

Ci dawni ludzie umieli współczuć i umieli pogodzić się z losem. Chyba dlatego zachowywali młodość ducha. Wysychały ciała, marszczyła się skóra, ale błysk spojrzenia i ciekawość życia pozostawały do śmierci.

Nabulzi wolno, leniwie podsunął rękę pod głowę. Błogie odrętwienie. Na chwilę otworzył oczy.

Słońce wypełniało gabinet, odbijało się w lustrach, oscyloowało na przedmiotach, ale dla niego była to pusta, jasna przestrzeń tamtego czasu. Ekran, na którym mógł zjawić się każdy obraz, każda twarz, każde przeżycie.

Był jeszcze jedynakiem, gdy umierał Eliasza Nabulzi, patriarcha rodu. Ojciec ojca. Pierwszy zszedł z gór, żeby w Bejrucie dorabiać się fortuny. Umierał w Bcharré, w swoim domu, zbudowanym w starym stylu mauretańskim. Tam się urodził, wychował, a później, mimo znacznego już majątku, nie przebudował go i nie unowocześnił.

W ostatnich latach przed śmiercią coraz częściej spędzał tam upalne miesiące, prawie samotnie, ze starym ogrodnikiem i jego córką. Proste, nieomal prymitywne warunki, zdrowe górskie powietrze odmładzały go.

Nabulzi był u dziadka Eliasza parę dni przed jego śmiercią.

Zajechał tam swoim sportowym studebakerem, powlóczył się trochę po górach, odwiedził cedry, polował na króliki, ale później wszystko tchnęło nudą. To nie był kolorowy, ruchliwy Bejrut. Miasto hoteli, restauracji, plaży, gdzie wystarczyło wyjść na ulicę, żeby spotkać znajomych, pośmiać się, pogadać, zjeść smaczny francuski obiad i posłuchać europejskiej muzyki. Wieczorem przyjemnie było usiąść choćby w takiej „Café de Paris”, popijając mazagran, słuchać wielojęzycznych rozmów i patrzeć na przewijający się obok barwny tłum przechodniów.

W Bcharré musiał sypiać na starym żelaznym łóżku, myć się w cynowej miednicy, a wieczorami, gdy chciał czytać, trzeba było zapalać lampę naftową. Wokół zielonego abażuru tłoczyły się włochate ćmy, a czasem z piskiem wpadały przez okno nie-toperze; gnieździły się na strychu, gdzie w wysokich koszach przechowywano kaczany kukurydzy, strąki fasoli i ziarna soczewicy. Lepiej było już zgasić lampę i wyjść na nieoświetlony taras. Tam właśnie do późna w nocy przesiadywał dziadek.

Nabulzi jeszcze długo po jego śmierci dziwił się, jak noc potrafiła odmienić tego człowieka. W ciągu dnia, gdy chodził po ogrodzie w białym zawoju przepasanym czarnym sznurem, zgarbiony, wsparty na lasce przypominał dziewiętnastowieczne sztychy, gdzie obok wycieniowanych kolumn starych świątyń rysownicy, dla kontrastu, umieszczali wspartych na lasce starców.

Noce w Bcharré w czas nowiu były czarne jak atrament, lecz odbłask nisko zwisających gwiazd otaczał sylwetki i przedmioty mglistą aureolą. W tym odbłasku dziadek Eliasz wyglądał jak srebrna ikona. Długa biała broda, wąska, gładka twarz i płonące oczy.

Lubił siedzieć przy samej balustradzie, w koszykowym fotelu, obłożony poduszkami. Na niskim stoliczku stał miedziany

kociołek z żarzącymi się węglami. Noce były chłodne, więc od czasu do czasu wyciągał ręce i Nabalziemu wydawało się, że to czerwone korzenie górskich drzew. Nigdy nie mówił dużo i dlatego może jego słowa zapadały w pamięć.

W tych dniach przed śmiercią był to już monolog. Wyrzucane pojedyncze słowa, zdania powiązane milczeniem, muzyką cykad, poszumem wiatru i szybkim, astmatycznym oddechem. Ale oczy żarzyły się jak węgle, były młode.

Daleko w dole leżało miasto. Nieduże, lecz rozrastające się szybko. Wysoki, kopulasty kościół, meczet z wieżyczką minaretu, piętrowe nowoczesne wille i wąskie strumyki oświetlonych ulic. Gdy dziadek Eliasz pochylał się, żeby ogrzać ręce, patrzył w dół. A kiedy znów wtulał się w poduszki, miał już przed sobą tylko wygwieżdżoną czerń nieba.

— To idzie od białych ludzi... — powiedział. Oddech miał szybki, urywany. Nabalzi pamięta, że bał się myśląc, iż zaczyna się to najgorsze, ale ręce znów wyciągały się do żaru. — No, ten niepokój.

Wiatr szumiał w ogrodzie i rozżarzał węgle. Suche, zakrzywione palce wyglądały jak szpony drapieżnego ptaka.

— Pchają się tu od wieków. Z mieczem, krzyżem, karabinem, złotem...

Spojrzał na białą plamę miasta.

— Meczety? Kościoły? Po co? Żeby dzielić ludzi?

Znów odchylił się na poduszki.

— Bóg? Wystarczy spojrzeć w niebo... Wziąć w rękę jabłko, winne grono, dotknąć kobiety. Na starość? Odpocząć spokojnie, jak dojrzały owoc na drzewie. Czas przyjdzie jak wiatr i strąci w pulchną ziemię.

Milczenie.

Nabalzi pomyślał, że dziadek Eliasz przysnął. Nieruchomy,

z przymkniętymi oczami tkwił w obramowaniu nieba i gwiazd zwisających nad tarasem. Po ostatnich słowach wydał się Nabulziemmu mniejszy, skulony, a splecione na piersi ręce upodobniły go do mumii. Osiemdziesiąt dziewięć lat...

Ja mam jeszcze czas, orzekł w duchu Nabulzi. Wrócił myślą do Bejrutu, interesów, które pociągały go coraz bardziej, kręgu ludzi młodych, tak jak on naładowanych energią i tak samo zaborczych.

Śmierć? Nie potrzebuje wytłumaczenia. Fakt. Jak urodziny. Problemem jest życie. Wyzyskać możliwości. Wszystkie.

Spojrzał na dziadka. Stary, niedołączony człowiek. Owszem, godny szacunku, przecież stworzył fundament naszej fortuny. Lecz czy kiedykolwiek miał pojęcie o wielkich interesach? Prowadzić sklepik, sklep czy magazyn. Praca. Od świtu do nocy. Bieganina za kontuarem, odwazanie, łaszące się uśmiechy, przesadna uprzejmość, a w końcu upragniony ruch szufladki w kasie i radość z zarobionych groszy. Żył jak dziecko i tak też umiera.

Myśl Nabulziego wybiegła do wielkich miast Europy. Tam w zacisznych gabinetach jedno mrugnięcie oka, ściszone słowo, sprytnie obmyślona sytuacja, to już były tysiące. Wielki świat i wielkie pieniądze.

Przez długą chwilę trwał zatopiony w myślach, odczuwając własną rozrastającą się wielkość, a zarazem współczucie i pełne wyrozumiałości politowanie dla siedzącego przed nim starca. Może i dobra ta nieświadomość wielkich spraw? Małe sprawy — małe zmartwienia.

Nabulziemmu zrobiło się chłodno i chciał już odejść, gdy nagle starzec wyprostował się i pochylił nad stoliczkiem. Wiatr znów rozdmuchał węgle rzucając czerwony odbłask na dziadka Eliasza.

Nabulzi drgnął.

Siwa broda i pałające żarem oczy sprawiały dziwne, mistyczne wrażenie. Natchniony prorok wybiegający wzrokiem w przyszłość? Słowa były ciche, lecz tak jame i wyraźne jak gwiazdy świecące nad jego głową:

— Nieszczęsny! Nie zdążysz... Ty już nie!

Chuda ręka wysunęła się do przodu i musnęła policzek Nabulziego stęchlizną starości.

— ...to już idzie. Pochód wampirów. Brudna, cuchnąca woda... Błotniste kałuże wymijali ludzie i wielbłądy. Teraz to więcej niż krew! Życie. Ciepło i światło wielkich miast, ognista siła fabryk, tłuste ścierwo dla wyjących głodem motorów. Przyjdzie ich tłum. Będą kusić złotem, skłócać, intrygować, zabijać. Ta ziemia... — wysunął rękę za balustradę — nieszczęśliwa.

Zbyt blisko. Spłynie krwią.

Po dziadku Eliaszu pozostał grobowiec z tego samego kamienia, co stary dom w Beharré. Wysoki postument ocieniony gałęziami cedru. Starzec nie chciał postumentu i tego drzewa, mówił, że będą mu zasłaniać słońce i gwiazdy. A teraz decydował ojciec. Prawo klanu. A klan stanowił siłę.

Siła ta otwierała wszystkie drzwi w miastach, osadach i małych wioskach. Sięgała parlamentu, ministerstw, kontroli celnej, portów i lotnisk. Była wszędzie. W policji, armii, żandarmerii. Wielka rodzina dająca szczerze, ale pilnująca myśli i kroków.

Nabulzi wyciągnął spod głowy zdrętwiałą rękę i leżał chwilę w słonecznej pustce gabinetu. To trwało, zanim krew ożywiła się, a skronie zapulsowały równym, spokojnym rytmem. Rzeczywistość podpływała łagodnie, obrysowując ściany, meble, przedmioty.

Przeciągnął się i usiadł.

Dopiero teraz usłyszał uparty sygnał telefonu. W sekretariacie, pomyślał, lecz sygnał był bliski, dręczący.

Wolno, leniwie podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

Drgała w niej dobrze znana melodia Petry. Gdy rozbrzmiał wystrzał bata i tętent oddalających się koni, Nabalzi zbladł jak kreda. Usta szeptały bezwiednie skandowane w słuchawce słowa:

„Zastanów się dobrze, zanim opuścisz braci!”

Marta Nabalzi miała jeszcze przymknięte oczy, gdy usłyszała dobrze znany odgłos starego zegara. Poprzedził osiem dźwięcznych uderzeń, po czym rozległ się przypominający pozytywkę melodyjny motyw porannej sury.

Spojrzała na marmurową płytę kominka i zdążyła jeszcze zobaczyć ruch szabli tureckiego wojownika, który od niepaamiętnych lat uderzał w głowę uczepionego końskiej uzdy giaura. Opuszczone ramię podnosiło się wolno, a gdy pozytywka kończyła melodię, turecki jeździec nieruchomiał, rozpędzony koń zamierał z kopytami opartymi na zegarze, giaur zaś dalej kurczowo trzymał uzdę.

Zegar był stary i w rodzinie Nabalzich odmierzał czas dobrych kilku pokoleń. Marta była już dorastającą panną, gdy podczas pobytu w Bcharré zauważyła go, jak stał zakurzony w pokoju dziadka Eliasza wśród wielu zapomnianych przedmiotów. Zabrała go ze sobą. Zreperowany i odnowiony rozsiadł się na jej kominku i koił uszy melodyjnym motywem muzułmańskiej modlitwy.

Patrząc na zegar pomyślała z żalem, że gdy ozdobna wskazówka przesunie się na szóstą, po raz ostatni usłyszy dźwięk wybijanej godziny. Wstała i podeszła do okna.

I znów... że to już ostatni raz patrzy na rozległy taras, palmy

w fajansowych donicach, cyprysy w ogrodzie, niebieski prostokąt basenu, a za wąskim pasmem plaży bajecznie kolorowe morze.

Była ostatnia dekada września i słońce stało nisko za dachem willi, tak że w ogrodzie i na brzegu półcień przypominał wczesny zmierzch, ale morze świeciło jasno. Poranna bryza zepchnęła mgłę daleko od brzegu, odsłaniając zielony, mieniający się grzywaczami błam. Na odległej redzie sznur zakotwiczonych statków wyglądał jak ustawione równo zabawki. Port nie pracował już od miesiąca, przechodząc z rąk do rąk walczących frakcji,

Marta popatrzyła na ciemne sylwetki statków stojących na uboczu. Wczoraj wieczorem brat obserwował je przez lornetkę, sylabizując dziwne, greckie nazwy. „Temistokles, Filostratos, Dafne...” Stojąc za plecami Józefa Marta uśmiechała się złośliwie, bo przecież te nazwy odegrają ważną rolę w decydującej rozmowie. No i udało się! Pobiegła jeszcze wzrokiem na prawo, gdzie za przystanią i hotelem „St. Georges” ciemne słupy dymów brudziły niebo.

To miasto umiera, pomyślała i westchnęła ze szczerym smutkiem. To, co jeszcze jest całe, nienaruszone, naprawdę trzeba zapamiętać. Znów spojrzała na taras, ogród i przesunęły jej się przed oczami sceny z dzieciństwa, twarze ludzi, których już nie ma, i tych, którzy są, ale daleko.

Kawał życia.

Czy potrafię się obejść bez tego, co tu zostawiam? Mogę zabrać tylko obrazy, wizje... O, na przykład zakręt tamtej ścieżki i sylwetki dwóch starych cyprysów. Miałam taką miarę czasu. Czerwone czubki drzew — koniec odrabiania lekcji. Kiedy zakręt ścieżki ginał w mroku — pachniało kolacją. W uchylonych drzwiach brązowiła twarz Aiszy. Później szofera Mohameda.

Zjeździł z moim ojcem wszystkie drogi Syrii, Iraku, Iranu, a na starość odwoził mnie do szkoły. Gdy już miałem szesnaście... podrzucał mnie wieczorem do hotelu „Vendôme”, gdzie Józef i wujek Tuka czekali z kolacją.

Wszystko to zabiorę w tę podróż, choć będzie płowieć, tak jak granatowe wieczory na kolanach ojca. Wtedy miałem przed sobą całe życie... A teraz? Wyprostowała się i energicznym krokiem podeszła do lustra.

Stała chwilę, przyglądając się sobie uważnie. Och nie... Nie starzeję się jeszcze.

Nieraz, gdy kładła się spać nad ranem, to po przebudzeniu własna przygaszona twarz nie nastrajała jti wesoło. Gorycz! Dwadzieścia dziewięć lat... to tak jak w Europie czterdzieści. Przeleciało. To już właściwie pół seansu kolorowego filmu wspomnień. Marta wyświetlała go w chwilach chandry. Ale satysfakcji — żadnej. Schemat, nuda.

Bejrut, słońce, plaża, wieczorne spotkania w dobranym „cercle”, różowe świty powrotów, trzask drzwiczek samochodu i kroki na żwirze. Szmer kamyków. Znów kolejny dzień i kolejna noc.

Czasem coś ciągnęło ją w świat. Zamawiała miejsce w samolocie. Szwajcaria, Włochy, Francja, Anglia. Film ożywiał się, wypełniał nowymi twarzami, kolorowymi plenerami. Muzyka? Dźwięk? Wielojęzyczne rozmowy, szcęk nakryć, czasem szum morza, wiatru podczas zjazdów na nartach, gwizd ekspresów mijających bezimienne stacje.

Zdarzało się, że jakaś twarz wchodziła na plan, opatrzona imieniem, nazwą hotelu, numerem pokoju. Film na krótko nabierał tempa. Pędząca motorówka, jacht, ciepło rąk, ust, ciała i stereotyp pożegnania w szumie samolotu.

Nie... nie starzeję się jeszcze.

Uśmiechnęła się do lustra odsłaniając białe, kształtne zęby. Puste dni i puste powroty pasują do tego miasta. To trzeba sobie zapamiętać, pomyślała i uśmiech zniknął z jej twarzy.

Dwudziesty drugi września.

Właśnie ta data widniała na kalendarzu i bilecie szwajcarskiej linii lotniczej, której samolot punktualnie o dziewiątej wieczór miał zabrać Martę do Zurychu. W szafie leżał spakowany bagaż i pozostało tylko parę spraw. Ważnych... przed tym najważniejszym.

W płaszczu kąpielowym i kostiumie wyszła z sypialni na korytarz. Uderzył ją nieprzyjemny odór tytoniu i araku. Zrobił z mojej willi koszary, pomyślała, krzywiąc się z niesmakiem, o Józefie i ludziach obstawy.

W ogrodzie ukryte pod drzewami ciężarówka, zdeptane trawniki, niedopałki i puszki po konserwach — wszystko to przypominało niechlujny biwak. Przyspieszyła kroku, odwracając się z pogardą od natrętnych spojrzeń wylegających się szoferów. Bezczelne, prostackie twarze przyprawiły ją niemal o mdłości.

Dopiero na ocienionej drzewami alei uspokoiła się, wdychając zapach morza i zieleni. Nic tu po mnie... W Bari, Nicei czy nawet w którejś z nadmorskich osad poranki też są świeże i słoneczne, a wille lub domki też wygodne i — bez strzelaniny. Nie będzie ciężarówek, uzbrojonych zbirów i handlu śmiercią!

Po diabła on się pcha w te interesy z bronią, pomyślała o Józefie. Mało mu pieniędzy? Ambicja? Może ta mała Ahrenberg?

Tak, ząbki to ona ma ostre! Marta uśmiechnęła się złośliwie na myśl o sekretarce Józefa. Trochę śmieszna ta miłość do dziewczyny przypominającej podlotka. No cóż, tak już jest, że stary bluszcz wspina się na młode drzewa.

Doszła do basenu, zrzuciła płaszcz i chwilę stała na stopniach. Niebieskie lusterek dna wyglądało jak bezchmurne niebo. Marta pochyliła się nad swoim odbiciem.

Nic się nie starzeję!

Mocne, zgrabne nogi, lekko zarysowany brzuch, pełne piersi i idealnie gładka szyja. Usta? Trochę za duże... Ale on takie lubi. I to jest ważne. Musnęła palcami wargi, a później, prostując się i przeżąc dłonie, przejechała nimi od biustu aż do kolan. Ciepły, aksamitny dotyk.

Wesoły błysk oczu.

Czy oni też tak to odczuwali? Przywołała wspomnieniem męskie twarze nachylone nad nią, parzące, pofałdowane jak wzburzone morze.

Chyba jeszcze mocniej. Dlatego byli tak śmieszni i głupio niecierpliwi. Wróciła myśl nurtująca ją od dawna, że właśnie śmieszność i nieudolny męski pośpiech były przyczyną unikania mężczyzn przez jej bliskie przyjaciółki. Szukały zrozumienia między sobą.

Może i ja doszłabym do tego?

Nie potępiam... Tak jak i mężczyzn uganiających się za sobą. Nieufność. Udane zbliżenie? Problem. Gwałtowne? Może. Ale nie chciwe i ślepe. Skradanie się rąk, ust, ciała. Języki ognia wspinające się cierpliwie, aż obejmą całość. W oczach żadnego głodu, prośby, uwielbienia. Bezwstydy rozkaz i wykonanie.

Krew zapulsowała żywiej.

Zwinęła włosy w węzeł, włożyła czepek. Schodziła stopień po stopniu, czując przyjemne mrowienie. Dopiero gdy woda sięgnęła piersi, Marta odbiła się od stopni i położyła na wznak.

Doskonała cisza.

Brzegi basenu tłumili poszum morza i choć widziała

chwiejące się czubki drzew, nie czuła wiatru, zawieszona w niebieskiej pustce.

Cherchez la femme... Szablony. Stare, do niczego niepasujące szablony! Skrzywiła się ironicznie. Wymyślili to oni, myśliwi, atakujący każdą, która wpadnie im w oko. Tylko kobiety szukają długo i cierpliwie. Ale gdy już znajdują? Wtedy gotowe są na wszystko.

Odczuła jego bliskość, zapach, dotyk. Nagle przekręciła się zwinnie i wyrzucając ramiona zaczęła pruć błękitną powierzchnię.

Gdy zegar na kominku wydzwoił kwadrans po dziewiątej, Marta była już gotowa do wyjścia. Miała na sobie biały kostium i granatową bluzkę z dużym dekoltem. Gładki, złoty krzyżyk podnosił się i opadał wraz z jej oddechem. „Umiejętny makijaż podkreślał urodę, przesłaniając jednocześnie twarz maską pa-stelowej oficjalności.

Exact! Spojrzała na zegar. Lubiła się spóźniać, ale dziś minuty miały wartość godzin.

Milion. Równy milion dolarów!

Józef wyjechał z domu piętnaście po ósmej, najpóźniej o wpół do dziewiątej nadał depeszę do banku szwajcarskiego, więc potwierdzenie powinno już być u adwokata.

Podeszła do lustra tak blisko, że na szkłe osiadła mgła jej oddechu.

Pocałowałabym ciebie, Marto Nabalzi! Za twój wygląd, wczorajszą rozmowę z Józefem i... za dzisiejszy dzień. Nie zawiadłaś.

Rozjaśniona słońcem sypialnia stanowiła kolorowe tło. Wnętrze jej w miarę upływu lat zmieniało się niejednokrotnie. Dziecinne łóżko, obicia, meble. Nie zmieniło się okno, z tym samym widokiem na taras, ogród i skrawek morza. I lustro.

Duże, ukazujące całą, postać, owalne jak stara fotografia. Utrwało wspomnienia.

Trzask migawki.

Marta Nabulzi... lato pięćdziesiąty pierwszy. Sześćioletnia, w pomarańczowej sukience, stojąca na palcach. Srebrna przepaska, urodzinowy prezent, już na czole. Trochę krzywo, ale jest. Świeci! Twarz ojca wysoko nad twarzą Marty promienieje. Magnifique!... dobiega jego szept i Marta wie na pewno, że nie dotyczy to opaski. Podnosi głowę. Czuje ciepło jego spojrzenia na rozpuszczonych włosach.

Znów trzask migawki.

Wieczór... Wspomnienia można przeglądać jak album. Dziewięć lat to tylko dwie strony.

Tak, to był wieczór. Pootwierane szeroko drzwi we wszystkich pokojach. Marta jest w swoim, przed lustrem, w długiej czarnej sukience, i widzi, jak ludzie wynoszą wieńce i kwiaty.

Słodki, duszący zapach.

Widzi też wnętrze pokoju ojca. Otwarte okna, a na prostokątnym podwyższeniu płonie już tylko jedna świeca. Pochyliła się nad nią Józef. Jego twarz widać wyraźnie, ale jest jakaś daleka. Obca. Aisza mówi, że podobny jest do matki. Marta zna ją tylko z fotografii. Wysoka, dostojna, chłodna.

Józef gasi świecę i stoi na tle zapalających się gwiazd. Chłód. Chyba wieczoru.

Usta Marty drgają na wspomnienie słów Józefa. „Zostaliśmy sami, Marto... Sami!” Nie, sama zostałam tylko ja, szepce w lustro, w którym jak z mgły wyłania się wysoka, ciemna postać. Czuje dotknięcie chłodnej ręki. „Chodźmy, już czas.”

Dlaczego on nie płacze? Usta Marty krzywią się bolesnym spazmem. Dlaczego?

Migawki. Jedna, druga, trzecia.

Podróże.

Powroty z Europy. Nowe płaszcze, suknie... Trzask! Marta Nabulzi dwadzieścia jeden lat. Dwadzieścia trzy. Stop! Dwadzieścia dziewięć. Twarz szczupła, ale biodra, piersi trochę... Kuracja w Paryżu. Clinique des massages... Tylko sześć tygodni i najwyższa forma. Szczyt!

Fascynujące to przedzieranie się przez spojrzenia. Męczący tryb życia? Trochę. I dlatego te błękitne cienie pod oczami. Ale modne.

Baalbek. Strzeliste kolumny omiatane światłem reflektorów. Rzeźby, postacie z kamienia, twarze z kamienia.

Ta twarz też była z kamienia.

Po powrocie zaprosiła go do siebie.

W willi nie było żadnej służby. Sami.

Wieczorna burza oddalała się nad morze, lecz błyskawice raz po raz cięły niebo. Zaciągnęła zasłony i zapaliła nocną lampkę. Półmrok. Jej odbicie w lustrze było niewyraźne, tylko oczy świeciły mocno. W głębi, jak zawsze, kominek, zegar, tapczan, obrazy. Spojrzała w uchylone drzwi. Przestał gwizdać, jego cień szamotał się z piżamą. „Marto... Jesteś tam?” Ostry, metaliczny głos.

Idzie. Prosty, smukły, utykając lekko, ostrożnie, żeby w mroku na nic nie wpaść. I już jego twarz obok jej twarzy. Taka jak wtedy. Szczupła, twarda, kamienna. Wilgotne kosmyki włosów połyskujące miedzią.

Koniec albumu i ostatnie zdjęcie.

Marta Nabulzi... Dwudziesty drugi września. Kwadrans przed wizytą u adwokata Tukadijana.

Szybko zbiegła po schodach, wsiadła do auta i cała jeszcze przejęta wizją wspomnień pięła się dwójką do Avenue Bliss.

Tu jeszcze powietrze było czyste, a ponad wąską ulicą

między willami i parkiem ćwierkały ptaki, a do szyb auta pukały motyle i prążkowane trzmiele.

Na skrzyżowaniu z Avenue Clemanceau pierwszy podmuch wojny. W miarowy szum silnika wdzierają się wyraźne odgłosy strzałów i wybuchów, a pod drzewami tkwiły plamiste sylwetki czołgów. Tuż za zakrętem mundury wystawionych posterunków. Spod brązowych hełmów wyjrzało ku Marcie parę piegowatych twarzy i błysnęły szerokie uśmiechy Negrów. Palili papierosy i rozmawiali pokazując na odległy wieżowiec „Holiday Inn”, z którego maronicy falangiści ostrzeliwali arabską dzielnicę. W rytmiczny stuk karabinów maszynowych wdzierają się raz po raz wybuchy miotaczy min i moździerzy.

Pisnęły opony i jadące przed Martą auto zahamowało gwałtownie. Zdążyła nacisnąć pedał, lecz zderzak trzasnął metalicznie. Cytrynowy audi zabujał się na resorach, odwróciła się gniewna twarz kierowcy. Wyskoczył i szedł do Marty gestykulując.

— Excusez! Ah, madame Nabulzi! — Twarz wygładziła się od razu. A potem niedbale machnął ręką patrząc na lekkie wgniecenie. Marta uśmiechnęła się. Był to jeden z klientów Józefa i czasem spotykali się w jego biurze.

— Co za czasy, madame. Co za czasy — powtórzył pochylając się ku szybie. — W jednej chwili zablokowali ulicę.

Dopiero teraz Marta spostrzegła krzyżak kolczastego drutu zamykający jezdnię. Uzbrojony w pistolet maszynowy i granaty chłopak tkwił nieruchomo obok, obserwując nadjeżdżające samochody. Na chodnikach patrol falangistów zaczynał właśnie kontrolę dokumentów.

— Będą brali zakładników — tłumaczył półgłosem właściciel

audi. — To potrwa. Chwileczkę, madame. Spytam dowódcy.

Wkrótce wrócił w towarzystwie młodego, barczystego mężczyzny. Beret, wygolona twarz, a pod rozpiętą zieloną bluzą ryngraf Notre Dame de Harissa. Łagodna twarz madonny dotykała przewieszzonego przez pierś pistoletu maszynowego. Uśmiechnął się i zasalutował.

— Excusez, madame Nabalzi. Konieczność.

Marta uśmiechnęła się również, nie tyle do oficera, ile do myśli, że dobrze jest nosić to nazwisko.

— Potrwa — tłumaczył dowódca. — Pchają się do swoich na tamtą stronę. — Pokazał na obładowany tobołkami tłum, cisnący się od Naccache w kierunku mużulmańskiej dzielnicy. — Hołota! — Wydał pogardliwie usta. — Starocie i baby niech idą. Będzie lepsze powietrze. Ale młodzi? Tu! — Zacisnął zęby. — Chwilowo do piwnic, a później zobaczymy.

Marta odruchowo spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do dziesiątej.

— Jedno wyjście. — Dowódca pochwycił jej zniecierpliwienie. — Trzeba cofnąć się do Avenue Clemanceau, koło szpitala, a później przez Maamari. Tam już łatwo na El Hamra. Załatwimy.

Zasalutował i podszedł do stojącego przed krzyżakiem chłopaka. Ten po chwili spojrzął na audi, na samochód Marty i kiwnął głową.

Zawrócili i zjechali z powrotem w dół, mijając tworzący się już korek. Na Avenue Clemanceau pożegnali się gestem dłoni, bo właściciel audi skrzęcał w Kennedy'ego.

Marta, już sama, ruszyła w kierunku amerykańskiego szpitala. Szare, podłużne bloki drzemały w słońcu. Na ławkach pod pniami parę pasiastych postaci i białe fartuchy pielęgniarek. Narkomani i umysłowo chorzy.

Na wiosnę odwiedziła tu przyjaciółkę i teraz przypomniła sobie długie, idealnie czyste korytarze. Mijające ją postacie poruszały się sztucznie i milcząco, jak w starych, niemych filmach.

Koło pawilonów kliniki urazowej wyły syreny nadjeżdżających karettek, a przed wejściem — tłum ludzi. Jutrzejszy „L'Orient Le Jour” poda listę ofiar. Tragedia rodzącego się odwetu. I to już całe miesiące!

Zatrzymała na chwilę wóz. Twarz w lusterku była szara i zmęczona. A gdyby tak zamiast tamtych... muzułmański patrol? Westchnęła głęboko. Nie potrzeba wyobraźni. Oko za oko! Dla nich? Nazwisko Nabalzi — przepustka do piekła.

Otworzyła nerwowo torebkę i namacała kształt małego pistoletu. W razie czego... Nacisnęła starter. Najlepiej w otwarte usta. Nie miała pewności, czy byłoby ją na to stać.

Z rue de Rome wśliznęła się z łatwością w rzekę aut płynącą El Hamrą. Była bezpieczna. Tu w ciągu dnia panowało zwyczajowe zawieszenie broni.

Już wczesnym rankiem otwierano zabarykadowane na noc sklepy i ludzie wszystkich frakcji i ugrupowań tolerowali się wzajemnie. Robili zakupy, odwiedzali banki, restauracje, spotykali w kawiarniach. Rozmawiali cicho, obserwując się dyskretnie. Gdy słońce ginęło za wieżowcami i opadało w morze, rozchodzili się do swoich dzielnic, żeby znów strzelać. Tamte dzielnice to sektory obwarowane workami z piaskiem, puste, wymarłe. A na El Hamra można było dostać wszystko. Jedzenie, ubranie, miłość i to, co było teraz najważniejsze: alkohol, narkotyki, broń i amunicję.

Wrzuciła jedynekę i wolno jechała skrajem jezdni, ocierając się prawie o przechodniów. Był tu cały Liban. Żołnierze, żandarmi, patrole policyjne i ludzie wszystkich kast, profesji i kolorów skóry. Maronici, szyici, druzowie, Syryjczycy, Hindusi,

a nawet prawie czarni mieszkańcy Filipin. Byli i biali cudzoziemcy. Przeciskali się niepewnie przez napierający tłum do zagranicznych biur podróży i do małych ulicznych kantorów, gdzie można było wymienić pieniądze i kupić wciąż jeszcze tanie złoto.

Oni mają szansę. Tak jak ja! Ale co będzie, myślała, z właścicielami magazynów, banków, salonów samochodowych? Gdzie podzieją się hotelarze, restauratorzy? Tych ludzi przecież wiąże tylko zysk. Uciekają. Przypomniała sobie, z jakim trudem zdobyła miejsce w samolocie. Więc kto zostanie?

Spojrzała na długą kolejkę przed piekarnią. Stali! Szerniałe, wychudzone twarze, wypłowiałe ubrania, oczy patrzące ze wstydliwą rezygnacją na jadące wolno limuzyny. Spojrzała na strzępy lachmanów przykucnięte pod wystawami magazynów. Czarne, brudne ręce dzieci i kobiet wyciągały się chciwie po bakszysz.

Oni zostaną na pewno. Może jeszcze tamci z muzułmańskich slumsów. Szewcy, krawcy gnieźdzący się w jednookiennych norach i straganiarze o twarzach koloru tej ziemi. Muszą? Może tylko dlatego, że się tu urodzili. Urwała myśl. Wysunęła rękę, dając znak, że skręca.

Chciała zaparkować przed Banco di Roma, ale nie było miejsca. Rozpoznała mercedes Tukadijana i niebieskie volvo dyrektora Chiffoniera. Cofnęła auto i ustawiła tuż za wózkiem sprzedawcy pomidorów. Ahlam ta Sahlam! Pochylił się nisko, przykładając rękę do czoła.

Ten człowiek zna chyba pół Bejrutu, pomyślała. Zatrzasnęła drzwiczki i już odprężona, ze zwracającą uwagę elegancją przeszła na drugą stronę uliczki i skierowała się do windy. Między piętami spojrzała uważnie w lustro. Exact! Tak właśnie powinnam wyglądać. Poprawiła włosy i krzyżyk, który wysunął

się z bluzki.

Za chwilę pojdziesz, sprytny, pozbawiony skrupułów Ormianinie, pomyślała pukając do drzwi mecenasa. Pojdziesz, wujku Tuka, jak załatwia się interesy w Bejrucie!

Rozbierała się, gdy zegar wydzwonił, jedenastą. Szabla wojownika znów dotknęła głowy szarpiącego uzdę giaura. Napięte mięśnie nóg człowieka i konia, rzeźbione w brązie, błyszcząły w słońcu jak symbol zmagającej się siły.

Wygrałam — szepnęła do siebie.

W melodyjny dźwięk pozytywki wplatał się szum wody w łazience. Naga podeszła do okna. Słońce stało wysoko nad tarasem, prażąc marmurowe płyty. Widok ogrodu i morza drgał w rozgrzanym powietrzu. Zaciągnęła zasłony i włączyła klimatyzację.

I wygram! Pomyślała o śniadaniu u Hamilkara. Prezes Crédit Libano-Alsacien prosił na dwunastą trzydzieści, ale nie było sensu pokazywać się tam przed drugą. Zakręciła wodę i wrzuciła do wanny pomarańczową kulkę. Ambra i jaśmin! Dyskretny, świeży zapach utrzyma się podczas nocnej podróży w samolocie. Czekając, aż gałka się rozpuści, wróciła na tapczan i zapaliła papierosa. Patrzyła na strużkę dymu i swoje lekko drżące palce.

Nerwowy dzień. Nerwowy.

Z wizyty u Tukadijana wróciła więcej niż zadowolona. Radość! Jak w dzieciństwie z olśniewającego prezentu. Wiedziała już wczoraj, że wygrała, lecz atmosfera dzisiejszego dnia, świadomość udanej intrygi, której nie przewidział nawet taki spryciarz jak Tukadijan, wprawiły ją w euforię.

Na wstępie mecenas z aktorską przesadą podkreślił wagę jej wizyty. Powitał ją już na progu gabinetu i dopinając guziki marynarki błysnął okazałym brylantem w krawacie. Dopiero później, pochylając się, z szerokim gestem ręki wpuścił ją do wewnątrz.

Gdy usiadła, przeszedł za biurko, eksponując na tle „okna napoleoński profil.

— Aaa... Madame Marto, gratuluję! De tout mon coeur... z całego serca!

Odmierzając krótkie, energiczne kroki wręczył jej depeszę, a twarz jaśniała mu uśmiechem.

Marta siedziała w niskim klubowym fotelu, pokazując odsłonięte kolana i biust rozdzielony krzyżykiem. Wzięła depeszę i szybko przebiegła ją wzrokiem. Mimo wczorajszej nieprzyjemnej rozmowy z Józefem teraz poczuła dlań ciepłą wdzięczność za punktualne przekazanie sumy. Milion dolarów w Swiss Bank to ponad pięć tysięcy miesięcznie samych procentów! Pomyślała, że w najbliższym czasie zlikwiduje konta w Londynie i Paryżu i przeniesie je do szwajcarskiego banku. Instytucja, która mimo zamieszek w Bejrucie potrafiła w niecałą godzinę potwierdzić wpływ, otwarcie konta i korzystne oprocentowanie, zasługiwała na pełne zaufanie.

Magnifique! Wspaniale... — Podniosła głowę trafiając w słoneczny uśmiech mecenasa. Ale zanim powiedziała: „Ach, Jacques, po co ten oficjalny ton między nami?...” — jeszcze uśmiechnięta przygotowała atak. Mobilizacja!

...Tym swoim śmiechem nie nabierzesz mnie, wujku Tuka. Chytry lisie, woniejący juchtem. Skrapiasz się obficie, żeby zabić odór bazarowych geszefciarzy. Nie nabierzesz mnie.

Znamy się od dawna. Był czas, że czysta jak Notre Dame de Harissa siadałam ci na kolanach szczebiocąc po dziecinnemu.

Nie, jestem z Nabalzich i nawet ten szczebiot nie był dziecinny. Przitulona do twojej piersi odczuwałam blask ołtarza, na którym Józef... Tak! Józef Nabalzi, mój brat, celebrytuje strzeliste akta swoich interesów. Już wtedy myślałam, że mogę coś z tego uszczknąć dla siebie.

Poczekaj, zaraz wyłożę karty... Bardzo mocne! Ale najpierw przypomnijmy sobie, kiedy po raz pierwszy nazwałaś mnie „madame Marta”.

Stary spryciarzu! To przyszło samo, taki znak kobiecego rozkwitania. Pamiętam dobrze.

Na lotnisku. Po pierwszej podróży do Europy. Zachęcił mnie Józef, żebym spokojnie operowała własnym majątkiem. Może to nawet ty podsunąłeś tę myśl? W każdym razie witając mnie wraz z Józefem, wręczyłeś mi piękne kwiaty.

Ubawiło mnie to, ale wyszło zgrabnie. Spojrzałam na ciebie, wujku Tuka, jak na... mężczyznę. Egzemplarz gatunku, tak jak w ZOO, z umieszczoną na klatce tabliczką: „Tukadijan-mecenas-geszefciarz. Występuje w pasie śródziemnomorskim, samotnik, okres rui...” Właśnie. Właśnie!

Ten okres rui był w twoich oczach, wujku Tuka. Wystrojony w angielski tropik, twarzową panamę, jak na swój wiek wyglądałeś pociągająco. Niezła sylwetka, dostojna twarz, spojrzenie wzbudzające zaufanie. Może trochę za dużo zmarszczek. Ale — malownicze. Coś z reklam marlboro czy hennesy, na których dystyngowani oldboye z białozębym uśmiechem chwalą aromat tytoniu czy koniaku.

Jestem z Nabalzich i od razu odkryłam przyczynę tych fałd, bruzd i siatek pod oczami. Tak jak podczas przypadkowych przejazdów przez francuskie Pigalle czy londyńskie Soho z łatwością poznawałam szeroki, znużony krok prostytutek. Mój

drogi. Żyłeś z klientów. Cieszyłeś się z ich zmartwień, martwiłeś powodzeniem, podejrzewałeś ich, śledziłeś i wabiłeś wystudionowanymi grymasami twarzy. To zostawia ślady.

Trzymając na lotnisku kwiaty, pomyślałam: oto adwokat Tukadijan. Mężczyzna myszkujący wzrokiem po moich zaokrągleniach, ale przecież to... kartoteka Bejrutu, mojego „cercle”, tajemnic otaczających mnie ludzi. Fascynujące! I wtedy... Pamiętasz? Pierwszy raz uśmiechnęłam się do ciebie jak kobieta.

Chwyciło.

Nazwałam ten rozdział „prostitution sans liaison”. Wspomniała gra. Wyłudzenie bez miłosnego aktu.

Zapatrzone w moje kolana i biust, wujku Tuka, odczuwałeś podwójne ciepło: ciepło mojego ciała i moich kont w Paryżu i Londynie. Doradzałeś dobrze, aż wreszcie stałeś się hojny. Cały milion dolarów! Dziękuję. Dziękuję, wujku Tuka. No a teraz trochę poufałości.

— Ach, Jacques, po co ten oficjalny ton między nami? Przecież w dużej mierze zawdzięczam to tobie.

Może... wyłącznie tobie?

Spojrzenie Marty spoczęło na jego twarzy, a zdecydowany ruch ręki zatrzymał konwencjonalne zaprzeczenie.

— Nie umniejszaj swojej roli.

Twarz Tukadijana... wielkie, jasne, libańskie słońce. Takie, jakie na wiosnę rumieni pomarańczowe gaje nad Litani, prostuje znużone zimą liście palm i gałęzie cyprysów.

— To szlachetne... Tuka — ciągnęła Marta z wilgotnym spojrzeniem. — Bardzo szlachetne. Typowe dla ciebie.

Odchyliła do tyłu głowę i dotykając krzyżyka przymknęła oczy. W pozycji upozowanego relaksu mogła myśleć swobodnie i spod powiek obserwować mecenasa.

Oj, będzie na co patrzeć... Będzie! Ale jeszcze mała kalkulacja.

Cyfra wyskoczyła błyskawicznie.

Piętnaście procent honorarium — bierze od takich spraw dwadzieścia — to... sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wartość przyzwoitego domku na południu Francji czy Włoch. Trochę na ustroniu, z dziką plażą, akurat dla dwóch zajętych wyłącznie sobą osób.

Wujku Tuka? Musnęła spod powiek słoneczny uśmiech mecenasa. Nie widzę powodów. Naprawdę. Zrezygnować na twoją korzyść? Sto pięćdziesiąt tysięcy? Żadna aktorka nie dostanie takiej sumy za kilka minut recytowanej roli. A ja — tak! Zgasimy teraz to twoje dobroczynne słońce. Ciemności egipskie. Wytrzymasz chyba to spадanie w przepaść?

— Wczoraj... — zaczęła półgłosem — w tej decydującej rozmowie z Józefem — wyskandowała i jeszcze zatrzymała się chwilę.

Stał pewny siebie, zadowolony z uznania dopiero co wypowiedzianego, w ciepłe na pół odsłoniętego biustu i kolan. Kochał te chwile zwycięstw w swoim gabinecie. Prócz słów pochwały, podzięką w dochodzący zgiełk miasta wplatał się zawsze szelest wystawianego czeku.

Wytrzyma, zdecydowała Marta. Ścisnęła usta w dwie linijki. Teraz! Westchnęła głęboko, jakby to, co miała powiedzieć, było zrzuconiem ciężaru.

— Jestem tylko kobietą, Jacques... — Zmodulowała głos, jakby prosząc o wybaczenie. — Tylko kobietą.

W tej rozmowie z Józefem, Jacques... powiedziałam o tobie wszystko. Musiałam! — rzuciła jednym tchem i wcisnęła się w fotel.

Ciemność.

Błysk jakby piorunu... i przejmująca cisza. Przez okno słychać było zgiełk miasta i zbliżający się jękliwy warkot samolotu. Był jeszcze nad morzem, ale już podchodził do lądowania.

Za chwilę jego ogromny cień musnął ścianę przeciwnego domu, a grzmot silników zadzwonił szybami.

Dopiero później Marta zorientowała się, że Tukadijan musiał krzyknąć, gdyż szeroko otworzył usta, lecz do niej dotarł tylko bełkot ostatnich słów:

— Ty?! I to ty?!

Przestraszyła się.

W ułamku sekundy twarz nad nią zbladła, zmaląła i nagle napłynęła na nią ciemna fala krwi. Z guzami żył na skroniach, z wytrzeszczonymi oczami, ciężko dysząc, pochylał się nad nią.

Apopleksja? Zawał?

Przeżona wstrzymała oddech. Tylko nie to! Nie teraz! Jest mi potrzebny. Jeszcze parę godzin... Do wieczora!

— Dziwka! — wysyczał.

Kropelki śliny padły na jej policzki. Możesz, pomyślała. Możesz. Zapłaciłeś dziesięciokrotną wartość. Nie odwróciła twarzy, bo zrozumiała, że już zaczęła się recesja. Wytrzymał! Odetchnęła z ulgą. Tym razem jeszcze wytrzymał. Ale wieczorem?

Mecenas przycisnął rękę do piersi i zapadł się w sobie. Skulony, stary odwrócił się niemrawo, przebrnął przez dywan i ciężko opadł na fotel.

Dyskretnie przetarła policzki i już spokojnie patrzyła na Tukadijana. W jego oczach gasły i zapalały się sygnały myśli. Odczytywała je bezbłędnie.

Za wiele sobie pozwalasz, wujku Tuka! Pomogliście mi, ty i Józef. Dotknęła leżącej na kolanach depeszy. Sprawiedliwie. Przecież zawsze zajmowaliście się moimi pieniędzmi. No a teraz pomyślcie o sobie. Szczególnie ty, wujku Tuka. Zrób bilans. Wydaje mi się, że wyjdiesz na zero.

Mecenas opuścił głowę.

Jeśli powiedziała Nabulziemmu, że zdradziłem, i wyrwała ten milion dolarów? Tego nie zapomina się nawet w chwili śmierci. Zniszczy mnie. Po prostu zniszczy!

Ramiona opadły bezwładnie, a przez myśl przebiegły dwa słowa: „Rocher de Paradis”.

Wilgotny chłód strachu.

Nieraz, prowadząc śliskie sprawy, odczuwał lęk. Bezsenność zwalczał tabletkami, lecz mimo to w nocy pocił się, a czasem zrywał z krzykiem przejęty grozą bankructwa. To nie choroba. W tym mieście noce były niespokojne. Często pękały serca. Tak często, jak wahały się kursy złota i papierów wartościowych. Teraz? Niestety. Rzeczywistość.

Spojrzał w okno. Ostre już słońce błyszczło na ścianie przeciwległego biurowca. Przesunął wzrok do czternastego piętra.

W gabinecie Nabulziego falowała zasłona i wydało mu się, że mignęła sylwetka Józefa. Może już? Wystarczy tylko jeden telefon.

Mój Boże... Mój straszny, mocny Boże!

Dotknął piersi, ale ciepły kształt krzyża nie przyniósł ulgi. Spojrzał na stojącą na biurku statuetkę fenickiego Baala Melkart. Wiele razy odwracał od niego zło. Teraz odbłask metalu był zimny. W proch... Rozetrze mnie w proch! Patrzył tępo na byczy kark i uniesione w górę racice.

„Rocher de Paradis”... Rajaska skała!

Klucz do bogactwa, a teraz — katastrofy.

To Nabulzi wlepił mi tę posiadłość! Rozluźnił kołnierzyk. Jeszcze w zeszłym roku. Podczas trzeciej rundy zamieszek. Właściciel emigrował i cena nie była wygórowana. Ponad dwadzieścia hektarów malowniczego terenu przylegającego do morza i autostrady biegnącej w kierunku Sydonu. I to wszystko

niecałe pięć kilometrów od Bejrutu!

Pamięta jego słowa:

...Z tymi zamieszkami to już koniec, mój drogi. Przychylił do Tukadijana tę swoją nieprzeniknioną twarz. Do trzech razy sztuka! A miasto? Obliczyłem dokładnie, dotrze tu za dwa i pół roku.

Pamiętasz, Tuka? W siedemdziesiątym nadmorski Bejrut kończył się na południu zaraz za siedzibą UNESCO i tym zaniedbanym cmentarzem katolickim. Tam właśnie zbudowano hotel „Beau Rivage”. Właściciel, żeby przeżyć, musiał handlować rybami, bo wszystkie pokoje były puste.

W siedemdziesiątym pierwszym podwyższył ceny i przez trzy czwarte roku miał bity komplet. W drugim... kilometr dalej stanął już dziesięciopiętrowy „Atlantic” i „Melkart”, a przedmieście podsunęło się pod stadion sportowy.

Rozumiesz, co to znaczy? Prosta sprawa. Nasze kochane miasto poszło na spacer w kierunku Sydonu, najżyźniejszej enklawy Libanu. Co ja mówię... poszło? Ono pobiegło, Tuka! Całkiem szybko... dwa kilometry rocznie. Mamy siedemdziesiąty trzeci. W piątym zaczniesz parcelować i sprzedawać. Dwie małe działki zwrócą ci wkład. No a ty... powiedzmy, sprzedasz dziesięć. Będziesz miał półtora miliona za czekanie. Nieźle, co?

Nabulzi stuknął go przyjacielsko w bok. Nie mocno, ale Tukadijan odczuł to teraz siedząc za biurkiem. Skulił się jeszcze bardziej.

Tukadijan przypomniał sobie, jak z wrażenia zrobiło mu się gorąco, jak mimo lutowego poranka i przejmującej bryzy zdjął kapelusz i rozglądał się monarszym spojrzeniem po cyprysach, piniach i palmach. Pięły się w górę wśród fałd zieleniącej już

darni i skał poszarpanych erozją, wyglądających jak stare zamki krzyżowców.

Stali z Nabulzim na najwyższej skale. W odległych czasach ruchy tektoniczne zawałyły szczyt, a wiatry i deszcze tysiącleci wygładziły wierzchołek i uczyniły zeń płaski, owalny podest. „Rocher de Paradis”... Prawdziwa rajska skała! — wyrwało mu się z ust.

Nabulzi drgnął i chwycił go gwałtownie za ramię. Tuka! To genialne! „Rajska skała”... supernowoczesny ośrodek rekreacji. A tu, gdzie stoimy? Jak myślisz? Restauracja! Cały zespół barów, kawiarni, nocnych klubów... Sale do gry, widowisk i bankietów. A wszystko to opadające tarasami aż do błękitnego morza.

Casino du Liban? Zbyt daleko i już staroświeckie. Krupierzy, kelnerzy, barmani i te wszystkie ślicznotki, potrzebne jak rodzynki, przyjdą tu na twoje skinienie. Tu, gdzie między niebem i morzem będzie płonął napis oświetlający autostradę: „Rocher de Paradis”!

Pamiętał, już z trudem chwycił powietrze. To lepsze, niżby tu trysnęła nafta, zachwycił się Nabulzi. Ona i tak tu popłynie i nie śmierdząca, brudna. Pachnąca zielenią banknotów. To będzie najelegantszy rurociąg Bliskiego Wschodu.

Marta spod przymrużonych powiek obserwowała mecenaś. Nietrudno było iść tropem jego myśli. Bo wszystko to знаła doskonale z wynurzeń Józefa. Brat wyraźnie młodniał przy swojej sekretarce. Cofał się i doganiał stracone lata. Teraz, gdy był już blisko celu, mógł sobie pozwolić wobec Marty na trochę szczerości.

Mój brat, pomyślała. Mój brat, wujku Tuka, wybrnął. Wepchnął cały pakiet akcji temu idiocie Chiffonierowi. No ale co będzie z tobą? Wygląda to katastrofalnie! Poprawiła się w fotelu, tak jak w teatrze, gdy sztuka nabiera tempa.

Mecenas usłyszał szelest i odruchowo spojrzał na jej nogi. Zachnął się. Przeklęta! Te spod czerwonego szyldu Gold Finger robią lepsze sztuczki i są uczciwsze. Nawet jeśli ściągną sygnet czy zegarek. Ale nie grzebią się w mózgu i nie sięgają po serce.

„Rocher de Paradis”... Westchnął głęboko.

Libański Chrystusie, Allachu i Baalu, słusznie ukarałeś mnie za głupotę!

„Bejrut poszedł na spacer w stronę Sydonu...” — powtórzył słowa Nabalziego. Gdy zaczęły się te przekłete zamieszki, to cofnął się. I to dziesięć razy szybciej, niż przedtem szedł do przodu.

Ja miałem parcelować działki. Pytam się, jakie działki? Cały Bejrut jest już rozparcelowany. Są działki falangistów, lewicy i prawicy muzułmańskiej, fedainów, As Saiki przenikających z Syrii i łączących się z Palestyńczykami. Do nich się trudno dostać, choć są w środku Bejrutu, a cóż dopiero do „Rocher de Paradis”.

Oj, Nabalzi, Nabalzi! Ty wielki oszuście! Nie wahałeś się okradać własnej siostry, to niby dlaczego miałbyś oszczędzać mnie?

Niech stoczy cię trąd, białaczka, rak i wszystkie inne pa-skudztwa, od których gnije się i zdycha powoli. A najlepiej niech cię od razu trafi szlag! Zanim dotkniesz słuchawki telefonu.

Znów spojrzał w okna gabinetu na czternastym piętrze, ale powiewały tam tylko pomarańczowe zasłony. On już dzwoni... Dałbym głowę, że już trzyma telefon.

Marta przyglądała się twarzy mecenasa. Przez krótką chwilę odczuła litość zmieszaną z żalem. Mondo cane... Naprawdę pieski świat.

Błysnęło wspomnienie, kiedy po zdaniu matury czekała na tarasie na Józefa i wujka Tuka. Nagle usłyszała ich kroki na żwirze. Szli blisko siebie, prawie równi wzrostem, młodszy o

kilkanaście lat, wyprostowani, elegancy, piękni nieomal. Tuż za nimi szofer z paczkami upominków.

Mondo cane! Upominki? Już wtedy szachrowali moim majątkiem. Odrzuciła wspomnienia i zacięła usta. Pożeranie... Szarpanie krwistych tkanek! Żadnej litości. Nie przewidywałeś, wujku Tuka, że i ty będziesz padliną.

Mecenas potarł czoło, rozmazując grube krople potu.

Spadam! Nie roztrzaskałem się jeszcze. Jeszcze jestem w powietrzu. Ale tego powietrza wystarczy na skąpy oddech...

...Gdy pod koniec trzeciej rundy spłonął „Atlantic”, mogłem jeszcze odprzedać „Rocher de Paradis”. Nie straciłbym wiele. Rybacy z Baabda i Choseifat chcieli kupić ten kawałek brzegu, osłoniętego z boków i w sam raz nadającego się na małą przystań. Ale ty, Nabulzi, przyszedłeś jak Judasz, szakal po nową padlinę.

Rozmawialiśmy całą noc. Potrzebowałem pieniędzy. Przecież na dwa lata utopiłem całą gotówkę... Powiedziałeś, że jestem wariat, wypuszczam najlepszy interes. Wtedy zwróciłem się o pożyczkę. Prosiłem w imię przyjaźni.

Odgrodziłeś się ode mnie stalowym chłodem.

Pożyczyć? Zwariowałeś! Przecież masz dziesięć razy tyle co ja. Trochę wyobraźni, Tuka. Oj, niedobrze. Gdzie się podział mój przyjaciel? Najzdolniejszy mecenas w Bejrucie?

Tuka, Tuka! Obudź się! Proś Chrystusa, Allacha, żeby ci powrócili rozum. Przecież, człowieku... Ty śpisz na milionach!

Nie możesz parcelować?

Tym lepiej. Dasz ludziom gotowe „Rocher de Paradis”. Że to chwilowo na obrazku? To nic. Ale za to na pierwszej stronie gazet.

Już mam rysownika. To Acra Meknes. Tylko co przyjechał z Ameryki. Oni tam wiedzą, jak robić reklamę. On ci odstawi tę „Rocher de Paradis” jak żywą. Baseny, parkingi i opadająca tarasami restauracja.

Nabulzi, patrzyłem na ciebie jak na proroka, rozplamieniony światłem twoich oczu. Więcej! Ja już widziałem te gazety... I ten gruby napis w nagłówku.

...”Okazja! Kupujcie akcje «Rocher de Paradis»! Najlepsza lokata! Wysokie dywidendy!”

Ale jeszcze miałem wątpliwości.

Niech te akcje będą po sto libanów... powiedzmy. Kto kupi dziesięć, dwadzieścia czy nawet sto, nie będzie sprawdzał, jak naprawdę wygląda ta budowa. Ale ten, kto naprawdę będzie lokował kapitał, musi wiedzieć, co, jak i gdzie. Czy tam naprawdę coś się robi. Czy towarzystwo ma gwarancje banku. Prawda? Chyba dobrze myślę, Józef, co?

Wyciągnąłeś tę swoją plamistą dłoń wysoko, do mojej głowy. Myślałem... Józef Nabulzi wieszcz, jasnowidz, znów będzie prorokował. Ale ty tylko stuknąłeś mnie w czoło, jak małego brzdąca, co zapomniał tabliczki mnożenia.

Tuka, Tuka, ty już nawet nie nadajesz się na woźnego! Mece-nas!

Usta tak ci spuchły lekceważeniem, że naprawdę poczułem się mały i głupi. Mrugałem jak nietoperz porażony blaskiem. A ty mówiłeś z przerażającą pewnością siebie:

Musisz mieć na czysto... dziesięć milionów libanów. Nie przecz!

Znów machnąłeś opryskanym plamami łapskiem tuż pod moim nosem. Pamiętam. Cofnąłem się jak przed, policzkiem i już zgłupiałem do reszty. Twoje słowa? To już nie były słowa. Muzyka! Wciągnąłem szyję, zasłuchany w każde drgnienie twego głosu.

...Żeby to rozkręcić, Tuka, musisz dać dwa miliony. Zaraz. Zaraz ci wyjaśnię. Sam powiedziałeś, że będą sprawdzać, jak to wygląda. Czy tam coś się robi.

Tam będzie się robić. Dniem i nocą.

Przede wszystkim musisz ogrodzić ten teren. I to musi być najlepsze ogrodzenie w całym Bejrucie. Weźmiesz muzułmańskich oberwańców, zapłacisz dobrze i w tydzień stanie ogrodzenie, jakiego nie ma nawet ambasada amerykańska. A ty? Ty, Tuka, najlepiej sam, osobiście, pojedziesz do Medawar. Wiesz chyba, gdzie to jest. Niedaleko portu. Tam jest największe cmentarzysko złomu. Właściciel nasz człowiek. Maronita. On ci dobierze z piętnaście starych dźwigów, parę buldożerów, koparek i opryska to lakierem, żeby świeciło jak słońce. Powiedzmy... będzie to kosztowało trzydzieści tysięcy libanów. Dorzucisz jeszcze pięć. On da transport, ustawi gdzie potrzeba i zawiesi reflektory. W nocy będzie jarzyło się jak miasto. To bardzo porządny człowiek. On ci znajdzie takich, co za parę groszy będą się tam kręcić w kaskach i kombinezonach, zadowoleni, że nie mają roboty. No?

Obliżywałem spieczoną gorączką usta. Miraż? Fatamorgana? Dziesięć milionów! Ale jeszcze miałem wątpliwości. A gwarancja, Józefie? Gwarancja banku?

Dziobnąłeś tym swoim nosem jak sęp i wykrakałeś dwa słowa: Baides i milion.

Yussef BAIDES!

Kto go nie znał w Bejrucie? Właściciel Transit Bank Co., którego filie były w całej Europie Zachodniej. Przez kasy tego banku przepływały pieniądze emiratów Zatoki Perskiej. A sam wielki Baides kontrolował Casino du Liban, domy gry i większe restauracje w Bejrucie. Transit Bank da gwarancję? Najlepsza reklama!

Rozpływałem się ze szczęścia, z wdzięczności, no i oczywiście

nad twoją mądrością, przeklęty szachraju. Ale nie byłbym Li-
bańczykiem i do tego jeszcze Ormianinem, żebym przez cały
czas rozmowy nie zadawał sobie pytania. Co ty będziesz chciał
ode mnie? No co?

Badałem twoją twarz, każdy grymas, zmarszczkę» Nic! Nie-
znany alfabet. Może naprawdę... fenicki? Taaak! Potężny, z
czołem mędrca, oszronionym po bokach siwizną. Naprawdę
prince d'Orient. Wzbudzający szacunek Księżę Wschodu. Le-
gendarny Hiram.

Koło El Hamra, w zaułku El Baalbek jest taki pied-à-terre
dla wtajemniczonych. Nazywa się właśnie „Prince d'Orient”.
Tam, jak spotyka się dwóch znajomych, to patrzą w sufit. Oni
po prostu nie chcą się poznać. Po co?

Spotkaliśmy się na wiosnę, Nabulzi. Ja? No, mniejsza z
kim, ale ty byłeś z tą swoją małą Ahrenberg. Wiesz? Ona nie
spuszczała z ciebie oczu. Od razu pomyślałem: leci nie tylko na
pieniądze, ale i na to twoje dostojeństwo. Przypomniałem to
sobie i byłem już całkowicie bezbronny.

Taki dostojny? Co najmniej połowę, i to też wcale nie tak
dużo, stwierdziłem, mając na myśli te pozostałe pięć milionów.
Zaraz... zaraz. A może ma jakieś kłopoty? Może ta jego siostra
jest w ciąży? Oj, nie mogę! A ja? Zgadzam się. Przyjacielowi się
nie odmawia. Naturalnie. Ślub i... jej część majątku.

Niepewność. W jednej minucie cieszyłem się i martwiłem.
Nie dręcz mnie. Powiedz!

Mówiłeś. Mówiłeś dalej. Pisałeś tym swoim złotym parke-
rem wylczenia i cyfry.

Spójrz uważnie, Tuka. Ty musisz mieć te dziesięć milionów
libanów. Nie przecz!...

Powiedziałeś to „nie przecz” tak sobie, bo ja wcale nie mia-
łem zamiaru przeczyć.

...na czysto, Tuka. Będziesz miał!

Zamiast sto tysięcy akcji po sto libanów wydrukujesz nominal po sto dwadzieścia. Są te dwa miliony na rozkręcenie interesu? Są.

Jeden milion... to Yussef Baides i gwarancja Transit Bank Co. To ogrodzenie, złom, urządzenie placu, reklama w gazetach, kinach, kolacje z wpływowymi ludźmi, liczymy sto siedemdziesiąt, dwieście tysięcy. Zostaje osiemset. I te dasz mnie!

Odetchnąłem.

Spuściłem oczy, żebyś nie spostrzegł radości. Ha, ha, ha, to nie ja, myślałem, ale tyś zwariował. Osemset tysięcy za taki interes?

Po chwili znów podniosłem oczy i z wyrazem powątpiewania spytałem:

Osemset tysięcy? Czy to nie za dużo, Józefie? Przecież ja to będę firmował.

Teraz z kolei ja byłem księciem. Wyprostowałem się, a nawet wspiąłem na palce. Już nie byłem od ciebie zależny. Wiedziałem wszystko. A ty zacząłeś mi tłumaczyć:

To nie dla mnie, Tuka. Nie chcę ani grosza. Słuchaj! W każdy poniedziałek otwierają giełdę o godzinie dziesiątej. Powiedzmy, o dziesiątej dziesięć, ja, Józef Nabalzi, kupię tysiąc akcji „Rocher de Paradis” po nominale. To już sto dwadzieścia tysięcy. Na drugi dzień ukaże się w prasie notatka, że amerykański koncern turystyczny szuka w Bejrucie terenu pod budowę obiektu. Minutę po dziesiątej pierwszą transakcją giełdową załatwi mój agent. Trzy tysiące „Rocher de Paradis” po sto pięćdziesiąt libanów za każdą akcją. Rozumiesz?

Licysz? Z pierwszym zakupem już wydam pięćset siedemdziesiąt tysięcy. Ile mi zostanie z tych osiemset? Dwieście trzydzieści tysięcy. To ja jeszcze pod koniec dnia kupię tysiąc po

dwieście libanów. Wszystko! Ta końcówka... dla pismaków z „L'Orient Le Jour” i „Al Ahram”.

Można oszaleć!

On naprawdę nic nie chce? Przecież w tym kraju nawet uśmiech czy ukłon miał swoją cenę. Nie wytrzymałem:

...Co ty chcesz ode mnie, Nabalzi? Powiedz wreszcie. Powiedz!

Znów byłeś książę. Uśmiechnąłeś się dobrotliwie jak sam Salomon. Patrzyłeś na mnie długo, a później oblizales wargi, tak jak robięś to w restauracji nad porcją irańskiego kawioru albo smacznej langusty.

Tuka! Tylko dwie drobnostki. Dwie. Mówiłeś, że rybacy chcieli odkupić albo dzierżawić ten teren. Ty mi dasz dzierżawę! I to tylko wąski kawałek brzegu i nie na cały rok. Wiesz, jak teraz pracuje port? Ja tam zrobię małą przystań, żeby od czasu do czasu przyjmować towary. Nawet dla ciebie to lepiej. Będzie ruch, dwa prawdziwe dźwigi i ciężarówki. To przecież normalne. Idzie budowa.

Kiwnąłem głową.

No widzisz. Ta druga? Tuka... to rarytas! Jak już wydrukujesz te sto tysięcy akcji, dasz mi w komis. Ciebie nic nie obchodzi. Ja płacę nominal. Po co masz biegać, użerać się z agentami, pilnować. Ty już masz w kieszeni dziesięć milionów! Zgoda?

Wyskoczyłeś do mnie z parszywą łapą jak z pistoletem. Nie mogłem się już wahać. Zresztą nie znałem kombinacji giełdy. Myślałem... Co ja mogłem myśleć? Przybiłem na zgodę.

Podniosłeś się potężny, zwycięski i już stojąc w drzwiach dałeś ostatnią wskazówkę:

Jest takie porzekadło: „Chcesz dobrze sprzedać starego osła? Daj mu dużo owsa, wyszczotkuj go, a przede wszystkim

kup mu najdroższą uprząż”. Rozumiesz? Ty drukuj te akcje za granicą, najlepiej w Szwajcarii. Nowoczesne maszyny... To musi być tipos-topes! Rysunek, kolor, papier. Musi aż pachnieć grubą solidną forszą. No i... pospiesz się!

Tukadijan przełknął głośno ślinę. Tak... oczywiście, że się pospieszyłem. Spojrzała na Martę.

Rozparta w fotelu, z depeszą na kolanach, z rękami ułożonymi swobodnie na poręczach patrzyła łagodnie, nieomal ciepło. Madonna... o ciemnozłotej karnacji twarzy. Psiakrew! Poczul, jak i jego twarz ciemnieje od nowej fali gniewu. Nieodrodna siostra! Masz po matce więcej krwi arabskiej, lecz was, Nabulzich, skrzyżować nawet z Negrami, to pod skórą zawsze to samo. Szatański spryt, wyrachowanie i mistrzowska mimika. Żadnych śladów wewnętrznych przeżyć. Oczy wilgotne, aksamitne, a w istocie to jadowite czujki owada. Dotykasz mózgu, myśli i czytasz... wszystko. To już ostatni rozdział, Marto. A zakończenie? Jedźmy dalej.

Józefie, Józefie, twój spryt... Tak! Ale i szczęście. Piekielne, aż podejrzane.

Wtedy, gdyś żegnał mnie w drzwiach tym swoim, wystudiowanym gestem, to już Yussef Baides z Transit Bankiem był gigantyczną plajtą. Baides potrzebował tego miliona, ażeby wiać do Brazylii. No ale kto o tym wiedział? Jak Transit Bank udzielił tej gwarancji i zamaszyste nazwisko Baidesa widniało na spodzie każdej akcji „Rocher de Paradis”, to wierzyłem święcie, że to lepsze niż podpis samego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wierzyłem...

Od lat gromadzę wiadomości o ludziach, na których można zarobić. Czekam rok, dwa, dłużej, aż pewnego dnia zapukają do mojego gabinetu. Mam ich w ręku?

No więc dlaczego przede wszystkim nie miałem się interesować

tobą, Nabulzi? Twoim chronicznym szczęściem w skupowaniu nieruchomości, w grze na zwyżkę pieniądza, w przetargach na dostawy rządowe. A te twoje prorocze przewidywania? Podbechtany powodzeniem i tym, że patrzyłem w ciebie jak w słońce, szeptałeś mi nieraz. „Uważaj, Tuka... W końcu miesiąca zaczną się rozruchy”. Sprawdzało się.

Już dawno upewniłem się, że pracujesz dla nich. Trzy słowa: front, obrona i nasze unikalne cedry. Te drzewa to potęga. Ale za tymi słowami — wszechmoc. Boję się jeszcze raz je powtórzyć. Po co mi wypadek samochodowy. Jadowite ukąszenie. Albo... żeby moją pustą motorówkę wyrzuciło morze na skały. Sza... Zamknięty grób! Tylko pomyślałem sobie, że skoro tacy ludzie maczają w tym palce, to mogę spać spokojnie.

I spałem.

No ale przebudzenie... Gdy wypuścili ten parszywy dodatek nadzwyczajny, że Transit Bank fiknęła, a Baides nie wiadomo gdzie, to na El Hamra syreny pogotowia wyły cały dzień wożąc chorych na zawał. Mnie pociemniało w oczach, tak jak przed chwilą. Połknąłem tyle nitrogliceryny, że gdybym upadł, całe biuro — w drobny mak.

A ty?

Wszedłeś do gabinetu bez pukania, z tym cholernym dodatkiem, i jak zwykle spojrzales na mnie z góry. Później zmarszczyłeś nos i szeroko otworzyłeś okno.

Tuka! Tu śmierdzi twoim strachem. Oddychaj swobodnie, szeroko... Masz nowy, duży pieniądz. Na co ci gwarancja Transit Bank? Ty już jesteś krezus!

Moja twarz była szara.

Masz dziesięć milionów gotówki? No co?

Stuknąłeś mnie brutalnie w bok i zerwałeś kompres z czoła.

Precz z tą szmatą... Jak baba. Rób, co mówię! Ale już!

Dzwoni do Banque du Liban, dział towarzystw akcyjnych, że przelewasz pięć milionów na spłatę połowy gwarancji tego splajtowanego Transit Bank. Drugą połowę za parę dni, gdy zgromadzisz płynne środki. Jak woźny przyniesie potwierdzenie przelewu, dzwonisz do tych bubków z „L'Orient Le Jour” i „Al Ahram”. Szpikujesz każdego tysiącem libanów, żeby drukowali to grubymi czcionkami w popołudniówce. Ty słuchaj, psiakrew! A na jutro rezerwujesz pół pierwszej i drugiej strony na wywiad z tobą. Zrobi go spryciarz Acra Meknes. Oczywiście twoja fotografia i oświadczenie: przejmujesz wszystkie zobowiązania, budowę „Rocher de Paradis” kończysz w przyszłym roku i już teraz podnosisz dywidendę o całe trzy procent. Mało tego! Deklarujesz poufnie, że masz już kontrakt z zachodnioeuropejskim koncernem na budowę kolonii letnich domków i właśnie drukuje się emisja nowych akcji. Chwyci, Tuka... Na naszego dobrego fenickiego boga. To pachnie patriotycznym gestem. Ukłon w stronę tych wszystkich drobnych ciulaczy. Oficjalistów, urzędników, sklepikarzy. Tanie, wygodne domki letnie... Nominał akcji — osiem milionów libanów. Kapujesz, Tuka?

Uśmiechnąłeś się i klepnąłeś mnie w policzek.

Teraz wpłacisz pięć, a za miesiąc odbierzesz osiem. Załatwimy jak poprzednio, kupię wszystkie na pniu.

Pojąłem. Pochyliłem głowę, żeby zataić błysk olśnienia w oczach. No tak, znów będziesz grał na moich akcjach, pewnie, bez ryzyka. Nabulzi... oszuście. Wszystko wiesz naprzód, bo reżyserujesz. Dziś po tej kosmicznej plajcie skupiłeś za grosze „Rocher de Paradis”, ale jutro po moim oświadczeniu i wywiadzie wskoczą na swój stary kurs. Ile zgarniesz? Zgarniaj! Ostatnie słowo będzie moje. Zrobię, jak mówisz. Wpłacę połowę za tę przeklętą gwarancję, dam oświadczenie w prasie,

wywiad i wydrukuję nową emisję Towarzystwa Budowy Domków Letnich. Za miesiąc te świeże obrazki urzekających domków letnich na tle złotego wybrzeża, z wydrukowaną na niebie ceną nominalną dwieście libanów za sztukę, będą u mnie na biurku. To będzie zwycięski dzień, Nabulzi. Już widzę siebie, gdy sięgam po telefon i mówię prosto, krótko: „Przyjeżdżaj z gotówką!”

Przyjedziesz, obejrzysz tę dokładną, szwajcarską robotę i zapłacisz bez wahania te osiem milionów. Pójdą po sześćset, pomyślisz.

A ja ci mówię, że nie pójda wcale!

Mam miesiąc na trzy sprawy do załatwienia. Trzy! Zlikwidować swoje interesy, porozmawiać z Martą i prześledzić twoje transakcje w bankach.

Miesiąc? Niby niedużo, ale czas jest rozciągliwy.

Tukadijan podniósł głowę i spojrzał na Martę. Poruszyła się i zmieniła pozycję. Błysk oczu i wysoko odsłoniętych kolan był zwycięski. I to lekkie skrzywienie warg.

Czyta, pomyślał. Idzie trop w trop za moimi myślami. Odbijało się to w jej spojrzeniu i lekkim uśmiechu, który zdawał się mówić: „My, Tuka, nie potrzebujemy słów. Wystarczą spojrzenia i oddechy. No ale za chwilę, gdy ty skończysz, ja jednak powiem swoje. Wtedy trzymaj się mocno.”

Działałem, myślał wracając do przerwane go toku. Zaraz po tym wywiadzie w prasie, gdy wszyscy znów rzucili się na akcje „Rocher de Paradis”, a twój brat robił okrągłe miliony — najmniejszej goryczy. Przeciwnie. Chichot! Tak śmieją się bogowie lub diabły. Po cichu, przez trzecich, a nawet czwartych agentów sprzedałem wszystko. Dom, willę, posiadłość w As Saifi i Quarantaine, swój portfel akcji — i walorami tuczyłem swoje

konto w Szwajcarii. Nie, nie imienne. Na hasło... Jest w mózgu!

Był środek wiosny, gdy twój brat wyjechał do Londynu. Zrozumiałem. Też szykował się do odlotu, bo nadchodził cyklon, huragan, na którym jeszcze można było zarobić. Wzbierał na południu, na Synaju i nad Wzgórzami Golan, gdzie w dzień i w nocy falowały pajęczne siatki radarów, a izraelscy oficerowie błyskali szklami połowych lornetek, śmiejąc się w nos żołnierzom w niebieskich hełmach. Za ich plecami, w głębi, w Tel Awiwie, Jerozolimie już zapadł wyrok: rozsadzić ten kraj i dopaść obozów palestyńskich. Izraelskie fantomy raz po raz srebrzyły się na libańskim niebie, penetrując jak sępy, szukając skupisk glinianych lepiarek, połatanych namiotów, walących się trędotawych bud.

Ale jeszcze był środek wiosny. Najpiękniejsza pora w naszym kraju. Cały Liban oddychał po trzeciej rundzie, a ludzie znów robili interesy. Jak dawniej samoloty woziły turystów, zapełniały się hotele, a w restauracjach i na plażach trudno było o miejsce. Łagodne, wiosenne słońce, opalone, syte ciała, bez troskie uśmiechy, połyskliwe rzeki kolorowych aut. Lecz powietrze już było duszne, nasycone nadciągającą burzą.

Upiorny odbłask!

Miasto, niebo, morze?

Złote wybrzeża szeleściły jak dawniej piaskiem poruszonym przypływem czy wiatrem, ale w fałdach wydym już szarzał popiół wzniesionych nocą pożarów. Dogasały nad ranem, lecz dymy coraz częściej nakrywały słońce burą czapą. Nocami gwiazdy były jeszcze jasne, spokojne, ale już nie spadały. Wyskakiwały z przedmieść z sykiem rakiet i opadały na uspięne tarasy. Czasem głucho wybuchały serie broni maszynowej mieszały się z orkiestrą nadmorskich restauracji.

Na chwilę milkły śmiechy i tańczącym parom mylił się krok.

Ale po minucie znów strzelał szampan. W perlistych kroplach różowo zapalały się świty. Rzeki powracających aut utykały pod światłem sygnarów. Czaiły się z pomrukiem silników, a później rwały w uśpione miasto.

Nie zawsze ruszała cała rzeka. Czasami z boku lub w środku lawiny światła zostawał samotny, podłużny kształt. Smutny jak katafalk.

No cóż, snajper... — komentowali szeptem przechodnie.

Miałaś wtedy blade usta, Marto... Może to tylko jasna szminka, ale takie odniosłem wrażenie. W każdym razie nic z tej pewności siebie, którą teraz demonstrujesz.

To właśnie była ta druga sprawa.

Pamiętasz „Vendôme”? Czuję jeszcze ciepło twojego ramienia, gdy wprowadzałem cię na salę. Półcień fin de siecle'u. Księżycowe światła kinkietów, stylizowanych na lampy gazowe, i kopie pastelowych obrazów Lautreka. Wydłużone perspektywą twarze dam z półświatka. Twoja też... wydłużyła się, i to bardzo.

Byliśmy po wspaniałej kolacji przy oszronionej butelce veuve cliquot. Poprawiałaś makijaż, obserwując dyskretnie siedzącego przy barze Francuza. Podobał ci się. Twarz i ruchy Aznavoura. Czupryna — heban spadający na kołnierz marynarki. No i te obcisłe, niemal pękające spodnie.

Wtedy właśnie zacząłem mówić. Beznamiętnie, o śmierci waszego ojca i o tym, jak twój brat Józef stał się twoim prawnym opiekunem. To przechodziło przez moją kancelarię.

Jeszcze nie słuchałaś uważnie, bo ten Francuz szedł właśnie

w stronę czarnego jak noc tarasu. Gdy znikł, spojrziałaś na mnie i tak już zostało.

Mówilem.

Jak Józef podejmował pieniądze z twojego konta, skupował nieruchomości, zarabiając na tym pięciokrotnie. Jak grał na wyższe i niższe kursu, obracając w ciągu dnia całością twojego majątku. Nie ryzykował. Wiedział! Zyski? Dziesiątki tysięcy libanów.

Gdy dorastałaś, bał się, że zaczniesz patrzeć mu na palce lub, co gorsze, wyjdiesz za męża. Utrącał kandydatów, a ciebie wypychał za granicę. Ten jego śmiech i słowa: „Małżeństwo? Przeżytek... Dla pociągającej, zamożnej kobiety? Nonsens!”

Zamożnej! Tyś już wtedy była bogata.

Naprawdę masz coś w sobie z tej wyrafinowanej produkcji Lautreka. Szansonetka na rampie znużona piekielnym kankanem, z tym lękiem w wydłużonej twarzy. Brawa? Czy gwizdy?

Gwizdy, Marto.

Mówilem jeszcze, jak topniało twoje konto. Braciszek był dokładny. Liczył wszystko, studia, utrzymanie, a później wyjazdy. Gromadził rachunki, kopie czeków, które wystawiał tak hojnie.

Pojełaś. Wszystko. O tej małej Ahrenberg i o tym, że szykuje się do wyjazdu. No i... że twoja rola skończona. Żenujące, ale trzeba było zejść ze sceny.

Cyfry — szepnęłaś.

Są. — Podsunąłem złożoną starannie kartkę pod talerzyk ciepłych jeszcze migdałów.

Nie zauważyłem, jak wzięłaś. Od Avenue de Paris zajęczała syrena, jedna, druga. Szmer na sali zagłuszył orkiestrę i ludzi, gestykulując, cisnęli się na taras.

Ty nawet nie drgnęłaś, Marto. Patrzyłem na twoją pochyloną głowę, twarz pochłaniającą cyfry, ramiona opuszczone

bezwolnie. To przyjdzie, pomyślałem. Przyjdzie. Twoje ramiona obejmą mnie na pewno.

Słyszysz, Marto? — rzuciłem przez stół. — Podobno znów jakiś snajper... Cel: oryginalny szejek Jemenu.

Uniosłaś głowę i właśnie wtedy zobaczyłem te twoje trupio-blade wargi. Może to szminka? Ale wrażenie...

Co radzisz, Tuka?

Nic. Zostaw to mnie.

Obok nas stoliki były puste, bo prawie wszyscy tłoczyli się ku wejściu na taras. Dotknąłem twojej dłoni, ująłem cię za ramię. Czasami pozwalałaś na to, ale tym razem żadnego odruchu zniecierpliwienia. Patrzyłaś mi na usta szukając kształtu słów.

Chwilowo nic, Marto. Dam ci znać, gdy będziesz mogła wyłuskać ten milion...

Tukadijan wyprostował się za biurkiem i wbił wzrok w twarz Marty. Była w tym spojrzeniu olbrzymia siła. Wcisnęła plecy w oparcie, a oczy drgnęły jej niepokojem. Milczenie przedłużało się. Dotychczas rozumiałam wszystko, pomyślała. Teraz straciłam trop. Dotknęła nerwowo szyi. Straciłam...

Tukadijan urósł, spotęźniał i wypełnił sobą całe okno. Gdzieś zza niego dobiegł zgiełk ulicy i gardłowy, drażniący głos handlarza pomidorów.

Niepokój, Marto? Twój i Józefa... moi najlepsi sprzymierzeńcy. To właśnie ta trzecia sprawa, tylko że o niej nie dowiesz się nigdy.

Józef jeszcze był w Londynie, gdy zacząłem kręcić się po bankach, w których miał otwarte konta. Dotarłem i do Crédit Libano-Alsacien, i do francuskiego dyrektora Guy de Chiffoniera. To nie wzbudzało podejrzeń. Wszyscy przecież wiedzieli, że jestem doradcą prawnym. Ty wiesz, jak czyta się takie dokumenty? Zapiera oddech! Zrozumiałem, do czego potrzebna

mu była ta przystań w „Rocher de Paradis”. Te moje dźwigi, rozpoczęta budowa, były tylko osłoną dla nocnych przeładunków z barek.

Narzędzia rolnicze... Te dostawy dziwnie się splatały z datami kolejnych rund rewolucji. Chłonałem oszukańcze inkasa, akredytywy, przelewy ukrytych zysków i wreszcie likwidacje kont w libańskich bankach. Fascynujące!

Tak byłem pochłonięty tą pracą, że dopiero chyba za trzecim razem zwróciłem uwagę na charakterystyczny skrzyp kamasy. Niepozorny, szary człowiek o ptasim profilu i krągłych zaczerwienionych oczach.

Ta trzecia sprawa to Nicolas Mansour, Marto. Expert assementé. Doszliśmy do porozumienia...

To wszystko!

Tukadijan przymknął oczy i zagłębił się w fotelu. Niepotrzebnie wystraszyłem się przed chwilą, pomyślał. Niepotrzebnie... No, ale tyle czasu żyję nerwami. Przecież jasne! Tak oślepiła go ta myśl, że nie dosłyszał szelestu depeszy chowanej do torebki, a później zbliżających się kroków Marty. Z ulgą pomasażował serce. Nigdy nie przyznałby się do tego... Szczególnie dziś. Prawda?

Otworzył oczy. Zapach jaśminu i szminki.

Ramiona Marty ciepło otoczyły jego szyję.

— Tak cię to wzięło, wujku Tuka? Przecież musiałam powiedzieć, że pobierzemy się w Szwajcarii.

Smak grubych, mięsistych ust. Delektował się nim długo, tak jak i myślą, że mimo kłamstwa to prawda. Jednoznaczny wynik podsumowanych cyfr.

TRZECI KWADRANS

Sygnaturka z kościoła Serca Jezusowego wydzwoniła srebrzyście wpół do siódmej. Nujens przekręcił klucz w drzwiach sypialni i chwilę stał w korytarzu. Mrok zgęstniał, lecz na chodniku kładły się szare plamy światła przebijające z pokoju i łazienki. Na końcu korytarza, w na pół uchylonym oknie czerniała smukła wieża meczetu przy ulicy Abdel Azis.

Mimo spalin widoczność przed wieczorem była dobra. Wilgotna bryza wiejąca od strony morza filtrowała zadymione i zakurzone powietrze śródmieścia, tak że mimo znacznej odległości Nujens widział wyraźnie minaret. Czekał chwilę, aż dobiegł go dobrze znany, wzmocniony przez głośniki śpiew muezzina. Jak zwykle zaczynał od skargi, która pęczniała żalem, przechodziła w gardłowe łkanie, a później falą błagania i grozy spadała na miasto.

Nujens słuchał wieczornej sury wielokrotnie w różnych sytuacjach, lecz zawsze, choć na moment, budziła w nim głęboką zadumę. Instykt czy też nakaz, myślał, żeby o zmierzchu, kiedy wszystko płowieje i zatrzymuje się przed pochodem cieni, stanąć na chwilę, jak u zakrętu ścieżki, i spojrzeć wstecz na świeże jeszcze ślady. Teraz błysnęła mu myśl, że tamci na

ulicach i placach pochyleni w stronę Mekki czy też maronici klęczący w kościele Serca Jezusowego odczuwają zapewne to samo. Też patrzą wstecz i usiłują dostrzec sens wysiłków i zdarzeń kończącego się dnia.

Nujens skrzywił się ironicznie, bo muezzin urwał właśnie skargę gardłowym łkaniem. Pierwotne jest to gdakanie, syknął. Pierwotne, a nawet zwierzęce. Zrodziło się, nim powstały słowa, pod ich pustynnymi namiotami. Bezsilność żalu za chowającym się słońcem, wobec grozy nocy, kiedy pasterze i stada są wydane wilkom. Groza? W każdym razie nie dla mnie! Należę do wilków. Potarł czoło i ruszył utykająco skradającym się krokiem do pokoju.

Zegar pod lustrem był już niewidoczny, ale na przegubie dłoni fosforyzujące wskazówki utknęły na godzinie pół do siódmej. Moje spojrzenie wstecz, Reuken? — wyszeptał, znów wspominając przyjaciela. Tak jak uczyłeś mnie pod całą... Wszystko zapięte na ostatni guzik! Remington w schowku, w łazience, i wystarczy jeden ruch. Podręczna torba spakowana. Ubranie, podróży neseser, paszport, flaszka whisky i karton gitane'ów. Jest też i mały delikates. Owinięty w miękką apaszkę, płaski, przypominający papierośnicę. Granat. Ważny. Drużga linia obrony.

Pierwsza to dziesięciopistoletowy wembley... Dotknął czarnego pistoletu na stole. A trzecia i ostatnia? Też niezawodna — przesunął ręką po kieszeni spodni. Cicha, połyskliwa śmierć wyskakująca stalowym żądłem z cienkiej oprawki sprężynowca. Moje zęby... Kły! Należę przecież do wilków. Uśmiechnął się.

Poczuł promieniujący ból w stopie i usiadł na fotelu. Prawidłowo! Przecież od pół godziny kręcę się między łazienką, sypialnią i pokojem, mruknął. A myślami — to całe tysiące kilometrów. Cała epoka, wspomnienia błyskające jak flesze. Ile

razy przeżywa się życie? Stale. Jest i było. Pod powiekami moich startów, lądowań, nerwowych drzemek w samolocie. Było każdego dnia. W więzieniu, w szpitalu, we Frankfurcie. No i jest ze mną, tu, w Bejrucie. Dłuższe, bogatsze o nowe zdarzenia. Czas na wspomnienia? Obojętny. Czas płynie wartkim strumieniem, czy sączy się, czy spada kropla po kropli, tak jak teraz, podczas wyczekiwania.

Muezzin żalił się jeszcze i Nujens, miętosząc w palcach twardego gitane'a, uległ skojarzeniu. Pierwsza noc, a właściwie świt w Bejrucie... Zapalił i zaciągnął się mocno.

...Zaczynało dzień. Znużony podróżą stałem przy oknie hotelu „White Palace” i wdychałem ciepłe, wilgotne powietrze. To nie mdły odór spalin frankfurckiego Zeilu. Zapach południa. Morza, palm, daktylowców i juchtu. Nie tylko od sandałów szeleszczących w ciemnych uliczkach, ale i twoich ulubionych perfum, na bàbie.

Właściwie to widziałem cię drugi raz. Przed chwilą, gdy przyjechałeś po mnie na lotnisko, i parę dni temu, podczas decydującej rozmowy we „Frankfurterhof”.

To wyglądało interesująco. Zaliczka, ustalone honorarium, no a przede wszystkim partanina... Albo „job”, jak mawiał Reuken. Coś zupełnie nowego. Te południowoamerykańskie zlecenia to były właściwie wypadki. Błyskawiczne akcje opierające się na trzech kardynalnych informacjach. O miejscu, czasie, celu. Po wykonaniu, podczas nerwowego odprężenia nie mogłem obronić się przed opadającymi mnie refleksjami.

Co było powodem, że właśnie ten, a nie kto inny wtargnął w skrzyżowanie mojej snajperskiej lunety? Hm... Domyślałem się, że chodzi o porachunki za zdradę, niedotrzymanie umowy — lub też usunięcie jakiegoś zagrożenia. Inkasowałem

pieniądze... Tego było dużo, ale właśnie kiedy miałem je w rękę, nie mogłem pozbyć się kłującej myśli, że to ochłapy.

Hm... Niby też mięso... W każdym razie przepustka do uroków przycwilizowanego świata. Bajecznie wyposażonych magazynów, salonów mody, samochodowych cacek. No i oczywiście restauracji, nocnych klubów i ludzi, których twarze na widok banknotów uśmiechały się przyjacielsko.

Korzystałem, nababie... ale i myślałem. Gdybym miał umoralniać świat w stylu spłowiałych już sylwetek wielkich proroków, to albo przyłączyłbym się do cuchnących potem i marihuaną „dzieci kwiatów”... albo? Pod karą śmierci skasowałbym wystawy uliczne i lustra. Przed nimi toczą się gorączkowe monologi, porównania, kalkulacje, rodzą piekące gorycze i desperackie decyzje.

A twoja, Nujens?

Odpowiedź trzasnęła jak repetowany zamek. Myśliwy, mój drogi. Myśliwy! Nigdy zwierzyzna. No ale całe życie spędzić na polowaniu? Refleksja powracała coraz częściej. Dobiegałem czterdziestki. Dojrzewanie to początek starzenia się, a wynik tego równania może być tylko jeden: stabilizacja!

W szpitalu, a później we Frankfurcie te myśli powracały do mnie każdego dnia. Defilowały przede mną sylwetki zleceniodawców, dżentelmenów ubranych bez zarzutu. W hotelach, restauracjach czy nocnych klubach niczym się nie różnili od zasobnego świata właścicieli fabryk, magazynów, sklepów czy też rentownych agencji handlowych i reklamowych. Przyjemne, spokojne życie... a przecież też byli tylko sługami największych. Do tamtych należał świat. Nie na tygodnie czy miesiące. Tłuste pająki tkwiące latami w misternie utkanej sieci obejmującej wiele krajów, miast, portów, lotnisk. Ich decyzje były

nieodwołalne, a wyroki nie znały ulaskawienia.

Znów mignął mi ptasi profil z wiecznym ogarkiem papierosa w ustach i chrapliwa, zaprawiona nieświeżym oddechem, ale przecież nieoceniona mądrość Reukena.

...Bo widzisz, blanc bec... Najtrudniej ten pierwszy milion. Później... samo się kręci. Nawet podczas snu zarabiasz. A gdy masz parę tych milionów, stalową bezwzględność, to tylko pociągasz nici, wszechmocny i nietykalny. A sam?... Właśnie. W rozkosznym, spokojnym cieniu.

Wynurzyłeś się z niego, nababie.

To zaczęło się już w hallu „Frankfurterhofu”, gdzie według wskazówek Maurice'a wymieniłem w recepcji numer apartamentu i skierowałem się do windy. Ręka umundurowanego kierownika wyskoczyła jak w hitlerowskim pozdrowieniu i szczepliwe „Momentmal!...” osadziło mnie na miejscu. Patrzył z uszanowaniem, ale i z dociekliwością. Zawodowa sztampa. W oczach błyskały ceny mojego ubrania, krawata, butów, a dopiero później wydobył się z ust przychylny pomruk. Nawet trochę przyjacielski, ale nie poufały. Akurat dobrany do rangi twego apartamentu, nababie. Super komfort! Czterysta pięćdziesiąt dolarów za dobę. „Aaaa! Doktor Nabalzi?! Moment...” Wyprostował się, nakręcił numer telefonu i prawie zaraz dyskretny trzask obcasami, bo usłyszał twój głos w aparacie.

Pomyślałem o tobie ciepło, Nabalzi. Nie zleceniodawca! Patrzyłem na podgolone skronie recepcjonisty, szukając podobieństwa do esesmana z mojej młodzieńczej uliczki Van Zeederen, gdzie po raz pierwszy poczułem zapach prawdziwego prochu. Może... Ale czy to teraz takie ważne? Ważne, że nie jesteś zleceniodawcą, nababie. Nie zleceniodawca, powtarzałem

przechadzając się po hallu. Sporo zaś później, gdy poczułem już mrówki w tym cholernym kolanie — bo przetrzymałeś mnie zdrowo — a ten z recepcji, po twoim telefonie, uprzejmym gestem wskazał mi windę, to gasząc trzeciego papierosa pomyślałem: oryginalna, prawdziwa szycha!

Robiłeś wrażenie! Gdy rosłeś za długim jak fortepian mahoniowym biurkiem, to przekreślałeś swoją dostojną sylwetką nie tylko okno, ale i wszystkie wieżowce światowych banków wystrzelające z panoramy miasta. Baśniowy książę z Bliskiego Wschodu, ubrany z wyrafinowaną, europejską elegancją.

Rozmawialiśmy po francusku i dziwiłem się, skąd u ciebie ten czysty paryski akcent. Studia za granicą? A może interesy z Francją? Chyba to ostatnie. Musisz być naprawdę dobrze zdomowiony w Paryżu, skoro trafiłeś do tej willi koło Vincennes, gdzie zdecydowano o moim losie. Musieli ci powiedzieć, że jestem pewny, wyjątkowo zręczny i dyskretny.

Nieźle! Podniosłem głowę i patrzyłem spokojnie w twoje czarne, kłujące oczy. Egzamin. Zorientowałem się, że nie opierasz się wyłącznie nawet na najbardziej wiarygodnych opiniach. Kosmopolita, globtroter, podczas tych swoich wypadów i kontaktów z elitą i marginesem świata ułożyłeś sobie niezawodną encyklopedię ludzkich typów. Teraz szukałeś tylko odpowiedniego hasła.

Spojrzałem na twoje ręce, mocne, o krótkich palcach, ale pocętkowane już plamami starości. Siła i słabość, pomyślałem. Równoważy się... Wypalającą się energię zastępuje bogate doświadczenie. Te rączki zagarniają, wydzierają, a jak już dają, to żeby więcej brać. Umieją głaskać, gniesć i dusić bezwzględnie. Muszę poznać te wszystkie wypróbowane chwytty. Tylko aby się nie zdradzić. Nawet cienia! Pochyliłem lekko głowę, patrząc

na swoje wąskie dłonie, i jak grzeczny uczeń słuchałem twego wykładu o moich przyszłych obowiązkach.

— ...Oczywiście, że przede wszystkim ochrona osobista. Oficjalnie... to sekretarzowanie, panie Nujens.

Podkreśliłeś to „Nujens” przedłużając brzmienie, żebym skojarzył sobie, ile o mnie wiesz i jak daleko sięgają te twoje pomarszczone rączki. Nie drgnąłem, tylko znów spojrzałem w twoją twarz, spokojnie, beznamiętnie. To zrobiło wrażenie, bo dopiero po chwili ciągnąłeś dalej:

— ...sekretarzowanie. I to wcale nie na niby. Moje bejruckie biuro prowadzi rozległe interesy. Import towarów z Europy, pośrednictwo na rynku handlowym i giełdzie. Nieodzowne stałe kontakty z bankami i administracją. Kierunek pana studiów właściwy, Nujens.

Prawo! Trzeba je znać. Tak dobrze jak przeszkody, które się omija.

Uśmiechnąłeś się wcale nie ironicznie ani szelmowsko. Książęco, nababie! Z dobrotliwym politowaniem, jakby było to dla ciebie wyłącznie zabawą.

— To nic... — mówiłeś. — Naprawdę nie szkodzi, że pan nie skończył studiów w tym oficjalnym miejscu, gdzie zbierają się studenci. Dwa i pół roku odosobnienia... To bezcenne!

Znów uknułeś mnie wzrokiem. Nie drgnąłem, nababie. Skoro byłeś w Vincennes, w tej ekskluzywnej willi, wiedziałeś wszystko, braciszku. Maurice nieraz puszczał farbę i nad suto zakrapianym stekiem gryp snął mi, że nasi bossowie mają dokładne dossier. Akta personalne zatrudnionych, dziesięć razy lepsze od policyjnych. Dlatego pozwoliłem sobie na lekki uśmiech uznania, który odbił się na twojej twarzy przyjaznym refleksem. Rozumieliśmy się. Swobodnie jechałeś dalej:

— No, a specyfiki rynku, tego się pan douczy pod moją ręką. Pierwsze przykazanie, Nujens: reprezentacja! Ludzie muszą pana poznać, przyzwyczaić się jak do swoich niezbędnych przedmiotów. I głównie: zapamiętać.

Nie pojmowałem cię jeszcze, staruchu. Przejechałeś po mnie świdrującym wzrokiem od dołu do góry i znów od dołu, a gdy powróciłeś do twarzy, zrozumiałem zakamuflowane pytanie. Jest chytry? Pojmuje?

Teraz wielka gra, błysnęła mi myśl. Zaczęła się wczoraj, gdy Maurice, siedząc na ławce przed Alte-Hauptwache, obserwował mnie z boku, a później między drinkami pytał od niechcienia: „No a jak tam twoja giczała, kochasiu?”

Może miałem powiedzieć, że jeszcze boli i drętwieje? Na pewno nie! Rzygać mi się chciało na to całe zakichane noszenie paczek, szwendanie się po stacjach benzynowych i pieszczoty pachnącej ciastkami „Schatzi”.

Bołało, cholera! Tak właśnie jak teraz. — Nujens poprawił opartą o taboret nogę. — Doktor Wolbert robił wszystko w tej swojej klinice, ale przecież epoka cudownych uzdrowień minęła bezpowrotnie. Rano czy też po poobiednim wypoczynku chodziłem normalnie, a nawet sprężyście. Niestety, po półgodzinie zaczynało się. Lekkie odrętwienie, a później stalowa szpilka drążąca kolano, łydkę, do palców. No i mróweczki. Pojedyncze, stadami, a w końcu rozzłoszczone mrowisko. Gdy byłem na ulicy, szukałem skwerku, kawiarni czy baru. Siadałem i po kwadransie znów było dobrze. Lecz te półgodzinne okresy dręczyły mnie przez cały dzień.

Wychyciłem to twoje przyczajone pytanie, nababie. Zrozumiałem, dlaczego zaczęłaś lustrację od dołu. Wrodzony instyngt. Aparat bezbłędnie sygnalizujący oczy gliny myszkujące zza gazety, przechodnia klejącego się podejrzenie na

skrzyżowaniu czy też ukradkowe spojrzenia barmana, pracownicy mieszającego drinki. Drobnny ułamek sekundy, a w aksami-
tnej czerni twoich źrenic, Nabulzi, dostrzegłem nawet odbi-
cie swojej twarzy. Nie większe od główki szpilki, ale wyraźne
jak kryjące się tam również pytanie. Dyskretne, ciche, z tym
twoim wspaniałym paryskim akcentem: „Est ce qu'il soup-
çonne...?”

Soupçonne... Soupçonne? Podejrzałem... I dlatego pa-
trzyłem obojętnie, może nawet i głupawo, myśląc błyskawicz-
nie:

Wstałem o ósmej. W hotelu byłem o dziewiątej. Przetrzy-
małeś mnie, staruchu, dobre pół godziny plus pięć minut to-
czącej się obecnie rozmowy. Zaczęło się. Zacisnąłem zęby i
skupiłem całą siłę woli. Rozwścieczone mrowisko podchodziło
pod kolano.

— Aha... Nujens, a jak ta twoja noga? — Uniosłeś się lekko
w fotelu i strzeliłeś znienacka, podstępnie.

Byłem przygotowany. Podczas szczególnego zemocjonowa-
nia udawało mi się niekiedy wyłączyć tamte nerwy. Najpierw
szeroki, przesadny uśmiech stapiający się z grymasem bólu.
Wstałem i zrobiłem kilkanaście kroków, a później odwróciłem
się zwycięsko. Twoja twarz, nababie... Jedno wielkie rozczaro-
wanie. Natychmiast ściągnąłeś brwi, a głos ci stwardniał:

— Nujens, koteczku! — syknąłeś. — Jeśli mamy współpra-
cować, to pan musi kuleć. Wyraźnie utykać... I to już, od zaraz!
— Wskazałeś plamistym paluchem na moją prawą nogę. — Po
wyjściu z tego pokoju, w samolocie... no i oczywiście w Bejrur-
cie.

Ominąłeś moją zdziwioną twarz i spojrzales na włosy. Znów
skrzywiłeś usta.

— Przylizane... ale pan to zmieni. Na Boga: Tego musi być
dużo i wysoko. Kwalifikacje. Noga i bujne rude włosy.

Odetchnąłem.

Rozluźniłem mięśnie i już kulejąc powróciłem do fotela. Uśmiechnąłeś się z zadowoleniem. Pierwszy szczerzy uśmiech. Oliwkowe światło wygładzające zmarszczki. Nie takiś stary, nababie, pomyślałem. No i naprawdę stary wyga. Pojmuję. Teraz chwytam. Dwoistość! Potrzebujesz dwóch ludzi. Będziesz miał trzech, daję słowo.

Nujens roześmiał się głośno. Nie przewidziałeś tego, że an-gażujesz trzech. Śmiech-rzęzenie zlał się z żalonym krzykiem muezzina; kończył modlitwę i urwał. Cisza. Dopiero po chwili odbite od dachów echo przyniosło już stłumiony krzyk zlewają-cy się z szumem aut pędzących El Hamrą. Chyba od rue de Rome zajęczały ciężko motory i gąsienice czołgów. Nocne pa-trole zamykały przelotowe ulice.

Nujens rozejrzał się po pokoju. Zmierzch zatarł kontury przedmiotów. Pod perłowym owalem lustra żarzyły się jeszcze złocenia zegara. Szklaneczka, Nujens? Namacał butelkę i nie podnosząc się przysunął szklankę i nalał whisky. Chłopie, jesz-cze dobrze mieścisz się w limicie — mruknął przecierając pal-cami usta. To właśnie za zdrowie tego trzeciego. Dla ciebie, Nabulzi, tylko dwoistość. Chytrze to wykoncypowałeś.

Nawet nie wiedziałeś, jakie to było dla mnie łatwe. Przecież kulalem ujmująco, więcej... z prawdziwą gracją. Wyrobiłem sobie ten styl zaraz po paryskim szpitalu. Miłość własna. Naj-mocniejsza! Zaciskałem z bólu zęby i ćwiczyłem przed lustrem, a nocami w odbiciu wystaw. Mam zostać kaleką? Zgoda! Ale nigdy nie wzbudzać litości. Podziw... tak!

Ubiarałem się zawsze starannie. Przy mojej sylwetce nie miałem z tym trudności. No ale po tym wypadku była to już pedanteria. Wszystko spod igły, świeże, doprasowane, no i styl.

Wybrałem. Krój lekko dopasowany, sportowy, gładkie, jasne koszule i kontrast ciemnych krawatów.

Najważniejszy problem to buty. Po paryskim wypadku miałem zrozumiały wstręt do grubych, sportowych podeszew. Wśród dziesiątków fasonów wyszukałem nareszcie. Ciemny, podpalany brąz, miękka, jedwabista skóra i mosiężne skuwki półkolistie zachodzące na czubki. Błyskało. Rytm ruchu i dźwięku.

Lewa naprzód? Plecy, kark prosto. Półkolisty ruch ręki i przesunięcie prawej nogi. Mocny stuk obcasa, błysk mosiężnego noska i szelest przesuwanej podeszwy. I znów to samo. Perkusja, nababie! W pustym pokoju czy na ulicy przyjemny, muzyczny efekt.

Frankfurcki fryzjer zrobił z moimi włosami co trzeba. Ruda, lwia grzywa, eksponowana na nowoczesną modłę. Super! Spiętrzona z przodu włosy ukryły spiczastość czoła. To złagodziło twarz i wzbudzało zaufanie.

Albert Hagen, Belg, sportowiec, po ciężkim wypadku samochodowym. Obecnie biznesmen. Elegancki, dowcipny, a czasami nawet błyskotliwy. Humor, elokwencja dopisywały mi zawsze po dwóch, trzech kieliszkach koniaku.

Cudowna jest ta dwoistość, nababie. Zapaliłem się jak do ponętnej striptizerki. Byłeś zadowolony. Wyczytałem to w twoim spojrzeniu na lotnisku, a później w hotelu „White Palace”, dokąd odwiozłeś mnie swoim mercedesem. Na drzwiach pokoju wisiała już nowa błyszcząca tabliczka: „Albert Hagen — Assistant General Manager Dr. J. Nabalzi Import—Export Co. Ltd.” Może trochę to przydługie, ale na miarę miejscowych godności.

Życie nabrało tempa, no i... pikantnego smaku. Właśnie tego brakowało mi we Frankfurcie. Już przy goleniu spod białej

piany ukazywała mi się twarz Hagena.

Punktualnie o ósmej elegancki, świeży jak z pudełeczka su-
nąłem tym swoim rytmicznym krokiem ze złotym błyskiem
skuwek po korytarzu twego biura. Przyjemny uśmiech i podpa-
trzony gest tutejszego powitania. Mój gabinet... owszem, ni-
czego. Pokażne biurko, dwa telefony, dywan, barek i podręczna
biblioteka. W kącie szafa pancerna, którą przejrzałem szcze-
gólnie uważnie, tak jak zakamarki wywietrzników, grube tapi-
cerskie fotele i spód biurka. Rozkręciłem też i telefony. Nie
lubiłem drobiazgów, które podglądają lub podsłuchują samot-
ność.

Fachowa biblioteka i twoje wykłady, nababie, esencjonalne
jak bulion w „Excelsiorze”, gdzie zwykle jadam obiady. Szło
szybko, jakbym zapoznawał się z nowym rodzajem broni.
Oczywiście, jeszcze nie decydowałem. Brałem udział w rozm-
wach handlowych, popijałem kawę i koniak i poznawałem
klientów. Po kilkunastu dniach miałem już w małym palcu
twój oficjalny handelek. Mąka, cukier, woda mineralna z Vi-
chy, trochę świeżego mięsa z Jugosławii, tranzystory z RFN,
czeskie kryształki i amunicja myśliwska z mojej rodzinnej Bel-
gii. Zorientowałem się natychmiast, że jest to parawanik twojej
prawdziwej aktywności. No ale przecież i na tym zarabiałeś.

Byłem wyjątkowo pilny, nababie! T r o i s t o ś ć .

Zgodnie z umową miałeś nas dwóch. Hagena i Nujensa. Ale
naprawdę pracowity to był właśnie ten trzeci. Ambitny, zdecy-
dowany na wszystko, niemający zbyt wiele czasu, żeby znaleźć
się w środku misternie utkanej sieci. Piąłem się jak pnące
fasoli, po którym bajeczny Münchhausen dostał się na księżyc.
Bez wytchnienia studiowałem kontrakty, dokumenty załadow-
cze, faktury z nagłówkiem twojej firmy. Twój czysty zysk?

Nigdy poniżej pięćdziesięciu procent! Leciało ciurkiem i w ciągu miesiąca nazbierało się na wystawne życie, samochody, szoferów, utrzymanie dwóch willi, biura i apartamentu. Starczyło i na wypadu do Casino du Liban, gdzie przy stolikach gry spotykałeś tych najważniejszych.

Żeby wszystko szło sprawnie, musiałeś płacić. I płaciłeś... Czasami przeze mnie. Poznałem celników w porcie i na lotnisku, komisarzy policji, agentów spedycyjnych i maklerów giełdy. Oni plus goryle twojej prywatnej obstawy to cała armia ludzi. Zbyt dużo, jak na interesy mączno-cukrzane.

A twoje podróże po Europie?

Nie mogłem uwierzyć, że szukasz tylko fotograficznych cacek, kryształów i tekturowych patronów do dubeltówek. Polowanka na króliki i zajączki uganiające się w podgórskich zaroślach? Chyba coś nie tak. A ja? Po co sprowadziłeś mnie z Europy?

Po dwóch tygodniach... Właśnie. To było dokładnie dwa tygodnie po moim przyjeździe. Nie otrząsałem się jeszcze z tych wszystkich nowości, ale w biurze... jak w domu. A i na ulicy ludzie zaczęli mnie już poznawać. Uprzejmy, czarnooki naród. Białozębe uśmiechy i mięsiste, brązowe usta. Libańskie słońce barwiło oliwkowo ich twarze, ale w oczach żarzyły się niebezpieczne ognie. Attention, Nujens! Uważaj. Mogą spalić!

Tak. To było po dwóch tygodniach.

Jechałeś, nababie, do Londynu i przyniosłem ci bilet. Zamykałeś właśnie sejf i stałeś do mnie plecami, lecz oczy z luster wychwyciły mnie na progu bezbłędnie. Tak to mnie, stary, nie złapiesz. Zamknąłem drzwi i obojętnie spojrzałem w okno. Wzrok, nababie! Ten trzeci ma naprawdę orli wzrok. Przecież podczas konferencji w gabinecie nieraz wyjmowałeś czeki,

papiery. Nawet gdy siedziałem tyłem sącząc koniak, to w lustrze widziałem te zgrabne cyfry ustawionego mechanizmu.

— No, Nujens, moja podróż to tylko parę dni... a pan już teraz jest wolny. Ale mały warunek. Podczas wypadów za miasto zainteresuje się pan dobrą, ekskluzywną restauracją i hotelem... „Vendôme”.

Nie powiedziałaś nic więcej, nababie. Miałem wrażenie, że tkwisz już w wiosennej londyńskiej mgłę, a może nawet zdejmujesz futro z jednej z tych blado-liliowych laleczek na Piccadilly.

Nujens zaciągnął się mocno. Papieros osmalił mu palec, więc syknął i cisnął ogarek do popielniczki. Chapeau bas, nababie! Roztarł piekące miejsce i ściągnął brwi. Do diabła! Wart jesteś tych swoich milionów.

Oczywiście, że już następnego dnia otworzyłem sejf. A właściwie... to późnym wieczorem.

Było już zupełnie ciemno. Kombinacje numerów nakręciłem z pamięci. Bezbłędnie. Zresztą za każdym razem słyszałem cichy trzask mechanizmu powtarzający nakręcane cyfry. Usta-pił. Dopiero wtedy zapaliłem latarkę, żeby nie zmienić kolejności ułożonych czeków i teczek. Wyjąłem je ostrożnie i zacząłem przeglądać. Zaparło mi dech. W dziesiątkę, nababie! Maszyny rolnicze i narzędzia. Nie figurowały w spisie towarów, którymi zajmowałem się w twoim biurze. Same belgijskie, niemieckie i francuskie firmy.

Pozornie nic szczególnego. Legalny handel. Ale te porty wyładunku? Dlaczego Limassol i Larnaca? Czemu zawsze Hellenic Trading Line?

I znów niezawodny Reuken. Mówił! Ci greccy armatorzy robią miliardy na handlu bronią. Zacharów, Onasis, Papadikos... Pojąłem, staruchu. Myśli? Repetowany mauzer. Żaden kraj nad tym morzem nie ma tyle dogodnych, naturalnych

przystani. Zacisznych, osłoniętych skałami. Tylko ten twój słoneczny Liban. Z Cypru to zaledwie dwieście kilometrów, sto parę mil morskich. Dla kutra czy jachtu romantyczna przejażdżka pod osłoną nocy.

Latarka tuż przy papierach podświetlała moją twarz z dołu. Drgnąłem. Swoją twarz znałem nie najgorzej, lecz odbicie w lustrzanej ścianie to był właśnie ten trzeci. Ja, któregoś nie angażował, nababie. Fascynujące! Tak musiałem wyglądać, gdy mierzyłem do Oscara Medova, podczas ściszonych wykładów Reukena i chyba w kącie tej paryskiej bramy, gdzie wyszukały mnie reflektory policyjnego auta. A może już później, w Baalbeku? Też w świetle reflektorów omiatających stare kolumny. Wysunięte z rzeźb fenickie twarze miały cholerny ubaw, patrząc z kamiennym spokojem na rękę chwytającą rozpuszczone włosy. Biała, zbrukana lady...

Oczywiście, przeglądając papiery nie wiedziałem o tym. Ale to już było. Jak lodyga i kłos w niepozornym, szarym ździebélku ziarna. Jak dzisiejszy dzień, ten kwadrans i następny.

Nujens poprawił się w fotelu, podciągnął nogę, ujął rękami kolano i oparł stopę o stół. W takiej pozycji rozwścieczone mrówki cofały się i ginęły w lędźwiach.

Do chwili twego powrotu z Londynu, nababie, miałem jeszcze całe pięć dni, ale tego wieczoru chciałem cię już dokładnie prześwietlić. Sięgnąłem po nową teczkę. Imitacja zamszu, jaskrawoczerwony meszek. Niecierpliwie rozpiąłem metalową klamrę.

Rozczarowanie!

Luźne kartki, zapisane drobnym arabskim pismem. Wiedziałem tylko, że takie coś czyta się odwrotnie. Ale sens? Kartki wyglądały identycznie, a na dole powtarzał się wciąż ten sam podpis. Francuski... Nicolas Mansour — Expert assèrmenté.

Wynotowałem nazwisko i dokładnie zbadałem kartki.

Skorzystać z usług jakiegoś Araba, który by to przetłumaczył? Niebezpieczne! Ta informacja mogła mieć cenę przekraczającą moją wyobraźnię.

Chyba najlepiej będzie dotrzeć do tego człowieka, którego podpis widnieje u dołu każdej kartki. Przysięgły ekspert na pewno mieszka w Bejrucie i znajdę go w książce telefonicznej.

Zamyśliłem się miętosząc kartonową zakładkę. Wystawała spod dokumentów, gładka, śliska jak karta do gry. Va banque, Nujens! Jedźmy dalej. Podniosłem w górę plik pokwitowań.

Dobry wieczór, Nujens!...

Błysk potrąconej latarki, wciąż ręka ścisła broń.

Wyteżyłem wzrok. Pusto, tylko w przeklętych lustrach macyły moje odbicia i trzy wycelowane wembleye. Potarłem czoło. Cholera, nerwy! Przecież nikt tego nie wypowiedział. Słowa czerniały pod zakładką i od razu poznałem twoje pismo, nababie!

Dobry wieczór, Nujens! Przewidziałem to.

Chłód. Zerknąłem na drzwi. Gdzieś na dole trzasnął zamek i monotonnie zajęczała winda. Utknęła na piętrze, a potem odgłos miarowych kroków. Zgasilem latarkę i odskoczyłem od biurka.

Drugi błąd, mój drogi!

Odetchnąłem i schowałem pistolet, nie szczędząc sobie ironii. Zajączek pod miedzą, psiakrew! Gówniarz. Brakowało jeszcze, żeby złapały cię dygotki. Usiadłem i przeczekałem, aż strażnik obejdzie korytarz i znów wsiądzie do windy.

Chapeau bas, nababie. Zapaliłem latarkę. Z tych pospiesznie nabazgranych liter wyrzała wyraźnie twoja książęca gęba.

Przewidziałem.

Dałbym głowę, że jeśli w tym momencie drążyłeś mrok londyńskiej ulicy, to zatrzymałeś się raptem i uśmiechnąłeś szyderczo. Długie, bardzo długie ramię nietykalnych. Tysiące kilometrów? Nieważne. Twoje płamiste łapy mogły być tuż tuż. Na korytarzu, w windzie, zaczajone na ulicy czy w hotelu.

Przewidziałem!

Wlepiłem wzrok i czytałem, poruszając bezgłośnie ustami. Susza. Żar tego przeklętego słońca.

„...przewidziałem to, Nujens. Następnego razu nie będzie. Nie wiesz pan, jak na Bliskim Wschodzie zabezpiecza się dokumenty? Nie huk bomby, zapach prochu czy trotylu. To w Europie lubujecie się w tanich efektach. Znak zodiaku, Nujens! Ten jeden, z cienkim jak igła żądłem. Wyjęty spod kamienia i wsadzony pod papiery leci bezbłędnie da myszkującej ręki. Egzotyka! Trzeba to uznać i zapamiętać raz na zawsze. Jest jeszcze coś. W chropowatej powierzchni teczki zamshowej mogą być różne skórne paskudztwa. Dla sprawdzenia niech pan spyta o Rahaya. Kogokolwiek. Ten ktoś odsunie się o dobre parę kroków, błysnie białkami i wymamrocze, że to na wschód od Sydonu. Dwie godziny samochodem. Ciemne, łuszczące się plamy i opuchłe, łysiejące brwi. Leprozorium, miły. Jest tam czas, by porozmyślać nad ceną zagładania do cudzych papierów.

Powiedzmy, że tym razem był to test na inteligencję. Gratuluję! Nie wszystko pan wziął pod uwagę obserwując w lustrze, jak ustawiam mechanizm. Przecież lustra są również koło sejfów, prawda?

No ale to mamy już poza sobą. A teraz polecenie. Pod kartką znajdzie pan szkic oficyny i tarasu w »Vendôme«. Apartament siedemnasty. Ostry kąt widzenia, ale przy pana wzroku to fraszka. Niech pan sprawdzi po swojemu, a w czwartek wyjdzie

po mnie na lotnisko. Samolot z Triestu, parę minut po dwudziestej pierwszej. Powodzenia!

Z kolejnością teczek niech się pan już nie trudzi. Proszę złożyć, jak jest, i wsadzić do sejfu...”

Chapeau bas, maestro! — mruknąłem z szacunkiem i schowałem szkic apartamentu w „Vendôme”. Spojrzałem odruchowo na palce i chropowatą powierzchnię okładki. Nieprzyjemne, ale przecież na takie świństwa mogłem trafić i w hotelowej pościeli. To ostrzeżenie muszę sobie naprawdę wziąć do serca. Od tej chwili najmniejszych śladów. Wyciągnąłem notes i wydarłem kartkę z wynotowanymi sumami pokwitowań. Nicolas Mansour — Expert assermenté, powtórzyłem utralając w pamięci sumy i nazwisko. Nicolas Mansour. Zobaczymy. Chwilowo to „Vendôme”, a w czwartek lotnisko.

Już podczas pierwszej nocy ustaliliśmy, nababie, że Hagenem mam być tylko w ciągu dnia, w biurze i podczas załatwiania spraw urzędowych. Jako Nujens, wieczorami i nocą, nie mogę tracić czasu. Poznawać miasto, mówiłeś. To klucz przysłych zadań.

Zgoda. Nawet przyjemne zajęcie. Egzotyka, barwy... A przede wszystkim labirynt. Z samolotu to kamienny olbrzym roztrzaskany w prostokątne bryły. Ale to fałsz. Spostrzegłem to następnego dnia. Tu nie było żadnych prostych, równoległych ulic, jedenastej, dwunastej lub którejs tam. Nie było też, może z wyjątkiem nadmorskiej autostrady, żadnych avenidos czy piazzas, znanych mi dobrze z Ameryki Południowej. Arrondissements... okręgi, dzielnice, przedmieścia, uliczki i ulice, wszystko to bez względu na formę, styl, kolor wpakowane do jednego worka z napisem Bejrut.

Zlepek nowoczesności, kolonialnego stylu, zamkniętych budowli z czasów tureckiej Porty, mauretańskich willi i nędznych, glinianych cabane. Meczety, kościoły, supersamy,

oszlone galerie tłoczyły się bezceremonialnie i wleziły na stare rzymskie kolumny i odkopane szczątki fenickich świątyń. Uliczki, zamulone straganami i stojącymi na chodnikach samochodami, kołowały jak serpentyny, urywając się nagle przed kopiastrą hałdą wysypiska lub śmierdzącym benzyną parkingiem. Czasem tylko, jak górski strumień, wpadały do większych arterii, w szumiący wąwóz stłoczonych aut.

Kalejdoskop.

Może dlatego, że ludzie budujący tu domy, hotele, sklepy przywozili w swej pamięci z Europy czy Ameryki kawałki tamtych miast i odtwarzali je bezładnie. Układanka. Łatwo było w niej zginąć bez śladu.

Penetrując to miasto wieczorami i nocami byłem Nujensem. Tym drugim, w skórze gadatliwego francuskiego turysty. Cienki jak jedwab tropik, niegniotaący się i łatwy do przechowania w skrytce samochodowej. Marynarka bordo, ze złocnymi guzikami, jasne, obcisłe spodnie i buty z podwyższonym obcasem. No, a przede wszystkim gęste, opadające na kark, czarne włosy. To też załatwiłem we Frankfurcie. Sto pięćdziesiąt marek, ale czupryna oryginalna. Całość, przy mojej sylwetce... plus ciemne okulary i papierosowa chryпка? Aznavour! Oczywiście tylko z wyglądu, bo naprawdę to zwykły obieżyświat, chciwy na każdą „curiosité”, lgnący wzrokiem do ruin, kolumn, ale również biustów i damskich pośladków. Nie stoniłem też i od czerwonych światełek tingel-tanglów. Z łokciami na ladzie, z odbłyskiem kolorowych butelek w oczach widzi się i słyszy akurat wszystko to, co potrzebne.

Przebieranie się w wygaszonym samochodzie to trzy minuty z zegarkiem w ręku. Później, gdy wylaniałem się z mroku

peryferyjnej uliczki, gest zatrzymujący taksówkę był już czysto francuski.

Alors... Voici!

I jechałem, nababie. Wierciłem się na siedzeniu, wychylałem, kazałem skręcać, jechać pod górę, w dół, paliłem, często wałem szofera mocnym gitane'em, gwarzyłem z nim, a czasem wyskakiwałem na chwilę, żeby coś niecoś obejrzeć, sfotografować, wymierzyć wzrokiem i zapamiętać. Nanosiłem to później na plan miasta, który ofiarowałeś mi po przyjeździe. Nieomal sztabówka! Nie widziałem takiego w sprzedaży. Zapewne wykombinowałeś go od swoich komisarzy, którzy na twój widok chwyтали się za serce pochylając nisko głowę. Dokładny. Tylko że to wszystko płaskie, martwe. Interesowały mnie wysokości, podwórka, klatki schodowe, no i oczywiście policyjne i wojskowe posterunki. A było ich! W mundurach i bez, w beduińskich zawojach i kraciastych, palestyńskich chustach.

Nie widziało się tego podczas dnia. Może z wyjątkiem czołgów strzegących ambasady amerykańskiej i żandarmów ustawionych wzdłuż przejazdu na lotnisko. Lecz o zmierzchu dzielnice zamykały się jak twierdze. Krzyżaki zasieków niespodziewanie przecinały ulice, a w reflektory aut wskakiwały grupki uzbrojonych po zęby ludzi. Thomsony, steny, wembleye i granaty chwiejące się przy pasach. Brązowa dłoń strzelająca w górę i zaraz taka sama twarz przy szybie. Spojrzenie? Żar paleńska. „Passeport!” — krzyczeli gardłowo. Ciemne palce bezceremonialnie tłamsiły kartki, a oczy biegły z fotografii na twarz i z twarzy na fotografię. „Hm... toi français?... Touriste?” Spojrzenie gasło i głos łagodniał. „Allez, passez!” Broń wskakiwała na ramię i rozsuwały się zasieki.

Jechałem, nababie! Nie drżałem, pod peruką nie jeżyły mi się włosy ani nie wtulałem głowy w ramiona, jak to robił szofer

przede mną. Chłód... Lodowaty. Jak kształt mojego dziesięciostrzałowego wembleya i płaskiego granatu, przypominającego papierośnicę. Poczestowałbym ich hojnie.

Ryzyko? Tak, ale przecież tyś za to płacił. Więc jechałem dalej, odnotowując wszystko w pamięci. To miasto już weszło mi w krew. Przedziwna metropolia. Pachnąca sokami wszystkich owoców, ubraniami wszystkich stolic, alkoholem, narkotykami i łakomymi ustami rozpustnych dziewczyn. Fascynujący cocktail z przyprawą prochu, trotylu, łaszącej się uprzejmości i żywiołowej nienawiści.

Potrzebna mi była ta dwoistość.

Tak jak chciałeś, nababie. Byłem Nujensem, przedłużeniem remingtona z lunetą, niezawodnym okiem, słuchem, przeznaczeniem.

Po tych nocnych wypadach paliłem jeszcze ostatniego papierosa i dopijałem nasenną whisky. Oglądałem swoje opalone ciało, muskularne ręce, nogi, tors. Czterdzieści jeden lat... Siła wieku. Ile mi jeszcze zostało? Piętnaście? Dwadzieścia? A może tylko rok lub dzień?

Tych ostatnich terminów nigdy nie brałem pod uwagę. Trzeba się spieszyć, Nujens, jeśli chcesz wskoczyć w to swoje upatrzone miejsce na świecie.

Kontrakt z tobą, Nabulzi, to tylko pięć miesięcy. Razem z frankfurckimi oszczędnościami i ewentualnymi premiami za specjalne akcje — dwieście, dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Szczyt marzeń dobrze zarabiającego urzędnika. Ale nie moich, jako że dychę potrafiłem spuścić w ciągu paru dni.

Ta myśl drażyła mnie już we Frankfurcie, tu jednak krystalizowała się jak diament. W tym mieście, może jedynym na świecie sezamie, gdzie mimo zamieszek można było kupić wszystko — złoto, dolary, funty... dosłownie na ulicy.

W dziesiątkach małych kantorów wymiany, prawie w każdej bramie na El Hamra, a nawet bocznych uliczkach śródmieścia.

Do diabła, Nujens, musisz opanować to swędzenie dłoni, kiedy wieczorem widzisz, jak to wszystko ładują do płóciennych worków i ulatniają się do swoich dzielnic. Tłuściochy... ale to tylko płatki. Musisz... na wieloryba. Jedno ryzyko, a zysk przewyższy sumę uwożonych skarbów.

I wtedy pomyślałem o tobie, Nabulzi. Ciepło. Nawet ze smętnym współczuciem. O tych twoich plamach na rękach i czole, o odpływach energii, gdy nieraz wracaliśmy późno z Casino du Liban. Obwisły podbródek, uchylone głupawo usta i zwiotczałe policzki. Do diabła! Marsz pokoleń... Zmiana warty.

To nie z tobą. Nawet myśl... byłaby wyrokiem, oczywiście dla mnie. Muszę stać ci się nieodzowny, stale potrzebny.

Po przeczytaniu tej nabazgranej przez ciebie kartki pojąłem, że dopiero w „Vendôme” będzie prawdziwy egzamin. Ostry kąć widzenia?. Niech ma tylko parę stopni. Dla mnie wystarczy.

Miałem w małym palcu, że w tym mieście hotele i restauracje poznaje się najlepiej podczas dwóch przełomów dnia. W południe, tuż przed sjeścią, i wieczorem.

Przed sjeścią goście rozchodzą się po lunchu błogo ociężali i tylko myślą o jednym: żeby jak najszybciej przemknąć przez rozpalone miasto i w chłodzie willi czy apartamentu oddać się krzepiącej drzemce. Kelnerzy kończą zmianę. Zaaferowani rozliczają rachunki, a służba uprzęta salę. Punkt dwunasta to niemal kościelna cisza. Świeże, białe obrusy, krzesła oparte o stoliki, brzęk naczyń zmywanych w kuchni i podświetlona dyskretnie kapliczka baru. Monotonny szum tłoczącej chłodne

powietrze klimatyzacji, zapach drinków i kawy.

Wieczorem nastrój rześkości oświetlonej sali teatralnej w dniu premiery. Znani bywalcy, jak aktorzy, zajmują zarezerwowane stoliki, wyszukują się wzrokiem, ukłony, pochylenia głowy, uśmiechy proporcjonalne do stanowisk, wpływów i pieniędzy. Oczywiście i kamaryle, żon, dam, przyjaciół. Oaza. Płyną do niej białe karawany obładowanych półmiskami kelnerów. Nikt nie zwraca uwagi na wąski pasek pustyni, peryferyjnych stolików dla przypadkowych gości. Snują się niezauważalni, niezdeterminowani, aż wreszcie srebrzysta trąbka orkiestry przygwaźdża ich na skraju cienia lub przy opustoszałym barze.

Nababie, ten twój „Vendôme” znalazłem łatwo na planie miasta. Gruba gwiazdka na cyplu wysuniętym w morze. To była dzielnica luksusowych hoteli, ale „Vendôme” i „Palm Beach” stały już przy nadmorskim bulwarze. W spisie ten twój „Vendôme” to hotel superklasy, z renomowaną francuską kuchnią, orkiestrą i wystrojem z czasów francuskiej trzeciej republiki.

Zajechałem tam nazajutrz jako Albert Hagen swoim zielonym porsche. Wypożyczyłeś mi ten wóz, ale traktowałem go jak swoją własność. Hotelowy parking był dobry, obszerny, pełen zakamarków. No ale restauracja? Fiu, fiu! Najlepszy paryski sznyt z prawdziwie artystyczną mgiełką „belle epoque”. Coś z malunków Lautreka. Meble wygięte finezyjnie jak kibić damy z półświatka, buduarowe obicia ścian, owalne stoły, stoliki i księżycowe kinkiety stylizowane na lampy gazowe. Pastelowe retro.

Na półkolistym wzniesieniu, w głębi złocistej muszli smukła sylwetka fortepianu i nuty. Offenbach, Lecoque... Stuletnie delikatesy, lubiane widocznie przez podstarzałych bogaczy,

wracających chętnie do beztroskiego dzieciństwa, do sfrancuziałych saloników dziadków zasłuchanych w tubiaste gramofony, szemrzące melodiami ich paryskich podróży.

— Monsieur?

Siwawy na skroniach barman skłonił się uprzejmie i musnął serwetką ladę baru. Naturalnie... remy martin, żeby w lustrze obserwować wychodzących ludzi.

Tak jak się spodziewałem. Większość już dobrze po pięćdziesiątce, lecz nie brakowało amerykanizujących biznesmenów, a nawet trochę tego robactwa w dżinsach, w których fantazyjnie wszyte łąty kosztowały więcej niż całe spodnie.

Przeczekalem, aż tłum zniknie w korytarzu, zamówiłem kawę i rozglądając się ciekawie po sali, przeszedłem na taras. Twój szkic, nababie, był naprawdę dokładny. Balustrada, stoliki i cztery palmy stojące w rogach. To było osiemnaste piętro, a apartament — w oficynie na czwartym. Zerknąłem w uchylone drzwi tarasu. Nieomal jak samochodowe lustro szyby odbijały wnętrze sali, bar i moją kawę parującą na ladzie. Wyjąłem lornetkę i prawie natychmiast natrafiłem na właściwe okno. Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt metrów. Nieźle... Okno było zamknięte, lecz przez półotwarty wywietrznik widziałem kawałek wnętrza i stojące pod ścianą biurko. Zapewne przyszły pacjent usiądzie przy nim, nababie. Wybrałeś ekskluzywne miejsce egzekucji.

Schowałem lornetkę i zbliżyłem się do rozłożystej palmy. Stała w rogu, odsunięta od balustrady, tworząc udrapowany zieloną kącik. Przyglądałem wzrokiem do drewnianej obudowy, w której wnętrzu tkwiła potężnych rozmiarów doniczka. Wspaniale! Prostokątne rogi obudowy tworzyły trójkątne luki, zarosłe zielenią dziko wysianych traw. Natychmiast zrezygnowałem ze

skrytki pod parapetem balustrady. Chropowata powierzchnia betonu — sprawdziłem to niejednokrotnie — to zbyt wielkie ryzyko. Nawet gwarantowany amerykański przyklepic już po paru godzinach odstawał na rogach, a przecież dochodził wysuszający upał i prawie trzykilogramowy ciężar mojego remingtona z lunetą.

Podniecony odkryciem powróciłem na salę. Pierwsze stoliki były oddalone od wejścia na taras o dobre dziesięć metrów. Rozglądając się po staroświeckich meblach i obrazach, przystanąłem koło złocistej muszli orkiestry. Przy fortepianie rozstawione nuty. Potpourri *Życie paryskie*. Wyśmienicie. Hałaśliwe i chyba zaczyna się od srebrzystej trąbki.

— Koncert, monsieur... zawsze punktualnie o siódmej — poinformował barman, gdy popijałem zamówioną kawę.

Szło jak z płatka, nababie!

Nie marnowałem czasu. W środę wieczorem próba generalna, jak na stadionie, ze stoperem. Wziąłem na rękę japoński citenzen, którego świecący sekundnik pulsował mocno, rytmicznie, jak bicie mojego serca. Oficjalnie, jako Albert Hagen, zaparkowałem wóz koło spiętrzonych skrzyń po szampanie. Uzasadnione. Ludzie ściągali na kolację i koncert, tak że parking był utkany gęsto i barwnie jak dywan perski. Zgasilem światło i dokładnie po trzech minutach, wmieszany w tłum cisnący się w hallu, byłem już czarnowłosym Aznavourem. Cztery windy sprawnie połykały ludzi czekających na dole. Spojrzałem na sekundnik i wszedłem do kabiny.

Zapach róż i jaśminu. Dwie damy ubrane na ciemno, z gwiazdzistą biżuterią w oliwkowych dekoltach, starszy jego-
mość o świecącej, zapoconej twarzy, bezkrwisty, płazowaty dżentelmen, i tuż obok męska „beauté du Liban”. Oliwkowy

Apollo ze zwierzęco gęstą grzywą i brodą, błyskający zębami i złotym krzyżem dyndającym na piersi.

Spojrzałem w lustro. Francuski turysta pasował jak ulał do tego światka pnącego się na osiemnaste piętro „Vendôme”. Krucze włosy, elegancko opadające na kark, opalona twarz, a nawet oczy, zwykle szare i chłodne od przyćmionych kinkietów, nabrały teraz niebieskawego ciepła.

Japoński citizenen drgnął siedemnaście razy. Swobodnie przedelflowałem przez salę. Było kilka minut przed siódmą i orkiestra siedziała na podwyższeniu. Dyrygent, podobny do Bartoka wychylającego się z kolorowych kopert longplayów, poprawiał muszkę, nie wypuszczając pałeczki z dłoni. Patrzył handlowym wzrokiem na schodzących się gości, którzy bezbłędnie trafiali do zamówionych przez siebie stolików. Ukłony, grymasy twarzy i oficjalny szelest ubrań i sukien.

Szeroko otwarte drzwi na taras kontrastowały z księżycową poświęcią sali idealnie czarnym prostokątem. Przesząpiłem go właśnie w momencie, gdy po suchym stuknięciu pałeczki zabrzmiała sopranowo trąbka. Przyjemne swędzenie skóry. Odruchowo pogładziłem szyję.

Objął mnie gęsty, smolisty mrok i ciepło rozgrzanego południowym upałem morza. Zmrużyłem oczy i dopiero po chwili dostrzegłem nisko zwisające gwiazdy. Podczas nowiu były idealnie okrągłe, żółte, jak rozsypane bezładnie monety. Niżej jasny promień latarni morskiej muskał fale, zawracał i gasł na skalistym wybrzeżu. Światła lamp i reflektorów aut pędzących w kierunku Sydonu przylegały wąskim paskiem do betonu autostrady.

Wcisnąłem się za palmę.

W szklach lornetki oficyny i apartament były tuż pod nosem. W uchylonym i odsłoniętym oknie widziałem jak na dłoni

odkurzacz i kobietę rozkładającą serwetki. W trzecim pokoju okno było zamknięte, ale w prostokącie otwartego wywietrznika jaskrawo zieleniał kawałek biurka, a tuż za nim ciężki, ozdobny fotel. Odczekałem chwilę, akurat tyle czasu, ile go potrzebowałbym na wyjęcie ze schowka i zmontowanie remingtona. Oparłem się o balustradę, przymierzyłem w myślach i położyłem palec na spuście. Citenzen błysnął jasną tarczą. Siódma sześć. Od sali dobiegł odgłos wszystkich instrumentów. Pianista głąskał klawisze fortepianu, skrzypce przedłużały szmer miotełek i przyspieszony puls bębnów. To bolało! Odczułem napięcie wszystkich swoich dotychczasowych strzałów. Kończ, Nujens! Na Boga, kończ! Zacisnąłem ręce na balustradzie. I wtedy zwycięsko, srebrzyście zabrzmiały trąbki.

W porządku. Schowałem lornetkę i wróciłem na salę.:

— *Magnifique soirée, monsieur...!* — przeciągnął słowa kelner, błyskając białymi zębami.

— Wieczór... naprawdę wspaniały — potaknąłem myśląc o tym z pustego jeszcze fotela. Jaki on jest? Przecież właściwie już go zabiłem — przygotowaniem, wyliczeniem czasu, błędnym okiem. W każdym razie jest, stoi przed niewiadomą. Może patrzy na gwiazdy, które będą dokładnie w tym samym miejscu w chwili... przeznaczenia.

Odjeżdżając z „Vendôme”, znów jako Hagen, spojrzałem na citenzena. Wszystko razem z dwukrotnym przebieraniem się niecały kwadrans. Poczułem do siebie respekt, nababie. Poddziw! Ocenisz to, mój drogi. Musisz.

W czwartek na lotnisku przywitaliśmy się służbowo. Pomogłem ci nieść torbę podróżną, a później pędziliśmy bulwarem Mazra i opowiadałeś mi o Londynie. O mlecznej, wiosennej

mgle, nowym spadku funta i o tym, że mimo wybuchających tu i ówdzie irlandzkich bomb ludzie o grubych portfelach żyją sobie bardzo przyjemnie. Mijając „Vendôme”, spojrzaleś przeciągle na taras. Kiwnąłem głową w lusterku i zrozumieliśmy się bez słów.

Rozmowę przeprowadziliśmy dopiero nazajutrz. To był trochę taki specjalny dzień.

Podróż do Londynu i ten powrót przez włoską wiosnę odświeżyły cię, nababie. Chyba załatwiłeś jakiś dobry interes, promieniowałeś radością, a nawet w pewnym sensie stałeś się wylewny.

Gdy odwiozłem cię z lotniska, zaprosiłeś mnie na drinka właśnie tu, do tego apartamentu. Byliśmy sami i myślałem, że teraz nawiązesz do tej kartki podłożonej w papierach. Ale nie, tak jakby tego w ogóle nie było. Również ani słowa o „Vendôme”. Swobodna, towarzyska, a nawet przyjacielska rozmowa.

Sam zaparzyłeś kawę, a ja przygotowałem lód i szklanki. Rozmawialiśmy chyba do jedenastej o Londynie, Trieście, Paryżu, a ja czasem wtrącałem swoje migawki z Antwerpii, Ameryki Południowej i Frankfurtu. Jak na oliwkowego szejka mogłeś zdrowo pociągnąć, bo opróżniliśmy prawie całą flaszkę. Oczy nam świeciły jak meteory. Czasem wybuchaliśmy śmiechem, klepaliśmy się przyjacielsko po ramionach i znów podróżowaliśmy w czasie i przestrzeni. Ty w tej swojej wzorzystej bonżurce, a ja w koszuli bez krawata, z podwiniętymi rękawami.

Nagle podniosłeś się i objąłeś mnie ramieniem, przysuwając twarz do mojej twarzy. Spojrzaleś jakoś dziwnie, przeciągle.

Uklucie niepokoju.

Ciepły brat...? Odsunąłem odruchowo głowę. Potrzasnąłeś

mną wtedy i przysunąłeś się jeszcze bliżej. Twoje oczy świdrowały mi mózg.

— Powiedz mi szczerze, Nujens... Jak?

— Doskonale! — odparowałem bez namysłu.

Wygrałem, nababie... Wygrałem! Wyczułem to natychmiast. Twoje ramię puściło mnie momentalnie i, wyprostowana, wybuchnęłaś swobodnym, szczerym śmiechem.

— Cha, cha, Nujens... Właśnie to chciałem od ciebie usłyszeć. Zaraz ci wytłumaczę.

Słuchałem cię uważnie, ale zaraz kończyłem myśl, która określała mój sukces. Wygrałem, bo nim jeszcze przebrzmiało twoje „jak”, już dałem odpowiedź. Najmniejsze wahanie, mgnienie oka byłoby przegraną. Teraz możesz mówić, co chcesz, już jest po herbacie. I mówileś:

— Widzisz, na Bliskim Wschodzie sztuka rozgryzania ludzi ma w sobie coś z surrealizmu. To nie tylko ściąganie wzrokiem, elokwencja, podarki, komplementy czy też wyłożone na stół propozycje. Prosty, lecz nieodzowny warunek. Dotknąć. A dotknąć to znaczy pojąć. Przekonasz się sam na kolacjach u naszych klientów. Intymnych, w ścisłym kółku, z podkreśleniem, że to tylko dla nas. Te wszystkie ich piękne żony, córki czy przyjaciółki zaczną cię rozbrajać obiecującym uśmiechem, dekoltem, przegięciem bioder, ale tak naprawdę to będą szukać tylko jednej okazji: by podać ci do ust obrany owoc czy napel-niony kieliszek, tak żebyś ustami koniecznie dotknął palców.

Usiadłeś wygodnie i przyglądałeś mi się z wyraźną sympatią. Gadaj, staruchu, to dla mnie ważne, pomyślałem. Dojechałeś wreszcie do sedna.

— ...i dlatego objąłem cię tak mocno, żeby wycisnąć prawdę. Prawdę i tylko prawdę! Teraz, nawet gdybyś zaprzeczył, albo gdyby ktoś mi doniósł, że ty tam coś na boku... Nie uwierzę,

nigdy! Tyś pojął, a pojdziesz jeszcze lepiej, że ja, Nabulzi, zawsze płacę najwięcej. Gwarancja? Zbyt słabe słowo, Nujens...

Uśmiechnąłem się swobodnie i przełknąłem spory haust white horse'a. Kochany starzejący się nababie, nie powiązałeś. Może lepiej — nie skojarzyłeś.

Ciągle jeszcze mówiłeś. I to ciekawie, z wyobraźnią. Choćby to, że właśnie w tym momencie, gdy tak popijamy i rozmawiamy sobie swobodnie, to ci czarnowłosi spryciarze, właśnie z Bliskiego Wschodu, gdziekolwiek tylko są, pod każdą szerokością geograficzną, pochylają ku sobie twarze, dotykają się, szarpią, wciągają do sklepów, kantorów, banków, a gdy trzeba, obejmują chłodno, stalowo, nawet tych największych. Przekonują? Nie. Oni znają ich ukryte myśli.

Rozstaliśmy się z jednakowym zadowoleniem. Ty, że mnie przejrzałeś, a ja... że cię oszukałem. Zrozumiałem cudowną rzecz, że nawet z najbardziej podejrzanego spotkania potrafię się wytłumaczyć.

Nazajutrz w biurze to był naprawdę taki specjalny dzień. Wieczorna rozmowa tkwiła we mnie podniecająco, różowo, jak ciągle jeszcze szmerek white horse'a. Około dziewiątej potrzebny był jednak „przedłużacz”. Wychyliłem głębokiego remy i stojąc przy uchylonym oknie, obserwowałem zza zasłony El Hamrę.

Majowe przedpołudnia są w Bejrucie przyjemne, jak europejskie lipcowe lato. Był to już czwarty tydzień po przyjeździe i doskonale wczuwałem się w rytm ulicy. Rozpoznawałem niektórych przechodniów i kupców, czatujących starym fenickim zwyczajem przed wejściem do sklepów i magazynów.

Jeszcze świeża i przyjemna pora dnia. Spaliny i kurz spadały na polane wodą jezdnie i chodniki i nie brudziły czystej emalii nieba. Zapach morza, kwiatów wystawionych w wysokich, zielonych kubłach, owoców na wózkach i kawy parującej pod

markizą narożnej kawiarni. Nieomal odświętny nastrój przed wielkim koncertem codziennych interesów. Jeszcze do tego koncertu nie mało było czasu, ale wyczuwało się już napięcie handlowego szczytu, tych dwóch godzin przed południową sjsztą. Doskonała pora obserwacji.

W barwne tło samochodów i ludzi wkraczali kolejno stali bywalcy dzielnicy. Powtarzało się to codziennie jak w zegarku, toteż z uśmiechem liczyłem ich na palcach.

Primo. Z granatowym błyskiem karoserii zajęchała limuzyna dyrektora Banco di Roma. Siwy, czarnooki, ubrany bez zarzutu dżentelmen skinął przyjacielsko głową otwierającemu drzwiczki szoferowi i elastycznym krokiem zniknął w drzwiach parteru.

Secundo. Niebieskie volvo dyrektora Crédit Libano-Alsacien, Guya de Chiffoniera. Wyplukany z krwi, o niezdrowej, zielonkawej cerze, rozejrzał się niepewnie i przygarbiony wszedł do hallu.

Stary sprzedawca pomidorów wykładał nową skrzynkę błyszczących jak korale owoców. Wycierał starannie każdą sztukę i budował misterną piramidę, nie przerywając ani na chwilę śpiewnego nawoływania. Parę kroków obok, pod pasiąstą markizą kawiarni, kelner skłonił się nisko i usłużnie strzepnął serwetką stolik.

Tertio. Równym, wojskowym krokiem szedł mężczyzna średniego wzrostu w jasnym, popielatym tropiku. Ciemna koszula kontrastowała z wypłowiałą od słońca czupryną, a także z uśmiechem na szerokiej, otwartej twarzy. Dziewięta dwadzieścia, pomyślałem nie patrząc na zegarek. To właśnie godzina, gdy François Eponge, doradca dyrektora Chiffoniera, pije swój pierwszy aperitif.

Poznałem go w „Holiday Inn”, na pierwszym urzędowym

cocktailu, gdzie przy bufecie miałem zaszczyt tak zaszokować twoją piękną siostrę, nababie. Ciekawy człowiek ten Eponge. Parokrotnie odwiedzałem go w Crédit Libano-Alsacien, realizując czeki i otwierając cukrzane akredytywy. Coś było w tej jego uprzejmej szczeroci, która ani na chwilę nie przygaszała uważnego błysku oczu. Denerwowało mnie, gdy zbyt długo przyglądał się moim muzycznie utykającym krokom. Także to, że lubił uderzać w „głębsze miasto”. Jako francuski turysta już dwukrotnie natknąłem się na niego w nocnym tingel-tanglu. Przy jego przenikliwym wzroku... ryzyko. Ale — dla niego. Nie zdążyłby... Na pewno!

Jeszcze na chwilę przyłgnąłem wzrokiem do ustawionej przed Eponge'em szklaneczki, którą słońce prześwietliło rubinowe Twój ulubiony dubonnet, mój drogi. I zaraz powróciłem pod żółtą wilczycę Banco di Roma.

Czekałem na „quarto”... Czwartą postać, która też miała dokładny rytm czasu. Mecenas Jacques M. Tukadijan — Usługi Prawno-Handlowe. Jest! Trochę dziwny. Chyłkiem przemknął przez obszerny hall i dopiero na ulicy wyprostował się i spojrział w górę. Wciśnięty za zasłonę obserwowałem jego twarz. Coś przeżywał. Błada, pomarszczona — była jeszcze zasnutą mrokiem nieprzespanej nocy.

Pamięć mam dobrą, nababie, i natychmiast powiązałem to z telefonem sprzed paru dni, gdy ty wyjechałeś do Londynu.

Najpierw władczo: „Tukadijan! Chcę z Nabulzim. Doktorem Nabulzim!” Nie znosiłem takiego tonu. Dlatego z całą satysfakcją odczekałem chwilę i również władczo i odrobinę wesoło powiedziałem, że wyjechałeś do Londynu. Wiesz, nababie? Jęk po drugiej stronie przypominał najbardziej makabryczne

angielskie dreszczowce. Fiu! Fiu! — pomyślałem. Człowiek, który tak głęboko przeżywa twój wyjazd za granicę, może być w przyszłości moim „klientem”. „Mam coś przekazać?” — cisnąłem uprzejmie w jego sapanie. „Pozdrowienia!” — zaryczał jak zraniony lew.

Toteż teraz spoglądałem na niego szczególnie uważnie. Chwilę patrzył na twoje okno, szpetnie wykrzywiwszy usta. Nie były to życzenia zdrowia, nababie, byłem tego pewny. Tak jak i tego, że gdy obrócił się wreszcie i ruszył El Hamrą, jakiś idealnie szary człowiek, w kapeluszu i popielatych kamaszach, jak cień wysunął się z kawiarni i pilnując odległości szedł jego tropem.

Ciekawe... Strzeliłem jeszcze jednego remy i włożyłem marynarkę. Poprawiałem włosy, gdy zadzwonił telefon. Oczywiście... twój głos, nababie.

— Nujens? Do mnie! Pod krawatem, to bardzo ważna wizyta.

Po chwili, w gabinecie, podniosłeś się na mój widok i chciałeś rozsunąć zasłony, lecz powstrzymał cię gest małej, brązowej dłoni, która protestująco odskoczyła od poręczy fotela.

— To mój sekretarz pan Hagen. — Cofnąłeś się i znów usiadłeś. Mała, koścista, prawie czarna dłoń dotknęła mojej.

— Mustafa Habib! — zgrzytnęło gardłowo.

Biały turban drgnął i zaraz znieruchomiał. Czekoladowa twarz, drobna i pomarszczona, przypominała suszoną figę. Spod fałd spadzistego czoła ukłuło mnie spojrzenie małych, świecących oczu. Spojrzałem na czarny ubiór. Przypominał habit czy też przydługi frencz, z klapami haftowanymi w srebrne wzory.

— Pan Mustafa jest z Jemenu... — zacząłeś wolno, obcinając cygaro. Powieki, nababie, miałeś spuszczone, lecz jakby

przebijał przez nie blask twego diabelskiego spojrzenia.

— ...chodzi o to, Hagen, że nie zawsze czuje się bezpieczny.

Kiwnąłem głową obserwując grube pierścienie, obejmujące luźno kościste palce. Siedzący dotykał ich nerwowo, jakby sprawdzając, czy mu się nie zsunęły. Po twoich słowach, nababie, skrzywił się, czy też uśmiechnął.

— Oh, yes, yes — burknął i znów przylepił wzrok do mojej twarzy. Mówiłeś dalej:

— Otóż właśnie, Hagen... Pan Mustafa Habib zatrzymał się w „Vendôme”. Bardzo lubi francuską kuchnię, tylko szkoda, że pojutrze już wyjeżdża. Doszliśmy przed chwilą do porozumienia w sprawie dostawy narzędzi rolniczych.

Moja twarz była pusta, ale myśli trafiały w sedno. Rolnictwo, świetnie. Tym bardziej że są dwa skłócone Jemeny. Spojrzałem obojętnie na twoją twarz, Nabalzi, a później na haftowane klapy podzwrotnikowego szejka. Ten czarno-srebrzysty człowieczek należy chyba do tego niewłaściwego Jemenu. A może popiera rolnictwo, tam gdzie nie trzeba? Albo...

— Hagen — usłyszałem — na którą może być pan jutro gotowy z kontraktem? Pan Habib przyśle po pana auto i pojedzie pan do „Vendôme” po podpis i czek na zaliczkę.

Nie zaskoczyłeś mnie, Nabalzi. To ja zaskoczyłem błyskawiczną kalkulacją. Jutro przed sjeścią wypiję w „Vendôme” kawę na tarasie. Remington po wymontowaniu kolby to siedemdziesiąt centymetrów, a obudowa palmy ponad metr. Wieczorem już nie potrzebuję taszczyć go z sobą. Orkiestra zaczyna przed siódmą...

— Około... szóstej — mówiłem wolno, z zastanowieniem. — Auto po mnie... chyba wpół do siódmej. Half past six... „White

Palace” — zwróciłem się do Habiba.

— Okey. Sure. — Pomarszczoną twarz wygładziło zadowolenie.

Wstał. Był naprawdę niski, bo tym swoim białym turbanem sięgał zaledwie twoich piersi, nababie. Pomyślałem, że w tym ciężkim fotelu za zielonym biurkiem, które widziałem przez uchylony wywietrznik, zgubi się jak chłopczyk. Teraz gestykulował żywo, pokazując na mnie, i cicho seplenił po arabsku. Pochyliłeś się nad nim książęco, kiwając głową z pełnym zrozumieniem. Dobrotliwie ująłeś mnie za klapę marynarki.

— Hagen, to naprawdę drobnostka. Zaraz będzie mała konfrontacja z prywatną ochroną pana Habiba. No i jeszcze proszba... Jutro wieczorem... koniecznie to samo ubranie.

— Oczywiście — odparłem skwapliwie.

Twarc pod turbanem rozjaśnił szeroki, nieomal kordialny uśmiech. Na korytarzu trzech czekoladowych drabów poderało się sprężyste. Ten szejek czy też królik trzymał ich na krótkim wędzidle, bo na jego słowa i gest ręki skamienieli w kolumny zagradzające drogę. Wstrzymali nawet oddech, tylko oczy błyskały białkami jeżdżąc po mnie, utrwalając każdy szczegół, kieszeń, ba, nawet guzik mojego tropiku.

— Half past six! — zaskrzeczał za moimi plecami Habib. Kolumny przywarły do ściany, a ja obejrzałem się — prosto w jego pomarszczoną twarz.

— Of course, sir. „White Palace”.

Tak, Nabalzi. On tych drabów trzymał krótko. Nazajutrz... punktualność co do sekundy. Zajechali w komplecie trochę staromodną limuzyną. Wystarczył mi jeden rzut oka. Podwójna blacha, szyby też, na wszelki wypadek. No, Nujens, pomyślałem, tym razem pojedziesz stylizowanym czołgiem.

Usiadłem swobodnie między dwoma drabami, ale na każdym zakręcie dociskali mnie.

Rozumiem, rozumiem. Podmacujecie, czy nie mam ukrytej broni. Sięgnąłem po teczkę i wyjmując papierosy otworzyłem ją szeroko. W świetle zapalniczki ich oczy myszkowały po wnętrzu. Oparłem się wygodnie, wydmuchując dym na ich pochylone twarze. Jak łąza, moi mili. Czyściutki jak łąza. Gdy skręciliśmy w Dar el Mraise, ich brązowe paluchy strzeliły w rozświetlony wieżowiec.

— Hotel „Vendôme”, sir — zasylabizowali chóralnie.

Wychyliłem się z udanym zaciekawieniem. Na szczycie płonęły światła restauracji i tylko taras czerniał pustym prostokątem. Pokiwałem głową z uznaniem.

— Beautiful... Super comfort!

Wkrótce skręciliśmy w bramę. Parking pęczniał od samochodów, lecz pod ogrodzeniem żadnych zmian. Tak jak rano stała tam duża ciężarówka, piętrzyły się skrzynie po szampanie, a w ich cieniu drzemał mój zielony porsche. Grało, nababie!

Limuzyna zatrzymała się przed dziedzińcem ogrodzonym siatką. Minęliśmy skwerek z fontanną i zapachem heliotropów. Kończyłem papierosa i liczyłem kroki. Osiemdziesiąt jeden... Mój rachunek był „exact”! Przekątna taras — apartament... siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt metrów.

Przed wejściem zerknąłem na okno, lecz z dołu nie mogłem stwierdzić, czy wywietrznik jest uchylony, czy też nie. Powiedziałaś, Nabulzi, że tego już dopilnuje służba hotelowa. Nie wątpiłem. Twoje ramię. Skoro potrafiło mnie zaszokować z Londynu, to w tym mieście sięgało wszędzie.

W windzie spojrzałem w lustro. Zgodnie z umową. Garnitur ten co wczoraj, koszula, krawat i dostoje, urzędnicze spojrzenie.

Na czwartym piętrze korytarz to prawie galeria obrazów. Goryle szli trochę z tyłu, obserwując zapewne moje zamiatające kroki. Gdy zapukałem, stanęli po obu stronach drzwi.

Ten haftowany srebrem szejk nie odpowiedział od razu. Usłyszałem szmer, jakby przestawianie fotela, a później znów cisza. Zerknąłem na zegarek. Za jedenaście siódma. Chwytając uchem jęk zjeżdżającej windy i oddechy znieruchomiałej pod drzwiami obstawy, kalkulowałem.

Złożenie podpisu pod kontraktem i ewentualne wystawienie czeku — najwyżej dziesięć minut. Najwyżej. Raczej pięć, sześć.

Nabulzi, stary spryciarzu! Nie wiem, coś robił wtedy, gdy zajechałem pod „Vendôme”, stałem pod drzwiami, a następnie spojrzałem na zegarek. Czerwony sekundnik pulsował rytmicznie. Minuta w moim zawodzie to wieczność. Ale chyba dla ciebie też? Może zacierałeś z radością te swoje plamiste paluchy albo śledziłeś mnie oczami portiera stojącego w końcu korytarza?

Gdy tak stałem pod drzwiami patrząc na czerwoną wskazówkę, przeniósłem się myślą do sali restauracyjnej, gdzie dyrygent, nie wypuszczając pałeczki, poprawiał sobie jedwabną muszkę. Potem przemknąłem do palmy na tarasie, wsunąłem rękę w skrytkę. Chłodny, znajomy dotyk... i już spokojnie zjechałem windą do zielonego porsche, gdzie w schowku tkwiło ubranie francuskiego turysty.

Magnifique!

Wskazówka znów odliczyła parę sekund. Pięć, sześć, a może kilkanaście. Szmer za drzwiami ustał, ale widocznie tamten nie spieszył się. To trwało akurat tyle, że zdążyłem przeskoczyć myślą do twego gabinetu, aby raz jeszcze usłyszeć słowa: „Dziesięć procent wartości czeku. To pana potrójne

honorarium. Przypominam, Nujens... Ja płacę najwięcej!”

— Yesse! — zaskrzeczał głos za drzwiami.

Drgnąłem.

Potrójne honorarium! To, co zostało do wykonania, było już drobnostką, sprawdzeniem poprzednich prób i wyliczeń. Wyprostowany, zamieniony w bezbłędny mechanizm pchnąłem drzwi. W trzecim pokoju siedział za zielonym biurkiem Mustafa Habib.

Uskrzydliłeś mnie, nababie!

Niecały kwadrans trwania akcji był sumą wszystkich doświadczeń. Sukcesem mięśni, refleksu i aptecznej dokładności w obliczaniu czasu. Najmniejszego błędu. Nawet przy zapinaniu guzików podczas dwukrotnej zmiany ubrań w moim porście. Pozostało jedno: upewnić się.

Dwadzieścia po siódmej, znów jako Albert Hagen, zajechałem pod „Palm Beach”. Wóz zaparkowałem z boku, od strony plaży St. Georges, i zająłem stolik w środku kawiarnianego ogródka.

Czarna, smolista noc przy księżycu w nowiu.

Za latarniami bulwaru szeroka plama morza fosforyzowała białymi grzywaczami. Światło latarni morskiej przeskakiwało bulwar, omiatało aż po horyzont śnieżne wysepki piany i szerokim łukiem powracało do miasta. Na mgnienie wpadało do kawiarni, a później przecinało jak nożem wieżowiec hotelu „Vendôme”.

Cisza.

No, niezupełnie. Dolatywał mnie przecież szum morza, aut wyskakujących na bulwar, gwar rozmów przy stolikach i końcowe tony potpourri Offenbacha. Odległe spływały cicho z ciemnego tarasu restauracji.

Cisza oczekiwania.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziło wpół do ósmej.

Otworzyłem teczkę i namacałem kopertę z czekiem. Wysunąłem go ostrożnie, akurat tyle, żeby zobaczyć sumę. Trzysta tysięcy dolarów! Nie kłamałeś, nababie. Dziesięć procent to naprawdę potrójne honorarium. Zamówiłem kawę, podwójny koniak i migdały.

Dłużyło się to oczekiwanie.

Niemy film na zwolnionych obrotach. Ospale kroki kelnera, ludzie przy stolikach, bezdźwięcznie poruszający ustami, a dalej, na bulwarze, makiety sunących aut.

Nagle coś zaskrzypiało rytmicznie. Raz, drugi, czwarty. I znów to samo, tylko mocniej i bliżej. Wsunąłem palce pod serwetkę i namacałem migdały. Były ciepłe, chropowate. Przechyliłem kieliszek i skrzyp ustał. Szary, pochylony człowiek wsunął się w krąg światła i ruszył do mojego stolika. To właśnie jego popielate kamasze wydawały ten rytmiczny dźwięk.

— Nicolas Mansour... — rzucił prawie szeptem, uchylając kapelusza. — Można? — Niemal równocześnie przysunął krzesło. — Przysięgły ekspert — dokończył i usiadł na wprost mnie.

Zaniepokoiłem się.

Zauważył to i uśmiechnął się niewyraźnie.

— Ten człowiek nie żyje, panie Hagen. Dokładnie od dwudziestu trzech minut. — Poruszył ustami, patrząc na przegub mojej ręki. — Citenzen, prawda? Bardzo dokładny zegarek. Też mam taki.

Cierpki, migdałowy smak koniaku. Przełknąłem, bo właśnie od Avenue de Paris przeraźliwie głośno zawyła syrena. Jej jęk huczał, odbijał się od morza i rwał wstęgą asfaltu, na której nieruchomo utknęły auta.

— Mówi pan, że od dwudziestu trzech minut? — Wsunąłem rękę do kieszeni i odbezpieczyłem swój wembley. Chyba... to się zgadza.

Szary człowiek znów uśmiechnął się kącikami ust. Utkwił we mnie okrągłe, zaczerwienione oczy.

Mówiłeś mi, nababie, że Bliski Wschód to trochę surrealizm. Szczera prawda! Jego spojrzenie objęło mnie jak mgła i przesłoniło widok morza i bulwaru.

Słowa szarego człowieka dochodziły do mnie wyraźnie, jak z kazalnicy. Słowa o tobie, nababie. Żeś sprytny, bogaty, potężny, ale nie pierwszy i nie wszechmogący. No i... fanfaron! Ostatnie słowa zadźwięczały jak metal.

To ja płacę najwięcej, panie Hagen!

Mrok przysł. Wyciągnąłem rękę z kieszeni i zapaliłem. Wraz ze smakiem gitane'a powróciło nazwisko, które parę dni temu tak mocno utkwiło mi w pamięci.

— A wie pan, panie Mansour, że miałem do pana dzwonić?
— Po czym wyrecytowałem mu bezbłędnie numer telefonu.

Tym razem uśmiechnął się szeroko.

— Doprawdy? Chyba to już niepotrzebne. Przecież jestem, panie Hagen.

Gdy sygnaturka na kościele Serca Jezusowego wydzwoniła wpół do siódmej, Eponge włączył mechanizm i krata przy drzwiach wejściowych cicho zsunęła się na dół. Stał chwilę słuchając kroków schodzącego po schodach Nagiba. Strażnik po służbie unikał windy jak ognia. Awarie sieci elektrycznej w śródmieściu zdarzały się coraz częściej, a teraz, podczas nasilających się zamieszek, na naprawę trzeba było czekać do świtu.

Mimo napięcia nerwów Eponge nie mógł powstrzymać złośliwego uśmiechu. Właśnie akurat dwa tygodnie temu utknął między piętami dyrektor Chiffonier. Dostał chyba ataku histerii, bo kabina rano wyglądała jak klatka rozwścieczonego tygrysa.

Pas de chance, mruknął nie bez zadowolenia. Prawdziwy pech, ale niech prześladowe takich sukinsynów jak Chiffonier. Tylko po jaką cholere ja wpadłem? I to jeszcze w sam środek szamba!

Pomacał odruchowo obolałe czoło. Tętno w skroniach mieszało się z odgłosem mocnych, wojskowych kroków strażnika. Raz, dwa, trzy! Raz! I znów te fatalne cztery. To kłuło, ćmiło jak bolący ząb.

Cztery czynności. Cztery upokarzające nakazy, wymuszone, bezwzględne, powiększające grozę w miarę upływu minut. Eponge po powrocie do banku, a później podczas śniadania u Hamilkara ani na chwilę nie mógł pozbyć się uczucia zupełnej bezsilności. Muszę. Muszę to wykonać! I nieomal automatycznie powracała scena porannego porwania i brutalnego szantażu.

Powracała. Powtarzała się — coraz bardziej wyraźna i bolesna. Chwilami czas dłużył się, rozciągał w dociekaniach i drobniawych urywkach wspomnień. Eponge starał się z nich zestawzić jakiś logiczny obraz przyczyn i skutków. Choćby zarys. Może znalazłbym wyjście?

Błyski rozpaczliwych postanowień, pomysłów odbijały się od bariery czasu. Nieubłagany alarmował tarczami zegarów na ulicy, w hallu banku, w gabinecie, w mieszkaniu Hamilkara i drażnił bezustannym szmerem sekundnika na przegubie dłoni. Jeszcze osiem, sześć, pięć godzin. Już tylko cztery, trzy... dwie. Godzina, Eponge!

Była szósta, gdy wychodził z rue d'Amérique od prezesa Hamilkara. Spokojny, niebieskawy wieczór, ulica z grupką rozkrzyczanej dzieciarni, która oblepiła go jak rój brązowych pszczoł. „Bakszysz, monsieur... Bakszysz!...” Obdarował je. Uśmiechnął się niewyraźnie z tym podłym uczuciem, że stale jest w zasięgu tamtych bezwzględnych oczu.

Na dole trzasnęły drzwi i równocześnie zgasło światło na klatce schodowej. Eponge spojrział w gęstniejący mrok, w którym niewyraźnie majaczyły poręcze i schody. Za pół godziny będzie to już intensywne czerni. Nawet nie za pół.

Dokładnie dwadzieścia dziewięć minut. Spojrział na zegarek. I zaraz ta przeklęta myśl. Muszę! Cztery następujące po sobie czynności. Dwie... mam poza sobą. Zagryzł nerwowo usta. Szeroko otwarte okno w sali konferencyjnej i kroki oddalającego się strażnika.

Te ich cholerne oczy! Każdy mój krok, ruch. Żadnego punktu oparcia w tym zrewoltowanym mieście. Labirynt, gdzie dniem i nocą morduje się ludzi, cicho, zdradliwie porywa się z ulic, dziurawi ołowiem albo bestialsko okalecza. Skorumpowany i bezsilny rząd, przekupna policja, żandarmeria, bojówki różnych frakcji. Nawet ludzie! Zwykli przechodnie idący obok siebie tą samą ulicą w każdej chwili gotowi są skoczyć sobie do gardła. A jeszcze nocą?

Od meczetu z Abdel Azis dobiegł go śpiewny głos muezzina. Mimo że od El Hamra było to ładnych parę ulic, wzmocniona głośnikami modlitwa brzmiała jak tuż za oknem.

Eponge znał dobrze wieczorną surę, jeszcze z Algierii, a tu w Bejrucie przypominała mu tamte czasy, kepi ze złotymi galonami sierżanta i niezawodnych chłopców, którymi dowodził. Wilgotno-przyjemna mgiełka wspomnień, prężności, kolorów, zapachów.

W ubiegłych miesiącach, jeszcze względnie spokojnych, zapadający mrok i śpiew z minaretu działały nań jak ostroga. Przecież te... dzieści lat temu odprasowany, wyczyszczony, zapięty na ostatni guzik meldował się z przepustką na wartowni. Szelmowskie zmrużenie oka dyżurującego, a później odgłos własnych, mocnych kroków, przecinających granatowe cienie

i księżycowe srebro uliczek kasby. To porywało! W bejruckie wieczory wkładał przewiewny tropik, bawełnianą koszulę, której kołnierzyk młodzieńczo wykladał na klapy, i... tournée! Począwszy od narożnej kawiarni przy El Hamra, z sakramentalnym dubonnetem, przez Eldorado, Wimpy, Palm Beach i nawrót do ostatniego przystanku w Gold Finger. Czuł się naprawdę wspaniale.

Muezzin zaczął gardłowo, przechodząc w łkanie, w krzyk, to znów w żalną skargę. Każdy nerw jak sznurek po zębach. Przypomnienie nakazu. Miejsca i czasu.

Bejrut, dwudziesty drugi września, Credit Libano-Alsacien, ósme piętro na rogu ulicy Sadat i El Hamra. No i to najgorsze! Godzina? Już minuta po wpół do siódmej.

Eponge cofnął się do hallu, lecz śpiew i tu docierał wyraźnie. Zacisnął odruchowo pięści. Egzotyczny Bliski Wschód! Choć w sali paliły się tylko boczne światła, to duża fotografia Crédit Alsacien błyszczała wyraźną panoramą Strasburga. Spojrzał ze smętkiem na widoczny w głębi zarys romańskogotyckiej katedry i mały wycinek bulwaru nad Renem. Tam właśnie, na ulicy o tradycyjnej nazwie rue des Pécheurs (zwykle mrużył oko i przedłużając akcent zmieniał brzmienie z ulicy Rybaków na ulicę Grzeszników), zostawił przytulną kawalerkę. W końcu września, westchnął, na bulwarze pękają kasztany, a liście wiązów przypominają tutejsze pomarańcze. Można całymi godzinami chodzić spokojnie wzdłuż rzeki, kontemplować drzewa, latarnie odbite w wodzie, spotykać znajomych i znajome. A później w kafejce lub bistro umoczyć usta w koniaku czy ulubionym dubonnet. Można...

Ale nie tu.

Jeszcze raz pomacał bliznę. Bliski Wschód, syknął przez zęby. Czarujący... Jak z barwnego plakatu w Orly „Libańskie linie lotnicze...” Wdzięcznie wygięta palma, dysk księżycy nad morzem i srebrne igły minaretów. Nacisnął kontakt i wszedł do łazienki.

A więc tak, mój drogi. Spojrzał w lustro na blizną przykrytą grubą warstwą pudru. Rano wstałeś jak młody bóg. Odbębniłeś odmładzającą gimnastykę i spokojnie poszedłeś do pracy. Oczywiście z przyzwyczajenia sięgałeś do wspomnień, które przeplatały się z rzeczywistością miasta. Że wojsko... policja, żandarmeria, czołgi? Gruz wysadzonych trotylem wystaw i sklepów? Oddalone wybuchy i serie broni maszynowej? Słyszałeś to już nieraz w Algierii. Przyzwyczajenie. Gdy coś nie dotyka bezpośrednio... Można, a nawet trzeba akceptować.

No, ale w każdym razie nie to, Eponge.

Jak na pięćdziesiąt lat, i to z grubym hakiem, zbyt wiele. Może i ciekawe, ale z perspektywy widza, gdy na ekranie Alain Delone zadaje lub odbiera sugestywne ciosy. Gorzej, gdy oglądane fotosy ożyją sylwetkami stojących za plecami ludzi, a wycelowany pistolet nie jest kolorowym obrazkiem.

Sacré Dieu! Przeskoczył myślą do pasażu, który rano wciągnął go reklamą kina. Mondo cane. Naprawdę pieski świat. Bezsilność... Chyba to hańbi najbardziej!

Jeszcze dwadzieścia osiem. Zerknął na zegarek. Już tylko dwadzieścia osiem! Lepiej ci, Eponge? Potarł czoło. Może. Koniec idiotycznej obecności oczu, których nie widać, a są wszędzie.

Scena porwania była świeża, bolesna jak blizna. Czuł jeszcze kwaśny odór szmaty czy worka zarzuconego mu na głowę. Leżał na dnie auta, pod uciskiem nóg i pistoletu, i przy gwałtownych skrętach walił głową w drzwiczki. Nie ustępowały. Nic a nic!

Zszargane człowieczeństwo?

Tak źle to nie było. Odsunął się od lustra i wyprostował. Strach? Kto go nie zna? Zaczyna się od ciemnego dziecinnego pokoju. Ale ten strach był nagły, śmierdzący jak zarzucona na głowę szmata. Ochłonąłem, gdy prowadzili mnie do auta. Podłużne, czekoladowe, ścięte do tyłu. Chyba audi? Pusta ulica i zamknięte sklepy. Trąciłem nogą pudełko po marlboro. Szurnęło w bok, właśnie w stronę El Hamra. Daleko do niej. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów. Drab z tyłu przycisnął pistolet do moich pleców, ale perspektywę zdołałem pochwytać. Skośno padające słońce, ostre cienie i ludzie spokojnie przecinający jezdnię.

W aucie, dokładniej: na jego dnie, byłem już sobą. Ześrodkowany w ciemności, ale z cholerną chęcią przeżycia. Natężyłem słuch. Stuk silnika, lecz i szum mijanych ulic. Wieźli mnie chyba na południe, może do Mousseitbe albo Bachora, a już na pewno przez rue Verdun. Przeleciał obok charakterystyczny odgłos megafonów w koszarach żandarmerii. Ironia! Często przejeżdżałem tędy i widziałem roześmianych chłopaków w mundurach. Na rozkaz z głośników formowali się w patrole przeczesujące później boczne uliczki. Krzyknąć?

Nonsens! W szumie samochodów, wśród zgiełku handlarzy nawet uciszający na zawsze pistolet byłby tylko głośniejszym stuknięciem silnika. Co robić? Leżeć bez ruchu i martwić się o jasne ubranie pod buciorami tego draba?

Opór?

Dopiero w zaciemnionej melinie czy piwnicy. Gdy zdjęli mi szmatę, w skąpym blasku świecy pochwyliłem szczegóły wnętrza. Okrągły stół zaśmiecony resztkami jedzenia, odrapane krzesła, drzwi z krzyżakami okuć, jakiś barłóg i zatęchłe, wilgotne powietrze. Chyba piwnica albo ziemianka. Nie pamiętałem

stopni, bo taszczyli mnie pod ramiona.

Jeszcze raz... i jeszcze raz, kategorycznie zaprzeczyłem głową. Wyższy zdenerwował się. Zapłuł od szybkich, świszczących gniewem słów. Stojący za mną recytował, kalecząc język. Potężna organizacja. Znają mnie i śledzą od dawna. Dokładny rozkład dnia, ulice, którymi chodzę, mieszkanie, wnętrze, nawet meble.

To by się zgadzało. Kilkakrotnie zauważyłem, że podczas mojej nieobecności ktoś rusza przedmioty. Sprzątaczką? Tylko dwa razy w tygodniu. A przecież i w dniach, kiedy jej nie było... to fotel odsunięty od biurka, niedomknięte szuflady. Aha. Więc to tak!

Złość wyzwoliła dystans. Stałem obok i spojrzałem. Bezsilny, pochylony nad stołem, tylko przecząco kręciłem głową. I to przed kim? Znienawidziłem te ich prostackie twarze. Sacré Dieu! Pięść gestykującego wymachiwała mi przed nosem.

Granica, Eponge!

Strzeliłem prostym. Ugrzął miękko i tak jak ja zawisł w ciemności.

Wylaniałem się z niej niemrawo, wolno, z ostrym bólem głowy i rękami wykręconymi za oparcie krzesła. Dopiero po dobrej chwili znów jasny ogarek świecy. W żółtej poświacie tamci szwargotali ze złością, doskakując do siebie. Na stole, obok butelki kolodium, pokrwawione kawałki waty.

Urządzili mnie sukinsyny! Poruszyłem brwiami, lecz zamiast czoła — kawał sztywnej blachy. Nie było warto... Opuściłem ramiona. Słuchałem. Powtarzali dokładnie to samo, jak zegarynka. Cztery następujące po sobie czynności. Tylko cztery! Kiwnąłem głową, że się zgadzam.

Amoralne? Zaraz, zaraz. To się jeszcze okaże... Oczy w

lustrze spjrzały gniewnie, lecz wyminął je wracając do urwanej sceny.

...Place des Canons. Rozległy, oświetlony jaskrawym słońcem. Cholerne były te pierwsze kroki! Jeszcze oszołomiony od ogłuszenia, w utyłanym ubraniu, z krwawym guzem na czole. Mijały mnie zdziwione spojrzenia, ale ludzie odwracali głowę i przyspieszali kroku. Cóż mogłem? Stale jeszcze warczał silnik czekoladowego audi.

Zatrzymać się? Krzyknąć i wskazać na samochód, z którego przed chwilą wypchnięto mnie prawie siłą? Iść na komisariat? Nim wyłuszczyłbym sprawę... Żadnych złudzeń!

Za wcześniej na dystans i chłodną ocenę sytuacji. Dopiero w bocznej uliczce dopadłem taksówki i odetchnąłem z ulgą. Objeżdżałem się ostrożnie. Ani śladu audi. Jadące normalnie auta i ludzie na chodnikach, zwykli, normalni przechodnie. Eee... bajka!

W tym zatłoczonym mieście o krętych ulicach i uliczkach, zasupłanych dziwacznie, człowiek ginie jak przysłowiowa igła w stogu siana. Kto by nadażył? Że znali tyle szczegółów, ulice, którymi chodzę, rozkład mieszkania? Mogli... choćby od sprzątaczk. Pracowała w banku i znała mnie, moje zwyczaje. A wiadomo, co kryje się w jej wiecznie pochylonej głowie i unikającym ludzi wzroku?

Umyty, przebrany, ze starannie zapudrowaną blizną przejrzałem się w lustrze. Natychmiast odnalazłem dystans. Do jasnej! Najważniejsze, Eponge, że żyjesz i nikt nie widział, co się z tobą stało. Przez korytarz przemknąłem niepostrzeżenie, w windzie też nie spotkałem nikogo, no więc? Tego nie było. Eponge! Tak jak i pasażu z fotosami Alaina Delone. Chłopie, przypomnij sobie dobrze. Zapatrzyłeś się na zniszczony wybuchem sklep, ludzi uprzątających gruzy, zaśłuchałeś w

komentarz ulicy o tej nieszczęsnej, bratobójczej wojnie.

A potem? Późno... więc złapałeś taksówkę. Niezręczność szofera. Wszystko jedno, czy tego, co wiózł, czy też tego, co wyskoczył z bocznej uliczki. Wynik jeden. Zgrzyt hamulców i... dobrze ukształtowany guz na czole. Pod pudrem... fraszka! Przed tobą zwykły, normalny dzień. Zwykły, słyszysz?

Zagwizdałem wesoło. Mój drogi, teraz gdy wyjdiesz z domu, zaczniesz od dubonneta, i to podwójnego. W Crédit Libano-Alsacien trochę urzędowania. Odrobinę stęchnie, pomyślałem dotykając blizny. No a później wystawne śniadanie u prezesa Hamilkara. Będziesz błyszczał humorem, jak zwykle podkpiwał z Chiffoniera, a o szóstej wrócisz do banku, żeby przed posiedzeniem zarządu przygotować materiały. No i zobaczysz...

Nic nie zobaczysz. Wykonasz! Obtarłem spocone czoło. Gdy otwierałem drzwi na klatkę, wciśnięta w szparę kartka zatrzępotiała jak gołąb i sfrunęła pod stopy. Podniosłem. Niewprawne kulfony, mnóstwo błędów, ale sens dotykał jak pistolet. Numer taksówki, trasa z Place des Canons do domu i przypomnienie. Spotkanie, telefon... wyrok śmierci. Wykonasz, powtórzyłem i bezwolnie opuściłem ramiona.

Eponge znów spojrział w lustro. Mimo napięcia twarz tchnęła energią. Mrugnął porozumiewawczo. Ostatecznie masz prawo mieć to wszystko w dupie. Za życie nie zapłaci nawet najbogatszy bank świata. A cóż dopiero Crédit Alsacien. Masz przed sobą dobre naście lat, chłopie. Całe beczki trunku i tłumy zgrabnych dziewczuszek. Cóż może być ważniejszego? Machnął ręką.

Może... te nudne typy z zarządu banku w Strasburgu? Dlaczego nie przyjechali tu, gdzie śmierdzi prochem? Marzą im się

samodzielne placówki w Londynie, Luksemburgu, w Szwajcarii. Tam nikt nie patrzy na palce i zbija się grubą forszę. A później? Można już urzędować spokojnie, w aureoli przydzielonych sobie wzajemnie medali. Słodkie, jedwabne życie wśród unizonych ukłonów roboczej publiczki. I te taśmy utartych sloganów! A potem: ależ to ekonomista! Szmerek wypełnionej sali. Ci z tych długich rzędów krzeseł też wyjeżdżają... ale tylko do domu urlopowego w górach lub nad morzem. Nuda tych samych twarzy, jałowych rozmów i stołkówkowych obiadów.

Właśnie. Chciałbym zobaczyć takiego z zarządu. Nawet prezesa. Ekonomista... Wydął wargi. Z nosem do sufitu, a tu... szmata na dostojnej głowie i buciór przyciskający krzyż zasługi.

Piszczalby?

Może i nie. Chyba zdobyłby się na patos słów. Po uroczystym pogrzebie mógłby zdołać zbudować pomnik na staroświeckim dziedzińcu banku. Ładnie i budująco. Głęboka zieleń kasztanów, marmurowe popiersie i złote litery: „Oddałem życie za...”. Ostatnie dwa słowa: „Crédit Alsacien”, koniecznie pod małym daszkiem. Dla ochrony przed profanującą działalnością gołębi.

Tak przemija chwala... — zaczął poważnie, ale uśmiechnął się i machnął ręką. Niech więc przemija dla innych. Dla mnie? Fakty. Żyję, więc mam jeszcze szanse i całe dwadzieścia osiem minut.

Zgasił światło i mijając hall, wszedł do swojego gabinetu.

Odblask neonu wypełniał gabinet zielonkawą poświatą. Eponge stał chwilę patrząc na ruchome cienie. Wyskakiwały na dywan i znikwały, tak jak zapalała się i gasła reklama na przeciwległym wieżowcu. W odstępach kilkunastu sekund błyskała

z parteru w górę zielona strzałka i rozjarzała napis „Dr. Joseph Nabalzi Import-Export Co.”

Eponge spojrzął na biurko, fotel, palmę pod ścianą i poły-skliwą ozdobę z wygiętych strun i kryształowych kielichów. Imitowała strojny bukiet, a przy łagodnym nawet ruchu powie-trza drgała muzyką odległego dzwonu. Ten trochę surreali-styczny dźwięk kojarzył mu się z weekendowymi wypadami do Syrii; gdy w południe zatrzymywał tam auto, to z krańców falu-jącej od słońca pustyni dochodził jękliwy szmer osuwających się ziarenek piasku.

Znak klepsydry. Wszechobecny czas. Ubywał wraz z nastą-jącą nocą, cykaniem ściennego zegara i szmerem sekundnika na przegubie dłoni. Dwadzieścia siedem, Eponge. Dwadzieścia siedem minut.

Unikając rozbłysków światła przesunął się wzdłuż ściany i stanął za kotarą.

W dole El Hamra pustoszała. Raz po raz przebiegały nią jeszcze auta, ale chodnikami snuły się już nieliczne cienie prze-chodniów. Przy krawężniku stary Arab zapalał właśnie mosięż-ną karbidówkę, a gdy zapłonęła księżycowo, powiesił ją wysoko pod pasiastym daszkiem. Ciemne, ziemiste ręce dotknęły po-midorów, a pomarszczona twarz drgnęła śpiewnym nawoływa-niem.

Eponge zawadził wzrokiem opustoszałą kawiarnię, przesko-czył jezdnię i spojrzął na parking w podcieniach wieżowca. Są! Patrzył na czarnego mercedesa Nabalziego i smukłą sylwetkę stojącego obok porsche'a.

Tak, pomyśleli o wszystkim. Gdy Hamilkar ulegnie wreszcie — a chyba tak to się skończy — i zgodzi się na wydanie kono-samentu, Nabalzi i jego sekretarz Hagen niezwłocznie pojedą do portu. Tak, wszystko się wiąże. Ta przeprowadzka

Nabulziego do willi Marty, ciężarówka i ludzie skryci za żywopłotem, wyjątkowa ruchliwość mecenasa Tukadijana i kutry przycumowane w „Rocher de Paradis”.

Taki ładunek? Gorszy niż dynamit. Dlatego najlepiej nocą. Port i przyległe ulice są jeszcze w rękach maronitów. Zresztą ten podstarzały szejk ma całą armię prywatnej obstawy. A ludzie z najbliższego otoczenia? Tu trzeba szukać początku, Eponge. Zebrać, ustawić w kolejności, tak jak utkwili w pamięci. Powiązania... Pomacał bliznę. Zobaczymy, może wyjdą.

Pierwszy Nabulzi. Gdy wychodziłem z rue d'Amérique, siedział na tarasie z Hamilkarem i tym swoim doradcą prawnym, Tukadijanem. Wirowali koło prezesa nie przepuszczając żadnej okazji przyparcia go do muru. Ale gdzie Hagen?

Albert Hagen... Od razu wyskoczyła sylwetka sekretarza Nabulziego, ściągająca wzrok płomiennoruda czupryna. Szczupły, elegancki, z tym charakterystycznym pociąganiem prawej nogi. Taneczny majstersztyk. Po takim wypadku samochodowym? Żadnego psychicznego oporu, szoku. Za kierownicą... rajdowiec.

Eponge'owi mignął zielony porsche, który nieraz mijał go na Avenue de Paris. No, może nie o milimetry, o parę centymetrów, bo ręka, wyskakując z pozdrowieniem, muskała prawie drzwiczki jego samochodu. „Hellooo! Monsieur François!” To przeciągłe i głośne „François” padało już o dobre kilkadziesiąt metrów w przodzie. Naprawdę ten człowiek jest ze stali. Potrzebuję dziś takich nerwów. Dotknął czoła.

Albert Hagen. Na pewno jest gdzieś w pobliżu, zresztą z hotelu „White Palace” ma tylko dwa krótkie odcinki ulic. Eponge podniósł wzrok na szesnaste piętro, gdzie zapalał się i gasł zielony neon. W pustych oknach biura Nabulziego fiołkowo odbijało się niebo. Jeszcze wyżej — czarny pasek nadbudówki

apartamentu. Też pusto. Zsunął się do ósmego, którego szyby odbijały jak w lustrze czerwony neon „Crédit Libano-Alsacien”. Odwrotnie. Tak jak u nas w banku — wszystko na opak. Krótki śmiech wydobył mu się z krtani na wspomnienie przywitania na lotnisku, gdy zawiany gruchnął w ramiona przerażonego Chiffoniera.

No, zdarzyło się. Lecz, mój drogi Chiffonier, twój mózg, ni-
by zawsze trzeźwy, gorszy jest od dwudziestu zawianych. Do-
prawdy. Widziałem już zidiociałych clochardów, zaślinionych
debilów z algierskiej kasby. Przynajmniej nieszkodliwi. Odra-
żający widok nagradzali uśmiechem, gdy na dłoni błysnął da-
tek czy bakszusz.

Ten człowiek?

Jego głupota jest mordercza. A już najgorsze, że nie wie o
tym. Tym razem Eponge nie poczuł nawet nienawiści. Była
poza granicą czasu.

Dwadzieścia sześć minut!

Zaciągnął szczelnie zasłony i dopiero wtedy zapalił lampę.
Wygięta nad blatem biurka rzuciła jasny krąg na rozłożone
teczki. Odsunął je bezceremonialnie i wyjął z kasy pancерnej
spory plik dokumentów. Chwilę w nich szperał, aż natrafił na
grubą, czarną obwolutę.

Kolejna czynność, Eponge.

Trzecia. Zmarszczył brwi. A to już... wyraźne współdziała-
nie. Nie zaprzeczysz.

Pierwsze dwie... ujdą. Otwarcie okna w sali konferencyjnej?
Normalne wietrzenie sali przed zebraniem. Wcześniejsze od-
prawienie strażnika? Ludzki odruch. Teraz, podczas rozru-
chów, gdy Nagib przemierza pół miasta, żeby dobrnąć do swo-
jej Aiszy? Szlachetne nawet, a gdy to już się wydarzy... tylko
złośliwy zbieg okoliczności.

No ale wyjęcie z kasy pancерnej i przygotowanie tego

dokumentu? To jeszcze zależy, jak go przygotuję. Zacisnął usta i rozejrzał się po gabinecie.

Ruchome cienie rozpały wyobraźnię. Mignęły mu oczy tamtych dwóch drabów w żółtym odbłasku świecy. Prostackie twarze wywoływały chęć oporu. Szczególnie jedna, tego, co machał mu pięścią przed nosem. Ziejąca arakiem, wągrowata, o grubych, murzyńskich wargach.

To poderwało mnie do prostego. Pomacał czoło. Wynik? I tak musiałem ulec, ale nie twarzom. Spojrzeniom. W tych świecących nieludzką nienawiścią galkach ocznych odbijały się okaleczone bestialsko ludzkie ciała. „L'Orient Le Jour” naszpikowana była listami ofiar, które znajdowano w bagażnikach opuszczonych aut. Okrutni wykonawcy! A twarze tych, co kazali?

Myśl o tym powracała w ciągu dnia dziesiątki razy, przyciągała jak magnes. Tych dwóch drabów mówiło o potężnej, wszechmocnej organizacji. Falanga? Front Obrońców Cedrów, Bractwo Muzułmańskie? Naserowcy?

Zbyt długo był w Bejrucie i znał trochę te sprawy. Podczas rozruchów nie schodziły z ust jego klientów. Przecież płonęły ich sklepy, magazyny, domy, tracili rodzinę, i krewnych, a nie-raz całe majątki. Ich skargi nie mogły być fałszem.

Te wszystkie wielkie frakcje same sprowadzały broń, przez wypróbowane kanały. Kupowali w Europie, Iranie, Turcji, od własnej skorumpowanej armii, i szmuglowali przez izraelską granicę. Oni nie potrzebowali pośrednictwa banków. Handlarze bronią... tak! Cicho i niepostrzeżenie rosły ich fortuny. Miliony.

Wtedy uparcie powracał myślą do Nabulziego. Z początku z zawodowego zainteresowania. Przecież na wiosnę jeździł w jego sprawie do Sydonu, widział obroty na kontach, czeki,

które Nabalzi składał przez Alberta Hageny do realizacji i zamiany na dolary.

Tak, ten człowiek zbijał majątek konsekwentnie i uparcie. I spieszył się. Gdy nie wypalił interes z rybacką spółką w Sydonie, rozdmuchał aferę „Rocher de Paradis”. Krzyżące nagłówki gazet i kurs akcji rosnący z godziny na godzinę. A później?

To zaczęło się w maju.

Pośrednicy. Zgraja prawie jednakowych ludzi. W takich samych, trochę znoszonych ubraniach, słomkowych kapeluszach i przydymionych okularach.” Eponge rozpoznawał ich po łaszących się, dyskretnych szeptach, ugrzecznionych ukłonach i chytrych błyskach oczu zza mgiełki okularów.

Nabalzi sprzedawał.

To z zasady odbywało się w gabinecie dyrektora Chiffoniera. Wszystko. Place w Sydonie i Trypolisie, domy i wille w Bejrucie, nawet zastawy hipoteczne. Tanio.

Lecz w końcu czerwca, kiedy na ulice wyjechały czołgi, a nocna strzelanina coraz bardziej podchodziła pod śródmieście, te wszystkie nieruchomości warte już były tylko jedną trzecią.

Ale ma nosa ten podstarzały książe, mrucał do siebie Eponge podpisując przelewy milionowych sum na konta Nabalziego w Szwajcarii, Londynie, a nawet w dalekim Buenos Aires. Jasne, że stąd pryśnie, i doskonale rozumiem tę gwałtowną miłość do naszego banku i dyrektora Chiffoniera. Świeża placówka, jeszcze niepowiązana z rynkiem, to najlepsza gwarancja dyskrecji.

Eponge znów odruchowo pomacał obolałe czoło. Powiązania... Jedno mam! Nabalzi nie zawaha się przed niczym, żeby zdobyć ten konosament. Może to jego ostatni interes?

Pochylił się nad biurkiem i przejechał dłonią po czarnej obwolucie. Żalobna ta czerń, pomyślał. Teraz kolej na ciebie, Chiffonier. Wyciągnął kopię nieszczęsnej akredytywy. Twoja inicjatywa. Od początku do końca. I zaraz mignęła mu scena sprzed dwóch tygodni, kiedy to Chiffonier ze zwycięską miną wezwał go do gabinetu.

No i widzi pan, Eponge! — Podsunął mu czek na całe trzy miliony dolarów. — Widzisz pan! — powtórzył z nadętą miną. — A są tacy, powtarzam, są tacy, co za moimi plecami rozsiewają plotki o służbowych pieniądzach, za które sprowadzam sobie przyjaciółki ze Strasburga. — Strzelił zabójczo oczami, poderwał się i ciągnął dalej uroczyście: — Bankowość, kolego Eponge {to „kolego” obudziło moją czujność} to sztuka, a po-wiem nawet: talent! Znajomość przepisów, operacji, owszem, potrzebna dla szeregowych pracowników (zaciśnięte usta, żeby nie parsknąć śmiechem). Historyczna chwila, panie Eponge (Sacré Dieu, gdyby ktoś zdrowo dał mu po pysku, to, opuchnięty, wyglądałby właśnie tak jak teraz przy tych nadętych słowach). Zapewniam — ciągnął dalej. — Zaklinam na najbliższą rodzinę. — Uderzył się w pierś. — Dziś należy do nas bank, a jutro cały tutejszy rynek — dokończył z emfazą.

Stara piosenka, Chiffonier. „Heute gehört uns Deutschland, und Morgen die ganze Welt!” Wyły ją brunatne hordy jako krwawy przebój ostatniej wojny. Może ty też ją nuciłeś? W Alzacji bywało różnie. W każdym razie, pomyślałem, jeśli ty to wszystko, załatwiłeś osobiście, to już z daleka śmierdzi Stalin-gradem. Ja wolę swoją *Marsylianę* z zawsze aktualnymi, „Contre nous de la tyrannie!”

Eponge poprawił się w fotelu. Przeczuwałem. Mignęły mu w pamięci dalsze sceny. Piskliwe krzyki dochodzące z gabinetu

Hamilkara i podniesiony głos prezesa: „Pan to musi odwołać, Chiffonier! Co? I to w dodatku potwierdzona? Bez mojej wiedzy? Jeszcze raz powtarzam, żadnego handlu bronią! Nigdy nie wydam konosamentu! Nigdy! A te trzy miliony zwróci pan z własnej kieszeni!” Chiffonier wylatywał z gabinetu jak z młyna. Zmiętoszony i błady jak kreda.

Za oknem znów błysnął neon i ciemna tarcza zegara na ścianie rozjaśniła się na, zielono. Eponge spojrzął i pomyślał: powiązania... dopiero z zagęszczonego czasu wylaniają się przeraźliwie jasno. Dwadzieścia pięć. Tylko dwadzieścia pięć minut!

Jednak w nerwowym oczekiwaniu to całe wieki. Trochę rozluźnić się, potem sprzążyć i jednym skokiem. Może i dojdę?

Sięgnął do szuflady, gdzie zazwyczaj trzymał koniak, nalał do kieliszka, wychylił. Jeszcze z mocnym smakiem alkoholu zaciągnął się głęboko papierosem i wypuścił potężną chmurę dymu. Przemknęła przez krąg lampy i dotknęła sztucznego bukietu. Odległy jęk dzwonu zmieszał się z piskiem opon auta pędzącego El Hamrą. Cisza. Pojedyncze kroki zapóźnionego przechodnia i śpiewny, choć zmęczony nawoływaniem, głos handlarza pomidorów.

Koniak rozlał się ciepło w żołądku. Który to już, były sierżancie? Niedbale strzelił palcami. Mam jeszcze luz, przecież u Hamilkara, choć z trudem, ale oszczędzałem się. Znowu sięgnął po butelkę i już nie nalewając do kieliszka pociągnął zdrowo.

A teraz, mój drogi — przetarł dłonią usta — co robiłeś przed patrolem? Rassemblement! — cisnął na głos w zielonkawy półmrok. Zbiórka, jak w wojsku. Mignął mu słoneczny fort w Algierii, gdy spod sierżanckiego kepi patrzył na idealnie wyrównane trójki. Twarze? Na pamięć, jak pacierz.

Z prawej wysoki brodacz, strzelec erkaemu. W jego rękach brenn śmigał jak piórko. Nigdy się nic nie zacinało, a gdy w skoku spadał na stanowisko, w zasięgu stu metrów nie było lepszego.

Amunicyjni? Bliźnięta po obu stronach strzelca. Szczerzyli zęby do tryskających fontann piasku, a magazynki pod sam nos, jak żarcie w restauracji. A strzelec wyborowy? Chudzielec o rękach pianisty. Słońce ostro oświetlało bruzdy twarzy. Śmieje się? Czy może chytrze szuka celu? To samo zwykli fantassins... Piechurzy, ale jacy? Na nieznaczny gest ręki rozsypywali się bez szelestu i jak myśliwskie psy tropili po zaroślach.

Piękna prostota służby i ludzi! Słabostki? Mieli. Grali w karty, upijali się, pięściami dochodzili swoich racji, ale na patrolu — bezbłądnie. Wiadomo, że w danej chwili ten robi to, tamten tamto, a trzeci, piąty i inni będą w tym miejscu, gdzie potrzeba. Umiałem czytać w twarzach. I umiem po dziś dzień.

Oparł się wygodnie w fotelu i przymknął oczy. Zbiórka, szepnął w rozjarzający się, barwny obraz. Wszyscy tam byli... u Hamilkara. Wszyscy. Czuł, jak zanika gabinet, a czas cofa się do rozpalonej słońcem rue d'Amérique.

Lunch z okazji rocznicy ślubu Hamilkarów dobiegał półmetka. Po powitaniach, życzeniach i wstępnych drinkach w hallu goście przeszli na taras do zastawionego suto stołu. Szmer rozmów, szcęk nakryć, uśmiechy i toasty. Potok ziarnistego jak pieprz irańskiego kawioru, perłowych krewetek, amarantów langusty i lososia wśród bukietów karczochów, papryk bordo i czerwonych pomidorów. Później zapachniały pikantne sosy i parujące libańskie dania. Kikaybet, kebby, labanye,

kurczęta pieczone na rozżarzonych węglach i soczyste steki baranie pośród śnieżnobiałych pagórków posypanego cynamonem ryżu.

Dwóch kelnerów, sprowadzonych specjalnie z „Vendôme”, milczących i pełnych godności, poruszało się bezszelestnie wokół stołu. Rosyjska wódka, szkocka whisky, libański arak mieniły się kryształowo obok kolorowych francuskich win i wysokich szklanek musującej sahat.

Eponge nie pił. Żeby nie zwracać uwagi, od czasu do czasu podnosił kieliszek, ale zaraz zmieniał go zręcznie na oszronioną szklankę wody mineralnej. Chłód. Przeczekać moment przesilenia i zajrzeć w rozluźnione sytością twarze.

Znał wszystkie, ale dziś nie ufał żadnej. Obserwował bacznie i chwycił nawet drobne szczegóły, krótką wymianę spojrzeń i półsłówka, których treść odgadywał ze złożonych do szeptu ust. Jestem tu od roku, myślał, ale ten kraj i ludzie? Trudny alfabet, tak jak to ich pismo. Pozornie serce na dłoni, ale w oczach piekło wszystkich możliwych podstępów i okrucieństw. Wcisnął stopy w dywan, jakby szykując się do skoku. Ale rozgryzę ich... Rozgryzę!

Mgnienie, a natrętne sceny płonęły jak w kadrze kolorowego filmu. Pasaż przed kinem, czekoladowe audi, brutalne twarze, ślepiące słońce na Place des Canons i biała koperta potwierdzająca cztery bezwzględne nakazy.

To powtarzało się, jak kwadransy wydzwaniane na zegarze w hallu. Wbili mi pod czaszkę, myślał dotykając dyskretnie wciąż jeszcze opuchniętej blizny. Wbili... tę bezsilną, miazdzącą podejrzliwość.

I znów scena, jak szedł przez miasto z zenującym, mętным uczuciem, że ktoś go śledzi.

Nawet już przed rezydencją Hamilkara, na cichej i spokojnej

rue d'Amérique, człowiek, który wyszedł z bramy, wzbudził jego podejrzenie. Ulica była pusta, tylko pod płóciennym daszkiem drzemał dozorca parkingu. Eponge minął go i właśnie wtedy z pobliskiego domu wysunął się jak cień zgarbiony mężczyzna. W szarym kapeluszu, popielatym ubraniu i zamazanej cieniem twarzy. Przez moment zawahał się, jakby chciał się cofnąć, a potem ruszył wolno przed siebie. Zaskrzypiały oddalające się kroki. Skrzyp i znów skrzyp, jak w wahadłowym ruchu zardzewiałych zawiasów.

Eponge stanął.

Człowiek zszedł na jezdnię i na chwilę jego twarz rozbłysła w słońcu. Szara, papierowa, ze zmęczonym, zaczerwienionym spojrzeniem. Ulga! Rozpoznał go. To ten prawie codzienny gość kawiarni na El Hamra, gdzie Eponge zawsze przed dzieśnią wypijał swój aperitif.

Rozgryzę was. Przejechał wzrokiem po twarzach nachylnych nad stołem. Jeszcze trochę. Natężył słuch, łowiąc gwar rozmów i szezęk talerzy. W tym mieście... wy bogaci i szatańsko chytry najważniejsze zostawiacie na koniec.

Mignęły mu sceny z tych wszystkich lunchów, cocktail-parties czy bankietów, w których uczestniczył z racji swoich bankowych funkcji. Międzynarodowy stereotyp, ale przecież... Właśnie! Nie dla tego, kto potrafił patrzeć, no i miał muzyczny słuch.

W Strasburgu czy Paryżu symfonia nastrojów osiągała swój szczyt w połowie wznoszonych toastów, wtedy dobijano półgłosem najlepsze interesy. Później humanizm podgrzany winem. Literatura, teatr, sztuka i aksamitne spojrzenia na okrągłości dam.

Krzykliwy Rzym bądź Mediolan załatwiał interesy jeszcze w hallu, a później, już bez napięcia, pogrążał się w smakowaniu,

rzeźbie, muzyce, problemach społecznych i stałym spadku lira. Londyn nużył monotonią, Frankfurt — cyframi i kalkulacją. Tam biznes trwał cały czas, aż do wyjścia z gmachu.

Muzyczny słuch nie myli, pomyślał z uśmiechem Eponge. Bejrucka symfonia? Odgłosy tego kraju. Ale leitmotiv zawsze jeden. Powitania, życzenia... szmerek słonecznej plaży. Rozmowy przy stole, na stronie... muzyka morza przed wieczorną bryzą. Dyskusje polityczne? Przeważnie przed końcem, ale to już huragan w konarach potężnych cedrów. Świst wiatru w ruinach Baalbeku, Tyru i Byblos, odwiecznych jak fenicka prawda. Złoto!

Było wszędzie, w bankach, kantorach, na wystawach sklepów i w luksusowych rezydencjach. Mieniło się w brokatowych zasłonach, świeciło ramami obrazów, luster, błyszczało w oliwkowych dekoltach kobiet, na ich wypielęgnowanych palcach. Płonęło pod cienką tkaniną koszul, w krzyżach zawieszonych na piersi.

Początek lunchu? Przegląd sił.

Stał w cieniu kotary, ukrywając szpecącą bliznę. Pojaśniało! Wszedł szejek Nabulzi w białym, mieniącym się tropiku. Lekko licząc — trzydzieści milionów dolarów. Obok Marta, jego siostra. Szmer paryskiego jedwabiu, zapach jaśminu, parę diamentowych cacek i kłująca w oczy kobiecość. Już tylko odbłask fortuny brata, ale zawsze... około miliona, a może i więcej.

Szmer słów, przerwa i zaraz defilada. Acra Meknes, potentat miejscowej reklamy — dziesięć. Elias Salam, były minister, członek zarządu Crédit Libano-Alsacien — cztery. Eli Assa, największe biuro podróży — pięć. Szef tajnej policji, Emil Butros. Majątek? Wielki znak zapytania, ale wszechwładny w mieście, w porcie, na lotnisku.

Na trybunie? Może nie dosłownie na trybunie, ale przy

wejściu, koło stolika na prezenty, na tle ściany odurzających zapachem kwiatów cała rodzina Hamilkarów. Gubrain, głowa rodu, prezes Crédit Libano-Alsacien. Średniego wzrostu, o delikatnej, inteligentnej twarzy. Obok Zaza, żona, z powodzeniem rywalizująca urodą z Martą Nabulzi, ale przewyższa ją intelektualnie. Po lewej Lubnan Hamilkar, młodszy brat prezesa. Wysoki, o pociągającej urodzie, bliski przyjaciel Eponge'a. Majątek jeszcze wspólny. Ale jest co dzielić! Posiadłości w Libanie, Ghanie, Londynie i Paryżu. Razem — w granicach sześćdziesięciu.

To tylko drobna część maronickiej elity. Większość potentatów już przed wieloma tygodniami przeniosła się do Junié albo niedostępnych górskich rezydencji w Beharré. Jeszcze inni usadowili się w Europie czy Ameryce. Tak! Majątek umiędzynaradawia i zaciera granice, zwłaszcza gdy podnoszą głowę, co go nie mają.

Posiadanie? Owszem, potęga, lecz w dzisiejszych czasach i kłopot. Eponge uśmiechnął się dyskretnie, wspominając niedawny powrót Hamilkar a z podróży zagranicznej. Prezes wrócił więcej niż pochmurny. W Londynie od irlandzkiej bomby wyleciały szyby w hotelu, w którym mieszkał. W Mediolanie spłonął pasaż, gdzie zazwyczaj kupował jubilerskie cacka. A tu? Samochód, którym wracał z lotniska, wpadł na muzułmańską minę. Szczęście, że skończyło się na uszkodzeniu kardana, ale powrót z żalobnym grzechotem mechanizmu nie nastrojał wesoło.

Tak, posiadanie. Eponge znał wartość pieniądza. Uwijał się przecież wśród tych gór złota i kapitałów, no i obcował z posiadaczami. Ale niestety bardzo rzadko można było postawić znak równania między astronomiczną liczbą zer a poziomem wykorzystania uroków życia.

Wszedł Chiffonier. Uosobienie kłęski. Mimo że tym razem dyrektor Credit Libano-Alsacien był ubrany bez zarzutu, to pochylone plecy przypominały dobrze wyrośnięty bochenek chleba, a twarz — galaretowatą masę. Podpuchnięte z bezsensowności oczy. Tępy, bezmyślny uśmiech. Zwisające wzdłuż ciała dłonie zaciskały się i rozwierały nerwowo, jakby upuszczał na ziemię jakieś przedmioty.

Do diabła, pomyślał Eponge w nagłym przypływie lęku. W tym stanie ten wariat gotów jest na wszystko! No ale skoro tak... zastanowił się dotykając kieszeni marynarki. Logiczne. To draństwo od niego się zaczęło i na nim skończy.

Westchnął głęboko i nagle sprężył się wojskowo, jak kiedyś, gdy dotykał uspokajającego chłodu broni. Z ulgą poczuł ją teraz na piersi. Szczęciostrzałowe belgijskie cacko, przylegające do ciała jak portfel.

Bejrut, dwudziesty drugi września, trzecia po południu. Taras w rezydencji Hamilkarów.

Oczywiście... tak jak wadzisz. Najpierw staroświeckie srebra, minimalna część posagu Zazy, ale uzasadniona duma. Wzmagająca tę dumę porcelana sewrska, kryształowe karafki i złożone przystawki na sosy i przyprawy. Biały obrus rzucający odświętny refleks na pochylone twarze, a w górze markiza. Pasiasta, z miękkiej materii, rozpostarta nad tarasem oddychała jak namiot w powiewach wiatru. Za marmurową balustradą, ujęta w wierzchołki palm, rozległa panorama miasta.

Przypominała stopnie gigantycznych schodów. Mauretańskie domki z ogródkami, uśpione jeszcze południową sjęstą, prostokątne, nowoczesne rezydencje i ściana lśniących szkłem i aluminium wieżowców. Odległa wstęga El Hamry peźła jak cętkowany wąż setkami stłoczonych samochodów. Pył spalin i

ceglastego kurzu burą czapą przesłaniał niebo, które tylko na wschodzie, nad pasmem parków przepoławiających miasto, lśniło czystym błękitem.

Eponge przejechał wzrokiem po odległych wieżowcach i wychwyił prostokąt piaskowej elewacji. Tam na ósmym piętrze mieścił się Crédit Libano-Alsacien. Zaciął usta i spojrzął na zachód.

Za półkolistą wstążką autostrady morze wyglądało jak mieniący się popielaty jedwab. Nad horyzontem utknęła nieruchomo ciemna linia chmur. Czarne na dole podnosiły się buro i rozpalaly złotą nitką na postrzępionych krawędziach. Nad nimi jasny błam nieba drażył pocisk oddalającego się samolotu.

Chyba Paryż? Spojrzął na zegarek. Pięć po trzeciej. W Orly — parę minut przed szóstą. Właśnie! Elegancka publiczność wysypie się do oświetlonego, kolorowego od kwiatów hallu. Powitania, uściski, pocałunki, a później pachnący jesienią paryski wieczór. O tej godzinie będę szedł El Hamrą do Crédit Libano-Alsacien. Następnie... Zmarszczył brwi, myśl urwała się nagle.

Dwa głuche wybuchy targnęły powietrzem i zadzwoniły w kieliszkach i szklankach. Wszyscy zamarli w półgęście, ucichły rozmowy. Powiew wiatru załopotał pasiastym płótnem i przyniósł suchy trzask брони maszynowej i huk pojedynczych wystrzałów. Nad pasmem zieleni zapalił się i rozbłysł szeroki łuk rakiety.

Cisza.

Czarne jak heban włosy Zazy musnęły policzek Hamilkara. Siedzieli za stołem blisko siebie, wśród kwiatów i stosu depez, które smagłolicy boy przynosił im na tacy. Siódma rocznica ślubu.

Eponge spojrzął na olbrzymi tort, który przedwczoraj zamawiał w „Vendôme”, i na pobladłą twarz żony Hamilkara.

— Gubrain, Achrafieh? — szepnęła.

— Tak, w każdym razie koło palestyńskiego obozu El Zatar. To daleko, Zaza. — Dotknął uspokajająco jej dłoni.

— Z każdym dniem coraz bliżej — z płonącym spojrzeniem wtrącił Nabalzi. — I niech teraz ktoś coś złego powie o handlu bronią. Przecież nasza policja i armia są bezsilne... — dodał zaczepnie, patrząc na prezesa.

Milczenie.

Odległy grzmot przetoczył się nad morzem, dobiegł do tarasu i wygładził zasepione twarze. Jesienne popołudniowe burze przeciągały nad Bejrutem szybko, a działały odświeżająco jak olbrzymia polewaczka. Wieczorem po takiej burzy miasto i zieleń błyszczały niczym pociągnięte lakierem, a niebo odzyskiwało granatową głębię.

Odprężenie. Zaskrzypiały fotele i znów szczęknęły nakrycia i kieliszki. Tylko Tukadijan chrząknął i z podniesionym do góry widelcem wrócił do słów Nabalziego:

— Nasza policja? Armia? Śmiechu warte. Przecież prócz oficerów to sami muzułmanie. Ufać? Komu? My — dotknął sygnetem kolorowego krawatu — my maronicy musimy sami się bronić!

Chiffonier, który jakby drzemał nad talerzem wystygłego jedzenia, drgnął, przetarł opuchnięte powieki i zabelkotał niewyraźnie:

— Jasne! Oczywiście, oczywiście. Trzeba wam broni, panowie... Trzeba!

Hamilkar podniósł głowę, ale uśmiechnął się tylko. Przyzwyczał się do tych aluzji. Sprawa nieszczęsnej akredytywy i siedmiu statków czekających na redzie wałkowała się już od tygodnia, a właśnie dziś miała się zakończyć na wieczornym zebraniu zarządu Crédit Libano-Alsacien. Atakują we trójkę,

bo zostało tylko cztery godziny. Musnął wzrokiem zegarek. Liczą może na mój odświętny nastrój?

Tak był zżyty z nieodwołalnością swojej decyzji, że nie tracąc uśmiechu puścił uwagę mimo uszu. Wziął z tacy, podanej przez boya, ozdobny telegram, wyjął go z koperty i po chwili pochylił się do Zazy.

— Barudowie, chérie. Żałują, że nie osobiście, lecz z Junié to sześćdziesiąt kilometrów. Wracaliby nocą.

Ryzyko.

Nabulzi podniósł głowę. Oczy świeciły mu nienaturalnym blaskiem. Przejechał nimi po obecnych i znów utknął na Hamilkarze.

— No i właśnie! Jak zawsze ta muzułmańsko-palestyńska hołota. Niedługo nie będzie można ruszyć się z domu.

Prezes nie odrywał wzroku od depeszy, więc szejek obrócił się do Tukadijana, żeby wsparł go jakimś przekonującym wywodem. Lecz tym razem Ormianin zajęty był całkowicie Martą.

Jego hałaśliwa wesołość i promieniejący wygląd ściągały uwagę. Po ucieczce Baidesa i giełdowym krachu „Rocher de Paradis” był w ekskluzywnym „cercle” na wyraźnym indeksie. Unikano go, a i on, przygnębiony i pochmurny, schodził ludziom z drogi.

Dzisiejszy występ mecenasa zaskoczył wszystkich. A on sam po prostu kapał złotem. Mienił się i błyszczał, począwszy od okazałej szpilki w krawacie, spinek, grubej bransolety zegarka aż do kunsztownej klamry paska obejmującego zażywną talię. Trzęsa się ona przy każdym wybuchu śmiechu, który odsłaniał garnitur złotych zębów.

— Notre avocat... semble un coffre-fort! — Lubnan, młodszy brat Hamilkara, uśmiechnął się dyskretnie. Doprawdy... nasz mecenas jak pełny skarbiec!

Lubnan siedział koło Eponge'a, ale widząc, że ten jest

pochłonięty myślami i obserwacją, zamilkł. Ich przyjaźń dawno przekroczyła bariery konwenansu. Mimo znacznej różnicy wieku przy poufnych zwierzeniach tytułowali się braćmi.

Lubnan zauważył uśmiech, z jakim Eponge spojrzął na Tukadijana, więc skorzystał z okazji i przerwał milczenie:

— Nasz mecenas... jak pełny skarbiec — powtórzył — N'est ce pas, mon frère?

— Raczej obwieszona cackami choinka! — Eponge odwrócił się do niego. — Wydaje mi się, mój bracie — wskazał wzrokiem na wymianę aksamitnych spojrzeń Marty i mecenasa — że nad tym stołem zawisło jakieś głębokie uczucie.

— Exact! Trafne. Lecz tych mocnych uczuć jest tu Więcej, bracie. Niech pan spojrzy na naszego szejka i dyrektora Chiffoniera.

— Widzę.

— A teraz na mojego brata.

— Też widzę. Nie zmieni zdania.

— Jeszcze na czcigodne trzydzieści procent akcji Crédit Libano-Alsacien... w osobie Eliasa Salam.

— Rozumiem. Potrzebny przy głosowaniu na dzisiejszym zarządzie. Z akcjami prezesa to siedemdziesiąt pięć procent. Przytłaczająca większość. Nabalzi nie zobaczy tego konosamentu, żadnych szans!

— Exact, mon frère! — potwierdził Lubnan i przechylił się do Eponge'a. — Jest jedno „ale”... — Musnął go ciepłym oddechem.

Eponge odsunął się nieco i spojrzął uważnie na Lubnana.

— Według mnie gra jest przejrzysta.

— Tak. Wygląda prosto... dwie siły. Mój brat Gubrain i Salam bronią interesu banku. Pan chyba wie, François? Gdyby muzułmanie zwęszyli handelek bronią, paczka trotylu i Crédit

Libano-Alsacien nie istnieje. Druga siła to Nabulzi... Wytrawny gracz, nie stawia na jedną kartę.

— Może i tak. — Eponge dotknął odruchowo blizny.

Znów mignął mu w myśli czekoladowy audi. — No, przecież szejk Nabulzi to najwyższa arystokracja.

Lubnan przysunął się jeszcze bliżej.

— Sorry, mon frère — szepnął matowo. Gdy był zdenerwowany, wtrącał angielskie słowa. — Sorry, brother. To właśnie jest najgorsze. Pan nie wie, jak taka arystokracja dochodzi do majątku czy władzy. Najlepiej w kościele. Cisza, spokój, przeciwnicy tracą czujność. I właśnie podczas podniesienia bezbłędnie trzaskają pistolety maszynowe. Zniszczona konkurencja i zapewnione wyniki wyborów. Parę groszy dla prasy, a za dwie godziny roztrąbi, że to muzułmanie. Podwójna korzyść!

— Rozumiem.

Eponge przypomniał sobie pogłoski krążące o ostatnich prezydenckich wyborach i rządowej klice.

— No dobrze. I prezes nie boi się dzisiejszego zebrania zarządu? Przecież...

Przysunął się do Lubnana z gwałtownym przyływem chęci powiedzenia wszystkiego.

— Przecież ja... muszę! — Nabrał oddechu, ale nie dokończył.

Twarz Lubnana pociemniała, a długa, wąska dłoń podniosła się z nakazem milczenia. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Zapadająca noc objęła stół, ludzi, nawet słoneczną jeszcze panoramę miasta. Na tle nadciągających od morza chmur świeciły tylko ogromne oczy. Widział w nich własne odbicie, kształt niedopowiedzianych słów i gdzieś z tyłu małą jak szpilka sylwetkę boya przecinającego taras. Dalej... zupełny mrok i myśl, która oślepiła go jak błyskawica. Wie wszystko... Wie!

Przetoczył się grzmot, odbił od ściany wieżowców i zahuczał na tarasie. On mówi... Przyłgął do poruszających się ust. Powtarza.

— Słucha mnie pan, François? — Było to chyba powiedziane trzeci raz. — Jest jeszcze jedna siła... decydująca!

— Przecież ja wiem! — wykrzyknął, ale dłoń Lubnana znów powtórzyła zakaz.

— Tst... obserwują nas. To większa gra, niż się panu wydaje, mon frère. Niech pan spojrzy na mojego brata — dodał tak cicho, że Eponge poczuł tylko ciepło oddechu, ale odruchowo spojrzął na Hamilkara.

Prezes wyciągnął właśnie rękę do tacy podsuwanej przez boya. Chwilę szukał po omacku, bo odwrócony był do Zazy wspartej o jego ramię. Wymieniali uśmiech tak szczery i promienny, że chyba nawiązywał do pierwszych miesięcy ich współżycia. Uchwycił wreszcie kopertę, przebiegł ją wzrokiem i cofnął palce, które naddarły już brzег. Podniósł głowę i podał kopertę Nabulziemiu.

— Do pana, szejku.

— Doprawdy?

Nabulzi otarł pospiesznie ręce i rozłożył telegram. Bładość jego twarzy była tak nagła, jak błyskawica, która właśnie przecięła niebo. Bładość pozostała, choć grzmot dawno przetoczył się nad miastem. Znów błysk i zaraz grube, złote od słońca krople deszczu. Goście patrzyli na panoramę miasta. Nierealne, jaskrawo-popielate oświetlenie. Nadmorskie hotele nie były już widoczne, a przed ścianą rześistej ulewy wiatr gnał tumany ceglatego pyłu.

Eponge widział to tylko kątem oka, bo całkowicie pochłonięła go twarz Nabulziego. Ciągłe śmiertelnie blada zmalała, skuliła się, a usta rozchyliły bezradnie. Oczy przygasły.

Eponge spojrział na Lubnana. Zwrócony do Nabulziego siedział nieruchomo, ale jego wzrok omijał szejka. Patrzył na Zazę i Hamilkara. Łagodne, oliwkowe ciepło twarzy. „C'est la tribu... mocne więzy krwi...” – przypomniał sobie słowa, które utkwiły mu w pamięci jak widok rezerwatu cedrów.

Wybrali się tam kiedyś we dwójkę, nocą, żeby obserwować świt. Minęli Bcharré pod prawie idealnym czarnym niebem, a później pięli się wąską drogą, wśród drzew obwieszonych gwiazdami. Zaparkowali przed rezerwatem i minawszy bramę, szli w srebrzystym mroku i ciężkim zapachu olbrzymich iglastych gałęzi. Nagle gwiazdy zgasły, a mrok zsunął się z nieba i zamienił w niebotyczne trójkątne bryły.

– Piramidy! – wykrzyknął Eponge.

– Starsze od piramid. – Lubnan dotknął jego ramienia. – Niech pan uważa, François!

Właśnie zapłonęły wierzchołki drzew. Szkarłatne złoto zsuwało się na gałęzie, konary, rozwidlenia, grube, żyłaste jak ręce olbrzymów. Lubnan stał milcząc, w białym burnusie, jeszcze bardziej wysoki i smukły, a oliwkowa twarz wylaniała się z mroku pomnikowo. Jej profil przypominał rzeźby Baalbeku, wygładzone wiatrem i piaskiem pustyni.

– Trwają, monsieur François. Jak więzy pokoleń.

Teraz twarz Lubnana przypominała tamtą, z cedrów. Eponge poczuł nagłą błahość rzeczywistości i dotykając jego ręki zaczął prawie niefrasobliwie, jakby to, co ma powiedzieć, było już tylko historią:

– Mon frère... Naprawdę posłuchaj mnie! Przecież...

Ściana deszczu bluznęła o balustradę. Tysiące dużych kropeł spadło na twarze siedzących. Szuranie foteli, kroków, krzątania służby, która pospiesznie sprzątała ze stołu.

Znów nic nie powiedział.

Patrzył na Nabulziego, który tkwił za stołem z twarzą ociekającą deszczem. Dopiero po dobrej chwili podniósł się ciężko i rzucił półgłosem do opustoszałego tarasu:

— Muszę... Koniecznie! Ale wrócę na pewno. Na pewno. — Niepewnym krokiem przeciął salon i znikł w korytarzu.

Popijali w salonie kawę, gdy niespodziewanie zgasło światło. Burza przesilała się, ale nisko pędzące chmury przytłaczały jeszcze miasto mrokiem. Eponge spojrział przez okno na opustoszałe ulice i wygaszone sylwetki biurowców. Sterczały nad El Hamrą jak smutne, samotne cyprysy.

Znów awaria prądu. Pomyślał o zapasach w lodówce. Psuły się. Częste przerwy w dostawie elektryczności i wilgotna duchota jesiennych upałów robiły swoje. No cóż? Pochylił głowę. Niedługo zostaną tylko same konserwy. Namacał filiżankę i pociągnął łyk mocnej, arabskiej kawy.

W ciszy, która zapadła, żarzyły się punkciki cygar i papierosów. Tu i tam zatrzeszczał fotel. Wszyscy w milczeniu czekali na wniesienie światła. „Eponge znów spojrział w okno. W rozlane szeroko kałuże rue d'Amérique wpadła kolumna wojskowych aut. Z rykiem silników i fontannami wody mignęły lufy pistoletów maszynowych, brązowe hełmy i białe zęby śmiejących się żołnierzy.

Eponge ironicznie wykrzywił usta. Zbiorowa odwaga! Raczej euforia. Każdy zgrywa się i chce być lepszy od tego drugiego, bo wierzy święcie, że właśnie on, nietknięty, będzie oglądał ciała poległych. Stary kawał, a może... reguła wojennych rzezi.

Odwaga? Wyprostował się. Właściwie wyrachowanie. Opanowanie strachu i poszukiwanie tej jednej, niezawodnej szansy. Tak to pojmowałeś w Algierii, Eponge? Taaak... Tylko że tam był teren. Pagórki, występy skalne, porośnięte trawą wydmy. Czytałeś jak w abecadle. I granica! Za nią był wróg.

A tu? Tu jest salon, Eponge. Salon pogrążony w mroku. Zapach kwiatów, perfum, najlepszego tytoniu i... cisza. Niezupełnie. Przecież jest też finezyjna muzyka oddechów, ruchów, myśli. Instynkt! Czujesz to „coś” tak związane z dzisiejszym dniem i wieczorem.

Dochodzi chyba czwarta? Nagle myśl utknęła. Szept! Słuch wytrenowany podczas patrolów, gdy drgnęły liście, trzasnęła gałązka. Tak. Przebił mrok, oddechy i wyraźnie wdarł się w ucho:

— Wytrzymaj... na Boga! Tylko trzy godziny.

Ostrożnie obrócił głowę. W błysku, który oświetlił okno, dostrzegł samotny profil mecenasa Tukadijana. Monolog? Czyżby aż tak go wzięło?

Właśnie potentat miejscowej reklamy, Acra Meknesr kończył historyjkę, która ubawiła wszystkich. Rok temu był w Stanach i widział na własne oczy, jak nowo założony bank rolny w Green Bay ściągnął klientelę.

Za szybą wystawy słoneczniał idylliczny krajobraz — niebo, pagórki, doliny. Muzyka fletów oddalała kakofoniczny zgiełk ulicy, a później, z dźwiękiem srebrnych dzwonek, spacerowały undulowane barany szczypiąc oryginalną, soczystą trawę. Neonowe słońce mrugało jaskrawym napisem: „Przyjaciele farmerzy! Skoro tym zwykłym zwierzętom tak jest dobrze w naszym banku, to możecie sobie wyobrazić, jak dobrze tu będzie waszym oszczędnościom.”

Wywołało to ogólną wesołość, lecz Eponge przeraził się nie na żarty. Siedzący obok Tukadijan jęknął i chwycił się za serce. W ułamku sekundy zmałał, spopielał. Widocznie wspomnienie

„Rocher de Paradis” było jeszcze zbyt bolesne.

Czyżby aż tak go to wzięło? Przecież później wybrnął. Eponge przechylił się przez poręcz i nasłuchiwał uważnie.

— Opanuj się, Tuka! Masz ten dokument?

W półmroku, za profilem, błysnął krzyżyk i zapachniało jaśminem.

— W kieszeni. Trzy egzemplarze. Tylko podpis... — wymamrotał mecenas.

— Podpisze!

W nerwowy oddech Tukadijana wplótł się szum auta jadącego ulicą. Jak na złość była to chyba ciężarówka, bo warkot silnika zadzwonił o szyby. Eponge zamarł i zamienił się w słuch. Szept z boku był żarliwy, ale uchwycił tylko strzępy słów:

— Melodia, Tuka! Jak wróci... koniecznie. Masz kasetę?

Na korytarzu zadźwięczały kroki i Eponge odchylił się w stronę okna. Dopiero po dobrej chwili zobaczył Martę Nabalzi. Siedziała obok Tukadijana. W trochę uroczystym blasku świec uśmiechała się zagadkowo i bawiła krzyżykiem wysuniętym z dekoltu. Na moment jej spojrzenie przylgnęło do twarzy Eponge'a, lecz zaraz obróciła się w stronę Hamilkarów.

Siedzieli na tle ściany kwiatów, a obok półkolem Salam, Butros, Acra Meknes i kredowa twarz dyrektora Chiffoniera. Gdy odgłos wybuchu zadzwonił o szyby, ten ostatni schylił się i nerwowo miętosił serwetkę.

— Achrafieh, Zaza. Daleko! — uspokajał ją Hamilkar. — Podobno będzie rozejm. Rozmawiają w Baabda i w Serail.

Ostatnie słowa zelektryzowały wszystkich. Spojrzeli na Butrosa. Szef tajnej policji potrafił powiedzieć więcej niż codzienna prasa. Obcinał właśnie cygaro i widząc, że jest obiektem

uwagi, uśmiechnął się zagadkowo.

— Rozejm? — Zapalił i wyskandował wolno: — Będzie! Podpiszą dziś w nocy. Chwilowo na dwa dni, ale szansa...

— No właśnie — podchwyciła Zaza. — Niech pan mówi, komisarzu. Tyle już było tych rozejmów...

— Dwa nowe elementy, pani. Mediacja Syrii i nasz rząd narzecie gotowy do ustępstw.

— Co? Może na rzecz lewicy? — zachnął się Acra Meknes. — Nie do przyjęcia!

— To nam nie grozi na szczęście, panie Meknes. — Butros zmarszczył brwi i zaraz ściszył głos. — W naszym „cercle”... można w otwarte karty. Od czterdziestego pierwszego... różnie to bywało. Lecz, dzięki Bogu, nasze rządy trzymały się jednej, kardynalnej zasady. Nie produkować dynamitu!

— Nie rozumiem? — Acra zamrugał oczami.

— Rozumie pan... rozumie. Zresztą tak jak tu wszyscy, dla których czerwony kolor jest zabójczy. No... robotników! Przecież to dynamit. — Przepił koniakiem i spojrzał w stronę Hamilkara. — Jeśli mamy dopuścić do zmian, to już lepszy kolor zielony, proroka. Tylko że są tacy, w których postęp techniczny budzi niezdrowe ambicje, a w każdym razie rozpala ich obrażnię. — Wydął pogardliwie usta. — Są!

Eponge pochylił się z uwagą. Interesujące. Od chwili przyjazdu głowił się nad systemem ekonomicznym tego kraju. Oczywiście, podstawa to tranzyt towarów i kapitałów, no i turystyka. Ale ustrój? Muzealny feudalizm. Spojrzał na grube, czerwone usta Butrosa, w których tkwiła ironia, a nawet wzgarda. Nie pacholek! Z racji swojej funkcji doskonale zna ich tajemnice i bimba sobie. Obżera się kawiozem, żłopie koniak, ale wali prawdę.

— Nasi postępowi ekonomiści — znów błysk oczu w stronę prezesa — są nawet w parlamencie. Oczywiście w ich rozumieniu industrializacja to nowe źródło zarobku. Przywożą z Europy czy Ameryki obrazki wielkich zakładów przemysłowych i tysiacy robotników grzecznie wchodzących przez bramę. Niech z każdego dziennie tylko dwadzieścia centów. Nakapie. Całe góry złota! Falsz.

Z głośników rozstawionych w salonie bluznęła muzyka big-beatu. Hamilkar stłumił uśmiech. Obrócił się i karcąco spojrzął na Lubnana. Ten przeprosił i ściszył magnetofon. Po chwili jego szept zadrgał przy uchu Eponge'a.

— Mon frère... bracie, włączyłem specjalnie. Wyraźny brak taktu. W takim dniu po burzy zaraz druga burza?

Eponge spojrzął w okno. Nad horyzontem grubiała wstęga turkusowego nieba. Pod nią morze cwałowało grzywami białej piany.

— Kłóciłiby się naprawdę? — Patrzył chwilę na łagodną twarz Hamilkara.

— Mój brat nie. Ale Elias Salam? O, już się obudził.

Rzeczywiście, członek zarządu Crédit Libano-Alsacien wykorzystał awarię światła na krótką drzemkę. Teraz wyprostował się w fotelu.

— Butros? Zdaje się, że pan mówił coś o fałszu? — Przesłonił dłonią ziewnięcie, lecz oczy zapaliły się zaczepnie.

— Tak jest, fałsz, panowie! Owszem, góry, ale nie złota. Problemów. Przy dzisiejszej mechanizacji ci potulni, w kombinazonach, mają czas myśleć. No i wydumywać coraz to nowe żądania, podwyżek, urlopów, zasiłków. Ba... mało tego! Na obraz i podobieństwo... właścicieli. Żyć luksusowo.

— A pan to niby nie żyje luksusowo, Butros? Dwa samochody, willa, place. Ale miej pan sobie! Tylko postępu nie wstrzymywać. Cóż my? Mały bazar Bliskiego Wschodu. Banda geszefciarzy klócających się o stanowiska i religie. A inni rosną. O, choćby taki Iran. Co?

Komisarz roześmiał się głośno i nieprzyjemnie.

— Ależ przykład, panie Salam. Jeszcze pan dożyje. Że szach kradnie, to ludzkie, ale... że sam kręci sobie sznurek?

— Niech pan mówi o rozejmie, Butros! — zniecierpliwił się Hamilkar. — Interesuje wszystkich. Po co te wywody?

— To się wiąże. Musimy skupić się wokół rządu. Popierać... w całej rozciągłości. Wyjściem jest... muzułmanizacja. Dopuszczenie do rządu nowych ludzi, przedstawicieli zwalczających się frakcji. No i pośrednictwo Syrii. Rękojmia... i chyba tym razem...

— Ani tym, ani żadnym innym — przerwał apodyktycznie Salam.— Nie umniejszam pana roli. Ale cóż? Tajna policja. Inaczej mówiąc, ucho. Raporty agentów, inwigilacja, nici, które prowadzą do motków, ale nie do kłębka. Zamazany obraz, Butros. Problem to nafta. Choroba! Cały świat dostał gorączki.

Komisarz pociemniał na twarzy. Strzepnął z klapy popiół i jeszcze wygodniej rozparł się w fotelu.

— Cenię sobie pańskie zdanie, Salam. Doktoryzował się pan w Paryżu jeszcze za francuskiego mandatu. Przez trzy lata trzymał pan tekę ministra.

— Pięć, panie Butros. Wtedy kadencje nie kończyły się tak szybko. Czynnikiem stabilizacji. Ale nie o tym... Rok w Iranie, półtora w Arabii Saudyjskiej, w Omanie i Zjednoczonych Emiratach po pół i dwa w Nowym Jorku. Zgadza się, prawda? W ogóle się nie zgadza! Z jednej strony obraz piaszczystych

wydm, poprzecinananych wężami rurociągów, a z drugiej...? Patrzyłem na Manhattan. To nie rzeki, to ocean jęczących maszyn, samochodów. Drga, faluje, rozlewa się po całych Stanach. Nie ma takiego odważnego, który by powiedział tym ludziom, że jutro nie będzie benzyny.

Butros spojrział nań z politowaniem.

— Malownicze, mój drogi. Ale to z „Financial Times” czy z „The Daily Star”. Byle strzał lub też większe zbiegowisko zaraz musi cuchnąć ropą. I zgrabne slogany: „Izrael żandarmem roponośnych terenów”, „Szach Reza pachółkiem amerykańskich »Oil Companies»”, „Bliski Wschód to tankowiec spęczniały od ropy”. Co do tego ma nasz mały Liban?

— O, tu trafił pan w sedno. Mały Liban? Pan tego nie pamięta, Butros? Oczywiście. — Salam obrzucił go spojrzeniem. — Był taki zwyczaj przed wojną, że na okrętach podwodnych trzymano białe myszy lub świnkę morską. Przecieki chloru. Kiedy zdechła, alarm! Jesteśmy czymś takim. I tak się to skończy.

Jakby na potwierdzenie tych słów dwa głucho wybuchy zadzwoniły o szyby. Wszyscy zamilkli. Odblask świec, zapach kwiatów i twarze wydłużone smutkiem, a nawet ściszone muzyka z magnetofonu nie nastrajały wesoło.

Przypomina mi to, pomyślał Eponge, uroczyste pogrzeby rodzinne. No, w każdym razie to zły omen. Zasepił się. Ten ktoś jest już naznaczony... Spojrział w stronę Hamilkara.

Prezes Crédit Libano-Alsacien uśmiechał się łagodnie. Odwrócony do Zazy gładził jej dłoń i coś tłumaczył półgłosem. Lekko pochylona na tle ciemnych, czerwonych kwiatów rysowała się jak rzeźba. Szlachetny spokój.

Nie przeczuwa, pomyślał Eponge zaciskając pięści. Za niecałe

trzy godziny w sali zarządu, w pełnym świetle, na wprost szeroko otwartego okna... I to właśnie ja! Światło! Przecież mogą wyłączyć światło!

— Szampana! Otwórzmy taras! — dobiegły go energiczne słowa Hamilkara. Zaraz wyniesiono świeczniki i słoneczne, świeże powietrze wpadło do salonu. Od rue de Rome pisnęły opony i mignął czarny mercedes Nabalziego.

— Teraz! — usłyszał rozkazujący szept Marty Nabalzi.

Tukadijan poderwał się i podszedł do Lubnana, który stał przy magnetofonie. Po chwili rozległ się dobrze znany głos Niny Fejrugi. Eponge odwrócił się od okna. Na progu stał Józef Nabalzi. Szara, zmęczona twarz była bledsza niż zazwyczaj.

— Jacques? — Podszedł do Tukadijana. — Musimy to już... Zaraz!

Eponge spojrzął na Martę Nabalzi. Patrzyła za wychodzącymi, a oczy płonęły jej żywym ogniem. Sięgnął po mieniący się w słońcu kielich szampana.

Też mają swoje kłopoty, pomyślał o znikających w korytarzu. Musujące bąbelki chłodną rosą osiadły mu na policzkach.

Ja? Już nie. Gdy pójde po ten przekłety dokument, wyłączę światło. Przechylił kieliszek. Po prostu wykręcę , korki!

CZWARTY KWADRANS

Nujens stał przed lustrem, kiedy sygnaturka na kościele Serca Jezusowego wydzwoniła za kwadrans siódmą. W pokoju paliła się nocna lampka, a szczelnie zasunięta zasłona oddychała miarowo. Rozczerwieniona odbłyskiem szyldu Crédit Libano-Alsacien drgała powiewem powietrza, przepuszczając srebrzysty odgłos dzwonu.

Pochylił głowę i spojrzał na citenzena, którego jeszcze rano wyregulował co do sekundy. Za siedemnaście siódma. Czcigodni ojcowie pospieszyli się dzisiaj. Z uśmiechem poprawił zmierzwione włosy. Zakonne żołądeczki sygnalizują trudności wojny domowej i nie chcą czekać do punkt siódmej.

Mignęły mu sylwetki w długich, czarnych habitach cisnące się do kolacyjnego refektarza. Stuk sandałów słychać było po drugiej stronie ulicy. No cóż? Skrzywił się z ironią. Micha jest michą.

Spojrzał odruchowo na niedokończoną bułkę i soczysty plaster corned beefu, obwiedziony przejrzystą galaretką. Rozpuszczała się w ciepłe wieczoru tuż koło spakowanej torby i zgrabnej sylwetki dziesięciostrzałowego wembleya.

Przed akcją jadał mało. Głód? W żadnym wypadku, ale i nie

leniwa sytość. Koncentracja to wyłączenie odczuć fizjologicznych. Alkohol? Ostatnio tak. Lecz sprawdzona norma, odmierzona jubilersko, co do karata.. Działanie? Uśmiechnął się. Trzeba pić, żeby to pojąć. Jak przyjaciel na samotnej drodze popychający lekko właśnie w tym jednym, właściwym kierunku. Tędy!

Mój druhu, szepnął do wywołanej wizji Reukena, jesteś nie ze mną, ale we mnie. Żyjesz. Nie odmówię ci przyjemności pociągnięcia za spust, dotyku pięciozerowego czeku, nocnej podróży w samolocie i... Tak! Tego też nie, pomyślał o Marcie. I roześmiał się.

Nagle twarz mu spoważniała. Dotknął palcami lustra. Ani drgnęły. Wycelowane lufy. Zmrużył oczy. Z głębi błyszczącej tafli biegła droga. Poznawał. Długi szary budynek w Antwerpii, gorące miasta Południowej Ameryki, Paryż, Frankfurt i tuż blisko autostrada nadmorska. „Palm Beach”! Skrzyp popielatych kamaszy i słowa :

„Panie Hagen, to ja płacę najwięcej!”

Inny wymiar.

Wybuch.

Mija się wysypiska śmieci, slumsy, przedmieścia i nagle... city! Stal, szkło, aluminium. Las wieżowców. Kolorowe parkingi na lustrach asfaltu. Marmurowe stopnie, przejrzyste tafle rozsuwające się bezszelestnie, generalskie sylwetki portierów i okienka banków światowych. First National... Westminster, Chase Manhattan. Miliardy! Twarze za i przed ladą w ich odblasku. Ciepłe, złotawe światło przesyca wnętrza, lśni na kolumnach, pnie się po dziesiątkach pięter aż do błyszczącego jak metal nieba.

„To ja płacę najwięcej!” ...

W błysku myśli uprzytomnił sobie, że słowa Nicolasa

Mansoura tkwiły w nim zawsze od tamtego spotkania. Stworzyły czwartego człowieka.

Opuścił ramiona i przysunął twarz do lustra.

Pierwszy — Nujens.

To ja, Pierre Nujens, rozpoznał się przyjaźnie jak codziennie rano. Mały chłopak z rudą grzywką, zbierający jeszcze ciepłe łuski w portowej uliczce Van Zedeeren. Młodzieńcze ambicje? Sport... lekka, broń. Prawdziwe studia, cela 223. Błyskawiczna kariera w południowoamerykańskich miastach, Paryż, wpadka i frankfurckie boczne tory.

Voici! Liczmy dalej.

Drugi — Albert Hagen.

Zamiatając tanecznie nogą, zrobił parę kroków przed lustrem. Elegancki błysk mosiężnych skuwek. Dowcipny, energiczny sekretarz milionowej firmy „Dr. Joseph Nabalzi Import—Export Co.” Podniecające! „Własny gabinet, interesy, dyrektorzy banków, naftowi szejkowie. Wady? Utykanie... po wypadku samochodowym. Ale żadnego współczucia. Zgrabna, zręczna sylwetka, bujne włosy, twarz przyciągająca spojrzenia kobiet. A przede wszystkim Marty Nabalzi.

Jeszcze trzeci.

Francuski turysta.

Voici! Włożył marynarkę bordo i wcisnął zręcznie na głowę czarną jak noc perukę. Twarz w lustrze złagodniała niefrasobliwym uśmiechem.

Eh, alors? Où allons nous? No, gdzie jedziemy? Wysunął dłoń gestem przywołującym taksówkę. Gołębie Groty? Nadmorski dancing w „Saint Georges”? A może jednak „Vendôme”? Posłuchać staruszka Offenbacha, co? Głębiej w miasto? Rozumiem! Skrećaj, przyjacielu, do Gold Finger. Czekoladowe dziewczyny kochają paryski akcent, no i... oczywiście amerykańskie dolary. Są. Cały portfel. Namacał kieszeń.

To miasto nie ma dla mnie tajemnic. Główne arterie znam jak pacierz, lecz także zaułki, przejścia, karkołomne objazdy do lotniska, portu.

Dość!

Gwałtownym ruchem zdarł peruką i przywarł do lustra tak blisko, że twarz przesłonił obłok oddechu. Teraz będzie najważniejszy. Czwarty człowiek.

Gdy wyłoniła się twarz... znieruchomiał. Szczupła, zmizrowana więzieniem i marzeniami o milionach. „Blanc bec, posłuchaj... pragnienie to początek zaspokojenia”.

Prawda.

— Reuken — szepnął żarliwie — to twoja ręka dotknęła dłoni Nicolasa Mansoura w „Palm Beach”. A w parę dni później opłotła włosy Marty Nabalzi. Groza? Lubią... Mówiłeś nieraz, że one to lubią. Czwarty człowieku.

Nujens potarł czoło. Było gorące, suche. Co za dzień, co za godzina! Całe, dokładnie całe życie. Cofnął się i poczuł ból w kolanie. Musiałem źle stąpnąć. Zaklął i usiadł na krześle.

Dobra, dobra! Rozcierał drętwiejące udo. Jeszcze starczy tej energii, żeby dojść do łazienki, wykonać, a później? Delikatesy, mój złoty. De-li-ka-te-sy!

Inkaso raz! — syknął przez zęby.

Oczywiście, Albert Hagen. Zielona błyskawica porsche'a. Droga zwycięstwa na nadmorskiej autostradzie. Palmy i latarnie aż do „Palm Beach”. Wpół do ósmej szary człowiek o okrągłych, zaczerwienionych oczach wręczy ci czek. Jedyńka i pięć okrągłych zer. Uścisk suchej, szeleszczącej ręki i gest przekreślający na zawsze jego i to miasto.

Inkaso dwa!

Odchylił się i głęboko wciągnął powietrze. Zbyt cenne... żeby tak od razu. Z tych pięciu... Zapalił papierosa. Z tych pięciu

miesiący cztery były skradaniem się po miliony. Nie na palcach, w masce, w której świecą łakomie oczy. Nie po gzymsach dachów czy piwnicami pełnymi pułapek wymyślonymi przez producentów dreszczowców.

Uśmiechnął się.

Stać mnie byłoby i na to! Spojrzał po wzgórkach napiętych mięśni. „Ryzyko do minimum! Nie fanfaronada, ale stuprocentowa pewność, panie Hagen!”

Nauczyłeś mnie tego kraju, Nicolasi Mansour. Spojrzał na swoje opuszki palców. Cienki, delikatny naskórek, tak potrzebny przy wyczuwaniu spustu. Nauczyłeś mnie tego kraju! Nie działanie, ale myśl zabija najpewniej. Później to tylko problem sprzątnięcia zwłok i przekonanie, że byłeś przedłużeniem ręki Pana Boga. Bezgrzeszność! Żadnych niepokojów... nawet sennych mar.

Nicolas Mansour... Żadne słowo nie doceni ciebie. Nie zabijasz, nie zmuszasz. Ustawiasz sytuacje! Tam w Europie... grubiaństwo. Skrzywił ironicznie usta.

Mignęły mu w pamięci wszystkie twarze bossów. Nerwowi dżentelmeni, na miłą śmierdzący katafalkiem. A tak naprawdę... w głębi duszy — bojaźliwi bez swoich goryli.

Ty zawsze sam, spokojny, nim padnie pytanie, już z gotową odpowiedzią. „To ja płacę najwięcej, panie Hagen!”

Przez chwilę pokój zawirował od tych wszystkich zer, które wyskoczyły po dwóch pierwszych cyfrach. Tych cyfr nie znał dokładnie. Domyślał się. Z przekazów Nabalziego i oderwanych słów Marty.

Oczywiście od historii z sejfem nie szperał w papierach Nabalziego. Okaże się. „Jak przyjdzie wiosny lub jesieni. Wystarczy patrzeć na drzewo. Zielone czy czerwone liście... Spadną

pod nogi jak sygnał. Już czas!”

Tak. Już czas, powtórzył w duchu.

Nie potrzebowałem śledzić, spadały.

Chyba w dwa tygodnie po przyjeździe nababa z Londynu w biurze zaczęli krążyć bliźniaczo do siebie podobni ludzie. Ugrzeczniejsi, mówiący półgłosem, w lekko znoszonych ubraniach. Mylili nieraz drzwi i zaglądali do mnie. Prawie jednakowoży błysk złożonych binokli, lisie pyszczki i przepraszający szept: „Czy doktor Joseph Nabalzi?”

Arogancko mierzyłem ich wzrokiem. Następne drzwi! Pomagałem ci, nababie. Cofali się tak szybko, jakby klamka parzyła ich wyświecone od liczenia pieniędzy dłonie.

Pośrednicy...

Wyprzedawałeś się, złociutki, i szykowałeś do odlotu. Wiedziałem nawet gdzie.

Ach ta moja Marta!

Wiedziałem, że myśli o Nabalzim. Od czasu gdy mecenas Tukadijan powiedział Marcie o machinacjach finansowych jej brata, dojrzało w niej pragnienie zemsty. Oczywiście... stopnie. Musiała najpierw zwalić te wszystkie spiżowe popiersia szlachetnego opiekuna i czulego brata.

Później droga już była wolna. Mówiła, jak się ten brat starzeje, szprycuje hero, aby osiągnąć zwycięski błysk oczu i posturę prawdziwego księcia Wschodu. Prince d'Orient. Drugorzędny, woniejący prostytutkami i spermą hotel. Svea Ahrenberg... sekretarka. Szerokousta, cycasta dziewczynka. Lecz pod niebieskimi szklami, zachodzącymi na policzki... spryciara. Umie zgrywać się na „córeczkę”.

— Pierre, ten mój wyrachowany brat. Po prostu dla niej zwariował. Szpikuje ją jak kurczątko — złotem, brylantami. Nie

wystarczy luksusowe mieszkanie czy nawet mały domek w Bari... Nicei. Chytry. Za dużo tam grzywaczy w obcisłych dżinsach. Nie upilnowałby... O, Buenos Aires! Rozumiesz? Oddala ją o cały ocean. Zagubiona w rezydencji, za wysokim, nieomal klasztornym murem. I kto za to płaci?!

Czułem, że czeka. Na zachętę, poradę, potwierdzenie, że jestem z nią, a przynajmniej po tej samej stronie. Milczałem. Takie coś... musi samo. Popatrzyłem w mrok. Ogród nocy, w którym przysłonięty gałązkami zwykłych pachnących kwiatów dojrzewa ten jeden... trujący.

— Pierre... Przecież to są pieniądze mojego ojca. Że... błąd z tym pierwszym małżeństwem? Szejk najlepszej krwi... poślubił chłopkę? On tylko poślubił tysiące baranów pasących się nad jeziorem Yammuné. Wełnę, ogrody i sady.

Łakomie wdychałem dym i patrzyłem z boku. Jej twarz... prawdziwie piękna.

— ...Przyrodek. Cuchnący pastuch. Moja matka, Pierre? Fenicka krew!

To było z emfazą. Po tym wyznaniu skuliła się, a piersi zsunęły w rozkoszny dołek. Całowałem... Jej gorący, szept laskotał mi skronie.

— Brzydzę się... gdy całuje mnie i dotyka tą swoją fałszywą, plamistą twarzą. Zaduch grobu... rozkładu. Jedną myśl pieszczę. Chyba tak jak ciebie.

Przytuliłem się mocniej. Gorącą nienawiść. Słowa... jak miłosne wyznania. Te modulacje głosu... umiała to robić.

— Obmyśliłam! Najpierw usnąć. Małym, skromnym żądaniem. Powiedzmy... milion. Jeden! Gdy już przeboleje, wtedy... strachem. Panicznym! Żeby każdy nerw... Zapisze, zapisze wszystko!

Tuliłem ją.

Między moim uchem a sercem była jej gładka skóra. Wsłuchiwałem się. Jak w muszlę. Znałem to. Potężniejszy szum, gdy w lunecie nieruchomiała namierzona twarz. Spust!

Inkaso dwa!

Przeciągnął się, aż zatrzeszczało w stawach. Dwa... Znów zielony porsche. Wspaniały wóz. Unosi. Najmniejszego wstrząsu nawet po wybojach bocznych ulic.

Un moment... Chwilę!

Naprawdę nie znam tych dwóch cyfr? Znów te oszalamiające zera. Przecież twoje przekazy, nababie?

Po wizytach tych jednakowo grzecznych panów wzywałeś mnie. Byłem już mądry. Jeszcze w korytarzu gasiłem błysk spojrzenia, a po wejściu pokornie i wiernie... tylko w twoje oczy. Dystans, szacunek i gotowość wykonania wszystkich poleceń.

Łapałeś się na to.

Platynowy parker w twoich plamistych paluchach malował zlecenie przekazu. Londyn, Zurych, ale ostatnio już tylko Buenos Aires. Obojętnie patrzyłem w okno, lecz słyszałem skrzyp kółek po pierwszej cyfrze. Ale czek przyjmowałem obojętnie, jak papierosa z twojej inkrustowanej szkatułki. Po wyjściu... Po wyjściu, a jeszcze później, w hotelu, buchał płomień mojej obraźni.

Dokładnie nie znam dwóch pierwszych cyfr. Dwadzieścia, trzydzieści... a może czterdzieści? Cóż za różnica? Może później, gdy otrzaskam się z tą potęgą. Zer... na pewno sześć. Sześć!

Inkaso dwa!

Poprawił nogę i łagodnie masował udo. Piekące mrówki znikły. W samochodzie to fraszka. Wypróbowany kąt ułożenia i żadnych sensacji. Gdy wysiadam, noga jak... stal.

A więc... za piętnaście ósma, gdy już ucichną skrzypiące kroki, dopowiem: Adieu, na zawsze! I ta cała reszta... „Palm Beach”, „Vendôme”, miasto. Punkt geograficzny leżący dokładnie w środku beczki z prochem. Adieu!

Nujens zaciągnął się głęboko i nagle zakrztusił radością. Braciszku, po te wymarzone zera droga jest już prosta!

Wykasłał dym i zgasił papierosa.

Odpyw.

Lustro na ścianie zmałało, ukazując perspektywę okna. W środku falowała zasłona, prześwietlona czerwonym szyldem Crédit Libano-Alsacien.

Ściągnął brwi i potarł czoło. Jeszcze, jeszcze — szepnął w stronę zegara pod lustrem. Odcięty wskazówką kwadrans skamieniał. Dłuży się... ale jakbym miał go już z głowy. Mignęła mu w pamięci sala posiedzeń, szeroko otwarte okno i połyskliwy kształt przygotowanego do strzału remingtona. Żadnego błędu! Przypomniał sobie jeszcze sylwetkę Eponge'a.

Więc załóżmy, że ten kwadrans minął. Więcej! Jest za piętnaście ósma i z nogą na gazie drążysz miasto. I co? Wszystko jest już takie pewne? A może to najbardziej bezpieczny z twoich odwrotów?

Widzisz, w tych południowoamerykańskich miastach już na trzeciej ulicy byłeś prawie bezpieczny. No... ryzyko? Zawsze. Choćby w momencie inkasa. Trzy razy płacili ci gotówką, a raz, w Montevideo, czekiem. Przyznaj się... lekkie zdenerwowanie. Więcej papierosów, whisky, żeby ten kwas w ustach, i niespokojne ręce. Przecież byli ci w górze. Mogli pomyśleć. Załatwił? Po co pieniądze? A w dodatku świadek?

Nujens zagryzł usta.

Nie. Żadnych wątpliwości. Ani gdy gotówką, ani wtedy, kiedy czekiem na Chase Manhattan. Do Montevideo motorówką.

Żadnego kwasku w ustach. Smak gitane'a i tequili. Ręce? Bezbłędne! Ułamek sekundy i wembley lub sprężynowiec. Szum motoru i spokój. Pamiętam nawet kształt obłoków odbitych w zatoce.

Nujens wstał. Żadnych sensacji, twarz pozostała kamienna.

Nécessaire. Najważniejsze słówko. P o t r z e b n y ! I tak trzeba się ustawić. Gwarancja. No, a teraz test, Nujens. Precyzyjne pytania i odpowiedzi:

Kto wie o twoim wyjeździe?

Tylko Marta Nabalzi.

Dobrze! Ale czy na pewno?

Tak. Z Józefem Nabalzim umówiłem się jutro w biurze.

A Nicolas Mansour? Przecież ten człowiek ma dziesiątki oczu. Przenika na wskroś!

Ale nie mnie. Dwa bilety na samolot, dla mnie... On widział ten drugi, na przyszyły wtorek. ,W niedzielę jak zwykle spotykamy się w „Palm Beach”. Jeszcze ostatnie zlecenie. Właśnie w niedzielę wieczór.

Mówisz, że nic nie podejrzewa? A gdyby tak dziś po pożegnaniu zadzwonił do „White Palace”?

W porządku. Nie zwalniam pokoju. Walizki, ubrania? To nieważne.

No, powiedzmy. Jest jeszcze zrewoltowane miasto. Spod „Palm Beach” dla zmylenia tropu pojedziesz w stronę hotelu. Później dopiero skręcisz do muzułmańskiego cmentarza, prześlizgniesz się przez Haifar, El Mamoun i dopiero wtedy na lotnisko. Wiesz, ile to posterunków? Uzbrojonych po zęby, z wściekłą nienawiścią w oczach.

Nujens niedbale machnął ręką. Wyglądało to w lustrze jak przyjazny gest.

Expérience... mon cher! Doświadczenie. Mały, zielony jak cedry papierek. Jeszcze się nie zdarzyło, żebym nie odjeżdżał

żegnany salutem posterunków. Niezależnie od frakcji. Upominek Nicolasa Mansoura. It's okey... Co?

Twarz w lustrze wyrażała uznanie.

Pewnyś siebie! No ale jeszcze najważniejsze.

Zamieniam się w słuch.

Nujens, braciszku. Przypomnij sobie, jak twój dobry druch spod celi dwieście dwadzieścia trzy mówił o współnikach. Tych najbliższych, wypróbowanych kumplach, co to wypiją razem, zakurzą „trawkę”, nawet podzielią się dziewczyną. W akcji ramię w ramię. Syjamscy! Lecz gdy chodzi o szmal, to inna melodia.

Hm. Nie rozumiem.

A więc jaśniej. Zdarzy się, że boss, może dla kawału albo z lenistwa, wystawi tylko jeden czek na dwie zapłaty. Ty zaufasz i pošlesz kumpla, żeby go zrealizował. Możesz długo czekać. Dziewięćdziesiąt dziewięć, przecinek i cały las dziewiątek, że, nie przyjdzie, chłopie. Chwytasz? Taka pani Marta Nabalzi... Zgoda! Gdy w perspektywie był tylko milion i ty... program do akceptacji. A tu nagle ten milion mnoży się niebotycznie. Co? Stara fenicka krew. Przemóżny zapach pieniądza. Znali to, gdy twój pra- pra- i jeszcze ze trzydzieści razy pradziadek hasał z kamienną siekierą po europejskich puszczech. Myślałeś o tym?

Nujens zerknął na zegar. Co za cholernie długi kwadrans! Wskazówka zjechała może niecały milimetr. Marta Nabalzi miała dzwonić za dwadzieścia siódma i dać znać, czy tamci już wyszli z przyjęcia. Nie niepokoił się. Znał mieszkanie Hamilkara i wiedział, że telefon dostępny dla gości jest tylko w hallu lub przedpokoj. Gdy ludzie wychodzą, żegnają się, klepiąc wyswiechtane dusery, to trwa, i ciężko złapać moment.

Oczywiście, że myślałem. Ale nim odpowiem, jeszcze ostatni drink, co do grama.

Sięgnął po butelkę i ostrożnie nalał whisky. Dokładnie jedna trzecia. Podniósł do ust i właśnie wtedy zadzwonił telefon.

Teraz niech ona poczeka. Parę sekund. Przechylił szklankę. Z cierpkim smakiem układała się odpowiedź na ostatnie pytanie. Było w niej wszystko.

Wizje wielkich miast... Wspaniałe poczucie wyższości, gdy portfel pęcznieje od banknotów. Uroki nocnych klubów, no i oczywiście kobiety. Rozmaite... za i bez pieniędzy. Błyskały tylko wycinki, skondensowane, mocne, utrwalone prawem selekcji. Jakiś drażniący śmiech, głos, podniecający zapach włosów, ciała... Gdy łączył to wszystko, wyłaniał się pełny obraz Marty Nabalzi.

Laurka dla ciebie — szepnął.

Telefon zadzwonił jeszcze raz i jeszcze raz. Sekundę, sekundę! Dopił i otarł usta.

Jest i dla mnie! I to właśnie najpewniejsza gwarancja.

Podbiegły do niego żarliwe szeptu. „Dit donc... mais tu es formidable! Splendid! Super!” Tak. Zachwyty były szczere. A wdzięczność objawiała się rozmaicie. Natrętne telefony, propozycje współżycia i, co najbardziej przekonujące, zwrot pieniędzy. Brał! Przynosiły szczęście w automatach. Wielokrotniały, gdy zapalała się lampka i z długim brzękiem leciał srebrny bilon.

Ze wzmoczoną pewnością siebie sięgnął po słuchawkę.

Kamienny parapet był szorstki i chłodny. Nujens rozścielił gruby ręcznik i dopiero wtedy wsunął się w niszę okna.

Excellent!

Jak twierdza. Naprawdę wymarzone stanowisko. Psiakrew, zawsze ryzykowałem. Zaklął na wspomnienie klatek schodowych, bram czy skał oddzielających go od celu. Mimo że miejsca wybrane starannie — nie dawały bezpieczeństwa. Zawsze za plecami bezbronność. Odgłosy, szmery tam z tyłu mieszały się z dźwiękami, z których wyłaniał się cel.

Oczywiście, nie byłby zawodowcem, gdyby w decydującym momencie nie wyłączył tych wszystkich ubocznych odczuć. Lecz przecież zawsze mogło zdarzyć się coś nieprzewidzianego. Brzęk wypchniętej wiatrem szyby, trzask windy, odgłos kroków. Nawet łopot gołębih skrzydeł, tak jak w Paramaribo, gdy likwidował Luiżę Marciano. Niby ułamek sekundy... ale to właśnie jest najgorsze. Panika.

Teraz, opierając łokcie o puszysty ręcznik, potężniał. Panował nad ulicą, gmachem, miastem i... czasem. Spojrzał na citizenena.

Za dwanaście siódma.

Marta dzwoniła przed chwilą, gdy tamci już wyszli, a samochodem z rue d'Amérique to nie więcej niż trzy minuty. Zaraz powinni skręcać w El Hamra. Zaparkują przed Crédit Libano-Alsacien, wjazd windą i nareszcie sala zarządu. Potrwa... Zajmą miejsca, prezes podpisze parę dokumentów i dopiero wtedy Eponge oddali się po konosament. Oczywiście, że pozostali zaczną się już kłócić o ten ładunek na siedmiu statkach stojących w porcie. Potrwa. Ale za osiem, dziesięć minut będzie po wszystkim.

Stanowisko wspaniałe. Przeciągnął ręką po włosach. Parapet jak stół operacyjny. Opuścił dłoń na kolbę remingtona. Aluminiowa blacha prawie zaraz nagrzała się od dotyku.

Ciepło mnie witasz, staruszku. Uśmiechnął się. Ciepło.

Może przewidujesz rozstanie? Nie na zawsze. Przywiązanie, a raczej... pociąg. Jak do kobiet, alkoholu, papierosów. Po abstynencji powroty są szczególnie przyjemne. Zacisnął usta i sięgnął po lornetkę.

Wsunął się głębiej i wychylił głowę. Odgłosy miasta podbiegły pełną gamą. Głuche wybuchy w stronie Achrafieh i Quarantaine oraz trzaski broni maszynowej. Był też syk rakiet wzlatujących w niebo, a bliżej — jazgot czołgów patrolujących wyloty ulic.

Na wschodzie, pod wielbłądzimi garbami gór wczorajsze pożary pełzały brunatno, lecz nowe już się rozpały. Migotliwe jak błyskawice po chwili rozjarzały się czerwienią, nad którą rosły czarne grzyby dymów. Spalenizna, aloes i heliotrop z pobliskiego skwerku mieszały się w woń odświeżonego kadzidła. Ramadan zabijania... też i moje święto. Skrzywił usta i spojrzął w niebo. Czyste po burzy w ciągu dnia — patrzyło teraz milionem mrugających gwiazd. Morze pod nirá wyglądało jak step. W równych odstępach czasu strzelał w horyzont żółty promień latarni morskiej, sunął po pagórkach białej piany i ginął za nasypem autostrady. Bliżej, przed parkiem ambasady amerykańskiej płonęły światła Ras Beyrouth, nietkniętej jeszcze wojną dzielnicy.

Idylla! Sunął lornetką po rozświetlonych tarasach. W ściszonej muzyce radia i z taśm białeły obrusy, półmiski z potrawami i owocami, ludzie popijali kawę. Jeszcze sytość... Przejechał po pochylonych głowach. Jeszcze! Lecz i przecucie zagłady w tych milczących, zasępionych twarzach.

No cóż, mnie to nie dotyczy.

Opuścił lornetkę, bo wyskoczył jasny, wyraźny obraz, który za dwie godziny miał być rzeczywistością. Kabina samolotu, kremowa suknia Marty i bursztynowa podwójna whisky. Już bez odmierzania. Miasto, wybuchy, pożary... z tyłu. Przyszłość?

Gwiazdy przed silnikiem samolotu.

Swoją drogą... ta Marta! Ach ta... Słowo, które ściszył, było wulgarnie, ale w barwie szeptu był podziw. Potarł czoło i brutalnie zgasił obraz, żeby nie rozproszyć wścieklej radości.

Jeszcze tylko trochę wysiłku, Nujens! Sprężył się wypełniając niszę okna. Odłożył lornetkę i ujął remingtona. Karabin wskoczył miękko w ramię. Przytulił doń policzek i spojrzał w rozjarzony krąg lunety.

Przeciwległy dach przyskoczył na odległość wyciągniętej dłoni. Nujens prowadził lunetą po gzymsach i nadbudówce. Obraz był tak wyraźny, że widział rdzę blaszanych wywietrzników, niebieskawą od neonowego szyldu Tukadijana. Utknął na chwilę przy drzwiach wjazdu. Zamknięte. Żadnych zmian. To samo na dwóch kolejnych piętrach pod gzymsem. Puste okna odbijały zieleń neonu biura Nābulziego.

Wasze kolorowe powiązanka, pomyślał o wspólnych interesach szefa i Ormianina. Pożeracie się, ale to już koniec, i to koniec o krwistej barwie.

Szkarłat rozpałił soczewkę lunety. Neon Crédit Libano-Alsacien zamrugął przyjaźnie. Nujens bezbłędnie wjechał w szeroko otwarte okno. Proscenium! Wszystko przygotowane. Zapalony zyrandol jarzył się w politurze owalnego stołu. Rozstawione popielniczki, fotele, a pod spodem gruby, barwny dywan. Osunie się miękko — posłyszał własny szept.

Hamilkara jeszcze nie było. Dalej. Chyba z prawej usiądzie Chiffonier. Jeśli ma słabe serce? Trudno. Dwa pogrzeby. Z lewej... Salam. Muzułmanin, przyjmie filozoficznie.

Nujens westchnął głęboko.

No a teraz nabab. Chyba tu. Zatrzymał się lunetą na sąsiednim fotelu. Miękkie poręczce dotykały stołu. Miejsce na twoje

łapy, mój drogi. Chciwe, plamiste paluchy, bębniące nerwowym oczekiwaniem. Nie zawiodę, nababie. Nie! Zdziwi cię moja bezbłędna celność. Uśmiechnął się chytrze i zjechał re-mingtonem na gabinet Eponge'a.

Przez zasłonę przebijało niewyraźne światło. Cień wyskakiwał przy oknie i po chwili cofał się w głąb pokoju. Przechadzasz się, braciszku... nerwowo. Współczuję, ale nawet nie mogę powiedzieć, że twoja rola prawie już skończona. Wpuścisz ich do sali i oddalisz się po ten nieszczęsny dokument. Wszystko!

Nujens wolno nacisnął spust. Ten ustąpił lekko. Pierwszy opór. Drugi, bardziej miękki, ale doskonale wyczuwalny. Cofnął palec przed trzecim i przejechał po oświetlonych oknach klatki schodowej aż do, ciemnych wystaw Banco di Roma. Parking przed wejściem był zupełnie pusty.

Okey!

W porządku. Może papierosa? Ale jeszcze spojrzął na róg ulicy, gdzie stał wózek handlarza pomidorów. Trotuar i ogródek pobliskiej kawiarni świeciły pustką. Stary Arab majstrował, coś właśnie przy karbidówce i nie było jego śpiewnego nawoływania. Nagle cofnął ręce i wychylił się ku jezdni.

Nujens błyskawicznie przeskoczył lunetą. Z odległej rue de Rome wolno, ostrożnie wysunęły się auta i skręciły w El Hamrę. Rozpoznał! Czarna limuzyna Hamilkara i niebieskie volvo dyrektora Chiffoniera.

Jada! Zacisnął usta śledząc wydłużające się smugi reflektorów.

Porsche sapał i jęczał Jak zgonione zwierzę. Wtopiony w kierownicę Nujens był rwącymi kołami, rozgrzaną maską i silnikiem. Oddech buchał jak rozpalone cylindry. Oczy, ręce,

nogi drgały od błyskawicznych impulsów. Lecz z przodu, nad wybojami wąskich uliczek stale jeszcze ciemniał tamten obraz. Nieruchomy, jakby przylepiony do szyby tuż pod rozbujaną maskotką.

Świetlisty krąg lunety i tkwiąca w środku głowa. Dobrze znajoma twarz, przysunięta tak blisko, że Nujens czuł zapach juchtu i cygar.

Te japońskie soczewki to naprawdę cudo!

Głęboki wdech, tak jak przed chwilą, gdy ze złym uśmiechem minął remingtonem Hamilkara i utknął w twarzy Nabulziego.

Jesteś, nababie!

Cały skoncentrowany na mózgu, pod plamistą skórą czoła. Dokładnie na skrzyżowaniu niebieskich linii snajperskiej lunety. Jesteś!

Sacré Dieu! Na Boga i do stu tysięcy szatanów! — zaklął. Przecież, do jasnej cholery... nie zdarzyło mi się nigdy! Wpił ręce w kierownicę, bo porsche zawierzał na wybojach. Ciężką wyskakującą ścianę, skręt, pisk opon i znów gaz. Dziewięćdziesiąt. Spojrzał na licznik.

Przed chwilą jednym susem znalazł się za kierownicą porsche'a, uruchomił silnik i wyskoczył z podcienia domu na El Hamra. Łukiem otarł się prawie o wystawy Banco di Roma i zaraz zgubił w plątaninie wąskich uliczek. Ardafi, Ghazir, Nac-cache... Rozpychał się w tłoku straganów, skrzynek, śmierdzących hałd śmieci, smagany batami gałęzi zwisających nad jezdnią. Jak serpenty powiewały z boku kolorowe szyldy sklepików i zadymione latarenki bram.

Sacré Dieu — syknął, bo znów wyskoczył obraz lunety.

Nie było w niej twarzy!

Dysk. Ciemny, jak całkowite zaćmienie słońca. Trwał obezwładniony mrokiem. Nie wierzył. Dopiero po paru sekundach odsunął głową od lunety. Cały gmach zdmuchnięty jak świeca. Cholera... Przecież nigdy... I zaraz miazdząca panika.

Trzask rzuconego remingtona, skok po marynarkę, torbę, szamotanina z zasuwą drzwi i już winda. Brzęk stłuczonego zegarka i ból ręki ocucił go trochę. Lecz naprawdę ochłonął dopiero przy aucie. Złapał oddech i wyjrzał z podcienia. Po drugiej stronie ulicy nic się nie działo. Cichy, ciemny gmach i śpiewne nawoływanie handlarza pomidorów.

Cholera!

Róg domu wyskoczył tuż przed porsche. Krawężnik! Nujens schylił głowę i wpadł na oślep w szczelinę kawiarnianego ogródka. Ściął płócienny parasol, koszykowe fotele i wyskoczył na szeroką już Abdel Azis.

No! Teraz do deski. Porsche frunął jak w olimpijskim skoku. Mignęły bloki amerykańskiego uniwersytetu, pusty plac baseballu i zaraz park cyprysów i pinii. Odetchnął i zjechał na bok. Kierownica twardo stuknęła go w pierś. Ocknienie. Zgasił światła i wyskoczył z auta.

Ulica była pusta. Blask pobliskiej latarni srebrzył gałęzie, lecz zaparkowany w ich cieniu porsche był niewidoczny. Nujens spojrział odruchowo na citenzena. Zbite szkło zraniło dłoń, a wskazówki znieruchomiały na trzy przed siódmą. Wsunął zegarek do kieszeni i zajrzał do auta. Koło radia zegar cykał miarowo. Pięć po siódmej. Odetchnął i wytarł chustką krwawiącą bliznę.

Głupstwo, Nujens... Naprawdę głupstwo! Poślinił skaleczenie i zapalił papierosa. Przecież strzał przed zgaśnięciem światła. To kopnięcie i stuk w obojczyku. No?

Papieros rozbłysnął jasno, ale obraz był zamazany i znów zaczerpnął otwór lunety. Potarł spocone czoło. Wątpliwość... tak silna jak przed chwilą. Opuścił dłonie i spojrzał na wierzchołki drzew wbite w rozgwieżdżone niebo.

Takie samo jak wtedy, gdy z rue de Rome wyloniły się samochody. Niecałe dwadzieścia minut... Myśl znów utknęła martwo. Nie dojdę. Cholera, nie dojdę!

Przysunął się do auta i grzebał chwilę w torbie podróżnej. Odsunął karton papierosów, granat zawinięty w apaszkę i miękki zwitek peruki. Wpadła mu w palce jak małe, puszyste zwierzątko. Może jeszcze się przydasz? Poglądził ją z uśmiechem. Może. Namacał wreszcie butelkę whisky. Dojdę, do jasnej! Zdarł zakrętkę. Łyknął porządny haust. Dojdę — powtórzył wycierając usta. Po kolei. A więc...

...Była za osiem siódma, gdy samochody utknęły w podcieniu, prawie na wprost wejścia do Banco di Roma. Wysiedli wszyscy: Hamilkar, Salam, Tukadijan, Nabulzi, kasjer, no i oczywiście Chiffonier. Przed bramą zbili się w bezładną grupę, bo ten idiota Chiffonier wpadł w rolę gospodarza. Schylony zamiatał małpimi rękami i chrząkał dyszkantem zapraszając do wejścia.

Eponge włączył światła w hallu, a przy windzie uklony, gesty i górujący głos tego eunucha. To trwało! Dobrą minutę dłużej niż powinno.

Nie byłoby problemu! Zagryzł usta, lecz już alkohol rozlał się ciepło w żołądku. Trzeba było go dawno zdmuchnąć, pomyślał o Chiffonierze. Są faceci, których sposób bycia psuje obraz świata. No cóż. Może go i spotkam.

Od nadmorskiej autostrady wiatr przyniósł zapach morza i dźwięk orkiestry z restauracji „Vendôme”. Świat... nie jest

znów taki duży. Rozpoznał *Życie paryskie*, Offenbacha. Jedźmy!

...Więc widziałem dokładnie, jak winda pnie się w górę, znikając za schodami kolejnych pięter. Drugie, trzecie, piąte, jeszcze dwa i ósme. Wjechałem remingtonem na salę posiedzeń. Bajka! Żyrandol rozświetlał wszystkie zakamarki, jak w biały dzień. Te japońskie szkła! Nawet drobiny kurzu w załamaniach foteli. Wchodźcie, ptaszyny, wchodźcie! I po kolei, na grzędę!

Uśmiechnąłem się.

W drzwiach majaczyła postać Eponge'a. Właściwie to jeszcze jego cień, ale po chwili w pełnym świetle ten niezłomny bohater... pokorny jak baranek. Zapraszał do stołu i uprzejmie odsuwał fotele. Prezes Hamilkar, członek zarządu Salam, Nabalzi, mecenas Tukadijan i z prawej Chiffonier. Kasjer? Tak jak przewidywałem. Tyłem do okna, ale nie na linii.

Skok spojrzeniem na citenzena. Za sześć siódma. Poprawiłem łokcie, podniosłem głowę i chwilę oddychałem miarowo. Piękna noc. Naprawdę piękna! Popołudniowa burza przegnała smog znad miasta. Niebo czyste i ciepłe. Krążki gwiazd układały się w te same od tysiącleci znaki. Syriusz, Psy Gończe, kawałek Wielkiego Wozu i świetliste szale Wagi. Tak! Coś się na nich ważyło. Miliony spraw. Moja była jedna, wielka jak całe niebo. Czas, Nujens! Rzeczywistość. Gdzieś z boku dymiły pożary, niesło się echo wybuchów i strzałów. Alors... Voici! Żadnych wzruszeń. Wciągnąłem głęboko zapach nocy i przymierzyłem się.

Nie ty, mój drogi. Nie ty! Ominąłem twarz Hamilkara.

Prezes tłumaczył coś Nabalziem i stanowczo zaprzeczał ruchem głowy. Ściągnął brwi, a policzki pociemniały mu gniewem. Osłaniał rękami szarą teczkę, jakby chciał uchronić jej zawartość. Zjechałem lunetą do grubych, bębniących po stole

paluchów Nabulziego. Wskoczyłem na wzorzysty krawat, biały kołnierzyk, flaczasty podbródek i utknąłem w środku czoła.

Aaaa! Jesteś cały, nababie!

W zwojach mózgu, które za chwilę będą miazgą, jest jeszcze zapisane twoje drańskie życie. Jest ta ospała żądza ostatniego wielkiego interesu. „Filostratos”, „Temistokles”, „Dafne”. Saba... siedem statków, siedem milionów dolarów.

Kto... na przeszkodzie?

Hamilkar... z niezrozumiałą jak na tutejsze stosunki uczciwością. Też coś... Patriota! Myślisz teraz, że mu to na zawsze wybiję z głowy. Twój uśmiech, gdy wchodząc spojrzalesz w szeroko otwarte okno... Co? Zapowiedź bezbłędного strzału.

Będzie bezbłędny.

Lecz w tym ostatnim ułamku sekundy powiem ci, czego nie będzie, nababie.

Nujens uskoczył w cień pinii, bo rozbłysły reflektory. Skrył w dłoni ogarek papierosa. Studebaker, rozpoznał ścięty przód pierwszego samochodu. Jeden, dwa, trzy — liczył wyjeżdżające zza zakrętu ciężarówki. Prawdłowo.

Marta dzwoniła, że gdy wyruszy konwój, to w willi nie pozostanie żaden człowiek z obstawy Nabulziego. Wszyscy... żeby dopilnować przeładunku broni. Wtedy właśnie wsiądzie do auta i pojedzie na lotnisko.

Już w drodze. Uśmiechnął się i oparł plecami o drzewo. W mijającej szoferce mignęły mu sępie profile Omara i Halefa. Jedźcie, do stu diabłów! — zaklął cicho. „Filostratos”, „Temistokles” i reszta stoją już od godziny w basenie północnym pod strażą Obróńców Cedrów. Nicolas Mansour, moi drodzy...

Przeczekał, aż znikły światła ciężarówek, i znów podszedł do porsche'a. Trzynaście po siódmej. Świetnie... tylko ta wątpliwość.

Westchnął. Jedźmy dalej; po kolei, każde odczucie... Nawet zapach powietrza.

W tym ostatnim ułamku sekundy powiedziałem, czego nie przewidziałeś, nababie. Ale przedtem jeszcze raz objąłem spojzeniem siedzących. Może dusza artysty. Miał to być mój ostatni strzał. Coś jak... pożegnanie z zawodem.

Hamilkar, zagniewany, bronił rękami dokumentów. Z prawej Chiffonier wygiął błagalnie usta w podkowę. Może i przeżyjesz, ale... dobrze, że okno jest szeroko otwarte, bo już śmierdzisz strachem. Z lewej staruch Salam. Chyba drzemał sklerotycznie w oczekiwaniu na sygnał głosowania. Zadziwiająco. Ten bankrut Tukadijan promieniał. Odsunął się z fotelem od Nabalziego, prawie pod ścianę, i zwycięskim wzrokiem mierzył jego postać. Książę Wschodu...

Psiakrew! Nujens roześmiał się głośno. Układy, wszystko to draństwo. Zapalił nowego papierosa, a gdy znów zaczął, twarz miał poważną, prawie smutną:

Cholera, lubiłem cię nawet, mój wschodni książę. Te nasze konfidencjonalne rozmówki, gdy, pochyleni, kopaliśmy dołki pod klientami. Coś z przekornego dzieciństwa. Łopatka, kubek i taki żółty, prawie złoty piaseczek. A nasze chłopięce uśmiechy? Nie przeczę, to zbliżało. Naprawdę. No ale gdy twój szpadek zaczął trochę inaczej... Fe! Grobek dla mnie?

Trzeba cię wyprzedzić!

W tym twoim całym jeszcze mózgu jest kawałek zwoju, na którym spisałeś najbliższą przyszłość. Taka kolorowa układanka. Nie przewidziałeś, nababie, że śledziłem, jak dobierasz klocki. Trwało... nim zacząłem pojmywać ten twój wypieszczony obrazek.

Tło było brązowe, jak tutejsza ziemia i place... tu i koło Sydonu. Z tych nieregularnych geometrycznie kawałków,

upłynnianych dyskretnie przez twoich agentów, układały się kupki złota.

Fiu, fiu! — pomyślałem. Majstersztyk! Urzekająca wizja spokojnej, promiennej starości. Wciągnęło mnie to. Bardzo. Szczególnie gdy dostrzegłem zarysy wielkiego południowoamerykańskiego miasta. Znałem je...

Leciałem wtedy z Valparaiso i sęczyłem ulubionego „białego konika” nad księżycowymi kraterami Andów. Później trochę pampy, eukaliptusy, araukarie i niebieski lejek La Platy. O, tam właśnie, gdzie wlewa się ocean, jest purchawkowaty, szary placek. Gdy dosączałem trzeci, było to już morze betonu i stali. Kominy, wieże, pióropusze palm przy tych wszystkich avenidos... i przy nadmorskiej też.

Skąd ty aż tam, nababie?

Pochrzała mi się układanka. Były złote obłoki, miasto, Avenida La Plata, biała willa i stos klocków, których nie mogłem dopasować. Cóż? Pozostała» Marta i człowiek w skrzypiących kamaszach.

Oni wiedzieli.

Drobny, brakujący motyw, a przecież środek obrazu.

Słodka buźka Svei Ahrenberg... Przypowieść Marty o starych pnączach, które najchętniej wspinają się na młode gałęzie. Przekonujące... jak fotografia. Pokazała mi Marta. Miniatura Marylin Monroe, ale wypukłości właściwe, domagające się pieszczot. Hm, hm! Takie coś plus hero... (że się kłujesz, podejrzewałem już we Frankfurcie. Stąd znajomość z moim bossem i te nagle przyplwy energii) to naprawdę wiosna. Koniec! Jeszcze na samym dole wąski pasek morza i siedem statków. „Filostratos”, „Temistokles”, „Dafne”... Siedem milionów dolców i zwycięski podpis: „Pinxit Dr. Joseph Nabalzi”.

Ale... gdzie ja? Albert Hagen?

Nicolas Mansour zachwycił mnie swoimi nieprzeciętnymi zdolnościami. Wyobraźnia, precyzja myślenia, oszczędność słów. Gdy opowiadałem mu o tym urzekającym obrazku, uśmiechał się i mrużył oczy. Właściwie podskakiwały tylko jego dolne spojówki, jak u ptaka wypatrującego zdobyczy.

– Zrozumiałe. Któż nie ma swojej kapliczki, panie Hagen? Ale trzeba chronić! Miejsce święte... świętych. Oczywiście... pan by tego nie zrobił. Zasady. Nabulzi może o tym i wie, ale jak to ostrożny człowiek interesu. Cmoka naszym zwyczajem i zawsze dodaje to „może”. Razem wychodzi to tak: „... pan może by tego nie zrobił”. W jego wieku nie ryzykuje się. Brak czasu.

Do tego obrazka, panie Hagen, dochodzi jeszcze komentarz, a raczej dopowiedzenie brakujących elementów. Siostra, Marta Nabulzi, mecenas Tukadijan, nasza organizacja czy związek... to już jak pan woli. Jest też i czwarty...

Powiedzmy za parę miesięcy... rok, może dwa (proszę zwrócić uwagę na to słówko „może”) południowa sjesta za ogrodzeniem willi przy Avenido La Plata. Szumiący ocean, szmerek hero w skroniach i złote włosy rozsypane na kolanach. Pomińmy urzekający zapach kwiatów przy ścieżce. Lecz sama ścieżka jest ważna! Właśnie na niej mogą zaszeleścić kroki. Znajome. Utykające z elegancją i błyskiem mosiężnych skuwek.”

Pierwsza wizyta? Powiedzmy, dwieście, trzysta tysięcy. Może trochę więcej... W tamtym klimacie ścieżki szybko zarastają, ale ta by nie zarosła.

On, nasz przyjaciel (tym razem dolne spojówki prawie całkowicie zasłoniły oczy) chce przed odlotem mieć to za sobą. Tak jak Martę, Tukadijana i nas... braci.

Niebieskie linie lunety krzyżowały się dokładnie na środku czoła, nababie. Właśnie tam, gdzie był ten czwarty element, potwierdzony telefonem Marty. Jutro przed „White Horse” miał się zdarzyć wypadek, Banalny... człowiek na jezdni.

Właśnie tego nie będzie, Nabulzi!

Nacisnąłem spust. Pierwszy opór. Drugi był delikatny, ale miałem czas pomyśleć... Chromający człowiek na jezdni i roz-pędzone auto. Chyba Halef. Znakomity kierowca. Wyczułem opór trzeci.

Oddech, myśli... wyłączyłem. Nic! Doskonała pustka. Żadnego powiewu wiatru i zapachu. Nacisnąłem. Kopnęła. Lecz w lunecie już przedtem była ciemność.

Nujens zgasił papierosa, wsiadł do porsche'a i uruchomił silnik. Gdy wyskoczył na Avenue de Paris, kierując się do „Palm Beach”, pomacał kieszeń. Kształt wembleya był chłodny, jak myśl o spotkaniu z Nicolasem Mansourem.

Nujens dosączył dżin z tonikiem, gdy wraz z cieniem przekreślającym stolik podpłynął z boku Nicolas Mansour. Było dwadzieścia pięć po siódmej, a więc do spotkania jeszcze całe pięć minut.

Gdy cień zsunął się z niedopitej szklanki, zdziwił się, że nie słyszał skrzypu popielatych kamaszy. Impossible? Zaszokowała go zmiana w wyglądzie. Vraiment! Niemożliwe! Wydłużył twarz zdziwieniem patrząc na wygięte z fasonem rondo nowej panamy i barwną, promieniejącą twarz.

Wieczorna bryza napierała z szumem na żółknące liście żywopłotu i hułała światłem zwisającej nad stolikiem lampy. W rytmicznych wahnieniach ukazywały się nowe szczegóły. Zadbany, przesadnie pretensjonalny aktor! Patrzył na przyczer-nione brwi i plamy różu barwiące pomarszczone policzki.

Mieniący fular zakrywał fałdy szyi i kontrastował z zielenią eleganckiej marynarki.

Mansour lekkim uśmiechem skwitował spojrzenie Nujensa utkwione w jego spiczastych ciemnobrązowych golfach. Wysunął spod stolika nogę i powiedział:

— To był już ograny numer, Hagen. Kamasze... znakomite przy mojej drepczącej robocie, ale zbyt wielu znało ten skrżyp. Niby dla przyjaciół znak, że nadchodzę. Ale w dzisiejszych czasach gdzie ich szukać? Układy. Tylko!

Ostatnie słowo zadźwięczało jak sygnał. W milczeniu, które zapadło, Nujens uchwycił badawczy wzrok Mansoura.

Nic z tego, mój drogi! Spuścił powieki i wyciągnął rękę po papierosa. Policzki mu przybladły, lecz zaraz skrył twarz za chmurką dymu. Nic z tego. Odchylił się do tyłu. Musisz pierwszy puścić farbę.

— Ten odświętny wygląd — zaczął Mansour chropawo, gładząc klapę marynarki — to szacunek dla... majestatu śmierci! Kolor naszych cedrów. Pan zapewne nie widział naszych pogrzebów, Hagen? Wtajemniczeni... nie na czarno. Gdy w ciszy słyhać skrzypienie pasów, na których trumna powoli zjeżdża w dół, przeżmy się na baczność. Niezależnie... czy prawdziwy brat, czy zdrajca. Majestat śmierci.

Lampa znów rozbłysła nad głową Nujensa. Gdy wraz ze słonym podmuchem wiatru odchyliła się w bok, twarz Mansoura wyskoczyła niespodziewanie blisko.

— Trafił pan, Hagen! Umarł dokładnie dziesięć minut temu. Przyjechałem wcześniej, żeby rozwiać wątpliwości. — Przesunął wzrokiem po skaleczonej dłoni. — Co? Zegarek? Rozumiem. Tego pan nie mógł przewidzieć. Inaczej dałby pan poprawkę. Nagła ciemność, głowa odruchowo w górę. Dlatego

kula przebiła tchawicę. Nie takie ważne, ale w rżeniu powtarzał uporczywie pana nazwisko.

Czerwone obwódki zwięzły się, a źrenice strzeliły ostrym strumieniem światła. Igły! Nujens poczuł na policzkach powiew chłodu.

— Niepowodzenie, Hagen. Tam było pięciu ludzi. Pięciu odrębnych i różnie myślących ludzi. Nie, nie! — dorzucił i uspokajająco przykrył ręką dłoń Nujensa. — O tym niech pan nawet nie myśli. Z policją i prasą... załatwię. Ale jego obstawa. To ludzie z Bharré, z jego wiosek. Nieustępliwi górale. — Cofnął dłoń, bo nad stolikiem wyrosła sylwetka kelnera.

— Napój z mandarynek — rzucił flegmatycznie. — No i chyba podwójną scotch? — Mrugnął przyjaźnie w jego stronę.

Światło znów odpłynęło od Nujensa. Odtajał w łagodnym półcieniu i równie przyjaźnie kiwnął głową. Pierwsza runda, przemknęło mu przez myśl. W drugiej... zaatakuj znienacka. A w trzeciej? Dyskretnie namacał wembleya, bo Mansour wsunął rękę do kieszeni. Gdy znów zaczął mówić, głos jego był oschły, urzędowy:

— Z tymi góralami... sorry, excusez — poprawił się — ale to już pana sprawa. Z nami wszystko w najlepszym porządku. Płacimy punktualnie. — Wyciągnął kopertę i podsunął ją do paczki gitane'ów. — Niech pan sprawdzi, Hagen.

Nujens rozchylił palcami kopertę i spojrzał tylko na zera; czek był niebieski, wystawiony na City Bank w Zurychu. Stłumił radość i rzucił zdawkowe podziękowanie.

— Zaskakujące, prawda? — zaczął Mansour.

— Nie rozumiem?

— Te niepowodzenia. Z tym światłem, później z zegarkiem... Ostrzeżenie przed prawem serii!

— Prawo serii... — powtórzył drewnianym głosem Nujens.

Główny atak, pomyślał i poprawił się na krześle. Czekał chwilę, aż rozbujana lampa utknie nad głową Mansoura. Wszechwiedzący! Gdybym teraz spytał o prawo serii, przegrałbym! Z kretesem. To już byłoby nieodwracalne. Obcym, suchym głosem powiedziałby o Marcie czekającej na lotnisku, bilecie lotniczym, który mam w kieszeni, i właśnie o trzecim niepowodzeniu. Gorylach Nabalziego zaczajonych przed wejściem na lotnisko.

Milczenie.

Lampa znów zatoczyła łuk, przysuwając się do Nujensa. Mansour tkwił teraz na tle rozświetlonej autostrady. Pędziły nią auta. Błyskały lakierem w smugach latarń i gasły iskrami czerwonych światełek.

Strzelić?

Oczywiście byłoby zamieszanie. A jego ludzie? Są. Na pewno! Przytknął do ust szklankę. Przypuśćmy, że nie zdążą. Skok przez żywopłot i do porsche'a parę kroków. Tam... arsenał, pomyślał o granacie. Nawet pięciu! Wywołał wyobraźnię zmasakrowane ciała. Ale co dalej?

Właśnie... wyobraźnia.

Gdyby tylko chodziło o nich. Boczными ulicami przepchnąłbym się do lotniska i tylko na moment wypłynął przy barierce. Bilet, dowód, torba podręczna... nawet nie pół minuty.

Twarz Mansoura znów była blisko.

Wyobraźnia!

Z pobliskiego „Vendôme” spłynęły dźwięki fletów i bębenków. Już od trzech tygodni koncert muzyki francuskiej kończył się o wpół do ósmej, a potem występował modny zespół Niny Fejruci.

Ta arabska śpiewaczka jeszcze z początkiem letniego sezonu

zabłysła w Byblos jak meteor. Na tle ruin starej rzymskiej cytadeli śpiewała piosenkę o tragedii legendarnej Petry, Wpadająca w ucho melodia, ciekawy układ fletów, bębenków, a na koniec wystrzał bata i tętent oddalających się koni, wszystko to sprawiło, że ta piosenka stała się wkrótce przebojem turystów.

Nujens znał dobrze melodię i widział Ninę w hotelu „Normandy”, gdzie podczas swych nocnych eskapad wpadał czasem na drinka.

Robiło wrażenie.

Białe krąg światła i ciemnooliwkowe bożyszcze o twarzy i postaci z fenickich fresków. Czarne włosy opadały na delikatne ramiona, muskając złote napierśniki. Najwymowniejsze jednak były dłonie. Wąskie, długie, o karminowych paznokciach, ujęte w przegubach bransoletami wisiorków trzepotały jak ptaki. Układały się miękko niczym piaszczyste wydmy, to znów strzelały w górę, rozwarte, przypominające ozdobne kielichy kapiteli fenickiego pałacu. Opowiadały... Tuliły drobne ciało syna, macierzyńsko podawały mu pierś i wreszcie, samotne, splotły się na czole. Strzał bicia i tętent oddalających się jeźdźców...

Gdy w Bejrucie rozpoczęła się „czwarta runda”, przekształcając się wkrótce w wojnę domową, kasety z nagraniem Niny Fejruci awansowały do rewolucyjnej carmagnoli. Grały ją i nuciły wszystkie walczące strony, tylko że trzask bicia stał się trzaskiem śmiercionośnych pistoletów maszynowych.

Zawsze praktyczny Nicolas Mansour trochę inaczej tłumaczył popularność śpiewaczki. „Zbija grube tysiące, szczególnie gdy śpiewa na zamówienie — mówił suchym, już trochę starszym głosem. Hagen... Ta melodia teraz to ostrzeżenie dla braci,

co chcą zdradzić. A strzał bicza? Wygodny. Głuszy. Wymierzony w plecy”.

Niestety... sprawdzało się. Przynajmniej donosił tak „L'Orient Le Jour”. Nieraz po zapaleniu świateł zamierały oklaski i goście odsuwali się ze grozą. Porachunki!

Nujens poczuł, jak blednie, i znów przesłonił twarz szklanką. Teraz ta melodia to na pewno przypadek. Żelazne ręce przygniotły barki, a oczy wpiły się w oświetloną twarz Mansoura.

Może i złudzenie.

Drgała ironicznym uśmiechem. W wykrzywionych, pomarszczonych ustach czaiło się pytanie. Pamiętasz? Przypomnij sobie, Hagen.

Pamiętam! Wychylił do dna scotcha i wraz z ostrym smakiem napłynął pełny obraz.

„Palm Beach”, ten sam co teraz, tylko gorętszy, bo w rozpalony lipcowy wieczór. Skrzyp kamaszy dobiegł go, nim jeszcze sylwetka Mansoura ukazała się w oświetlonym wejściu. Przystęgly ekspert był dziwnie uroczysty. Twarz mu jakby odmłodziła. Masaż albo zadowolenie. Zginęły zmarszczki, a zwykle zmęczone oczy jaśniały energią.

— Hello, Hagen! Przesiadźmy się tutaj. — Podciągnął go pod żywopłot.

Pili jak zazwyczaj. On ten swój mandarynkowy napój, a Nujens szkocką. Gdy po dobrym łyku zaczął swój raport o bieżących interesach Nabalziego, Mansour przerwał mu niedbałym gestem dłoni.

— Później, mój drogi. Rozmawiałem z braćmi... — Pochylił twarz z wyraźnym szacunkiem. — Długo jeszcze ma pan zamiar strzelać, Hagen? — „padło wraz z gorącym oddechem. — Rok, dwa, trzy? — Znów machnął ręką. — Nie trzeba! Znam odpowiedź. Po prostu do skutku! Inaczej mówiąc, aż suma na koncie

zapewni „znośne” życie. Przy niezawodnym oku... realne, tylko te koszty handlowe mogą być nieznośnie wysokie. Kara śmierci! — Znów niedbały gest dłoni. — Oczywiście, pan się nie boi, Hagen. Ale więzienie? Tak bez terminu?

— Można żyć nadzieją i... kształceniem kadry. — Nujens uśmiechnął się, bo mignął mu obraz Reukena.

Mansour zmarszczył brwi i powiedział poważnie:

— Nie z wszystkiego można żartować. Ma pan swoje lata i lubi... — Zjechał wzrokiem na szkocką.

Nujens teraz zrezygnował z uśmiechu i już szykował ripostę w sensie: „Odchrzań się pan z tymi swoimi moralami...”, lecz Mansour powstrzymał jego słowa ruchem ręki. Przybliżył do niego twarz i ściszył głos:

— Hagen, nim dopuścimy... to przez przysłowiowe ucho igielne. Pan przeszedł gładko. Pofatygowaliśmy się nawet do Paryża. Wyjątkowa zręczność, posłuszeństwo i dyskrecja. To ostatnie... szczególnie. Nie możemy ryzykować, żeby ktoś w Europie, Ameryce czy gdziekolwiek bądź puszczał farbę o tych, co naprawdę pilnują cedrów. A teraz krótko. Cztery miesiące... Milion w gotówce lub czekach. Honoraria za każdorazową likwidację. Oczywiście stuprocentowe bezpieczeństwo wyjazdu. Dokumenty... nawet operacja twarzy. Swobodny, bezpieczny człowiek. Kierunek? Gdzie tylko pan zechce.

No co? Tylko cztery miesiące. Zmniejsza pan ryzyko. I jeszcze jedno. Żadnych gwarancji, zapewnień czy przysiąg. Krótkie „tak!” „Naam” po arabsku. Nauczył pan się już tego słowa? Całkowicie wystarczy!

Bryza znów zaszumiała w wędnącym żywopłocie. Od portu dobiegł przeciągły ryk syreny. Jeden, drugi, trzeci. Nujens nie liczył dalej. Wiedział, że będzie siedem. Zatrzymane w północnym

basenie greckie statki miały widocznie służyć rampy wyładunkowej.

Tanio się urządził! Spojrzał z uznaniem na lekko uśmiechniętą twarz Mansoura. Konfiskata wielomilionowego ładunku plus odszkodowanie od Hellenic Trading Co, za zwolnienie uwięzionych statków. Maestro! Właśnie... takiego wykołować to naprawdę... Już zdecydował! Zaufanie... Zdobyć na nowo pełne zaufanie.

— Tak! Oczywiście, że tak! rzucił w nasuwający się krąg światła. — Stoi. — Wyciągnął dłoń, jakby lipcowa propozycja była wypowiedziana przed chwilą.

Mansour promieniał. Uśmiechnął się szeroko i mocno ścisnął mu dłoń.

— Rozsądnie, Hagen. Pojął pan. Na Bliskim Wschodzie ludzie błędzą rzadziej niż tam u was. Nie zostawiamy wyboru. — Głos był twardy, poparty mocnym błyskiem oczu. — Przypuścimy, że zmyliłby pan ludzi Nabulziego i dostał się na lotnisko. W samolocie... sam. Zupełnie sam. Marta Nabulzi już wie... i musi zostać. Nieważne, parę dni, miesiąc czy dłużej. Odziedziczyła wszystko, a więc i długi brata. Trzeba płacić! Nie chcemy ani dolara więcej. Teraz wiem, Hagen, że zostanie równe cztery miesiące. — Mrugnął porozumiewawczo. — I właśnie to jest rozsądne. W styczniu, jak dobry wujek, odwiozę was osobiście z kwiatami, i zapewniam... nie będzie prawa serii.

Nujens nie potrzebował udawać zadowolenia. Ogarnęło go, wraz ze scotchem. Diabelnie mnie potrzebuje. Oni potrzebują! Wyobraźnią objął całe niebezpieczeństwo, którego uniknął. Katastrofa... i to w ostatniej minucie! Prawie z sympatią spojrział na twarz siedzącego.

— Zrozumieliśmy się. — Cofnął dłoń i sięgnął do kieszeni.

— O, to już dawno! — Rondo panamy przesłoniło twarz

Mansoura i Nujens nie dostrzegł wzgardliwej ironii: — Niech pan zostawi, Hagen! Ja zapłacę. Ile? — rzucił do kelnera, który już stał przy stoliku.

Zaszokuję cię, stary fenicki lisie. Mówiłeś o tym waszym Bliskim Wschodzie? W Europie też nie brak spryciarzy! Wyciągnął z kieszeni kopertę i podsunął Mansourowi.

— Zaufanie za zaufanie! — rzucił niedbale. — Zwróci pan w styczniu... na lotnisku.

Rondo panamy skoczyło w górę, a oczy rozbłysły zdziwieniem. Przez chwilę palce mięły kopertę, jakby sprawdzały jej zawartość. Wraz z nasuwającym się cieniem twarz odpłynęła. Nujens znów nie zauważył dziwnego skrzywienia ust.

— Vraiment... Beau geste! — padło z oddali. — Wahnięcie lampy i głos zbliżył się. — Piękny gest. Doceniam! Ale nie skorzystamy. — Zwrócił czek.

Nujens poczuł przyjemny dreszcz, jak w Casino du Liban, gdy skacząca po przegródkach kulka wpadała na obstawiony kolor. Twarz na wprost, w pełnym świetle, poszarzała znużeniem. Serce? Już nie te zastawki, staruszku? — Stał mu w pamięci Reuken, który podczas rozmowy bladł nagle, a później łapczywie łykał powietrze. No cóż? Może jeszcze paręnaście lat temu wykołowałbyś europejskiego snajpera. Teraz... już chyba nie.

Mansour rzeczywiście otworzył szeroko usta i westchnął. Lecz gdy zaczął mówić, głos miał normalny, trochę oschły, jak zwykle, kiedy omawiali bieżące sprawy.

— A my... spotykamy się w niedzielę?

— Oczywiście — skwapliwie potwierdził Nujens.

— Do hotelu... nie radzę. Nie wątpię, że na te trzy dni znajdzie pan jakieś ustronne miejsce. Później pomyślimy.

Wstali i wyszli razem.

Koło drzwiczek porsche'a jeszcze ostatni uścisk dłoni. Nujens dotykał już klamki, kiedy Mansour ujął go za ramię. W miarę wypowiedzanych słów naciskał lekko, jakby podkreślając ich znaczenie.

— Hagen, naprawdę... niech pan nie myśli, że będziemy pana śledzić. To brutalne i dobre w Europie. Najbezpieczniej każdy śledzi siebie. Wierzymy. Mamy pewność. Droga, którą pan wybierze, będzie dla nas zawsze właściwa.

W nocy Nujens budził się parokrotnie, a pierwsze przebudzenie było początkiem tego długiego, nieznanego jeszcze dnia.

Stara kanapa, pełna wadołów, przy każdym ruchu pojękiwała sprężynami. Lecz sen, który go chwycił zaraz po wyjściu Emila, szofera Marty, był jak śmierć. Wyłączył wszystko. Ostatnie odczucia... kroki na schodach, szcęk zasuwy, śwąd zgaszonej świecy i zaraz ocean mroku. Spływał po jego powierzchni w głąb, aż do dna, i wtedy zgasło wszystko.

Obudził go ostry ból w kolanie.

Ze złością wykopał torbę podróżną, która uwierała go w nogę, przekręcił się na wznak i zapadł jeszcze w krótką drzemkę. Właśnie wtedy z sufitu, a właściwie ze smugi światła wpadającego z ulicy wyskoczyła twarz Reukena. Zaczerwieniona od ogarka papierosa przysunęła się blisko, jak kiedyś w Antwerpii, gdy Reuken podczas nocnych rozmów wychylał się z górnej pryczy. „Eee... Blanc bec! — zachrypiał głos i zaraz suchy atak kaszlu. — Blanc bec, braciszku. Słuchasz mnie? Uważaj!” Nujens miał świadomość, że to tylko wizja, dlatego twarz znikła,

ale echo słów drgało jeszcze. Ruch ręki pod marynarkę i już siedział z wembleyem wbitym w mrok poddasza.

W pobliskim porcie wyła głucho syrena statku, Nujens spojrział odruchowo na zegarek, lecz na przegubie dłoni ciemniała tylko blizna po wczorajszym skaleczeniu. Odłożył pistolet i sięgnął po citenzena. Nieruchome wskazówki wskazywały za trzy minuty siódma.

— Putain! — zaklął i spojrział w ciemne szyby prześwitujące kolorowo jak witraże. Wstał, ostrożnie uchylił okno.

Za szpalerem rosochatych akacji oleisto spływała rzeka. Bliżej majaczyły kontury straganów, arabskie szyldy i blaszane żaluzje sklepów. Domki były niskie i nie przesłaniały widoku nieba.

Podczas nocnych czuwań w apartamencie Nabluziego nauczył się określać godziny z położenia gwiazd. Teraz, patrząc na dyszel Wielkiego Wozu wbity w linię horyzontu, wiedział, że dochodzi trzecia.

Pełne cztery godziny! Pomyślał o śnie, który zmorzył go tak gwałtownie. Pełne cztery godziny bezbronności. Lecz to już nie problem... minęło. Trzeźwy nasłuchiwałbym zapewne szelestów, skrzypnięć, a tak patrzę w zbliżający się świt.

Przeciągnął się i stuknął po bicepsach. Stal! A potrzebne są na dzisiejszy dzień. Wsunął pistolet pod marynarkę i utykając podszedł do bielejącej w kącie miednicy. Namacał dzbanek i chwilę pił łapczywie.

Ten cholerny Reuken! Odsapnął i usiadł na brzegu kanapy. Wrósł we mnie. Nawet we śnie słyszę jego słowa. „Uważaj!” Skarcenie za nierozwagę czterogodzinnej nirwany. Oparł nogę o krzesło i chwilę gładził zdrętwiałą łydkę.

Mais... ça va! Poruszył palcami. W każdym razie czterech godzin snu nikt mi już nie odbierze. A teraz sytuacja, Nujens.

Sytuacja! Rozejrzał się po poddaszu.

Brudna, peryferyjna melina. Stęchły odór drobiu, lajna, przenikający przez deski. Zmrużył oczy i znów przeciągnął się, aż zatrzeszczało w kościach. Za paręnaście godzin... „Excelsior” albo „Majestic”, w luksusowej dzielnicy Zurychu. Muzyka i przytłumione światła. Marta, kawior i ulubiony „konik”. No i deserek... taki na całe życie! Przeczekał zawrotną defiladę zer. Jedźmy! — rzucił sucho. Dokładnie, żeby nic nie uronić z historii, która zaczęła się wczoraj wraz z sygnaturką pobożnych ojców.

Dziesięć przed ósmą wyjechałem z „Palm Beach”. Ósma dwie telefon do Marty. Rozmównica róg Abdel Azis i El Mraise. Przez szybę widziałem oświetlone okna tarasu.

Czekała!

Nie tylko ciało, twarz, włosy, ale i nerwy super. Krótkie, urywane słowa. Słuchający z boku nie skleciłby nawet jednego zdania. Sens? Najgłębszy! Właśnie z nieodomówień i barwy głosu. Chytry, jedyny plan.

Ósma siedem.

Stałem przed porsche, kiedy zaszeleściły kroki. Oczywiście... ręka do kieszeni, lecz zaraz puściłem wembleya. Emil. Szofer Marty. Miły, ujmujący chłopak. Pół-Francuz. Oliwkowa cera, białe jak śnieg zęby i paryski akcent. W rękawie recepty na wszystkie okazje.

Tym razem on dorwał się do kierownicy.

Pusto. Kluczyliśmy na zgaszonych światłach, omijając posterunki. Właściwie przeskakiwaliśmy między plamami cieni drzew, domów, w mroku, ale i w świetle jego szerokiego uśmiechu. Trwało, ale nie denerwowałem się. To już była Europa.

On mówił. Niefrasobliwie, lekko, jak na Pigalle, gdzie kiedyś natknął się na Martę.

Il ne faut pas se casser la tête, monsieur!

Faktycznie nie warto było łamać sobie głowy. Słuchałem, paliłem i jemu też podawałem przypalonego papierosa. Z dymu układał się wyraźny obraz. Może nie arcydzieło, ale miał ręce i nogi.

Ach ta Marta!

W „Majestiku”... morze kwiatów. Nie róże. Storczyki, orchidee i inne południowe cudenka. Drzwi apartamentu na osiem spustów i w kubelku veuve cliquot. Ja dalej na swoim „koniku”. Podziękuję. Podziękuję. Jeszcze lepiej niż niezapomnianej Roselare.

Il ne faut pas se casser la tête! — kończył krótkie, ale treściwe zdanie Emil.

Chyba dobrze po dziesiątej wyskoczyliśmy z cienia ostatniego drzewa ulicy Ibrahim w rozległy plac dźwigów, transporterów i pogniecionych aut. Medawar? — zdziwiłem się poznając składnicę złomu. W kwietniu z polecenia Nabulziego załatwiłem transport koparek i dźwigów dla „Rocher de Paradis”. Emil prosił, żebym wysiadł, i na dobry kwadrans zostawił mnie przed bramą. Wrócił sam, bez auta.

Il ne faut pas se casser la tête! Uśmiechnął się szeroko. Szybko schnący lakier. Jutro po południu sprowadzę panu nowiutkiego wiśniowego porsche'a. A teraz w lewo. Ujął mnie pod ramię.

Minęliśmy ogrodzenie i skręciliśmy w wąską uliczkę. Z daleka dochodził szum rzeki. Rue d'Abbattior — wyjaśnił. Excusez, ale tu... Pociągnął nosem. No... ulica rzeźni, ma prawo. Na szczęście mój stryj załatwia tylko kurczaki. Excusez. Ale za to miejsce jest stuprocentowo pewne.

Zapaliliśmy przyglądając się sobie wzajemnie. Zdziwiła mnie nagle zmiana w wyglądzie Emila. W świetle dogasającej

zapalki twarz miała wyraz śmiertelnej powagi, a oczy pały jak w gorączce.

— Excusez, monsieur, excusez. Może to i poufałość, ale muszę powiedzieć.

— Wal, Emil. — Uśmiechnąłem się sztucznie, zaszokowany tonem jego głosu. No? Co takiego?

— Madame... — zaczął. — Jeżdżę z madame ponad trzy lata. Zabierała mnie do Europy, ale od czasu jak poznała pana, Pierre, coś... — zmarszczył brwi. — No, coś się zmieniło! — wyrzucił z siebie.

— L'amour, mon cher! — Klepnąłem go w ramię.

Ukroczył jak oparzony, a twarz mu pociemniała rozplywając się w mroku. Oczy tylko płonęły jak pochodnie. Jednak Arab, pomyślałem o jego mieszanej krwi. Ekstrakt wysublimowany słońcem Bliskiego Wschodu.

— Niech pan nie mówi... l'amour. Widziałem na tym okrzyczonym Pigalle — nieokreślony gest ręką — jasnowłose laleczki, które trwały się i podcinały sobie żyły dla długowłosych bandziarów. Albo wystawały po rogach, żeby rano przynieść im pieniądze. Dla amerykańskiego turysty... poszłyby w ogień! L'amour, miłość. — Wzgardliwie wyduł usta. — Gorący wiatr... mija. Madame, moja pani... Ona już nie jest sobą. Pan rozumie, Pierre?

Emil przechylił się i mówił oddychając szybko. Mówił i mówił. Właściwie jakby jeszcze raz wszystko przeżywał.

Marta była już spakowana, a on czekał na korytarzu. Widział, jak poprawiała makijaż w lustrze. Promieniejąca, zwycięska. Uosobienie... W willi i na dziedzińcu nie było już nikogo, bo Halef i Omar odjechali z ciężarówkami. Tylko równy warkot gotowego do drogi chevroleta. I nagle ten telefon. Nic z podróży. Musi zostać! Pan wie, jak to wyglądało, Pierre?

Z bogactwem zżyłem się, myślał tymczasem Nujens, było ze

mną. Nawet już planowałem. Od wielu dni te wszystkie ogłoszenia w „Financial Times” o lokatach, papierach wartościowych, kursach i tendencjach światowej giełdy stały się po prostu wypukłe. Może własny bank? Zbyt absorbujące. Apartament... biuro i parę telefonów. Niech o to troszczy się mój agent. Ja? Śmietankę!

Tyle jeszcze pięknych, nieznanych przeżyć!

Podróże? Znałem Paryż, Południową Amerykę, Bliski Wschód. Owszem. Ale najpierw nogi mocno w ziemi, i to chyba starej Anglii.

Pozycja.

Dbalem o to. Nawet w takiej Antwerpii nie zadawałem się z byle kim. Schludny, czysty... w towarzystwie Reukena. A to arystokracja... dożywotnio.

Później... niekoronowany król strzelców, i to wyborowych. Wiem z Frankfurtu, jak ciężko przeżywa się deklasację. No a teraz, kiedy schwyciłem świat... jestem tylko zwykłym bogatym człowiekiem? Nie. Sir! Tytulik też można kupić, jak zameczek, sforę psów i groomów. Dobra, stara szlachta. Moda na retro. Polowanka z trąbkami, tętentem rasowych koni i niezawodne oko. A czasem... dla wprawy zdmuchnięty kapelusz oryginalnego lorda. Co?

Gdy Emil mówił, mignęło mi to jak miraż. Ogarnęło mnie przyjemne ciepło. Czulem, jak do tych zer, które towarzyszyły moim przebudzeniom, dochodzi jeszcze jedna wartość. Niebagatelna.

Ująłem go pod ramię, żeby już skończył i jechał dalej, ale wyswobodził się.

— Monsieur, pan musi to pamiętać całe życie, każdy szczegół! Więc jak ten telefon... że madame musi zostać...

— Emil! — zniecierpliwilem się. — Mówiłeś już! No przeżyła, głęboko. Rozumiem, szok, wzruszenie, łzy.

— Żadne łyzy. — Wpił palce w moją dłoń, aż syknąłem z bólu. — Pan musi to zapamiętać, Pierre. Manekin! Ani kropli krwi. Sztuczne, urywane ruchy, jak w niemym filmie. Widziałem w lustrze. Twarz? Przeraziłem się... Za czterdzieści lat będzie wyglądać młodziej. Ledwo zdążyłem doskoczyć, żeby... Ugryzła mnie w rękę! O, tu. — Pokazała na sine ślady zębów. — Błyskawicznie, jak zwierzę w potrzasku. — Głos Emila załamał się jakby szlochem. — A później... — zająknął się. — Później madame, przed którą głowy schylały się do ziemi, ludzie rozstępowali na ulicy... na kolana. Żeby tylko strzelił lub oddał pistolet. Pierre, tego nie wolno panu zapomnieć! Piękna... może najpiękniejsza kobieta, milionerka... na kolana.

Po tych słowach zwiotczał. Poprosił o następnego papierosa i ruszyliśmy wreszcie w kierunku rzeki. Za ciemnym szpalerem rosochatych akacji płynęła wolno, oleście, odbijając gwiazdy. Milczenie.

Patrzyłem na Emila. Pochylony ciał ostrym profilem poświęcił nocy. Niezły chłopak. Ma wnętrze!

— Dziękuję... Cenne to dla mnie. Nie zapomnę na pewno. Też... nie przyszło mi łatwo.

Odwrócił się z łagodnym uśmiechem.

— Przepraszam, monsieur Pierre. Poufalość. Jak wybuch... nie mogłem powstrzymać. Ale teraz o panu. Madame powtarzała chyba pięć razy. Gdy wstała, jakby wstydziła się swojej słabości. Zaraz jak granit... monsieur Pierre. Mężczyzna! Błyskawiczne decyzje. Nikt nie potrafiłby lepiej.

Mimo że ulica była pusta, przysunął blisko twarz i szeptem:

— Pan... ginie! Słucha mnie pan? Ginie... jak ten porsche, którego opryskują teraz wiśniowym lakierem. Na tym poddaszu, u mojego stryja... prymityw. Trzeba wytrzymać! Ani kroku... do

czwartej! Stryj w sklepie. Ale jest tam taki chłopak, Mehmet... Wystarczy krzyknąć. Załatwi wszystko. Po południu, przed czwartą przyjadę z Medawar nowiutkim wiśniowym porsche. Ubranie, paszport, a może i bilet na samolot. Potrzebne tylko zdjęcie. Madame Marta mówiła, że ma pan przy sobie.

Odetchnąłem.

Chwyciłem portfel, lecz Emil przytrzymał mi rękę.

— Nie tu. U stryja.

— Lubię cię, Emil. — Klepnąłem go w ramię. — Widać od razu, że chowałeś się w Paryżu.

— I tak, i nie. Biedowałem na prowincji. Później trochę lepiej, ale pan wie, co to za kółkiem... Nie na własny rachunek. Madame Marta wyłowiła mnie. Zrobiła ze mnie człowieka. Prócz niej żadnego innego boga! — Dotknął piersi.

— Oczywiście, oczywiście. Ja też nie. Możesz zapewnić... i podziękować. Akceptuję! Wszystko bardzo zgrabnie. Tylko... z tym paszportem, Emil. Naprawdę zdążysz? Znaki wodne, numery serii, pieczęcie. Nawet w takim Paryżu... specjalista, to zawsze dwa, nawet trzy dni.

Śmiech był szeroki i głośny.

— Nie tu, w Bejrucie. Tu prawie każdy jest specjalistą. Problem zręcznego wlepiania fotografii. Te wszystkie auta, które znajdują się na poboczach szosy... puste, lecz bagażniki roją się od much. Tam właśnie są oryginalne paszporty.

Nujens uśmiechnął się i zgasił papierosa. Koniec rozdziału. Chyba już przedostatniego. Jeszcze może to, że na zegarku Emila była dokładnie jedenasta. Później milknące kroki, zasawa przy drzwiach, śwąd zgaszonej świecy i bezbronność. Nie. Teraz można powiedzieć już na pewno. Mocny, krzepiący sen.

Za oknem niebo mleczniało od nadchodzącego brzasku. Otulił się marynarką i przymknął oczy.

Drzemki, w które zapadał, były lekkie i powtarzały wizje wczorajszych wydarzeń. Mieszały się z odgłosem budzącej się ulicy, ale wciąż jeszcze wyskakiwał czerwony neon Crédit Libano-Alsacien, ludzie przy owalnym stole, twarz Nabulziego i niespodziewana czerń lunety.

Mam szczęście! Uśmiechał się przez sen, wspominając karokolomną jazdę porsche i równie niebezpieczną rozmowę z Nicolasem Mansourem.

Lecz zawsze na końcu wizji rozjarzała się twarz Marty Nabulzi. Wyselekcjonowane kadry barwnego filmu. Wchodząca na plan postać, kroki, gesty i nagłe zbliżenia.

Przecież to... cała nasza historia! Olśnił go widok kolejno wypływających twarzy. Dumna, wzgardliwa przy pierwszym spotkaniu w „Holiday Inn”, przejęta grozą w Baalbeku i... prawie zaraz skurcz spazmu. Powtarzał się w ujęciach hotelu, mieszkania i tła, tych wszystkich skradzionych zęczenie chwil.

Jak to on o tobie powiedział? No, ten wspaniały chłopak, Emil? Takie jedno... bezcenne słówko? Ach tak, manekin. W moich rękach.

Ciepło pozostało długo. Nawet jeszcze wtedy, gdy jak pięść uderzył wrzaskliwy bigbeat. Chrapliwe gdakanie, pianie i trzepot skrzydeł. Poderwał się w pełne światło dnia.

Przez uchylone okno docierał doń zgiełk ulicy. Monotonne nawoływania handlarzy, turkot wózków i krzyki poganiaczy osłów. Lecz wszystko to głużyła piekielna kakofonia dźwięków zza ściany. Pochylił się i spojrzął przez szparę w deskach.

Uderzył go swąd i lepki obłok pary wydobywający się z miedzianego kotła. Słońce wypięte nad drewnianą szopą zalewało

dziedziniec złotawą czerwienią. Cuchnęło krwią i grozą rzezi niewiniątek.

Zgrabny arabski chłopak raz po raz podbiegał do szopy, uchylał skrzypiące drzwiczki klatek, chwycił kurczaki i z głośnym tupotem przebiegał dziedziniec. Wyciągał je kolejno spod pachy i podawał stojącemu koło kotła brodaczeni. Ten łagodnym, płynnym ruchem chwycił je za szyję, odsłaniając przy tym białe zęby.

— Mia wa aszar... Sto dziesięć! — ciskał kolejną liczbę. Chłopak mruczał śpiewnie i potakiwał głową.

Dopiero wtedy okrwawiona ręka strzelała w górę. Jednym ruchem palca odsłaniała ostrze brzytwy i spadała z tym błyskiem.

Patrzącemu z góry Nujensowi wydawało się, że brodacz trafia w swoje zaciśnięte palce. Strach! Skurcz śmiertelnego strachu. Pogrzebowy gong i jeszcze trzepoczący skrzydłami kurczak ginął w kłębach pary.

Nujens cofnął się i przepłukał usta wodą. Była stęchła, zalutująca rdzą poobtlukiwanego, dzbanka. Ależ melina! — mruknał. Szarpnął zasuwę drzwi i wychylając głowę na spadziste schody rzucił głośno, zagłuszając jazgot podwórza:

— Mehmet! Ahtagu ila... — zaczął, lecz na tym kończyła się jego znajomość języka. — La flotte! — krzyknął ze złością. Zmitygował, się zaraz, bo chłopak, który wbiegł po schodach, nie był tym od kurczaków. Wyglądał schludnie i rozbroił Nujensa sprytnym spojrzeniem i zupełnie znośną francuszczyzną:

— Tout de suite, monsieur! — Usłużnie pochwycił dzbanek. — Petit moment!

Nujens wyciągnął nesoser, wyjął z niego mydło, szczotkę do zębów i spojrzał z niechęcią na skórzany futerał golarki. W tej dziurze, gdzie przy kopającej świecy z trudem wczoraj odnalazł potrzebną Emilowi fotografię, to elektryczne cacko było bezużyteczne.

Przy mojej opaleniznie... Chyba ujdzie? Pochylił się nad lusterkiem, macając rudawe kępki włosów. Tym bardziej wieczorem.

Zgiął rękę i spojrzął na zreperowany zegarek. Nieoceniony chłopak ten Mehmet! W ciągu dnia wyświadczył mu tyle usług, że lśniaca na stole dwudziestodolarówka nie była wcale zbyt hojnym napiwkim. Posprzątał, nakrył stolik serwetą, przyniósł z miasta śniadanie, a później obiad — z przyzwoitym, krwistym stekiem. W czasie posiłku Nujens, owiany zapachem wołowiny i frytek, pomyślał, że gdyby zaserwowano mu kurczaka, cisnęłyby nim w ten śmierdzący dziedziniec.

Mehmet przyniósł też z dołu owalne lustro. Zawieszane nad kanapą połyskiwało perłowo, odbijając kolorowe szybki uchylonego okna. W barwnym obramowaniu widać było szczyty dachów, żółkniejące akacje, kawałek rzeki, a jeszcze dalej — szarą płaszczyznę morza pod takim samym niebem wieczoru.

Dochodziło wpół do siódmej i Nujens, już gotowy do wyjazdu na lotnisko, miał jeszcze parę minut czasu. Zmierch, owalne lustro przypominały mu wczorajsze czuwanie w apartamencie Nabulziego. Nareszcie dokończenie, pomyślał. Uśmiechnął się do lustra. Był w nowym ubraniu, peruce, wymuskany, zapięty na ostatni guzik.

A może tak... pożegnalny wywiadzik, panie Nujens vel Hagen, vel Levoisier?

To ostatnie nazwisko było z paszportu, który wręczył mu Emil; ubawiło go to serdecznie, bo imię zgadzało się.

No? Ostatnie wrażenia, panie Levoisier? — podsunął rękę, jakby tkwił w niej mikrofon.

Przede wszystkim radość! — Zgiął dłoń pokazując czerwony sekundnik, którego rytmiczny bieg zbliżał go do spotkania z Martą. Cofnął się do stołu i stanął przy butelce whisky.

Czas na pana, panie Levoisier. To ważny etap pana działalności. Może pan... kilka słów? — Zmienił głos.

Hmmm... Kiedyś już mówiłem. Mam swoją teorię, mogę powtórzyć. Przeszły i przyszły... nie istnieje. Jest tylko ten w środku. Wczorajszej godziny wyczekiwania, wspomnień, później błyskawicznych zdarzeń... po prostu nie ma. Podobnie jak za chwilę nie będzie słów, które teraz wypowiadam.

Może jeszcze przedmioty? Odgrywały w pana życiu, no i mogą jeszcze odegrać ważną rolę. Proszę? — spytał reporter-sko.

Tak, oczywiście, te najbardziej potrzebne. Samochód, granat, wembley, paszport i zegarek. Ten ostatni przypomina mi spokojne bicie serca. Obecność, dotyk... No, jakby to powiedzieć? Zaufanie. Uczucie głębokiej przyjaźni.

Tylko jeszcze jedno, panie Hagen. O, przepraszam, panie Levoisier. Stał pan przy butelce whisky? Trochę to symboliczne. Alkohol. Pana stosunek?

Cha, cha, cha! — roześmiał się głośno. — To cała księga! Ograniczę się do małego rozdziału. — Usiadł przy stole i przysunął butelkę. — Zaczynam: a więc przez cały dzień ani kropli! Porannego kaca... bohatercko. Nie schowałem nawet napoczętej butelki. Stała na stole i podnoszące się nad ulicą słońce prześwietlało jej złotawą, krystaliczną zawartość. Gasząc papierosa wyciągałem rękę do popielniczki, wtedy bursztynowy refleks ciepło padał mi na dłoń. Zgrzyt zębów i marsz między oknem i kanapą.

Po śniadaniu jak ręką odjął.

Pierwsza faza przygotowań do rozmowy z Martą.

Leniwy spokój, stygnące myśli, a obok życie. Obojętne. Spływające łagodnie jak szumiąca za oknem rzeka.

Przejrzałem uważnie prasę, którą przyniósł Mehmet, i stwierdziłem z przyjemnością, że Nicolas Mansour dotrzymał słowa. Najmniejszej wzmianki. Ani w „L'Orient Le Jour”, ani w „The Daily Star”. Owszem, były szczegóły o wczorajszej strzelaninie we wschodniej dzielnicy miasta, o uprowadzeniu zakładników i zwłokach w bagażnikach porzuconych aut. Codzienny żałobny koncert. Ale była też wiadomość o dwudniowym rozejmie między walczącymi frakcjami.

Aż za długo! Pomyślałem o podróży na lotnisko. Pobieźnie przejrzałem zdjęcia płonących domów, ulic z wrakami aut i zwłokami leżącymi niedbale, jakby opalały się na słońcu. Zgoniłem natrętą muchę i uśmiechnąłem się do reklamy Crédit Libano-Alsacien. Jak co dzień oferował usługi przemysłowym okręgom Francji.

Przesunąłem jeszcze wzrokiem po nieaktualnym już anonisie „dr. Joseph Nabulzi Import...” i trochę dłużej po reklamie biura Tukadijana. „Specjalność sprawy spadkowe”... Chytry Ormiaszka nie łąga! Niesamowita zdolność przekonywania. No ale moja Marta?

Przechytrzyła wszystkich.

Właśnie. Trzask elektrycznej iskry. Ostatnia próba... Faza koncentracji.

Jak to powiedziałem na początku? No... z tym alkoholem? Aha. Że niby cała księga. Grube, ale nie obrazowe. Kontynent! Można nie znać, unikać, ale jest. Ogromny, niebezpieczny. Surowy klimat. Tchórzliwi uciekają, słabi giną. Urzekające doliny upojeń, nagle... w trzęsawiska. Żadnego ocalenia. Wytrawny badacz doliny... tak, ale nie bagna.

Najcenniejsza jest wspinaczka trzeźwienia. Mozolna! Zaczyna

uderzeniem... rzeczywistości. Pierwsze skały... i nieprzeparła
chęć powrotu. Zwycięzys? Niezapomniane spojrzenie z góry
na rwący potok. Uważne badanie terenu.

Później... ustokrotniona wrażliwość. Wyłaniający się wierz-
chołek, a tam? Niebo i wszechwiedza. Absolutny wzrok i słuch.
Nawet szmer najdalszych planet.

Wspinaczka zaraz po obiedzie. Frytki i wołowina, którą
przyniósł Mehmet, to już u podnóża góry. Resztki... precz!
Otarłem brodę, zawiąłem rękawy i za skały. Szło dobrze.
Szczególnie po filiżance mocnej arabskiej kawy. Przy którymś
tam papierosie, brązowym jak Cygan gitane'ie, upragniona
syrena samochodu. Umówiony potrójny dźwięk.

Za piętnaście czwarta.

Wiśniowy porsche i na tle uchylonych drzwiczek — Emil.
Miał wszystko, ubranie, paszport i najważniejsze: kartkę z nu-
merem telefonu. Już ten absolutny wzrok! Mimo że były to
niedbale skreślone cyfry, natychmiast poznałem Martę. Chcia-
łem... za kółkiem, ale Emil znał drogę do najbliższej rozmówni-
cy.

Oszklona budka na skrzyżowaniu prawie dotykała sygnału.
Zielone światło. Przymknąłem drzwi i uśmiechnąłem się do
Emila. Stał przy samochodzie, prawa ręka nonszalancko w
kieszeni. Ach ta Marta! „...Prócz Madame nie mam boga!” —
błysnęło wspomnienie jego płonących oczu. Kiwnąłem ręką,
jego twarz, uśmiechnięta, wynurzająca się, to znikająca za gło-
wami przechodniów.

Rozejm!

Spływał szeroką rzeką pędzących aut. Odświętnych, wymu-
skanych karoserii, opuszczonych szyb, uśmiechów — w spo-
kojne, wolne od zasieków ulice. Był w twarzach przechodniów.
Różnych. Pogodnych, uśmiechniętych, splakanych. Był w

prężnych, odświeżonych spacerem sylwetkach i tych zgiętych, przenoszących resztki dobytku. Spokojne dzielnice? Już tylko skrawki. Jak długo jeszcze?

Pytanie... nie dla pana, Nujens! Właśnie ostatni wysiłek i szczyt. Wszechwiedza. Spokojnie nakręciłem numer. Szmer i zaraz długi sygnał. Trwało.

Chyba na lotnisko nie pojedę przez Khalde (był dopiero początek sygnału). Widziałem dokładnie szeroką aleję Bechara i właśnie bulwar Khalde. Za skrzyżowaniem z Saida rozległy zielony trójkąt. Pine Forest! Nigdy nie lubiłem lasu. Nie fobia, nie. Po prostu nie wychowywałem się na wsi, a miasto miałem we krwi. Ulice, place, domy. Czuję skórą skrzyżowania, mijające auta, zaułki, nawet okna drapaczy. Pine Forest... niby nie las. Zagajnik rachitycznych, karłowatych sosen. I to właśnie źle. Żadnego rozeznania w jednolitej ścianie milionów igieł i szponiastych gałązek. Zaraz szept wolno cedzonych słów. Dlaczego Emil wczoraj aż dwa razy mówił o tym? I teraz też... gdy jechaliśmy do rozmównicy? Z Medawar prosto i tylko dziesięć minut. Nawet w postojami na skrzyżowaniach.

Nie pojedę! Brak zaufania? Śmieszne! Wczoraj (sygnał wciąż jęczał przeciągle). Wczoraj... przynajmniej trzy okazje. No, a jedna na pewno. Cztery godziny snu, jak śmierć. Drewniane poddasze... Wystarczyłoby tylko deskę.

Niby droga naprawdę dziesięć minut. Przyjemna, ekskluzywna dzielnice miasta. Ale dlaczego nie piętnaście? Odmówić ostatniego spojrzenia na El Hamra? I to o zmroku? Jeszcze niezapalone latarnie, ale reklamy tak. Zielona strzałka w górę. Też do szczytu! „Dr. Joseph Nabalzi Import...” Niezgaszona... Może po pogrzebie? Zawsze orientowała mnie właściwie. A niebieski neon Tukadijana? Szkarłat Crédit Libano-Alsacien? Chyba zyskał na kolorze. Bliski w soczewce lunety. I ta ostatnia

godzina wyczekiwania. Całe życie... odmierzone kwadransami sygnaturki. Muszę!

Biuro Swissair. Słucham? — Membrana drgnęła męskim głosem. Poprosiłem Martę Nabalzi. Muszę! Choćby ten srebrny dźwięk z wieży...

Ach ten absolutny słuch!

Odłożona słuchawka rejestrowała wszystko. Trzask maszyn, strzępki rozmów i odgłos oddalających się kroków. Chyba ten szpakowaty jest z informacji... Marynarka w paski i złożone binokle. W zeszłym tygodniu dziwił się, że rezerwuję na czwartek i zaraz na następny wtorek. Taaak... Swissair. Ogromne tafle wystaw, dywany i zapach oranżerii. Wystrój dla szejków naftowych. Klimat palm, daktyłowców i urzekających seksem... storczyków. Europejskie egzemplarze za marmurową ladą. Dla śniadoliczych to kontrast i egzotyka. Platyna fryzur, połysk bluzek na wątlých piersiach i rajstop pnących się strzeliście do chłopiących bioder. Fascynujące! Szwajcarskie zegarki z sekundnikami stukających w maszynę dłoni.

Kroki utknęły daleko, chyba w końcu sali. Tak. Słuch i wzrok absolutny! Czerwień błyskała w karoseriach aut. Tłum stał nieruchomo. Między sylwetkami odszukałem Emila. W tej samej pozie... tylko uśmiech szerszy, różowy od sygnału.

Rozlewające się ciepło!

Była... Tam, daleko. Jej niepowtarzalne „merci”. Królewskie! Obiecujące... i przekreślające nawet cień złudzenia. Zarykuj. Ale kara śmierci. Co tracisz... zobaczysz. I zaraz parada.

Widziałem i słyszałem.

Potrafiła chodzić. Można było nie patrzeć. Lepiej było nie patrzeć! Wystarczył szelest kroków, sukni i chyba ciała. Sprawdziłem... Mocne uderzenie. Mocniejsze niż otwarty sejf i zielone,

geometryczne bryły banknotów. Bardzo ludzkie... tak mocne, że aż zwierzęce. Szła.

Rytmiczne uderzenia stóp i twarzy. Niedoсяżna! Dla mnie? Szcęk słuchawki. Nie. Grzmot na pogodnym niebie. I już obok siebie, wsparci nagimi ramionami.

– Wypocząłeś?

– W najlepszej formie, Marto!

– Kpisz... Przecież to nora.

– Wytrzymam!

– Słowo?

– Dałem wczoraj.

– A paszport?

– Excellent! Można pod lupą... Pierre Levoisier, inżynier chemik. Coś z naftą... No ale imię, Marto! Ten ktoś chyba szperał we wszystkich bagażnikach.

– Zarozumiały jesteś. Pierre to imię bardzo popularne.

Drgnąłem.

Te dołki koło ust... Na pewno! Kusily, gdy Martę chwytala przekorna wesołość. Wstrzymałem oddech. Robiłem to zawsze po żartobliwych słowach... „Też mi piękność. Ot, zwykła arabska dziewczyna!” Leżeliśmy zaspokojeni, oczekujący nowych wzruszeń. Pozorna kłótnia, jak pikantna przekąska. Łakomie chwytala zaczepkę. Rzęsy... „Wiesz... (ten sam ton drgał teraz w słuchawce) ... wiesz, kochanie? Tam... na trzeciej czy czwartej ulicy... No, może trochę dalej, ale na pewno... ktoś lepszy od ciebie. Poszukam... chyba.” Szukała. Ustami, rękami, ciałem.

– Popularne, Marto?

– A złoto to nie? Próba, Pierre. Decyduje.

– No to szybko! Moja?

– Naj... naj... wyższa! Już mam chęć sprawdzić.

Tak. Tafta. Szelest był wyraźny. Marta często nosiła bluzki

i spódnice. Wyglądała wspaniale. Lecz był to czar reklam kremów sportowych. „Na deszcz, śnieg, słońce tylko... Helena Rubinstein — La science de la beauté...” W sukni... intensywniała kobiecość. Oczywiście, ruchy i gesty. Niewystudiowane czy podpatrzone podczas europejskich podróży, a później adaptowane na własną manierę. Jedwab, organdyna i inne tkaniny żyły na niej... Myślałem o freskach Baalbeku. Finezyjnych pozach tancerek, naturalnych, ale śmiałych, tuż przed granicą przyzwoitości. Chyba to właśnie? Przekazane z krwią tamtych czasów. I te nagle przyipywy czulości? No, Wschód, Nujens. Inne niebo, inne słońce.

— Dobrze! Podjechać? Zdążymy jeszcze...

Chwila ciszy i właśnie szelest oddechu i sukni.

— Myślisz? A... Mansour? Nicolas Mansour? Dopiero w południe zdjął swoich ludzi spod mojej willi. Telefon stale na podsłuchu. Nie! W Zurychu... to tylko godziny. Bilety mam. Pamiętaj, odlot o ósmej. O ósmej, Pierre!

— Marto! Zurych zawsze o dwudziestej pierwszej. Nie mylisz się?

Zaskoczyło mnie. Nawet nie zauważyłem zmiany sygnału i już ryk silników. Przycisnąłem słuchawkę, ale tam też piszczały opony aut i gwarem wlewała się ulica. Sacré Dieu... Cholera! Mówiła, ale strzępki słów jak z podartej gazety. Rozejm. Dodatkowy samolot... Omar... Halef... Syria. No i najgorsze. Nicolas Mansour!

Bez sensu. Trzeba czekać na zmianę sygnału. Rozluźniłem zaciśnięte palce i prawą ręką przypaliłem papierosa. Emil też palił, ale patrzył uważnie, a ręka stale w kieszeni. No, nie może być źle! Powiedziałyby od razu. Zresztą znałem barwy głosu. Nastroje i odcucia... wyraźniej niż na twarzy czy w spojrzeniu.

Na pewno nie! Uspokoilem się, lecz za brakujące słowa dałbym wszystko. Mansour? Nicolas Mansour. Ta zmiana w wyglądzie, odświętność i ciche stąpanie brązowych golfów. Obejrzałem się. Tłum napierał, ocierał się o kabinę. Czasem twarze... wpatrzone, ale obojętne, nieznane, jak na znalezionej fotografii. Że też nie pomyślałem wcześniej... Stop. Stop! Patrzyłem na czerwone światło sygnału. Przecież zadłużenie Nabulziego!

— I pamiętaj! Powtarzam. Nie dzwoń! Słuchasz mnie?

— Marto?, Jeszcze raz wszystko!

Ulga! Oczywiście w miarę słów. Właśnie te brakujące. Po tęźniałem. Znów na szczycie. Dodatkowy samolot z powodu rozemnu. Frekwencja! Omar i Halef z głowy. O sto pięćdziesiąt kilometrów czatują na mnie na granicy syryjskiej. Zasługa Emila. Mansour. Mansour. I jeszcze raz Nicolas Mansour! Dwa razy był osobiście, a teraz chyba w drodze do Crédit Libano-Alsacien. Ułożyli się. Wpłaciła połowę. Musiała! Ulga. Zrobiła to samo, co ja z czekiem. Tym razem wziął, a to chyba pewniejsze.

— Pamiętaj! — znów w słuchawce. — W żadnym wypadku nie dzwoń!

— Co może się jeszcze zdarzyć, Marto? Mów!

— Już nic... ale i wszystko.

— Jaśniej!

— Po pierwsze, jedź przez Khalde!

Nie zełgałem z tą wspinaczką. Nawet szmer najodleglejszych planet! Czulem i obejmowałem wszystko. Skrzyżowanie, Emila stojącego przed porsche, ściszony oddech silników, kroków za i przede mną. Lecz biuro Swissair było najbliżej. Jakbym stał tuż koło Marty. Za plecami trzask srebrnych paznokci i szelest szwajcarskich laleczek. I nagle: „Prosiłam

Brazzaville na dwudziestą trzecią, a nie na rano!” — denerwował się ostry dyszkant.

Idź do jasnej! Przycisnąłem słuchawkę. Tak. Oddech Marty był równy, ciepły, sprawdzony wielokrotnie, gdy zetknięci czołami uzgadnialiśmy szczegóły. Zawsze bezbłędnie.

— Pierre, dwa przypadki. Nieprzewidziane, głupie. Możliwość... jedna na tysiąc. Nie. Na dziesięć tysięcy. Niestety mieści się w granicach wyobraźni. Kraksa... silnik wysiądzie czy nawet złapiesz gumę. Proszę, jedź przez Khalde. Za pięć wpół do siódmej Emil będzie na skrzyżowaniu Place des Martyrs. Przepuści... i za tobą w odległości stu metrów — na lotnisko. Będą spokojna, Pierre.

— Dobrze. Ten jeden, a co jeszcze?

— Gdyby mnie nie było w hallu... Broń cię Boże, zaklinam! Nie dzwoń!

— Rozumiem. W tył zwrot, siedzę jak mysz w norze na d'Abbattoir i czekam na wiadomość.

— Exact.

— Marto, ale to ze spokojem wykluczam.

— Ja też. — Powiedziane pewnie i zaraz żarliwy szept: — Pierre, musimy przewidzieć dosłownie wszystko. Nie przypuszczasz... ale tu chodzi naprawdę o... grube miliony!

Dla mnie był to krzyk. Rozwalił budkę, skrzyżowanie... Oparłem się o szybę i już automatycznie utrwaląłem najważniejsze słowa. Na lotnisku... za piętnaście siódma. W kawiarni odszukam jasną blondynkę; w niebieskiej sukni. Odprawa celna o siódmej.

Wszystko?

Nie, nie wszystko.

Trzymałem słuchawkę, mimo że Marta przesłała mi już pożegnalny pocałunek, a sygnał jęczał monotonnie. Nie Wszystko! Jeden, dwa, trzy... odliczałem powtarzające się dźwięki,

jak w lesie... kukanie kukułki. Osiemnaście. Odłożyłem słuchawkę i pomyślałem o mozolnych wyliczeniach, nad którymi biedziłem się niejedną wieczór w „White Horse”. Zgadzało się... prawie idealnie. To była suma spadku po Nabulzim.

Mimo wszystko Nujens nie pojechał przez Khalde. Widok El Hamra o zmroku był zbyt pociągający. Nakaz!

Uprzytomnił sobie to teraz, oddalając się od stolika wprost na neonowy napis „Coiffeur”. Na policzku czuł jeszcze dotyk Marty. Zerknęła na siedzących w kawiarni i przeciągnęła po nim dłoń. No nie! To całe kępy i zresztą... widoczne. Idź! Proszę. Zdążymy. Zaraz zmarszczyła brwi, a oczy błysnęły jej gniewnie. Wcale nie żartobliwy był ten gniew. Taki jak przed paroma minutami, gdy przyznał się, że nie jechał przez Khalde. No, już dobrze, dziewczyno. Wstał z ociąganiem. Idę. No idę! Oczy Marty złagodniały.

Teraz czuł to spojrzenie na plecach i widział w szybie pawilonu. Dwadzieścia parę kroków. Obraz jednak... wyraźny. Hall, stół, dwie filiżanki kawy i nad jedną Marta. Cała! Długie, lekko rozchylone nogi, niebieska suknia i łokcie tuż koło torebki. Twarz obca makijażem stonowanym z platynową fryzurą, ale spojrzenie... Znał dobrze. Wielokrotnie muskało go w lusterku auta i dotykało ciepłem, gdy oglądał się, by kiwnąć dłoń na pożegnanie. Spojrzał w swoje odbicie.

Moje oczy... też! Zmrużone, chłodne, ale przejęte nieludzką radością. Niezatarta prawda twarzy. Mimo czarnych włosów błyskających granatowym refleksem w odbiciu szyby. No, lecz w Zurychu wrócimy do właściwych barw. Chyba to dopiero będzie prawdziwe spotkanie!

Marta miała już w ustach papierosa i słyszał trzask zapalniczki. Płomień zapełgał na jej policzkach i opuszczonych rękach. Wypuściła dym i rozchyliła usta. Pastelowa szminka dióra. Jaśmin, ulubiony zapach Marty Nabalzi, czerpie zapach z księżycy. Zaśmiał się. Na księżycu lądowali już Amerykanie i prócz kurzu i brudnych kamieni... dosłownie nic. Ach ty, Europejczyku... — powiedziała. My też potrafimy być romantyczni, Marto... w trochę inny sposób. Dlatego właśnie pojechałem przez Khalde.

Odgłos kroków i długi sznur podróżnych odgradził go od pawilonu. Stanął i zaraz wyskoczył obraz El Hamry.

Opowiem ci, Marto. W samolocie... ale chyba lepiej w hotelu. To we mnie... już chyba do śmierci.

Gdy zbiegłem z poddasza na d'Abbattoir i usiadłem za kierownicą porsche'a... wszystko jeszcze było w porządku. Mój citizen jak ułał. Dwadzieścia po szóstej. Do skrzyżowania z Place des Martyrs swobodnie pięć minut. Włożyłem nawet zamszowe rękawiczki. Droga przez Baccharra, a później bulwar Khalde... komfort. Za francuskiego mandatu... coś w rodzaju Bois de Boulogne. Wille, pałacyki i drabinki pnących róż. Rzeźba asfaltu, zapach kwiatów, niebo i w perspektywie granatowe garby gór. Dalekie, za rozległą doliną lotniska. Naturalnie, że wyłącznie limuzyny, bardzo rzadko taksówki czy ciężarówka. Brak rękawiczek? Faux-pas!

Lecz ściągnąłem je zupełnie odruchowo, jeszcze przed Place des Martyrs. Wierz mi, nakaz. Stojąc pod sygnałem spostrzegłem Emila w czarnym mercedesie. Kiwnął ręką, mrugnął? Nie powiem, bo zaraz odskoczyłem wzrokiem. Gdy zielone światło padło na kierownicę, ręce już nie były moje. Skręciły w ulicę Armii i zaraz, jak przyśrubowane, pchały wóz na El Hamra.

Mocniejsze niż zapach jaśminu, Marto!

Mrok, a po chwili kolorowe morze neonów. Za rue de Rome wcisnąłem się w rzekę wolno płynących aut i opuściłem szybę. Zapach... Mimo spalin mocny, podpływający warstwami. Pomarańcz, perfum, sandałów, kawy i pobliskiego morza. Wszystko znajome. Kwaciarnia przypominająca spotkania z tobą. Skład apteczny, wypad do Gold Finger. Rytmika big-beatu ze sklepu, gdzie w początkach maja kupowałem tranzystor. Jeszcze trafika z kartonami ulubionych gitane'ów i już pasiasty daszek kawiarni. Ciepło, ciepło... Gorąco!

Tu właśnie, patrząc z okna biura Nabluziego widywałem Eponge'a przy porannym dubonniecie... Ale to jeszcze nie to!

Na masce potrójny refleks.

Zielony neon Nabluziego, niebieski Tukadijana i zaraz szkarłat Crédit Libano-Alsacien. Monotonny refren, handlarza pomidorów i... To rozwalilo duszę. Srebrny, wyraźny dźwięk sygnaturki. Oddzielił mnie od warkotu silników, zgiełku przechodniów i objął przyjaźnie.

Hagen!

Oczywiście, że to jak krzyk pękło w mózgu, lecz obejrzałem się, mimo że auta rwały do przodu. Mgnienie, , ale widziałem ponad dachem jadącej za mną limuzyny ruch ręki i wychylonego człowieka. Szary... a limuzyna też była popielata.

Hagen... Już słabiej. Byłem pod wystawami Banco di Roma i zrozumiałem, że to przytłumiony dźwięk sygnaturki. A człowiek? Zwid... fantom, pomyślałem o okrągłych, zaczerwienionych oczach.

Zdarza się, Marto.

Oczywiście, powiem ci o tym w hotelu. Tam będzie veuve cliquot i wyłożymy karty. Zdarzyło się... w San Francisco. Po pierwszej robocie. Następnego wieczoru coś pchnęło mnie na

37 Avenue. Przy wystawie... stał Oscar Medov. No, tylko garnitur ten sam, w granatowe paski. Lecz dobrą sekundę nogi jak makaron. Twarze z lunety i rozkazodawców... pojawiają się. Nie tylko w snach...

Długi rząd podróżnych zamykała parada białych burnusów. Nujens uśmiechnął się. Marhaba — rzucił pod nosem. Idąca na końcu dziewczynka błysnęła białkami i odpowiedziała na pozdrowienie. Za nią było już pusto i otwarte drzwi na taras. Już Europa! Spojrzał na lotnisko.

Pasemko gwiazd nad ciemnymi garbami gór, szara tafla i oświetlone samoloty. Lufthansa... British Airways i biały krzyż Swissair. Chyba jeszcze tankował, bo opasła cysterna srebrzyła się, przy silnikach. Podszedł do pawilonu i nacisnął klamkę. Nie ustąpiła. Dwujęzyczna wywieszka chwiała się wahadłowo na tle wzorzystej zasłony.

Closed. Fermé.

Spojrzał w szybę na bliskie odbicie Marty. Palila i patrzyła z uśmiechem na jego znieruchomiałą głowę. Odwrócił się bezradnie.

Natychmiast skarciła go wzrokiem, jak małego chłopca. Przełożyła papierosa i prawą ręką wykonała gest dawania bakszyszu. No, przecież Liban, ojczyzna napiwków. Wyjął dwudziestkę i zastukał w szybę.

Nos, który się spłaszczyl, był gruby, mięsisty, tak zresztą jak kark i szerokie ramiona. Oczy odbiły blask monety. Zaraz zgrzyt zamka i uśmiech. Entrez!... Entrez! Ręka wciągnęła do środka i zaraz potok słów:

Zamykamy... już żadnych przylotów, monsieur. No, ale panna zawsze. Mycie głowy, strzyżenie, masaż, manicure?

Spod półki świecących pudełek i flakonów spłynął nieskazitelnie biały kitel.

— Alonso... monsieur! — Bezceremonialnie odepchnął

pochylnego usłudźnie Araba. — Alonso. Do usług — powtórzył.

Nujens spojrział na grube, prawie zrośnięte brwi, tak niepasujące do gładkiej, kobiecej twarzy. Ominął szpakowatą czuprynę i przyłgął do ściany z fotografiami wielkich europejskich miast. Paryż, Rzym, Amsterdam... nawet Frankfurt.

— Za przeproszeniem, monsieur. Nie chwale się... Ale proszę spojrzeć na dyplomy! — Biały kitel zaszeleścił. — W tych wszystkich miastach... Alonso pierwsze nagrody!

— Tak? — Nujens zjechał wzrokiem na gablotkę świecących medali.

Drobna, wypielegnowana dłoń dotknęła piersi, a brwi złączyły się w linię prostą.

— Skupienie i szybkość, monsieur. Nie pytam, co potrzebuje klient. I żadnych rozmów o polityce, kobietach i łysieniu. — Wilgotne oczy przyłgnęły do Nujensa z szacunkiem i uwagą. — Golenie, kompresik, brewki i nawilżający astralne fluide! Pięć minut z zegarkiem w ręku. Zaczynamy?

Płynny gest do oświetlonego lustra.

— Wierzę! — Nujens uśmiechnął się i wygodnie usiadł w fotelu.

Alonso lekko, zgrabnie odskoczył do umywalki, podwinął rękawy i puścił strumień wody. Na chwilę podniósł głowę i burknął coś po arabsku. Zza zaplecza wyskoczył chłopak z ryżową miotłą. Zmiał z podłogi kosmyki włosów, a krępy, który przed chwilą otwierał drzwi, ładował te włosy do dużego plastikowego worka i ugniatał je rękami.

Nujens uważnie spojrział w lustro. W jaskrawym świetle jaszczurki jego twarz wyglądała już odświeżenie. Worki pod oczami znikły, jak po masażu. Co znaczy bezcenna wola trzeźwienia? A później... mała, orzeźwiająca szklaneczka white

horse'á. Zerknął na citizenena. Dochodziła za pięć siódma. No właśnie... Koniec czwartego kwadransa!

Wspaniale, że nie pojechałem przez Khalde. Wyciągnął ręce na poręczach i wygodnie oparł głowę. Zostanie na zawsze. El Hamra i...

Niewiarygodne!

Nie, nie w lustrze! Było za nisko. Wysoko, prawie pod sufitem, w nikłowej oprawce jarzeniówki odbijała się twarz Marty. Wypukła, z przesadnie szerokim wykrojem ust przypominała rybę tkwiącą nosem przy ścianie akwarium. Papieros falował jak wodorosty, przy których drgały pyszczki siedzących za nią podróżnych.

Obmierzała jak meduza. Uśmiechnął się. To też jej powiem w samolocie. Przymknął oczy. Szum wody ustał. Słyszał krzątanie sprzątających i zaraz stuk pędzla rozrabiającego pianę. Colgate... Wciągnął przyjemny zapach migdałów.

Właściwie... to stale jeszcze na szczycie. Też zapamiętam. Jeszcze tu, ale już po wszystkim. Westchnął głęboko, bo znów wyskoczyły cyfry i urzekające wizje przyszłości.

Pędzel pieszczotliwie dotknął brody i chłodno spadł na policzki. Mistrz. Naprawdę maestro. Ani oddechu, szelestu fartucha, kroków. Doskonała samotność i spadanie śniegu. Nawet dotknięcia brzytwy były jak topniejące płatki laskoczące szyję.

Kompres spadł na twarz ciepło jak słońce, gdy wyciągnięty na leżaku w St. Georges głaskał oczami wychodzące z morza mokre dziewczyny. To wszędzie. W Bari, Nicei i Buenos Aires. Byłem... ale tam wybierzemy się z Martą. Przecież jest posiadłość? Wysoki mur i, jak to obrazowo powiedział Nicolas Mansour, szybko zarastające ścieżki. Tak. Piasek plaży jest wszędzie.

Lecz El Hamra... o zmroku? Naprawdę jedna! Poruszył się i mocniej oparł głowę, żeby jeszcze raz zanurzyć się w świetle tamtych trzech neonów.

— Jeszcze tylko astrale fluide, monsieur. Dosłownie wsiąka pod palcami, a później... czysty jedwab.

Nujens odchylił się i spojrzął na niklową oprawkę. Jesteś... moja złota rybko! Zmarszczył brwi, bo nagle szerokie usta Marty rozchyliły się w uśmiechu. Tuż obok znieruchomiały okrągłe, zaczerwienione oczy.

Odczuł tylko dotknięcie mrozu. Brzytwa wpadła w szyję jak w masło. Nie drgnął. Tkwił nieruchomo w kleszczach czterech zaciśniętych dłoni.

Krępy Arab cmoknął trzykrotnie, patrząc na szeroką, otwartą, ale niekrwawiącą jeszcze bliznę.

— Worek! — warknął Alonso. — Co? Nie zarzynałeś... kurczaków? Strach... Po prostu groza! — I dopiero wtedy zarzucił ręcznik. Odwrócił się do lustra i starannie wytarł brzytwę. Nie patrzył, ale słyszał szelest worka, kroków i ciężkie szuranie po ziemi.

Drgnął dopiero na odgłos pukania.

Podszedł wolno do drzwi, w których ukazała się po chwili szara postać Nicolasa Mansoura. Pochylił się nisko, całując suchą, zmarszczoną rękę.

— W porządku, ojcze. — Podał mu portfel i jeszcze ciepłego wembleya.

Nicolas Mansour wyszedł z lotniska dobrze po ósmej. Czekał do końca, aż szwajcarski samolot, z Martą i Tukadijanem na pokładzie, po zakreśleniu łuku nad grzbietem gór stanie się małą, czerwoną gwiazdą na tle tych jasnych, prawdziwych. Minął rozświetlony płac i skręcił pod pinie, do czarnej sylwetki mercedesa.

— Jedziemy! — Uśmiechnął się dobrotliwie w zaspaną twarz Emila.

Pojechali wzdłuż morza.

Gdy mijali Mohaya Berge Barage, mignęły światła obozu palestyńskiego. Rozpalone ognie pełgały na łaciatych ścianach lepianek i obrysowywały sylwetki rozstawionych posterunków. W słoną bryzę wdarł się odór odpadków, spalenizny i mokrych ubrań rozwieszonych jak rzędy wisielców.

Nawet nie hołota, pomyślał wydymając wzgardliwie wargi. Takie coś... może i problem, ale tylko dla tamtych. Nie odwrócił się w stronę południa, gdzie daleko za Litani biegła granica z Izraelem. Od przodu już nadbiegało miasto. Rosło tysiącem światel, reklam i strzelistymi sylwetkami wieżowców.

Jechali teraz przez Corniche Chourane do Avenue de Paris. Morze pienilo się i biło o skały. Jego pofałdowaną przestrzeń raz po raz rozcinał smukły promień latarni. Gdy mijali „Vendôme” i „Palm Beach”, Mansour pomyślał o Nujensie.

Drgający, plastikowy worek! A kluczył dobrze. Nie pojechał przez Khalde, gdzie w Pine Forest czekali Halef i Omar. Wydawało mi się, że zgubił trop na El Hamra. Krzyknąłem. Krzyknąłem za nim. Wierzyłem, że popracuje jeszcze. Wiedział od Marty, że będę w Crédit Libano-Alsacien. Sam wybrał! A dla nas... każda droga właściwa. Inaczej nie uratujemy naszych cedrów. Szklanych pałaców, banków pęczniejących złotem. Odwiecznej siły małego, ale bogatego świata.

Nagle pochylił się gwałtownie.

Byli na pasach, gdy spadło czerwone światło. Emil włączył wsteczny bieg. Z jękiem silnika asfalt cofał się i cofał.

No właśnie. Właśnie! Mansour zasunął firankę, bo już tłum schodził na jezdnię. Nie bał się, ale unikał spojrzeń przechodniów.